



# STAR WARS™

## ZAGINIONE PLEMIE SITHÓW

JOHN JACKSON MILLER



# Zaginione plemię Sithów

**JOHN JACKSON MILLER**

Przekład:  
Anna Hikiert  
Aleksandra Jagielowicz

Redakcja stylistyczna Magdalena Stachowicz  
Korekta Halina Lisińska Renata Kruk  
Projekt graficzny okładki i ilustracja na okładce David  
Stevenson i Scott Biel

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału

Star Wars: Lost Tribe of the Sith: The Collected Stories Ta  
książka zawiera następujące wcześniej opublikowane  
opowiadania: Star Wars: Lost Tribe of the Sith #1: Precipice  
Star Wars: Lost Tribe of the Sith #2: Skyborn Star Wars: Lost  
Tribe of the Sith #3: Paragon Star Wars: Lost Tribe of the Sith  
#4: Savior Star Wars: Lost Tribe of the Sith #5: Purgatory Star  
Wars: Lost Tribe of the Sith #6: Sentinel Star Wars: Lost Tribe  
of the Sith #7: Pantheon Star Wars: Lost Tribe of the Sith #8:  
Secrets Copyright © 2012 by Lucasfilm, Ltd. & ® or ™ where  
indicated.

All Rights Reserved.

Used Under Authorization.

For the Polish translation

Copyright © 2012 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4275-0

Warszawa 2012. Wydanie I

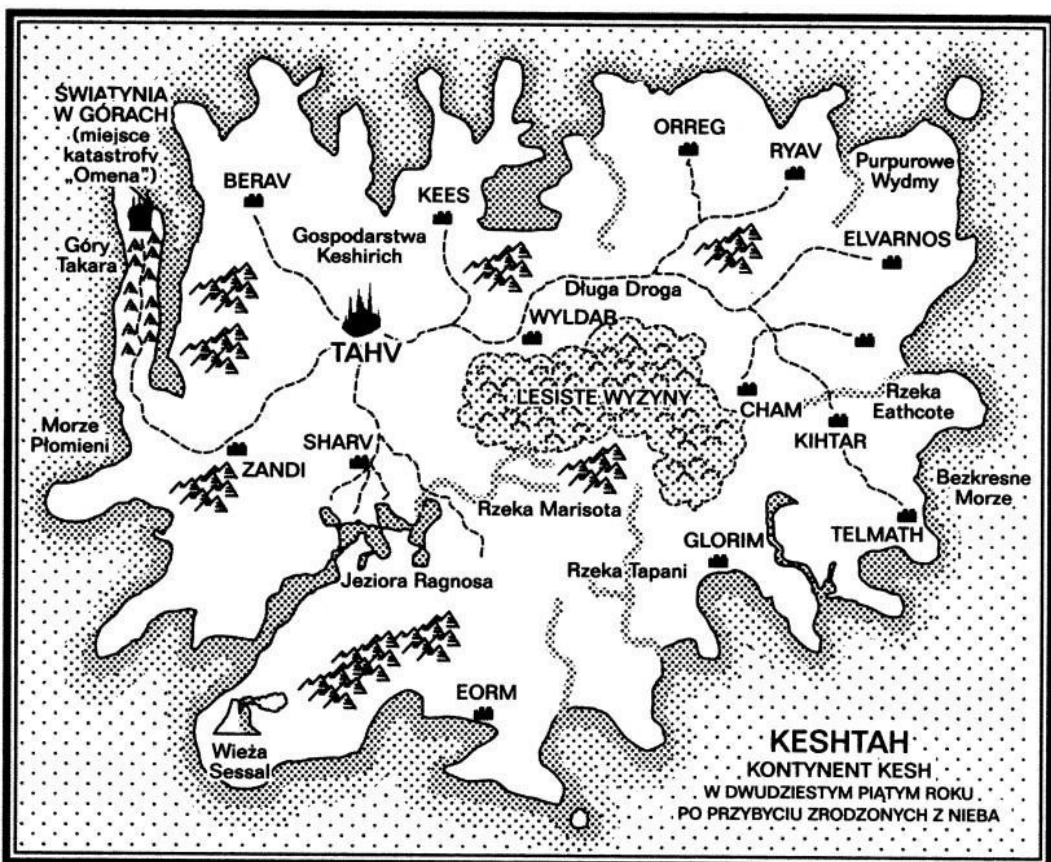
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. 22 620 40 13, 22 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

*Jackowi i Josie, mojemu własnemu małemu plemieniu*



# **PRZEPAŚĆ**

## **ROZDZIAŁ 1**

5000 lat przed bitwą o Yavin

- Lohjoy! Daj mi cokolwiek! - Gramoląc się na nogi w ciemności, komandor Korsin wyciągnął szyję, aby znaleźć hologram. - Silniki manewrowe, kontrola wysokości... choćby odrzutowe silniki parkingowe!

Okręt gwiazdny to dobra broń, ale dopiero załoga sprawia, że jest zabójczy. Stara śpiewka kosmicznego wyjadacza: oklepana, ale na tyle poważna, aby przydać nieco autorytetu. Korsin sam używał jej od czasu do czasu, ale nie dzisiaj. Jego okręt był zabójczy sam w sobie - a załoga po prostu zrobiła sobie przejażdżkę.

- Nic nie mamy, dowódco! - Przechylona, niewyraźna postać o wężowatych włosach zamigotała przed nim. Korsin wiedział, że na niższych pokładach musi być niedobrze, skoro nawet sztywna, wiecznie spięta i genialna Ho'Dinka straciła równowagę. - Reaktory uszkodzone!

Uszkodzenia struktury pancerza, zarówno z tyłu, jak...

Lohjoy wrzasnęła nagle z bólu, a jej czułki eksplodowały w ognistą grzywę. Chwiejnie odtoczyła się poza zasięg ekranu. Korsin z trudem stłumił chichot. W spokojniejszych czasach - pół

standardowej godziny temu - żartował, że Ho'Dinka to na pół drzewo. Teraz jednak, kiedy cały pokład techniczny eksplodował, nie wydawało się to już takie zabawne. Pancierz pękł. Znowu.

Hologram zgasł - wokół krępego dowódcy światełka ostrzegawcze zatańczyły i zamrugały.

Korsin klapnął na siedzenie, chwytając się podłokietników. Przynajmniej fotel jeszcze działa.

- Jesteście tam? Jest tam kto?

Cisza... i odległy zgrzyt metalu o metal.

- Dajcie mi coś, do czego mógłbym strzelać! - Gloyd, oficer artylerzysta Korsina, błysnął

zębami w ciemności. Ironiczny pół-uśmiezek był wspomnieniem po cięciu mieczem świetlnym Jedi sprzed kilku lat, które omal nie zdjęło Houkowi głowy. Po tej sprawie Gloyd wyrobił sobie jedyny na pokładzie jadowity dowcip dorównujący dowódcy - ale dzisiaj nawet artylerzysta nie bawił się dobrze. Korsin widział to w małych oczkach opryszka: jeden celny strzał i po wszystkim.

Korsin nie pofatygował się, aby popatrzeć na drugą stronę mostka. Lodowate spojrzenia stamtąd mógł uznać za pewnik. Nawet teraz, kiedy uszkodzony „Omen” stracił sterowność.

- Jest tam kto?

Nawet teraz. Krzaczaste brwi Korsina ściągnęły się w czarne V. Co się z nimi działo?

Przysłowie mówiło prawdę - statek potrzebował załogi zjednoczonej wspólnym celem. A zostanie Sithem było zaszczytnym celem samo w sobie. Każdy chorąży Imperatorem. Każda pomyłka rywala szansą. No cóż, zatem mamy szansę, pomyślał. Niech ktoś to rozwiąże, a zdobędziesz od ręki cholernie wygodny fotel.

Gry wpływów Sithów niewiele teraz znaczyły - nie w obecności uporczywej grawitacji gdzieś w dole. Korsin spojrział raz jeszcze w górę, na przedni iluminator. Widoczna dotychczas ogromna lazurowa kula znikła; w jej miejscu widział teraz gazowe błyski i wystrzelające w górę szczątki. Wiedział, że gaz i szczątki pochodzą z jego statku, przegrywającego walkę z obcą atmosferą. Nieważne, jaka była, teraz „Omen” należał do niej. Nastąpił wstrząs i kolejne krzyki. To już długo nie potrwa.



- Pamiętajcie - ryknął, spoglądając na załogę po raz pierwszy od chwili, kiedy to się zaczęło.

- Sami chcieliście tu być!

Rzeczywiście, chcieli. Przynajmniej większość z nich. „Omen” był wolnym statkiem, kiedy górnicza flotylla Sithów zebrała się na Primus Goluud. Oddziałom szturmowym Massassich w ładowni obojętne było, dokąd lecą - nikt nie wiedział, co sobie myślą Massassi przez większość czasu, przyjmując, że w ogóle myślą. Wiele istot rozumnych, które miały jakikolwiek wybór, wybrało jednak „Omen”.

Saes, kapitan „Zwiastuna”, był upadłym Jedi, całkowitą niewiadomą. Nie można ufać komuś, komu nie ufają Jedi, a oni ufają prawie każdemu. Yaru Korsina załoga przynajmniej знаła.

Sithański kapitan, który się uśmiecha, był zjawiskiem rzadkim i zawsze podejrzanym. Korsin jednak nie zmieniał się od dwudziestu lat, dość długo, aby ci, którzy pod nim służyli, rozpuścili wici, że statek Korsina jest dobrym środkiem transportu.

Tylko nie dzisiaj. Z pełnym ładunkiem lignańskich kryształów „Zwiastun” i „Omen”

przygotowały się do opuszczenia Phaegona III w kierunku frontu, kiedy myśliwiec Jedi naruszył

systemy obronne pola wydobywczego. Podczas kiedy półksiężycowate blade’y zajmowały się intruzem, załoga Korsina przygotowywała się do skoku w nadprzestrzeń. Ochrona ładunku była absolutnym priorytetem, a jeśli zdołają dostarczyć towar, zanim ten sfelerowany Jedi dostarczy swój - cóż, to tylko lepiej. Piloci blade’ów mogą sobie wrócić na „Zwiastunie”.

Coś jednak poszło nie tak. Wstrząs „Zwiastuna”, potem drugi. Odczyty czujników siostrzanego okrętu wyglądały bezsensownie - a sam „Zwiastun” niebezpiecznie odbijał w kierunku „Omenu”. Zanim rozległy się alarmy zbliżeniowe, nawigator Korsina odruchowo włączył

hipernapęd. Mało brakowało...

...a może wcale. Sądząc z tego, że „Omen” właśnie się rozpada, jednak w nich uderzyli.

Korsin był tego pewien. Telemetria mogłaby im powiedzieć coś więcej, ale jej nie mieli. Okręt został wytracony z kursu o astronomiczny włos - ale to wystarczyło.

Dowódca Korsin nigdy nie przeżył spotkania ze studnią grawitacyjną w nadprzestrzeni, podobnie zresztą jak jego załoga. Opowieści mogli snuć jedynie ci, którzy przeżyli. A wrażenie było takie, jakby sama przestrzeń otwarła się w pobliżu przelatującego „Omenu”, zgniatając superkonstrukcję okrętu jak garść kitu. Trwało to ułamek sekundy, jeśli czas w ogóle tam istniał.

Ucieczka była jeszcze gorsza niż kontakt. Rozległ się mrozący krew w żyłach trzask i tarcze zawiodły, a przegrody się wygięły. A potem...

A potem ładunek broni eksplodował. Łatwo to było zauważyć, dzięki ziejącej dziurze w brzuchu statku. Nadal żyli, z czego wniosek, że eksplodował już w nadprzestrzeni. Granaty, bomby i różne inne zabawki, które ich drugi ładunek - Massassi - taszczyli do Kirrek, powinny wybuchnąć z teatralnym pokazem fajerwerków, zabierając ze sobą okręt. Ładunek jednak po prostu znikł, wraz z imponującym kawałem nadbudówki „Omenu”. Prawa fizyki w nadprzestrzeni były z definicji nieprzewidywalne: zamiast eksplodować na zewnątrz, wyrwany pokład po prostu odłączył się od statku wskutek sejsmicznego szarpnięcia. Korsin mógł sobie wyobrazić wybuchającą amunicję, wylatującą z nadprzestrzeni o lata świetlne za „Omenem”, gdziekolwiek to było. Ktoś będzie miał

naprawdę zły dzień!

Tak? A teraz moja kolej.

„Omen”, dygocząc, wypadł w realną przestrzeń, hamując szaleńczo, nacelowany prosto w bąbel błękitu wiszący przed wibrującą gwiazdą. Czy to było źródło cienia masy, który

przerwał ich lot? A kogo to obchodzi? I tak wszystko zaraz się skończy. Uwięziony „Omen” odbijał się i podskakiwał w krystalicznym oceanie atmosfery, a potem spadanie zaczęło się w najlepsze.

Pochłonęło jego technika i prawdopodobnie wszystkich techników, ale pokład dowodzenia trzymał

się nadal. Tapańska robota, pomyślał z podziwem Korsin. Spadali, ale na razie jeszcze żyli.

- Dlaczego on nie jest martwy? - Chociaż na wpół zahipnotyzowany smugami ognia wijącymi się na zewnątrz, bo „Omen” przynajmniej spadał podwoziem w dół, Korsin jedynie jak przez mgłę uświadomił sobie chrapliwy głos po swojej lewej ręce. - Nie powinienś był skakać! -

dodał inny, młodszy głos. - Dlaczego on nie jest martwy?

Dowódca Korsin wyprostował się i z niedowierzaniem spojrzął na przyrodniego brata.

- Wiem, że nie mówisz do mnie.

Devore Korsin urękawiczniwym palcem pomachał przed nosem dowódcy w kierunku chudego mężczyzny, wciąż daremnie dziobiącego swój panel kontrolny - chudy i bardzo samotny.

- Ten twój nawigator! Czemu on jeszcze żyje?

- Może jest na niewłaściwym pokładzie?

- Yaru!

Oczywiście, to wcale nie był żart. Boyle Marcom prowadził statki Sithów przez szaleństwa nadprzestrzeni od połowy okresu panowania Marki Ragnosa. Boyle nie był już najmłodszy, ale Yaru Korsin wiedział, że dawny sternik jego ojca zawsze będzie dobrym nabytkiem. Szkoda, że nie dzisiaj. Cokolwiek się tam stało, winę można spokojnie złożyć na barki nawigatora.

Ale szukać winnych w oku burzy ogniowej? No cóż, to cały Devore.

- Tym się zajmiemy później - rzucił starszy Korsin z fotela dowódcy. - Jeśli będzie jakieś później.

W oczach Devore'a błysnął gniew. Yaru nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział w nich coś innego. Błady, chudy Devore niezbyt przypominał jego krzepką i krępa sylwetkę, którą odziedziczył po ojcu. Ale te oczy, to spojrzenie? Równie dobrze mógł być jego klonem.

Ich ojciec... cóż, nigdy nie przeżył takiego dnia. Stary wyga nigdy nie stracił statku Lordów Sithów. Ucząc się u jego boku, nastoletni Yaru ułożył sobie przyszłość - aż do dnia, kiedy stracił

zapał do podążania śladami ojca. Dnia, w którym pojawił się Devore. O połowę młodszy od Yaru, syn z matki mieszkającej w innym porcie i na innej planecie - przyjęty przez starego admirała bez chwili wahania. Kadet Korsin wołał nie sprawdzać, ile jeszcze dzieci spłodził jego ojciec, aby obstawić stanowiska na mostku, za to zwrócił się do Lordów Sithów o kolejny przydział. To było niezłe posunięcie. W ciągu pięciu lat został kapitanem. Po dziesięciu otrzymał stanowisko dowódcy na świeżo ochrzczoneym „Omenie”, pokonując o wiele lat starszego kapitana.

Jego ojcu się to nie podobało. Nigdy nie stracił statku na rzecz Lordów Sithów, ale stracił go na rzecz własnego syna.

Teraz jednak utrata „Omenu” zaczynała się stawać rodzinną tradycją. Cała załoga mostka -

nawet outsider Devore - odetchnęła głębiej, kiedy płomienie na zewnątrz iluminatora zastąpiły strużki wilgoci. „Omen” wszedł w stratosferę, nie ulegając spopieleniu, a teraz w leniwych obrotach opadał przez ciężkie od deszczu chmury. Korsin zmrużył oczy. Woda?

Czy tam w ogóle jest ziemia?

Przerażająca myśl przemknęła jednocześnie przez głowy wszystkich siedmiu osób obecnych na mostku. Obserwowali w milczeniu wydymający się i odkształcający iluminator. Gazowy

olbrzym! Spadek z orbity wymagał czasu, oczywiście jeśli się w ogóle przeżyło wejście w atmosferę. Ale jak długo to potrwa, jeśli powierzchnia nie istnieje? Korsin bezmyślnie bawił się kontrolkami wbudowanymi w podłokietnik. „Omen” pęknie, rozpadnie się na części, zgnieciony przez ciężkie opary. Wszyscy pomyśleli to samo i jakby w odpowiedzi naprężony do granic portal pociemniał.

- Wszyscy głowy w dół! - zawołał Korsin. - Złapcie się czegoś... teraz!

Tym razem usłuchali. Wiedział, że jeśli się nawiąże do instynktu przetrwania, Sith zrobi niemal wszystko. Nawet ta banda. Korsin wpił się palcami w fotel, a oczy utkwił w przednim iluminatorze i szybko zbliżającym się cieniu.

O pancierz plasnęła jakaś mokra masa. Jej rozmazana sylwetka przemknęła po transpastali i zatrzymała się na chwilę, po czym znikła. Dowódca szybko zamrugał. Coś tam było przez chwilę i znikło, i nie była to część statku.

To coś miało skrzydła.

Zaskoczony Korsin wyskoczył z fotela i rzucił się w stronę iluminatora. Tym razem to on się pomylił. Poddana ogromnym naprężeniom już przed kolizją w powietrzu transpastał właśnie się poddała, spływając po bokach statku jak lśniące łyzy. Syk uciekającego powietrza wbił Korsina w panele pokładu. Stary Marcom poleciał na bok, tracąc oparcie swojego stanowiska. Syreny wyły -

jakim cudem jeszcze działały? - ale ich hałas cichł powoli. Korsin zaczerpnął tchu.

- Powietrze! To powietrze! - zawołał.

Devore pierwszy odzyskał równowagę, zmagając się z wiatrem. Pierwsza szczęśliwa chwila. Iluminator w większości został wypchnięty na zewnątrz, nie do środka - a choć kabina straciła ciśnienie, powoli wypełniał ją wilgotny, słony wiatr. Dowódca Korsin bez niczyjej pomocy zdołał dotrzeć do swojego stanowiska. Dzięki za wsparcie, bracie.

- To tylko chwila ciszy - odezwał się Gloyd. Wciąż nie widzieli, co znajduje się poniżej.

Korsin już kiedyś nurkował na oślep, ale to było w bombowcu i wiedział, gdzie jest ziemia. Cóż, wiedział, że ona w ogóle tam jest.

Zdławione wcześniej wątpliwości załamywały jego umysł.

- Dość - warknął łowca kryształów, przedzierając się przez rozbujany pokład do fotela dowódcy zajmowanego przez brata. - Puść mnie do tych sterów!

- Dla ciebie będą równie martwe, jak dla mnie!

- A to się jeszcze okaże! - Devore sięgnął ku podłokietnikowi, ale zablokował go masywny nadgarstek Korsina. Dowódca zacisnął szczękę.

- Nie rób tego. Nie teraz - warknął.

Rozległ się płacz dziecka. Korsin przyjrzał się Devore'owi z zainteresowaniem, po czym obejrzał się. W drzwiach stała Seelah, ściskając mały, owinięty w czerwoną płachtę tobolek.

Dziecko zapiszczało.

Seelah miała ciemniejszą skórę niż oni dwaj i była pracownicą w grupie górników Devore'a.

Korsin wiedział tylko, że jest jego samicą - chyba trudniej byłoby to wyrazić bardziej elegancko.

Teraz, kiedy ciężko opierała się o framugę, jej smukła postać wydawała się dziwnie niechlujna.

Dziecko, mocno zawinięte na modłę jej ludu, wyplątało jedną drobną rączkę i teraz szarpało jej rozczochrane rude włosy. Wydawało się, że kobieta tego nie czuje.

Na twarzy Devore'a na chwilę pojawiło się zaskoczenie - a może irytacja?

- Wysłałem cię do kapsuł ratunkowych! - krzyknął.

Korsin skrzywił się lekko. Kapsuły ratunkowe były nielotami - dosłownie. Dowiedzieli się o tym jeszcze w przestrzeni, kiedy pierwsza zaczęła się na upartym szponie

dokującym i eksplodowała na kadłubie statku. Nie wiedział, co się stało z resztą, ale statek odniósł takie uszkodzenia górnej części kadłuba, że prawdopodobnie wszystkie kapsuły należało uznać za stracone.

- Ładownia - powiedziała i jęknęła, kiedy Devore chwycił ją mocno za ramiona. - Niedaleko naszej kabiny.

Oczy Devore'a powędrowały za jej plecy, w głąb korytarza.

- Devore, nie możesz iść do kapsuł...

- Zamknij się, Yaru!

- Przestań - odparła. - Tam jest ziemia.

Devore spojrział na nią tępo. Wypuściła z płuc powietrze i wbiła niespokojny wzrok w dowódcę.

- Ziemia!

Korsin skojarzył.

- Ładownia!

Kryształy były w sejfie, z dala od uszkodzonej części - w miejscu, gdzie iluminatory zakrzywiały się, aby można było spojrzeć w dół. Przynajmniej wiadomo, że pod tym całym błękitem coś jest. Coś, co dawało im szansę.

- Lewy silnik zapali? - zapytała kobieta.

- Nie, nie zapali - odparł Korsin. A przynajmniej nie na polecenie z mostku. - Musimy to zrobić ręcznie.... że się tak wyrażę.

Wyminął cierpiącego Marcoma i podszedł do iluminatora na sterburcie, który wychodził na tyły, ukazując zniszczoną rufę statku. Po obu stronach kadłuba znajdowały się po cztery pokrywy wyrzutni torpedowych - okrągłe kłapy, które odchylały się w górę lub poniżej płaszczyzny poziomej, w zależności od tego, gdzie się znajdowały. Nigdy nie otwierał tych pokryw w atmosferze, obawiając się przeciągnięcia, które mogłyby spowodować. Ten błąd projektowy mógł

ich teraz uratować.

- Gloyd, czy one zadziałają?

- Otworzą się i zamkną przynajmniej raz. Ale żeby je otworzyć bez zasilania, musimy uruchomić kołki odpalające.

Devore wytrzeszczył oczy.

- Nie wyjdziemy tam przecież! - Wciąż lecieli z zabójczą szybkością. Ale Korsin już się ruszył, przepychając się obok brata do lewoburtowego iluminatora. - Wszyscy na obie burty!

Seelah i jeszcze jeden członek załogi podeszli do prawej przegrody. Devore, wściekle łypiąc, niechętnie do nich dołączył. Yaru Korsin położył dłoń na portalu, pokrytym lodowatymi kroplami. Na zewnątrz, o kilka metrów dalej, odnalazł jedną z masywnych okrągłych pokryw i małą skrzynkę zamontowaną obok niej, nie większą niż komunikator. Gdzie jest mechanizm? Tam.

Sięgnął poprzez Moc. Ostrożnie...

- Górne klapy torpedowe, po obu stronach! Teraz!

Zdecydowanym pchnięciem umysłu Korsin uruchomił kołek odpalający. Wielka śruba uwolniła się gwałtownie i wystrzeliła przed siebie, a potężna pokrywa wyrzutni zareagowała ruchem, obracając się na pojedynczym zawiasie. Statek, który już skrzypiał na wszystkich spawach, jęknął głośno, kiedy kłapa osiągnęła pozycję końcową, stercząc nad kadłubem „Omenu” jak zaimprovizowana lotka. Korsin spojrział wyczekująco za siebie, a wyraz twarzy Seelah upewnił go, że po jej stronie akcja także zakończyła się powodzeniem. Przez moment zastanawiał się, czy się udało...

Łuuup! Z przerażającym wstrząsem, który rzucił na pokład całą załogę mostka, „Omen”

przechylił się do przodu. Nie zwolnił aż tak bardzo, jak się Korsin spodziewał, ale nie o to chodziło.

Przynajmniej widzieli teraz, dokąd lecą, co jest na dole. Gdyby jeszcze te przeklęte chmury się rozwiały...

Nagle zobaczył. Rzeczywiście, ziemia. Ale jeszcze więcej wody. Dużo, dużo więcej.

Zjeżone, postrzępione szczyty wznosiły się z zielonych



fal. Wyglądało to prawie jak szkielet skalny, podświetlony przez zachodzące słońce obcej planety, zaledwie widoczne na horyzoncie.

Pędzili w noc. Nie ma wiele czasu na decyzję...

...lecz Korsin wiedział też, że nie ma wyboru. To prawda, większość załogi może przetrwać wodowanie, ale z pewnością nie przeżyją, kiedy ich zwierzchnicy dowiedzą się, że drogocenny ładunek spoczął na dnie obcego oceanu. Lepiej niech sobie wydłubują kryształ spomiędzy spalonych ciał. Zmarszczył brwi i rozkazał załodze na prawej burcie uruchomić dolne wrota wyrzutni.

Kolejny ostry wstrząs i „Omen” skrzył w lewo, kierując się w stronę zjeżonej linii gór. Na rufie wystrzeliła z kadłuba kapsuła ratunkowa - i natychmiast rozbiła się na grani. Wznoszący się w górę pióropusz dymu znikł z iluminatorów w ciągu sekundy. Załoga Gloyda, obsługująca torpedy, byłaby zazdrosna, pomyślał Korsin, kręcąc głową i odetchnął głęboko. Tam wciąż są żywi ludzie. I wciąż próbują.

„Omen” prześliznął się niecałe sto metrów nad ośnieżonym szczytem. Pod nimi były teraz tylko ciemne wody. Jeszcze jedna korekta kursu - i „Omenowi” wkrótce się skończą klapy wyrzutni torped. Kolejna kapsuła opuściła statek, kierując się łukiem w dół. Dopiero kiedy mały pojazd dotarł do skał, pilot - jeśli w ogóle ktoś tam był - uruchomił silniki. Rakiety wystrzeliły kapsułę z pełną prędkością wprost w fale oceanu.

Mrużąc zalewane potem oczy, Korsin obejrzał się na swoją załogę.

- Ładunki głębinowe! - rozkazał. - W sam raz pora na ćwiczenia z walk mieszanych! -

Nawet Gloyd się nie roześmiał, ale kiedy dowódca się obejrzał, zrozumiał, że to nie dlatego, że uznał żart za niestosowny. Zobaczył to samo, co on: z Wody wynurzały się kolejne ostre skały - w tym jedna przeznaczona dla nich. Korsin oparł się w fotelu. - Na stanowiska! - krzyknął.

Seelah zakręciła się w panice, omal nie gubiąc po drodze zawodzącego Jariada. Nie miała przydzielonego stanowiska, nie miała bezpiecznego miejsca. Ruszyła w kierunku Devore'a, który zamarł przy swoim terminalu. Nie było już czasu. Jakaś ręka wyciągnęła się ku niej. Yaru szarpnął

ją do siebie, wpychając za fotel dowódcy w bezpiecznie skulonej pozycji.

Zapłacił za ten czyn.

„Omen” uderzył w granitową grań pod kątem, tracąc resztki kadłuba. Wstrząs rzucił

dowódcę Korsina naprzód, na ścianę; mało brakowało, a nadziałby się na odłamki rozbitego iluminatora. Gloyd i Marcom próbowali przedostać się do niego, ale „Omen” jeszcze się nie zatrzymał, ścinając kolejny skalny występ i opadając w dół spiralą. Coś wybuchło, za statkiem pojawiła się smuga płonących szczątków.

„Omen” rozpaczliwie kręcił się wokół własnej osi, klapy wyrzutni, które stanowiły prowizoryczne hamulce powietrzne, odrywały się jedna po drugiej, jakby były z drewna. Ześliznęły się w dół piargu, rozpryskując na wszystkie strony odłamki kamieni. Korsin, z krwawiącym czołem, podniósł wzrok, spojrział w górę i zobaczył...

...nicość. „Omen” ześlizgiwał się ku otchłani. Góra się skończyła.

Stop. Stop!

- Zatrzymać się!

Cisza. Korsin zakasłał i otworzył oczy.

- Wciąż żyjemy - stęknął.

- Nieprawda - odparła Seelah, ukłękła i przytuliła Jariada. - Już umarliśmy.

Nie powiedziała „dzięki tobie” - ale Korsin poczuł te słowa, biegnące ku niemu poprzez Moc. Nie potrzebował wyjaśnień. Jej oczy mówiły wszystko.

## ROZDZIAŁ 2

Stała załoga „Omenu” wywodziła się z tej samej rasy ludzi, co Korsin: odszczepieńcy szlachetnego rodu, wystrzeleni w niebo setki lat przed wirem, który stworzył Imperium Tapańskie.

Sithowie odnaleźli ich i uznali za użytecznych. Znali się na handlu i przemyśle, na tych wszystkich rzeczach, których Sithowie najbardziej potrzebowali, ale nigdy nie mieli na nie czasu, zajęci budowaniem i niszczeniem światów. Przodkowie Korsina kierowali okrętami i fabrykami, i robili to dobrze. A że dawno już mieszała swoją krew z Ciemnymi Jedi, więc mieli też kontakt z Mocą.

Byli przyszłością. Nie mogli tego potwierdzić, ale to się wydawało oczywiste. Wielu Lordów Sithów należało do szkarłatnoskórego gatunku, który przez wiele lat stanowił jądro ich populacji. Ale stosunek liczb zaczął ulegać zmianie - i jeśli Naga Sadów chciał rządzić galaktyką, tak być musiało.

Naga Sadów. Twarz otoczona mackami. Mroczny Lord i spadkobierca pradawnych mocy.

To właśnie Naga Sadów wysłał „Omen” i „Zwiastuna” na poszukiwanie lignańskich kryształów. To Naga Sadów potrzebował tych kryształów na Kirreku, aby pokonać Republikę i jej Jedi.

A może to byli Jedi i ich Republika? Nieważne. Naga Sadów zabije dowódcę Korsina i jego załogę za utratę statku. W tym przypadku Seelah miała rację.

Sadów jednak nie musi jeszcze przegrać wojny. Wszystko zależało od tego, co teraz zrobi Korsin. Wciąż miał

coś ważnego. Kryształ.

Ale kryształ w tej chwili były wysoko w górze.

To była straszna noc. Trzeba było sprowadzić trzysta pięćdziesiąt pięć osób z wysokiego płaskowyzu. Szesnastu rannych zmarło po drodze, kolejnych pięćoro spadło w mrok z wąskiej półki, która najwyraźniej stanowiła jedyną drogę w górę lub w dół. Nikt jednak nie wątpił, że ewakuacja była właściwą decyzją. Nie mogli pozostać na górze, kiedy pożary wciąż się jeszcze tliły, a statek pozostawał w stanie chwiejnej równowagi. Korsin jako ostatni opuszczał pokład i o mało nie popuścił w spodnie, kiedy jedna z torped protonowych uwolniła się z wyrzutni, poleciała w przepaść i znikła w mroku.

Przed świtem, mniej więcej w połowie zbocza, natrafili na polanę, tu i ówdzie porośniętą dziką trawą. Życie jest w każdym miejscu galaktyki, nawet tutaj. Pierwszy dobry znak. W górze „Omen” wciąż płonął. Nie trzeba się przynajmniej zastanawiać, gdzie jest statek, pomyślał Korsin.

Mogą orientować się na dym.

Teraz, w tym popołudniowym tłumie - nie tyle obozowisku, co raczej zgromadzeniu -

Korsin wiedział, że nie będzie musiał się zastanawiać również nad tym, gdzie są jego ludzie.

Przynajmniej dopóki jego nos działa prawidłowo.

- Teraz wiem, czemu pilnowaliśmy, aby Massassi pozostawali na swoim miejscu -

powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

- Czarujące - rozległ się głos zza jego pleców. - Powiedziałbym, że oni też nieszczęśliwie są z ciebie zadowoleni.

Ravilan był Czerwonym Sithem najczystszej krwi. Pełnił obowiązki kwatermistrza i nadzorcy Massassich - paskudnych, zwalistych dwunogów, których Sithowie cenili jako siewców przerażenia na polu bitwy. W tej chwili Massassi nie wydawali się jednak tacy wspaniali. Korsin poszedł za Ravilanem w stronę

ich kręgu, przesiąkniętego odrażającym odorem wymiocin. Dwu-i trzymetrowe potwory o czerwonych pyskach leżały na ziemi, dysząc ciężko i kaszląc.

- Wygląda to na jakąś formę obrzęku płuc - mruknęła Seelah, okrążając kanistry z oczyszczonym powietrzem, uratowane z pakietu awaryjnego. Przed związkim z Devore'em i zabezpieczeniem sobie miejsca w jego załodze była medykem polowym, choć Korsin nigdy by tego nie powiedział na podstawie jej zachowania, przynajmniej wobec Massassich. Ledwo dotknęła ciężko dyszącego olbrzyma. - Nie jesteśmy już na wysokości, powinno zacząć przechodzić.

Prawdopodobnie to normalne.

Inny Massassi po jej lewej stronie charknął potężnie i tępym wzrokiem wpatrywał się w rezultat: kupkę mokrej tkanki bliznowatej. Korsin spojrział na kwatermistrza i rzucił oschle: - Czy to jest normalne?

- Wiesz, że nie jest - warknął Ravilan.

Z drugiej strony polany ruszył ku nim Devore Korsin. Wcisnął syna w ramiona Seelah, zanim jeszcze skończyła wycierać ręce. Złapał zbira za masywny nadgarstek i przyjrzał się mu.

Potem z groźnym błyskiem w oku spojrział na brata.

- Przecież Massassi są twardsi niż ktokolwiek inny!

- Jasne, niż wszystko, co mogą stłuc, skopać lub udusić - odparł Korsin. Jednak obca planeta to obca planeta. Nie mieli czasu przeprowadzić bioskanu, a cały sprzęt był na górze. Devore poszedł za Seelah, odchodząc od chorego Massassiego.

Osiemdziesiąt tych stworzeń przeżyło katastrofę, ale nie na długo. Korsin dowiedział się, że asystenci Ravilana spalili już jedną trzecią ocalałych, tam, na zboczach. Czymkolwiek była ta niewidzialna broń nieznanego planety, która zabijała Massassich, robiła to szybko. Ravilan pokazał

mu cuchnący stos pogrzebowy.

- Nie zachowali odpowiedniej odległości - zauważył

Korsin.

- Od kogo? - prychnął Ravilan. - Czy to wgłębienie jest stałym obozowiskiem? Może powinniśmy ich przenieść na inną górę?

- Dość, Rav.

- Żadnej ciętej riposty? Jestem zdumiony. Zawsze przynajmniej to planujesz.

Korsin ścierał się z Ravilanem podczas poprzednich misji, ale teraz nie był czas na kłótnie.

- Powiedziałem dość. Sprawdzaliśmy, co jest poniżej. Widziałeś sam. Nie ma dokąd iść.

U stóp grani widać było plaże, ale kończyły się one ostrymi klifami, które stanowiły początek kolejnej góry w łańcuchu. A droga wzdłuż łańcucha oznaczała przedzieranie się przez kłębowisko ostrych jak igły cierni.

- Nie planujemy ekspedycji, ale tu nie zostaniemy.

- No, ja myślę - mruknął Ravilan. On także marszczył nos od smrodu dochodzącego z ogniska. - Ale twój brat... to znaczy drugi syn kapitana Korsina, uważa, że nie powinniśmy czekać z powrotem.

Yaru Korsin przystanął.

- To ja mam kody nadajników. I ja się muszę połączyć. - Podniósł wzrok na drugi, bardziej odległy słup dymu nad ich głowami. - A zrobię to, kiedy będzie bezpieczniej.

- Tak, naturalnie. Kiedy będzie bezpieczniej.

Dowódca nie chciał zabierać Devore'a na tę misję. Wiele lat temu odczuł ogromną ulgę, kiedy jego przyrodni brat porzucił karierę we flocie, przechodząc do górniczych służb Sithów.

Łatwiej było dochrapać się potęgi i bogactw, poszukując klejnotów i przesączonych Mocą kryształów. Sponsorowany przez ojca, Devore został specjalistą w wykorzystywaniu broni plazmowej i urządzeń skanujących. Niedawny konflikt z Jedi sprawił, że stał się bardzo potrzebny -

i wraz ze swoją ekipą został przydzielony do „Omenu”. Korsin zastanawiał się, komu nadepnął na odcisk, żeby na to zasłużyć. Powiedziano mu, że Devore oficjalnie jest jego podwładnym, ale to nie miało sensu. Nawet Lordowie Sithów nie byli na tyle potężni, żeby go opanować.

- Powinieneś być utrzymać nas na orbicie! - odezwał się ktoś.

- Nigdy nie byliśmy na orbicie! - odpowiedział drugi.

Korsin rozpoznał dochodzący zza pylistego wzniesienia głos swojego nawigatora, Marcoma. Drugi już znał.

Starzec usiłował przepchnąć się przez tłum, kiedy Korsin pędem wbiegł na szczyt wzgórza.

Górnicy Devore’a nie puszczali Boyle’a.

- Nie znasz się na mojej pracy! - krzyczał Boyle. - Robiłem, co mogłem! I nie zamierzam ci się tłumaczyć.

Jak tylko Korsin dotarł do polanki, tłum rzucił się do przodu, jakby wessany przez odpływ.

Słysząc było głośnie trzaski raz za razem.

- Nie! - wrzasnął Korsin.

Zobaczył najpierw miecz świetlny, który potoczył mu się do stóp, kiedy już przedarł się przez tłum. Stary sternik jego ojca leżał niedaleko z rozciętym brzuchem. Devore stał obok Seelah i Jariada, a jego miecz lśnił szkarłatem w wydłużających się cieniach.

- Nawigator zaatakował pierwszy - odezwała się Seelah.

- A co to za różnica? - Korsin przedarł się na środek, Mocą podnosząc z ziemi miecz świetlny. Devore nie cofnął się, uśmiechnięty kpiąco. Nie wyłączył miecza. Jego ciemne oczy lśniły dziko - znajomy widok. Drżał lekko, ale nie ze strachu - nie z takiego strachu, który Yaru Korsin mógłby poczuć. Dowódca wiedział, że to coś innego, znacznie bardziej niebezpiecznego. Opuścił

zgaszoną broń Marcoma emiterem w dół i potrząsnął nią lekko.

- To był twój nawigator, Devore! A co, jeśli mapy gwiazdne nie będą działać?

- Potrafię znaleźć drogę z powrotem - nadał się Devore.

- Będziesz musiał! - Korsin nagle zdał sobie sprawę z wielkości otaczającego go tłumu. W

kręgu stali górnicy w złotych uniformach, ale również załoga statku. Był też Sith o czerwonej twarzy - ale nie Ravilan, tylko jeden z jego zbirów. Wyglądał na niewzruszonego. - Nic to wam nie pomoże, nikomu z was.

Mamy tu czekać, aż będzie można bezpiecznie wrócić na statek. To wszystko.

Seelah wyprostowała się. Obecność tłumu popleczników dodała jej odwagi.

- A kiedy będzie bezpiecznie? Za kilka dni? Tygodni? - Jej dziecko zakwiliło. - Jak długo musimy wytrzymać... żebyś uznał, że już czas?

Korsin spojrzał na nią i odetchnął głęboko. Rzucił miecz Marcoma na ziemię.

- Powiedzcie Ravilanowi, że trzeba dołożyć na stos jeszcze jedno ciało - polecił, a kiedy niechętny tłum z ociąganiem rozstąpił się przed nim, dodał: - Wrócimy, kiedy powiem. Jeśli statek eksploduje albo przechyli się i wpadnie do oceanu, będziemy mieć prawdziwy problem. Musimy poczekać.

Świat zawirował. Korsin cofnął się na widok Gloyda, który wystąpił naprzód, nie spuszczać czujnego spojrzenia żółtych oczu z niezadowolonego tłumu. Przegapił całą zabawę.

- Witaj, dowódcu.

Nie patrzyli na siebie, obserwując zebranych Sithów.

- Tu naprawdę nie jest wesoło, Gloyd.

- Więc może zechcesz usłyszeć moją propozycję - zgrzytnął potężny Houk. - Według mnie, mamy trzy możliwości. Po pierwsze, zabieramy tych ludzi ze skały czymkolwiek, co lata. Po drugie, szukamy schronienia i ukrywamy się, aż ci tutaj się pozabijają.



- A trzecia możliwość?

Wymalowana twarz Gloyda się zmarszczyła.

- Nie ma trzeciej możliwości. Ale pomyślałem, że się ucieszycie, jeśli pomyślicie, że jest.

- Nienawidzę cię.

- Świetnie. Pewnego dnia będzie z ciebie prawdziwy Sith. - Korsin znał Gloyda od czasu swojego pierwszego przydziału. Houk był takim oficerem artylerzystą, o jakim mógł marzyć każdy sithański kapitan - bardziej zajętym własną robotą, niż pilnowaniem czyjejs. Gloyd zawsze był dość cwany, żeby sobie oszczędzić kłopotu. A może po prostu zanadto lubił rozwalać nieprzyjaciela, żeby z własnej woli opuścić stację taktyczną.

Co prawda teraz, kiedy ta stacja znajdowała się mniej więcej kilometr wyżej, Korsin nie miał pojęcia, jaki pożytek mógłby mieć ze starego sojusznika. Gloyd na szczęście ważył

przynajmniej o pięćdziesiąt kilo więcej niż inni z załogi, więc na pewno nikt im nie podskoczy, póki są razem.

A przynajmniej nikt nie spróbuje tego sam.

Korsin spojrział znowu na tłum po drugiej stronie placu. Pojawił się tam też Ravilan; stał z Devore'em, z Seelah i kilkoma młodszymi oficerami. Devore zauważył, że brat na niego patrzy, i odwrócił wzrok. Seelah rzuciła mu spojrzenie bez cienia zmieszania. Korsin zmełł w ustach przekleństwo.

- Gloyd, my tu umrzemy. Nie rozumiem ich!

- Ależ rozumiesz - odparł Gloyd. - Wiesz, jak to się mówi: „Ciebie i mnie obchodzi tylko robota”. Pozostałych Sithów obchodzi, co będzie dalej. - Houk wyrwał z ziemi łuskowaty korzeń i powąchał go. - Problem w tym, że wszystko polega na tym, co będzie dalej. Próbujesz utrzymać ich razem, kiedy tak naprawdę powinieneś pokazać im, że za tą skałą też coś jest. Nie ma czasu na przekonywanie ludzi. Wybierasz drogę, a kto nią nie pójdzie...

- Zepchniemy go? - Korsin wyszczerzył zęby. Właściwie

to nie było w jego stylu. Gloyd odpowiedział uśmiechem i zatopił zęby w korzeniu. Skrzywił się i przeprosił. Nie dadzą rady żyć owocami ziemi, a już na pewno nie tej ziemi.

Korsin odruchowo podniósł oczy w kierunku cienkiego pasemka dymu płynącego nad szczytem góry.

Na górę. Gloyd miał rację. To jedyna droga.

## **ROZDZIAŁ 3**

Massassi umierali na zboczu. Korsin wyruszył o świcie z trzema tragarzami, najzdrowszymi z Massassich, dzielącymi się jedynym pozostałym pojemnikiem powietrza. Nie starczyło go na długo, ich też nie. Cokolwiek czaiło się na tej planecie, nie chciało, aby Massassi też na niej istnieli, obojętnie, na górze czy na dole.

No i dobrze, pomyślał, pozostawiając ciała koloru krwi tam, gdzie upadły. Nie mógłby kierować Massassimi. Byli posłusznymi, łatwymi w prowadzeniu wojownikami, ale reagowali na siłę, a nie na słowa. Dobry kapitan Sith musiał umieć korzystać i z jednego, i z drugiego, ale Korsin bardziej skłaniał się ku perswazji. To wystarczyło do całkiem przyzwoitej kariery.

Ale tam w dole sytuacja jeszcze się pogorszy. Już teraz pogarszała się z każdą chwilą. W

nocy było zimno - zimniej, niż można się było spodziewać po tym klimacie, przypominającym klimat oceaniczny. Niektórzy z ciężej rannych zmarli z wychłodzenia lub z braku opieki medycznej.

Potem jakieś zwierzę - Gloyd opisał je jako sześcionogiego ssaka - wystawiło pysk z kopca i napoczęło jednego z rannych. Trzeba było aż pięciu wyczerpanych wartowników, żeby załatwić bestię. Jedna ze specjalistek górniczych Devore'a wrzuciła do ognia kawałek mięsa stworzenia i skosztowała. Już po chwili zwymiotowała krwią i umarła w ciągu kilku sekund. Korsin cieszył się, że tego nie widział.

Po tej historii ulga, że na planecie istnieje życie, nagle przestała być ulgą. Załoga „Omenu”

nie była dość liczna, aby doświadczalnie sprawdzić, co jest bezpieczne, a co nie. Musieli wracać do domu, niezależnie od stanu, w jakim znajdował się statek.

Korsin spozrywał w poranne niebo, po którym unosiły się kłęby cirrusów. Dymu nie było. Nie powiedział nikomu o istocie, która uderzyła w iluminator podczas lądowania. Co właściwie widział? Prawdopodobnie jeszcze jednego drapieżnika. Nie było sensu o tym mówić. Wszyscy bali się wystarczająco mocno, a strach prowadzi do wściekłości. Sithowie to rozumieli - i często wykorzystywali - ale niekontrolowany strach nawet im nie mógł wyjść na dobre. Słońce jeszcze nie zaszło, kiedy miecze świetlne poszły w ruch w sporze o zawartość pakietu żywności. Jeden Sith mniej. Nie minęło nawet dwadzieścia standardowych godzin od katastrofy, a już wszystko sprowadzało się do najbardziej przyziemnych spraw. Plemiennych waśni.

Czas minął.

„Omen” spoczywał na małym wgłębieniu nieco poniżej szczytu, po drugiej stronie. Przed nim rozpościerało się niebo i ocean. Kadłub zatrzymał się na zboczu w samą porę, a na jego powłoce nie została ani jedna gładka płaszczyzna. Widok statku roztrzaskanego na obcych skałach nawet wzruszył Korsina. Nawet jego przeciwnicy - niektórzy kapitanowie w Republice - z sentymentem traktowali swoje przydziały. Nie było to jednak w zwyczaju Sithów. „Omen” był

narzędziem, takim samym jak miotacz czy miecz świetlny. Używasz, a potem wyrzucasz.

Wprawdzie wytrzymałość statku uratowała mu życie, ale najpierw ich zdradził. A tego się nie wybacza.

Wciąż jednak mógł być pożyteczny. Już sam widok metalowej wieży tuż nad mostkiem rokował nadzieje. Odbiornik znajdzie boje nadprzestrzenne Republiki w jednej chwili i poda

Korsinowi współrzędne. A nadajnik statku powie Sithom, gdzie szukać „Omenu”, i - co ważniejsze - lignanów. Może nie zdążą dostarczyć ich na Kirrek, ale Sadów i tak będzie chciał je zabrać.

Ostrożnie stąpając po luźnych kamieniach w kierunku śluzy, Korsin starał się nie myśleć o tej drugiej możliwości. Jeśli bitwa o Kirrek zostanie przegrana z powodu katastrofy „Omenu”, Korsin umrze.

Ale umrze z przeświadczeniem, że wypełnił misję.

Na otwartej, drżącej dłoni Devore'a leżała otwarta fiolka.

Devore jakimś cudem pierwszy dotarł do „Omenu” i siedział teraz w fotelu dowódcy.

Właściwie „zwiślał” byłoby lepszym określeniem.

- Widzę, że twoja kabina jest nieuszkodzona - zauważył Korsin. Przypomniawszy sobie, jak Seelah zawróciła do kwatery po małego Jariada. Podczas pożaru zabierasz ze sobą to, co kochasz.

- Nie poszedłem tam - odparł Devore, pozwalając, by fiolka upadła na pokład obok fotela dowódcy. Leżał tam jeszcze drugi pojemnik, otoczony cząsteczkami błyszczącej przyprawy. Jest tu od jakiegoś czasu, domyślił się Korsin. Nagle obudziło się w nim niejasne podejrzenie, dlaczego w ogóle Devore zajął się górnictwem; z pewnością skróciło to jego karierę we flocie. - Nie poszedłem tam, to znaczy, nie od razu - powtórzył Devore, nieokreślonym gestem wskazując na sufit. -

Poszedłem zobaczyć matrycę nadajników.

- Konstrukcja wydaje się nienaruszona.

- Z zewnątrz może i tak. - Rozparty w fotelu dowódcy Devore przyglądał się tępo, jak jego brat przekracza połamane belki, aby dotrzeć do drabiny. Nad panelami sufitu Korsin zobaczył to, co musiał przedtem widzieć Devore - stopioną masę elektroniki, przysmażoną w miejscu, gdzie pękł

spaw powłoki w czasie opadania. Zewnętrzny nadajnik

ocalał, ale był już tylko atrapą.

Korsin zsunął się na dół, przedostał do panelu kontrolnego łączności i kilka razy nacisnął

przycisk. Nic. Westchnął. To samo było wszędzie, na całym mostku. Jeszcze raz włączył nadajnik i przekroczył kupę gruzu. „Omen” był martwy, Sithowie jednak już nieraz przeżywali śmierć, a wnętrzości „Omenu” wciąż zawierały dość części zamiennych, aby nadawały się do transplantacji.

Skierował wzrok w stronę korytarza. W warsztacie na pewno...

- Nie ma warsztatu. Poszedł razem ze zbrojownią. Eksplozja wyrzuciła w przestrzeń większość zapasów. - Devore, pokonany, ukrył twarz w dłoniach.

Korsin wcale nie czuł się pokonany.

- A co z dokiem lądowniczym? - Wprawdzie myśliwce były w locie, kiedy „Omen” nagle znikł, ale coś w doku mogło jeszcze się przydać.

- Zapomnij o tym, Yaru. Pokład został zmiażdżony podczas zderzenia. Nie mogłem się nawet tam dostać.

- No to potniemy statek pokład po pokładzie i wyprodukujemy części, których nam trzeba!

- A czym? Mieczami świetlnymi? - Devore wstał, zachwiał się i wsparł na podłokietniku. -

Jesteśmy skończeni! - Zakasłał, a kaszel przerodził się w śmiech. Lignańskie kryształy dawały Sithom potęgę... ale niestety nie aż taką, żeby uruchomić boję ratunkową, odbiornik czy choćby atlas nieba. - Jesteśmy tutaj, Yaru. Zostaliśmy wyłączeni z akcji. Wyłączeni z wojny. Ze wszystkiego. Nie ma nas!

- Może ciebie nie ma.

Korsin wspiął się po drabinie na korytarz i zaczął przetrząsać szafki, szukając czegokolwiek, co mogłoby pomóc tym w dole. Niestety, „Omen” został wyposażony do misji w głębokiej przestrzeni, więc kwatermistrzostwo Sithów

oszczędzało. Żadnych przenośnych generatorów.

Jeszcze jedna szafa. Ciuchy. Przydadzą się dziś w nocy, ale przecież nie zostaną tu długo.

- Musimy zostać - odezwał się Devore, jakby czytając w myślach Korsina.

- Co?

- Musimy tu zostać - powtórzył Devore. Stojąc nieruchomo jak słupek w cieniu korytarza, ciągnął załamującym się głosem: - Minęły dwa dni. Nie rozumiesz? Minęły już dwa dni.

Korsin kontynuował poszukiwania. Przeszedł obok brata, zmierzając do zablokowanych drzwi.

- Minęły dwa dni, Yaru. Naga Sadów będzie myślał, że uciekliśmy - mówił dalej Devore. -

Że zabraliśmy lignańskie kryształki dla siebie!

- Będzie o to winił Saesa - odparł Korsin, przypominając sobie, że Naga Sadów nie wierzył

do końca upadłemu Jedi, który dowodził „Zwiastunem”. Prosił Korsina, by ten miał na niego oko i raportował. Gdyby więc doszło do tłumaczeń - jeśli w ogóle by doszło - Korsin zamierzał wyjaśnić, jak „Zwiastun” stracił kontrolę i uderzył w „Omen”. Przy odrobinie szczęścia Sadów dopadnie „Zwiastuna”...

Puścił kłamkę. Nie wiedział, co się stało ze „Zwiastunem” po kolizji, ale mógłby się założyć, że Sadów już go ma. A Saes, który został w uszkodzonym statku z zaledwie połową kryształów lignańskich i nie mógł dokończyć dostawy, pewnie już toczy negocjacje o własne życie, opowiadając, co wie o „Omenie”. Będzie śpiewał arie, jakich nie powstydzilby się Khil.

Spojrzał w głąb korytarza.

- Na Primus Goluud, na stacji... Rozmawiałeś z Sadowem, prawda?

Devore przestąpił z nogi na nogę.

- Dyskutowałem z nim o lignańskiej operacji.

- Nie rozmawialiście o niczym innym? Na przykład o tym, kto powinien dowodzić tą misją?

Devore zmierzył go przekrwionymi oczami. Znow to dzikie spojrzenie.

- A więc rozmawialiście o tym - naciskał Korsin, zdumiony własnym spokojem. - Co powiedziałeś, kiedy odmówił?

Czekał niecierpliwie. Wiedział, jak to zawsze jest z Devore'em. Sadów odrzucił

kandydaturę jego przyrodniego brata i Devore coś mu powiedział. Co? Nie żeby sobie pozwolił

obrazić Sadowa, Devore wciąż stał blisko niego tu, we wraku, i ciężko dyszał. Cóż, Sadów miał

podstawy, aby wątpić w lojalność Devore'a, i zastanawiać się, czy jego kryształ są bezpieczne.

Jedynym skarbem, jakim dysponował Korsin, była jego reputacja uczciwego gracza - ale teraz Sadów z pewnością się dowiedział, że Korsin nie jest absolutnym władcą na swoim statku. A skoro nie jest...

Devore drżącą dłonią chwycił nadlatujący ku niemu miecz świetlny. Ta sama broń, która zabiła Boyle'a Marcoma, znow zapłonęła w jego ręce.

- Co ci powiedziałem? - ryknął Korsin, zbliżając się bez strachu. - Żadnych gierek na moim statku!

Wstrząśnięty Devore rzucił się w stronę mostka. Korsin za nim.

- Jedynym sposobem, aby wyjść z tego cało, jest zachowanie absolutnej uczciwości, Devore! Sadów nie może sądzić, że zrobiliśmy to umyślnie! - Dotarł do drzwi. - Żadnych gierek na moim statku, powtarzam!

Korsin znalazł się w samym środku huraganu. Devore stał na fotelu dowódcy, unosząc wszystkie szczątki na mostku w powietrze, niczym jakieś bóstwo na szczycie góry. Korsin



przetoczył się po podłodze; kawałki transpastali przeorały mu twarz i powbijały się w mundur.

Dotarł do stanowiska Gloyda i skonstruował barykadę, zamykając się w kokonie Mocy przed atakiem. Devore był silny Mocą, jak cała ich rodzina - a teraz jeszcze funkcjonował na chemikaliach, których Korsin nawet nie znał.

Jakaś belka uderzyła o ścianę i „Omen” zadygotał. Jeszcze jedno uderzenie i mostek przechylił się w przód, a Devore spadł ze swojego fotela. Korsin nie pozwolił mu wstać. W chwili gdy głowa brata ukazała się za fotelem, Korsin Mocą wyrzucił go przez zrujnowany iluminator.

Musiał przenieść tę walkę na zewnątrz, zanim wszystko będzie stracone.

Ruszył w górę, korytarzem do służy, kipiąc ze złości. Walczyć z nafaszerowanym przyprawą przeciwnikiem na rozkołysanej, śmiertelnej pułapce? Chyba mu odbiło! Ze służy można było teraz jedynie wyskoczyć. Wylądował, stojąc, ale but ugrzązł mu w miękkiej ziemi, wykręcając mu kostkę. Przewrócił się i potoczył po pokrytym żwirem zboczu. Przygryzając wargę, usiłował wspiąć się znad przepaści z powrotem w kierunku zmiażdżonego dziobu „Omenu”. Poczł nad sobą cień. Zapalił miecz świetlny...

I nagle to zobaczył. A to zobaczyło jego. Kolejna skrzydlata istota wznosiła się wysoko nad najbliższą granią, krążąc i obserwując. Obserwując jego. Korsin zamrugał, strząsając piasek z rzęs, ale stworzenie już wystrzeliło w górę. Było takie samo jak to, z którym się zderzyli, spadając... no, prawie takie samo. A różnica...

Luuup! Korsin poczuł, że coś uniosło go w powietrze i zanim zdołał się zorientować, co się dzieje, wylądował na wraku „Omenu”. W jego polu widzenia pojawił się Devore. Kamyczki toczyły się przed nim, jakby popychane przez magnes. Korsin, przyparty do zniszczonego pancerza, usiłował wstać. Z twarzy Devore’a znikło podobieństwo do ojca, zastąpiła je tępa

obojętność.

- Skończone, Yaru - rzekł, unosząc wysoko miecz świetlny. - Powinniśmy byli załatwić to wcześniej. To już zdecydowane. Dowódca Korsin to ja.

Zdecydowane? Słowo przeszło umysł Yaru Korsina w tej samej chwili, gdy ostrze miecza przecięło powietrze przy jego uchu. Dowódca podniósł broń, aby sparować następny cios - a potem następny i jeszcze jeden. Devore walił mieczem jak młotem. Żadnego stylu, czysta furia. Korsin zrozumiał, że nie ma dokąd uciekać, może jedynie przesuwać się wzdłuż burty statku, cofając się ku lewoburtowym wyrzutniom torped. Trzy klapy otworzyły się podczas spadania, czwarta...

Korsin zauważył skrzynkę sterującą, dokładnie taką samą jak te, które uruchamiał w trakcie lotu. Sięgnął ku niej poprzez Moc i się schylił. Kołek odpalający ożył, wyskoczył i uderzył

Devore'a w prawe ramię. Klapa torpedy próbowała się otworzyć, ale była przyciśnięta do ziemi, więc tylko wbiła się mocniej w glebę, wyrzucając w górę strumień kamieni. „Omen” zadygotał i znów przechylił się do przodu, a Devore pośliznął się i zaczął zsuwać w kierunku krawędzi skarpy i oceanu.

Korsin potrzebował minuty, aby uwolnić się z uchwytu, który znalazł na pancerzu, i następnej, aby zobaczyć coś przez opadający pył. „Omen” wydał mu się niezbyt stabilny, więc ostrożnie odsunął się od niego, stąpając po zmiażdżonych łupkach. Dziób statku wbił się w ostrą jak brzytwa krawędź szczytu, dosłownie o kilka metrów od krawędzi.

Przed nim, częściowo zakopany w gruzie, leżał jego brat. Żółty mundur był w strzępach, ramię krwawiło. Devore wiał się, usiłując wstać. Próbował uklęknąć i zrzucić z siebie kamienie, ale zaraz upadł znowu.

Wciąż jednak miał w ręku miecz świetlny. Jak mógł trzymać go tak kurczowo, kiedy cały świat się zapadał? Korsin nie mógł tego pojąć. Sam przypiął miecz świetlny do pasa.

- Yaru? - odezwał się Devore. Zabrzmiało to jak szloch.

- Yaru... ja nic nie widzę...

Twarz miał pokrytą łzami, ale nietkniętą. Nagle miecz świetlny wypadł mu z ręki i odtoczył

się na bok, na skraj klifu. Po chwili przeważył przez krawędź i spadł, odsłaniając na dłoni Devore'a ciemnoróżową plamę. Czerwona furia. A więc to właśnie było w fiolkach, pomyślał Korsin. I właśnie to dało Devore'owi tę szaleńczą siłę, a teraz pozbawiło go jej.

Rana ramienia nie była ciężka. Korsin sprawdził to, podnosząc brata na nogi. Devore był

młody, jeśli zajmie się nim Seelah, może nawet przeżyje, oczywiście jeśli da radę obejść się bez przyprawy. Ale... co dalej? Co jeszcze nie zostało wypowiedziane do końca?

Zdecydowane? Akurat.

Pomocna dłoń zacisnęła się mocniej - i Yaru odwrócił brata tak, aby stał twarzą do zachodzącego nad oceanem słońca.

- Dokończę moją misję - rzekł, spoglądając przez krawędź skarpy w otchłań oceanu. - I będę chronił moich ludzi.

Puścił.

## ROZDZIAŁ 4

Była już prawie noc, kiedy Korsin pojawił się na ścieżce, którą dwukrotnie przebył, ciągnąc tym razem zaimprovizowane sianie, sklecone ze stołu z mesy. Wiózł na nich sterty termicznych koców i pozostałych pakietów żywnościowych; kilka razy musiał wręcz korzystać z Mocy, aby sprowadzić je w dół zbocza. Paski wbijały mu się w ramiona i kark, pozostawiając brzydkie ślady.

Zauważył, że zamiast jednego ogniska jest ich już kilka. Ucieszył się na ich widok.

A Ravilan zdawał się cieszyć, że go widzi, choć w pierwszej chwili wyglądał na zaskoczonego.

- Boja! Udało się?

- Sam wcisnąłem przycisk - oznajmił Korsin.

- I co?

- I czekamy.

Ravilan zmrużył oczy, usiłując coś dojrzeć przez mgiełkę dymu.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? Rozmawiałeś z kimś?

Korsin jednak pilnował już tylko rozładowania sań i rozdania ich zawartości niespokojnym członkom załogi. Ravilan zniżył głos.

- A gdzie są twoi Massassi?

Korsin nie podniósł wzroku.

- Wszyscy nie żyją. Nie sądzisz chyba, że chciałem to zrobić sam, prawda?

Szkarłatna twarz kwatermistrza pobladła lekko.

- Nie, oczywiście, że nie... dowódco. - Spojrzał na szczyt, rozplywający się w otaczającym mroku. - Może jeszcze ktoś powinien przyjrzeć się nadajnikowi. Moglibyśmy...

- Ravilan, jeśli chcesz iść na górę, proszę bardzo. Ale ja zabrałbym raczej brygadę z ciężkim sprzętem, bo jeśli nie podeprzemy czymś statku, następna osoba, która tam wejdzie, może się nim wybrać w ostatni lot. - Ułożył ostatni pakunek i wyprostował grzbiet. - A gdzie są twoi Massassi?

Ravilan wytrzeszczył oczy.

- Też wszyscy nie żyją.

Korsin wreszcie uwolnił się od kabli, których używał do ciągnięcia sań. Ognisko strzelało zapraszająco, więc czemu było mu tak zimno?

- Seelah... - zagadnął. - Gdzie Devore?

Spojrzał na nią chłodno. Seelah stała tyłem do ognia, a jej brudny złoty mundur lśnił w blasku płomieni.

- Gdzie jest Devore? - powtórzył.

- Poszedł na górę... - urwała. Nikomu nie wolno było opuszczać obozowiska. A wyraz oczu Yaru Korsina wcale jej się nie podobał.

Przycisnęła do siebie Jariada, który obudził się z płaczem.

Słowa zachęty skierowane do załogi brzmiały z początku tak, jak większość przemówień Korsina - ot, podsumowanie Rzeczy, o Których Wiedzą Wszyscy. Ale tym razem było inaczej, ponieważ okazało się, że o wielu rzeczach nikt nic nie wie, z nim samym włącznie. Zapewnienie, że Naga Sadow wciąż jest zainteresowany ich ładunkiem, zabrzmiało szczerze, a choć byli daleko od wszystkich znanych im miejsc, wierzyli, że jeśli Lord Sithów czegoś pragnie, zawsze to dostanie.

Nawet jeśli z niewielkim optymizmem zastanawiali się, jakie Sadow ma zamiary w stosunku do nich, Korsin wiedział, że spodoba im się świadomość, że ktoś gdzieś ich szuka.

I wcale nie musieli wiedzieć, jak długo to potrwa. Na to było za wcześnie. Sadowem Korsin zajmie się później. Na razie nie zamierzał myśleć, co będzie potem. Trzeba zastanowić się nad tym, co jest teraz.

Na koniec Korsin przemówił filozoficznie:

- Naszym przeznaczeniem było wylądować na tej skale... jesteście na to skazani. Zdaje się, że chwilowo jesteście też skazani na tę skalę - oświadczył. - Niech tak będzie? Jesteśmy Sithami, więc weźmy ją w posiadanie.

Spojrzał w stronę drugiego ogniska i zauważył, że Gloyd i kilku niedobitków z jego oddziału kulą się z zimna na wietrze. Gestem przywołał ich do głównego ogniska. To będzie jeszcze jedna ciężka noc, wiedział o tym, a zapasy, które przywiózł, wkrótce się skończą.

Nie mógł jednak przestać myśleć o czymś innym. O czymś, co widział tylko on: skrzydlata istota miała na grzbiecie jeźdźca.

Moc była z nimi.

Tuląc do siebie syna, Seelah patrzyła, jak krąg się rozpada. Sithowie szli zająć się swoimi sprawami; omijali Rivilana, szefa Massassich bez Massassich. Stał dumnie, demonstrując swoją przynależność do Czerwonych Sithów i do kilku ocalałych obcych. Yaru Korsin, triumfujący i pełen energii, rozmawiał z Gloydem, powierzając potężnemu obcemu swoje sekrety. Gloyd był

zbyt silny, aby go pokonać, i zbyt głupi, żeby zdradzić - a także nieczuły na Moc. Doskonały sojusznik.

Korsin odwrócił się od Houka i zauważył Seelah. Okiełzna tę nową ziemię, aż stanie się mu posłuszna, i nikt nie stanie mu na drodze. Uśmiechnął się.

Seelah spojrzała na niego zimno. Pomyślała o Devorze, o małym Jariadzie i podjęła błyskawiczną decyzję. Wezwała na pomoc cały swój gniew, całą nienawiść, całą wolę... i uśmiechnęła się także.

Devore nie doceniał Yaru Korsina. Seelah wiedziała, że cokolwiek się stanie, nie powtórzy jego błędu. Będzie grała na czas. A czasu mieli dużo.

# **ZRODZENI Z NIEBA**

## **ROZDZIAŁ 1**

5000 lat przed bitwą o Yavin

- Heretyczka!

- Ciebie też miło widzieć, mamó - odparła Adari. - Dzieci były grzeczne?

Drzwi jeszcze nie zamknęły się całkiem, kiedy młodsze dziecko, popchnięte przez Eulyn, znalazło się w ramionach Adari. Starszy syn wpadł do pokoju, omal jej nie przewracając. Pod atakiem czterech fioletowych ramion Adari z trudem przepchnęła się ku ścianie, szukając miejsca, gdzie mogłaby rzucić swój bagaż. Płócienna torba z hukiem upadła na drewnianą podłogę.

- Heretyczka! Twój wuj mówi, że tak cię właśnie nazywają - oznajmiła Eulyn. - Był tutaj...

on i sąsiad Wertram, krawiec.

I jego żona też, a ona nigdy nie wychodzi z chaty! Ośmioro ludzi przyszło tu dzisiaj!

- Cóż, lepiej nie wyglądam na zewnątrz - mruknęła Adari.

- Kolejni przyszli tu za mną.

Odgoniła chude starsze dziecko, próbując wyciągnąć swoje srebrzyste włosy z buzi młodszego. Krótkie włosy nie były modne wśród keshirskich kobiet, ale u Adari była to forma samoobrony. Dla jej młodszego potomka nigdy nie będą za krótkie.

- Nastawiłaś potrawkę?

- Potrawkę? - Eulyn pociągnęła ku sobie młodszego wnuka i ze zdumieniem stwierdziła, że Adari zmierza do kuchni. Skóra Eulyn przybrała głęboki fioletowy odcień, prawie tak



ciemny, jak u jej córki. - Naprawdę się martwisz o obiad? Nie masz pojęcia, co się tu dzieje, prawda?

- Mam przerwę obiadową. Pracowałam.

- Pracowałaś, akurat. Dobrze wiem, gdzie byłaś!

Adari zadrżała do glinianego kociołka, pełnego gotującej się mieszanki mięsa i warzyw, i westchnęła. Jej matka świetnie wiedziała, gdzie była córka. Wszyscy wiedzieli. Adari Vaal, kolekcjonerka kamieni i skał, młoda wdowa po dzielnym jeźdźcu uwaków, z którym wiązano wielkie nadzieje. Adari Vaal, wróg prawa i porządku, wiecznie nieobecna matka, demoralizująca dzieci innych ludzi. Dzisiaj był trzeci dzień przesłuchań przed Neshtovarem. Poszło tak samo gładko, jak dwa poprzednie.

- Co to za dźwięk? - zainteresowała się matka.

- Obrzucają dom kamieniami - odparła Adari, wracając z parującą miską, którą postawiła na stole. Cofnęła się, otwierając szeroko drzwi, a kilka darów miejscowej społeczności wpadło za próg. Szybko zatrzęsnęła drzwi. Jej wzrok przyciągnął kamień koloru pieprzu, który potoczył się pod pustą kołyskę. Sięgnęła po niego muskularnym, podrapanym ramieniem. - O, jaki ładny -

mruknęła. - Chyba nie stąd.

Widać przyciągała ludzi zewsząd. Będzie musiała się później rozejrzeć. Po co komu ekspedycje, kiedy rozwścieczony tłum sam znosi ci próbki?

Uklękła i włożyła znaleźisko do torby, już pełnej po brzegi kamieni różnych kształtów i barw. Łomot nad jej głową narastał. Młodsze dziecko zaczęło płakać. Ogromne, ciemne oczy Eulyn stały się jeszcze większe z przerażenia.

- Adari, posłuchaj! - zawołała. - Rzucają kamienie już na dach!

- Nie, to grzmoty.

- To jest dowód, ot co! Zrodzeni z Nieba cię przekleli!

- Nie, mamu, to dowód, że mnie chronią - odparła Adari,

jedząc na stojąco. - Jeśli zacznie padać, tłum nie będzie mógł podpalić domu.

Coś takiego nie powinno się zdarzyć - wdowa po Neshtovarze była pod ochroną, więc raczej jej nie zabiją w czasie zamieszek. Jednak nie zaszkodzi uprzykrzyć jej życie, a ponieważ zgrzeszyła przed samymi Neshtovari, nikt ich nie powstrzyma. Właściwie takie małe demonstracje całkiem dobrze wpływają na porządek publiczny.

Adari wytknęła głowę na tylne podwórze. Nie było tam kamieni, jedynie uvak, który robił

to, co zwykle - to znaczy zajmował miejsce i śmierdział. Szmaragdowe, gadzie oczy otwały się tylko na chwilę, żeby brzydko na nią spojrzeć. Skórzaste skrzydła poruszyły się, szorując po ścianach zagrody. Zwierzęciu nie przeszkadzał chłodny deszcz, ale hałasy z ulicy zakłóciły jego królewski odpoczynek.

Uvaki bez jeźdźców były gnuśne i uparte, ale Nink nie lubił nosić jeźdźców. Adari nie cierpiała go, ale dostała go razem z domem. Cóż, w pewnym sensie to dom należał do niego.

W dawnych czasach, kiedy jakiś Neshtovari - jeździec uvaków - umierał, społeczność zabijała całą jego rodzinę. Takie praktyki na szczęście minęły; przypuszczalnie był to jedyny raz, kiedy Neshtovari pozwolili, aby pragmatyzm pokonał tradycję. Uvaki były cenne, humorzaste i bardzo przywiązane do swoich jeźdźców. Zamieszkanie z rodziną zmarłego jeźdźca często pozwalało im pozostać przy zdrowych zmysłach, dzięki czemu nadawały się na rynek hodowlany.

Adari pomyślała, że lepiej nie wspominać, jak trudno jest wychować samego Neshtovari. Jeźdźcy nie znali życia towarzyskiego, skoro ciągle groziła im śmierć. Od czasu tamtej zmiany jeźdźcy uvaków stali się jednak bardzo poszukiwanymi partnerami w społeczności Keshirich.

Adari wcale nie poszukiwała Zhari Vaala. Interesowały

ją kamienie, a Zhari dorównywał im elokwencją. W ciągu dziewięciu lat obdarzył ją dwójką niezbyt bystrych dzieci - Adari uważała, że to określenie mniej brutalne, wynikające z macierzyńskiej pobłażliwości. Kochała je, owszem, ale nie zanosilo się na to, że kiedyś staną się miłsze czy bystrzejsze niż ich ojciec. Głupota uległa rozmnożeniu. Ona też była głupia, że nie uciekła, a on... cóż, on był Zhari Vaalem. „Dzielny młody jeździec Neshtovari, w którym pokładano takie nadzieje” - tak brzmiała żałobna przemowa, kiedy skrzywdził Ninka o jeden raz za dużo. Pewnego dnia zwierzę wyniosło Zhariego daleko nad morze i po prostu bezceremonialnie go zrzuciło. Adari była pewna, że widziała satysfakcję w zielonych oczach bestii, gdy ta wróciła do domu. Przedtem jakoś nigdy nie dogadywała się z Ninkiem, ale teraz przynajmniej go szanowała. Jeśli chodzi o Zhariego, uvak miał więcej rozumu niż ona.

Wiedziała, że to nie tylko jej wina. Związek stanowił rezultat wielu lat starań ze strony Eulyn, aby zapewnić pozycję jej rodzinie. Jeźdźcami zostawali tylko mężczyźni, ale dobytek przechodził z pokolenia na pokolenie po kądzieli, dlatego też sąsiedzi mieszkali wciąż w chatkach z powiązanych pędów hejarbo, a Adari i jej matka miały uvaka i mieszkały w drewnianej chacie.

Eulyn była zachwycona, a Adari chętnie pozwoliła, by zajęła się także dziećmi. Adari już spełniła swój obowiązek, Keshirim przybyło jedno pokolenie. Teraz mogła skupić się na czymś ważniejszym.

O ile jej pozwolą.

- Muszę wracać - oznajmiła, przerywając młodszemu synowi zabawę, polegającą na psuciu zastawy. Popołudniowe przesłuchanie trwało długo, a jeszcze czekała ją bezprecedensowa sesja wieczorna.

- Podejrzewałam, że zrobisz coś takiego - odezwała się Eulyn, wbijając wzrok w plecy córki. - Zawsze wiedziałam, że to całe babranie się w kurzu nie przyniesie niczego dobrego. A

jeszcze spieranie się z Neshtovarem! Dlaczego zawsze musisz mieć rację?

- Nie wiem, mamó, ale nic na to nie poradzę - odparła Adari, podając jej ociekającego malucha. Na jej tunice pozostała plama, ale nie miała czasu na przebranie się. - Postaraj się, żeby Tona i Finn tej nocy naprawdę spali. Wróć.

Ostrożnie otwarła drzwi i stwierdziła, że deszcz przepędził tłum. Na Kesh wygodą była ważniejsza niż wierzenia. Pozostały jednak kamienie, dziesiątki złośliwych, małych dowodów, rozrzuconych po całym podwórzu. Jeśli przesłuchania potrwają dłużej, nie będzie musiała przez cały sezon wychodzić na wykopaliska - wszystko, co jest jej potrzebne, znajdzie przed własnym progiem. Może powinna obrażać Zrodzonych z Nieba co rok.

- Mówiliśmy o ognistych kamieniach - przypomniała Adari przywódcy Neshtovarich.

- To ty mówiłaś - odparł Izri Dazh. - Ja nie uznaję takiej nazwy.

Sędziwy jeździec i wysoki radca kuśtykał wokół Odwiecznego Kręgu, placu, na którym wysoka kolumna służyła za potężny zegar słoneczny. Adari rozejrzała się. Kolejny wspaniały wieczór w miejscu, które nie znało innej pogody. Było jak co dnia w głębi kontynentu - krótki, zdecydowany deszcz popołudniowy, a potem zimny wiatr, który wiał przez całą noc. Dzisiaj jednak pół miasta zrezygnowało z innych rozrywek, aby obserwować, jak łysy, bezkrwisty mężczyzna znęca się nad młodą kobietą.

- Nie ma czegoś takiego jak ogniste kamienie - powtórzył, wskazując dwie szkarłatne bryłki na postumencie obok centralnej kolumny. - Widzę tu tylko normalne kamienie z Kesh, jakie można znaleźć na każdym zboczu.

Adari odchrząknęła.

- Masz coś do powiedzenia?

- Niekoniecznie. - Ze swojego siedziska na piaszczystym

placyku powiodła wzrokiem po gniewnych twarzach słuchaczy. I po co to? I tak nikt nie będzie słuchał. Dlaczego pogarszać sprawę...

Spojrzała znowu na Izriego. Ten lawendowy upiór był twórcą legendy Zhariego. Co on w ogóle wiedział? Jaki interes mieli Neshtovari w dyktowaniu wszystkim, co mają myśleć, tylko po to, żeby kilka leniwych zwierząt pozwoliło im się czasem przejechać na swoich grzbietach?

No dobrze, pomyślała, wstając. O dwa kamienie mniej do rzucania. Wzięła jeden z kamieni z postumentu.

- Zebrałam... to znaczy naukowcy z Kesh zebrali kamienie z każdej części kontynentu.

Opisaliśmy nasze znaleziska. Porównaliśmy. Ten kamień pochodzi z podnóża Wieży Sessał, na południowym wybrzeżu.

Tłum zamruczał. Wszyscy znali dymiącą Wieżę, płonąca od zawsze na skraju cywilizacji.

Ktoś musiał zwariować, żeby pójść tam zbierać kamienie!

- Wieża stworzyła ten kamień z płomieni, które ma wewnątrz. A ten - dodała Adari, biorąc drugi kamień - znaleziono blisko, tuż za miastem, zagrzebany w łożysku rzeki.

- Kamienie były identyczne. - Góry, które otaczają nasz płaskowyż, nie są dymnikami, które my nazywamy wulkanami, a przynajmniej nie dziś. Ten kamień jednak sugeruje, że kiedyś mogły być. Właściwie cały ten kontynent mógł być przez nie stworzony.

- Heretyczka!

- Czy jest tu moja matka? - Adari wyciągnęła szyję, rozglądając się w tłumie. Ktoś zachichotał.

Izri wziął od niej kamienie i z szelestem szat ruszył w stronę tłumu.

- A więc mówisz, że te kamienie pochodzą... z dołu - rzekł, ostrożnie wypowiadając straszliwe słowo. - I że stworzyły wszystko, czym jest Kesh, tak? Ale dobrze wiesz, że wszystko,

czym jest Kesh, pochodzi od Zrodzonych z Nieba - zawołał, dźgając łaską w jej kierunku. - Nic nie może się samo urodzić na Kesh!

Wiedziała o tym jak każde dziecko. Zrodzeni z Nieba to ogromne istoty tam w górze, najbliższe na Kesh pojęciu bóstw. Cóż, było jeszcze coś więcej. Neshtovari, jako samozwańczy Synowie Zrodzonych z Nieba, mogli równie dobrze być samymi Zrodzonymi, to nie miało wpływu na życie na Kesh. Wiara Keshiri była specyficzna - co wysokie, uważano za potężne. Wyniesieni byli otaczani szacunkiem. Grupa jeźdźców uvaków Izriego, wiele lat temu, sprowadziła z wyniosłych nadoceanicznych szczytów mądrości o wielkiej bitwie stworzenia. Dosiadając ogromnych kryształowych uvaków, Zrodzeni z Nieba walczyli wśród gwiazd z Drugą Stroną. Bitwa toczyła się przez całe eony, Druga Strona zdążyła zranić Zrodzonych z Nieba, zanim została pokonana. Krople krwi Zrodzonych upadły na wzburzone, czarne fale i powstała z nich ziemia, która zrodziła lud Keshiri.

Adari zastanawiała się nad biologią tej gigantycznej rasy o krwi z piasku - to prawda, w wersji Neshtovari było coś, co dawało do myślenia. Nieliczne mapy ziemi Keshiri wyglądały tak, jakby dziecko coś na nie rozlało. Długie, górzyste półwyspy rozlażyły się na wszystkie strony ze skupiska płaskowyżów, tworząc ogromne, nieraz nieprzebyte linie wybrzeża i fiordy, które pozwalały od zawsze Keshiri wykorzystywać morskie życie. W górę licznych rzek, na płaskowyżach, farmerzy czerpali jeszcze więcej z żyznej ziemi. Keshiri byli liczny i dobrze odżywionym ludem.

Jeśli chodzi o Drugą Stronę, Adari stwierdziła, że Neshtovari wykazywali karygodny wręcz brak zainteresowania. „To, co walczyły ze Zrodzonymi z Nieba” - kiedy akurat nie przyjmowało postaci śmiertelnej, zgodnie z pomysłami gawędziarzy - oznaczało śmierć, chorobę, ogień, bunt...

bez szczególnej hierarchii. Druga Strona pochodziła „z

dołu” i był to kolejny element pionowej wiary. I to już chyba wszystko. Biorąc pod uwagę poświęcenie starszych dla Zrodzonych z Nieba, Adari była zdumiona, że nie rozbili w drobny pył tego, czym lub kim była Druga Strona. No, ale gdyby to zrobili, pewnie po prostu znaleźliby dla niej lepszą nazwę.

I tak nie przeszkadzało to Izriemu nieustannie się powoływać na Drugą Stronę, kiedy ją atakował.

- Twoje słowa gloryfikują Drugą Stronę, Adari Vaal, dlatego tu jesteś. Wezwaliśmy cię za głoszenie...

- Uczenie!

- ...za opowiadanie tych kłamstw o Wielkiej Bitwie twoim akolitom.

- Akolitom? To są uczniowie! - Rozejrzała się w tłumie, szukając znajomych twarzy. Jej uczniowie dyskretnie zniknęli, zanim sprawy przybrały groźniejszy obrót, ale przyszli rodzice niektórych. - Ty, Ori Garran, wysłałeś swojego syna do uczonych, ponieważ nie nadawał się do niczego w młynie. I Wertram, twoją córkę. I wy wszyscy tutaj w Tahv... czy myślicie, że całe miasto wpadnie do dziury, bo opowiadałam waszym dzieciom o kamieniach?

- Bardzo możliwe! - Izri chwycił laskę z miejsca obok piedestału i potrząsnął nią. - Ta ziemia była częścią żywych, Zrodzonych z Nieba. Czy myślisz, że oni cię nie słyszą? Kiedy ziemia się trzęsie, kiedy dymniki płoną, wtedy działają zgodnie z ich życzeniem. Życzeniem, abyśmy ich czcili i nienawidzili Drugiej Strony!

No tak, znowu to samo.

- Wiem, że ty tak uważasz - odrzekła Adari, starając się mówić powoli i łagodnie. - Nie twierdzę, że wiem, jakie siły rządzą światem...

- To chyba jasne!

- ...ale gdyby gniewne słowa sprawiały, że świat się zatrząsie, Kesh dygotałby za każdym razem, kiedy kłóci się mąż

z żoną! - Odetchnęła głęboko. - Zrodzeni z Nieba mają z pewnością ważniejsze zajęcia, niż pilnować naszych drobnych sporów, Wiem, że tak jest.

Milczenie. Adari rozejrzała się dokoła. Ciemne oczy wszystkich Keshiri, do tej pory wlepione w nią, teraz skierowały się w dół lub na boki. Tym razem kilkoro przekonała. Może nie tyłu, żeby pozwolili jej zachować pracę, ale dość, aby mogła nadal zbierać...

Nagle coś łupnęło.

Fioletowe twarze zwróciły się na zachód, w kierunku Gór Cetajan. Tkwiący w oceanie masyw obdarowywał dziś miasto Tahv jednym z najpiękniejszych zachodów słońca... ale teraz płomienie buchały z samego szczytu góry. Z jej wierzchołka unosił się słup ognistego popiołu.

To nie miało sensu. Adari pomogła wstać Izriemu.

- To... to przecież granitowy szczyt - powiedziała do wtóru cichnącemu echu. - Nie jest wulkaniczny!

- Teraz już jest!



## **ROZDZIAŁ 2**

Skąła była czymś zwyczajnym, ale, jak powiedział jej dziadek: „Po zwyczajnych rzeczach poznajemy świat”. Adari nigdy nie czuła wstydu, że spędza tak wiele godzin na przeszukiwaniu łożysk strumieni ani że bardziej interesowały ją szczątki rozbitego kamienia niż pierwsze słowa jej dzieci. Ona nauczała dzieci... ale to kamienie ją uczyły.

Dzięki zwykłym kamieniom, zobaczyła więcej świata niż kiedykolwiek przedtem - z wysoka, przyklejona do szerokiego grzbietu Ninka. Była to niezwykła pozycja dla obojga, ale spędzała w niej większość nocy i część dnia. Jej pierwszy lot na uvaku. I to nie z wyboru.

Po eksplozji na górze nie było tak źle, pomyślała. Świadkowie przesłuchania uciekli do domów, a ona zrobiła to samo, jak tylko Dazh i jego współtowarzysze się wynieśli, mamrocząc coś o znakach i omenach.

Następnego ranka jednak nastrój w mieście uległ zmianie. Odległy szczyt Cetajan wciąż dymił, ale już było wiadomo, że nie stanowi zagrożenia ani dla Tahv, ani dla osad położonych dalej na wododziale. Wszyscy więc uznali, że mogą bezpiecznie się przejść pod frontowe drzwi Adari i dać wyraz swoim uczuciom na temat jej bluźnierczych słów i dymów na horyzoncie, które spowodowały. Zrodzeni z Nieba najwyraźniej słuchali. Jaki jeszcze dowód jest potrzebny? Jeśli Keshiri nie potrafili uciszyć Adari Vaal, mogli ją przynajmniej przekrzyczeć.

Doprawdy, bardzo dobrze im to wychodziło, więc Adari wysłała Eulyn i dzieci, aby schroniły się w domu jej wuja.

Rosnący tłum, wciąż obrzucający dom kamieniami, rozstąpił się, aby przepuścić trójkę niewinnych. Wszyscy jednak pozostali na miejscu, pomimo popołudniowego deszczu, a o zachodzie słońca pojawili się sami Neshtovari, z uvakami bezpiecznie uwiązanymi z dala od ciżby. Zanim Izri Dazh dokuśtykał po schodach, aby zastukać do jej drzwi, Adari dostrzegła pierwsze zapalone pochodnie.

Miała tego dość. Pochodnie mogły być potrzebne do oświetlenia - albo do czegoś znacznie gorszego. Jak widać, skończyła się ochrona, jaką cieszyła się jako wdowa po jeźdźcu uvaków.

Keshiri nie byli ludem skłonny do przemocy, ale nie mieli też specjalnych pomysłów co do charakteru sankcji karnych. Adari uznała jednak, że ten tłum nie zamierza jej wygnać ze wsi, więc w desperacji ruszyła na tyły domu, gdzie znajdowała się najmniej lubiana część jej spuścizny po mężu: Nink.

Kiedy wleciała na nim ponad dachem, zaskoczyła ludzi na podwórzu niemal tak samo, jak ją zaskoczyło powodzenie manewru. Uvak był najbardziej zaskoczony ze wszystkich. Po śmierci swojego jeźdźca Nink mógł się spodziewać, że nikt go już nigdy nie dosiądzie. Uvaki rzadko znajdowały nowych jeźdźców, więc szybko przekazywano je do rozrodu. A kiedy Nink obudził się, czując, jak Adari wspina się na jego masywny grzbiet, mógł zrobić wszystko i polecieć wszędzie.

Poleciał do góry.

Resztę nocy spędziła, na przemian wrzeszcząc i uciekając przed pościgiem latających Neshtovari. Udało jej się, a ten sukces zawdzięczała głównie temu, że Nink upierał się, aby wylecieć daleko nad ocean. Były to najgorsze chwile dla Adari, która знаła dawne wyczyny zwierzęcia. Na szczęście uvak, może z ciekawości, powstrzymał się przed wysłaniem jej do tego samego grobu co Zhariego.

Tuż przed świtem Nink znalazł wreszcie niewielką półkę

na zwróconym ku morzu zboczcu góry i Adari padła ze zmęczenia, jak tylko się z niego zsunęła. A gdy się obudziła, ze zdumieniem stwierdziła, że uvak wciąż tam jest, napychając dziób skąpym listowiem. Zdaje się, że Ninkowi dom już nie wydawał się tak atrakcyjny.

Teraz, w drugim dniu po eksplozji, Adari zauważyła, że nocna ucieczka na osłep zaprowadziła ich w pobliże źródła niepokoju. Góry Cetajan były zębatym łańcuchem olbrzymów, wyciętym ze stałego łądu - zajmowały znaczną część horyzontu, kiedy patrzyło się z głębi wybrzeża, i były wyjątkowo niedostępne. Ekspedycja łowców kamieni przyniosła Adari niewiele informacji o tym miejscu - a i to dzięki pomocy współczujących ochotników Neshtovari, którzy zechcieli polecieć tam jeszcze raz po próbki. Widząc teraz przed sobą tę górę, Adari poczuła, że ogarnia ją przemożna chęć, aby sprawdzić osobiście, jak to wygląda. Jeśli okaże się, że to nie był

wybuch wulkanu, mogło to naprawić stosunki między nią i społecznością. A jeśli góra nagle zmieniła się w wulkan... cóż, to by też było interesujące. Jaki proces mógł to spowodować?

A może uczeni mylili się co do pochodzenia łańcucha? Może któryś jeździec uvaków pomylił próbki?

Prawdopodobnie tak było. Gniew Adari narastał wraz z wysokością lotu Ninka. Uvak bezpiecznie przeleciał nad łańcuchem, szykując się do podejścia od strony oceanu. Byłoby to paradoksalne, myślała Adari, gdyby jedyny projekt, jaki uczeni powierzyli Neshtovari, przyniósł

błędne informacje. Próbki z Gór Cetajan, akurat, pomyślała. Ten idiota zapewne przyniósł kamienie z własnej ścieżki przed domem! Zadrżała i to nie tylko z powodu zimnego powietrza. Dlaczego właśnie ona miała cierpieć za ich głupotę?

Nagle w polu widzenia pojawiło się źródło dymu. Adari omal nie spadła z Ninka. Prawie spodziewała się zobaczyć

otwarty krater, parujący jak dymiarki widziane na południu. Tymczasem zamiast krateru, we wgłębieniu góry od strony morza tkwiło coś w rodzaju ogromnej muszli.

Właśnie to słowo przyszło jej na myśl, chociaż skala była całkiem niewłaściwa: ostre, pofałdowane formy przypominały starożytne konchy, które wyrzucało morze. Ale ta muszla miała wielkość Odwiecznego Kręgu!

W dodatku dymiała - dym wydobywał się z licznych pęknięć. Potężne bruzdy, wryte przez kadłub w kształcie muszli, świadczyły, że przedmiot uderzył pod kątem z góry. Ogień wewnątrz już prawie przygasł, ale ilość stopionej magmy dowodziła, że przedtem był silniejszy. Eksplozja, która spowodowała pióropusz dymu widoczny z dużej odległości, musiała nastąpić w chwili lądowania, pomyślała Adari.

Lądowania?

Zanim zdążyła się nad tym zastanowić, jej oko pochwyciło jakiś ruch. Jedna ze szczelin w muszli wypłuła jakiś kształt, który uderzył w żwir poniżej i znikł w fontannie pyłu. Trąciła uvaka, by podleciał bliżej. W kurzu widać było czerwony promień, a na jego końcu...

...człowieka.

Człowiek spojrzał w górę, prosto na nią. Miał białą twarz, bledszą niż u najbardziej chorych Keshiri, jakich widziała. A w lewej ręce trzymał snop jaskrawego światła długości laski Izriego.

Trzymał... a może była to część jego ręki? Adari spanikowała, a Nink zrobił to samo, odlatując w bok. Silny, ale bardzo przydatny wznoszący się prąd uniósł oboje w stronę morza.

Adari pokręciła głową i zamknęła oczy, czekając, aż Nink znajdzie spokojniejszy strumień powietrza. Co właściwie zobaczyła? To był człowiek, z całą pewnością. Włosy miał ciemniejsze niż u Keshirich, ale to czerwone światło... Czym ono było? A na gorze coś się jeszcze ruszało, zauważyła to

kątem oka. Może to muszla była czymś w rodzaju gniazda?

Przełknęła z trudem ślinę; gardło miała obolałe od wiatru na tej wysokości. To wszystko było jak senny koszmar. Zbieranie próbek, przesłuchania Neshtovari - jej poprzednie kłopoty nie mogły się równać z tym, co widziała. Otworzyła oczy i sprowadziła Ninka w dół, równoległe do skalistej plaży. Potężna muszla była zawieszona na stromej, nagiej skarpie, wysoko w górze. Tym razem Adari podleci z dołu, wznosząc się ostrożnie, aż uda jej się przyjrzeć bliżej.

Szybko jednak zrozumiała, że ten plan, choć rozsądny, nie nadawał się dla niewprawnego jeźdźca. Nink wyprężył się pod nią, wznosząc się spiralnym torem na szczyt, aż poczuła, że żołądek wywraca jej się na lewą stronę. Oszołomiona, starała się nie spuszczać wzroku ze szczytu klifu.

Postać tkwiła tam nadal, ale już bez czerwonego światła. Trzymała za to w ręku coś innego...

...coś, co ze świstem poleciało w dół, i to z taką szybkością, że Nink ze strachu skulił

skrzydła. Tym razem Adari naprawdę się zsunęła i poleciała do tyłu. Wymachując rękami, zdołała jeszcze chwycić szponiastą nogę uvaka i desperacko otoczyć ją ramionami.

- Nink! - wrzasnęła.

Usiłowała patrzeć w górę, ale Nink ruszył gwałtownie, odlatując jak najdalej od szczytu i jego dziwnych zjawisk, tak szybko, jak tylko mógł. Adari zauważyła, że Nink kieruje się do bezpiecznego schronienia, jakie zapewniła im niedawno półka na pobliskiej górze. Widocznie też miał już dość niespodzianek jak na jeden dzień.

Ona też. Ale przynajmniej już zaczynała się przyzwyczajać.

Albo tak jej się zdawało.

Zanim słońce opadło za zachodni ocean, Adari obserwowała ostatnie smużki dymu znikające ze szczytu. Nie liczyła na to, że zdoła nakłonić Ninka, aby znów tam podleciał,

zanim skończy jej się woda w bukłaku. Suszone buraki brekka też już się skończyły. Uciekała tak szybko, że nie zdążyła spakować swojego plecaka, który zawsze brała na wyprawy.

Teraz, siedząc na półce i obserwując zachód słońca, rysowała sobie na kolanie niewidzialny kontynent, zastanawiając się, jak daleko będzie musiała lecieć, aby trafić na osadę, gdzie nikt nie zna jej problemów. Chyba w ogóle nie było takiego miejsca. Neshtovari byli nie tylko strażnikami pokoju i prawodawcami; utrzymywali także system łączności, dzięki któremu rozczłonkowany Kesh był jednym światem. Jeźdźcy łącznicy już zapewne przekazali wieści z Tahv starszym jeźdźcom w każdej osadzie. Adari uciekła, ale wolność nie przyniosła jej wybawienia.

Wybawienie.

Słowo to doleciało do niej na wietrze. Odgadła znaczenie tej dziwnej, melodyjnej kombinacji sylab, a umysł rozpoznał znajome pojęcie: wybawienie.

Instynktownie obejrzała się za siebie, w stronę tajemniczego szczytu, pogrążonego w cieniu.

Wokół jego szerokiej podstawy mrugały światełka. Nie były to niekontrolowane pożary, które płonęły na szczycie góry. Te ognie ktoś rozpałił.

Adari skoczyła na równe nogi, upuszczając bukłak w przepaść. Neshtovari! Wyśledzili ją tutaj, rozbili obóz i o poranku ją odnajdą! Nie będą czekać, żeby się dowiedzieć, co zobaczyła na szczycie góry, nie teraz, kiedy powiększyła swoją winę, ośmielając się dosiąść Ninka.

Od góry w stronę morza powiał lekki wiatr. Chłodny, uspokajający. Przyniósł znów to samo słowo - wybawienie. A po nim odczytała nowy sens: Jesteśmy twoi, a ty jesteś nasza.

Adari ze zdumienia zamrugła, strząsając łzy z rzęs. Wiatr podniósł się znowu.

Chodź do nas - zdawał się mówić.

Nie powinna była tu przychodzić. Niebiosa tak jej

kazały, ale chyba nie takie wybawienie Adari chciała osiągnąć.

Zmarszczyła nos, czując niemiły odór. Szczelina była ciemna, ale widocznie spalono tu przedtem coś paskudnego. Nawet siarkowe szczeliny na południu nie cuchnęły aż tak. Zerknęła na Ninka, który ziewał w zagajniku i nie miał zamiaru zrobić ani kroku dalej. Mądre zwierzę.

Ognie były przed nią, widziała je przez drzewa za wzgórzem. Powietrze było przyjazne, kiedy się wspinała. Czymkolwiek podsycali ogniska, nie było to to samo, co spalili w szczelinie.

Adari zobaczyła ich na polance poniżej: tak, to byli ludzie. Co najmniej tylu, co na jej ostatnim przesłuchaniu; gromadzili się wokół licznych ognisk. Znów pomyślała o czających się na nią Neshtovari. W takim razie najlepiej chyba podejść pieszo. Idąc, wyteżyła słuch, aby rozróżnić głosy. Rozpoznała jeden z nich, ale nie słowa. Podpełzła bliżej...

...i całkiem straciła równowagę, uderzając głową w drzewo. Wymachując rękami, upadła bez tchu. Z ciemności wybiegły ku niej cienie postaci. Próbowwała się pozbierać i wtedy zobaczyła, że ich ciał nie oświetlały ogniska, tylko promienie purpurowej energii, wyrastające z ich rąk, tak jak widziała wcześniej. Potknęła się znów o korzeń, ale nie doleciała do ziemi.

Jakaś niewidzialna siła porwała ją, poniosła przez tłum postaci i posadziła brutalnie przed największym z ognisk. Podniosła się, stanęła tyłem do ognia i popatrzyła na zbliżające się sylwetki.

Tak, byli ludźmi, ale innymi niż ona. Nie mieli fioletowych twarzy, ale beżowe, brązowe, czerwone i jeszcze inne - wszystkie kolory, tylko nie te co trzeba. A niektóre twarze w ogóle wyglądały inaczej. Cienkie macki wiły się na czerwonych policzkach. Tłusty, pryszczaty osobnik, dwa razy większy od innych, o skórze podobnej do Ninka, stał za wszystkimi, wydając gardłowe dźwięki.

Adari wrzasnęła, ale nikt jej nie słuchał. Otaczali ją ściśle - mężczyźni, kobiety i potwory.

Wykrzykiwali jakieś bezsensowne słowa. Przycisnęła dłonie do uszu. Nie pomogło. Słowa wkręcały się prosto w jej mózg.

Odczuwała je jak ciosy sztyletów. Kiedy się zachwiała, obcy rzucili się ku niej wszyscy razem - popychali, uderzali, szukali. Obrazy błyskały w jej mózgu: widziała synów, dom, swój lud -

wszystko, czym była ona, czym był Kesh. Widziała też ich poruszające się usta, ale szum słów brzmiał teraz w jej głowie. Słowa, słowa bez znaczenia...

...które nagle zaczęły przynosić znajome wizje. Podobnie jak wcześniej wiatr, głosy były obce, ale czuła, jak wypowiadają racjonalne myśli.

Jesteś tutaj.

Są też inni. Są inni.

Sprowadź ich tutaj!

Zabierz nas tam!

Sprowadź ich tutaj!

Adari obróciła się razem z całą planetą. Tłum nad jej głową rozstał się, aby wpuścić kogoś nowego. Była to kobieta o ciemniejszej karnacji niż pozostali; trzymała dziecko mocno owinięte w czerwoną tkaninę. Matka, pomyślała Adari poprzez obcy hałas. Znak nadziei. Litości.

Sprowadź ich tutaj! Sprowadź ich tutaj! Sprowadź ich tutaj!

Adari krzyknęła. Wiła się, opierając niewidocznym szponom, które ją szarpały. Obcy wycofali się. Kobieta została. Adari wydawało się, że widzi żyłkowane skrzydła Ninka, który wzbił

się w górę i odleciał.

Na ramieniu matki nagle pojawiła się czyjaś dłoń, odciągając ją w tył. Szum w głowie Adari przycichł i wtedy



kogoś zobaczyła... czyżby Zhari Vaala?

Nie, to nie on, zdecydowała, kiedy wyteżyła zalane łzami oczy. To jeszcze jedna z tych dziwnych postaci, niewysoka i krzepka, jak jej mąż. Kiedyś wyobrażała sobie Zhariego na dnie morza i jego bladą twarz. Ten człowiek był jeszcze bledszy, ale czarna czupryna i brązowe oczy powodowały, że wyglądał na pewnego siebie i pociągającego. Widziała go wcześniej tam, na górze.

Słyszała go w szepcie wiatru.

- Korsin - powiedział głosem równie kojącym, jak głos jej dziadka. Gestem wskazał na siebie. - Nazywam się Korsin.

Ciemność zamknęła się nad nią.

### **ROZDZIAŁ 3**

Trzeciego dnia spędzonego wśród przybyszów Adari nauczyła się mówić.

Pierwszy dzień po przerażającym spotkaniu przespała, jeśli można tak określić gorączkowy, pełen koszmarów letarg, przerywany krótkimi napadami delirium. Wiele razy otwierała oczy tylko po to, żeby zamknąć je, jak tylko ujrzała pochylonych nad nią obcych.

Ci obcy opiekowali się nią, nie krzywdzili - zorientowała się dopiero drugiego ranka, kiedy obudziła się na twardej ziemi, ale pod cudownie miękkim kocem. Przybysze znaleźli dla niej osłonięte, suche miejsce; cały czas czuwało nad nią kilka nieruchomych postaci. Adari wypła wodę, którą jej podsunęli, ale to nie przywróciło jej głosu. W głowie wciąż jej dudniło, umysł miała jakby obolały od niedawnego ataku. Nie umiała przywołać w pamięci ani jednego słowa.

Zapomniała, jak się mówi.

Korsin siedział przy niej, gdy wreszcie sobie przypomniała. Wezwał Hestusa, brązowoskórą postać w masce okrywającej część pokrytej wypalonymi bliznami twarzy. Maską w dziwny sposób łączyła się ze skórą. Widząc to, Adari zadrżała ze strachu, ale Hestus nic nie zrobił; po prostu siedział spokojnie, słuchając, jak Korsin próbuje z nią rozmawiać.

No i rozmawiali, początkowo niezręcznie. Hestus czasem się wtrącał, aby powtórzyć nowe słowo w języku Keshirich, podając następnie odpowiednik we własnym języku. Adari była zachwycona. Słowa Keshiri, które wypowiadał Hestus, brzmiały dokładnie tak, jakby je sama wypowiadała - on

mówił jej głosem. Korsin wyjaśnił, że to specjalny słuch Hestusa i że ten jego talent pozwala na przyspieszenie wymiany informacji.

Adari była zainteresowana wymianą, ale większość informacji przechodziła w drugą stronę.

Zrozumiała, że ludzie, którymi dowodził Korsin, pochodzili ze srebrnej muszli, która w jakiś sposób spadła z nieba. Jasne było także, że choć są potężni, nie mają na razie sposobu, aby opuścić górę, bo są odizolowani przez wodę i nieprzyjazny ląd. Korsin z zainteresowaniem słuchał, kiedy opowiadała o Kesh i o Keshirich, o uvakach i osadach na kontynencie. Wspomniała Zrodzonych z Nieba tylko raz, bo powstrzymało ją zakłopotanie. Nie wiedziała, kim są przybysze, więc nie miała odwagi o tym wspomnieć.

Teraz, trzeciego dnia od jej przybycia, Adari rozmawiała już z przybyszami dość swobodnie - nawet poznała niektóre słowa w ich języku. Sami o sobie mówili „Sithowie”, ale Korsin był też „człowiekiem”. Powtarzała te słowa.

- Umiesz słuchać - powiedział wyraźnie zadowolony Korsin. Wyjaśnił, że kiedy spała, inni pracowali nad nią - nie powiedział jak - bo chcieli poprawić komunikację. Teraz już robili szybkie postępy i nie było to wyłącznie ich dzieło. Nawet w swoim oszołomieniu Adari zachowała bystry umysł.

- Naszym największym problemem, Adari Vaal - tłumaczył Korsin, wsypując do jej kubka zawartość błyszczącej torebki z proszkiem - jest teraz dotarcie w głąb lądu.

Tutaj dla jego ludzi nie było dość żywności ani schronienia, a zbocza góry od strony oceanu były nagie i strome. Jej uvak mógłby pomóc kogoś przenieść, ale Nink, przerażony obecnością przybyszów, tak samo jak dziką przyrodą wokół, ostatnie kilka dni spędził schowany wysoko i poza jej zasięgiem.

Popijając rosół - który, w przeciwieństwie do potrawki jej matki, był bardzo sycący - Adari zmagala się z tym

problemem. Nink pewnie by przyleciał na jej zawołanie, pod warunkiem że będzie stała zupełnie sama i na otwartej przestrzeni. Mógłby polecieć na ląd i wezwać pomoc.

- Nie będę mogła zabrać żadnych pasażerów - zaznaczyła. Nink nie pojawiłby się, gdyby miała towarzystwo, zresztą jeździec nowicjusz i tak nie mógł przewozić nikogo. - Muszę lecieć sama. Ale wrócę, jak tylko będę mogła.

- Ona nie wróci!

Adari poznała ten głos, zanim jeszcze podniosła wzrok. Matka małego dziecka energicznie wkroczyła w blask ogniska.

- Opuści nas! - dodała.

Korsin wstał i odprowadził kobietę na bok. Adari słyszała gorączkową wymianę zdań, ale słowa były jej całkowicie obce. Zanim odszedł, Korsin wypowiedział jednak słowa, które rozpoznała:

- My jesteśmy jej wybawieniem, a ona naszym.

Adari popatrzyła na kobietę, która z oddali wciąż mierzyła ją gniewnym wzrokiem.

- Ona mnie nie lubi.

- Seelah? - Korsin, który już wrócił, wzruszył ramionami. - Martwi się o swojego partnera, który zaginął na miejscu katastrofy. A że ma dziecko, bardzo chciałyby opuścić górę. - Uśmiechnął

się i wyciągnął dłoń, aby pomóc jej wstać. - Jako matka z pewnością to rozumiesz.

Adari przełknęła ślinę. Przecież nie wspominała o dzieciach. Zdała sobie sprawę, że od chwili, kiedy poznała przybyszów, prawie o nich nie myślała. Pokręciła głową pełna poczucia winy i wyznała, czego się obawia: że Keshiri mogą jej nie wysłuchać.

Korsin nie wydawał się zaskoczony ani wzburzony.

- Jesteś bystra, Adari. Skłonisz ich do słuchania. - Łagodnie okrył jej ramiona błękitnym kocem, pod którym spała. - Zatrzymaj to - rzekł. - Słońce wkrótce zajdzie. To może być

chłodna przejażdżka.

Adari rozejrzała się wokół. Seelah stała tam gdzie przedtem, kipiąc milczącym gniewem.

Pozostali, których Korsin jej przedstawił, nerwowo obserwowali przywódcę; Ravilan z czerwonymi mackami na policzkach zamieniał niespokojne spojrzenia z Hestusem. Nawet ogromny Gloyd, który pomimo zbirowatego wyglądu był chyba najlepszym sprzymierzeńcem Korsina, poruszył się niepewnie. Mimo to nikt nie zastąpił jej drogi, kiedy opuszczała obozowisko.

Na skraju kotliny zatrzymała ją jednak silna dłoń. Z zaskoczeniem stwierdziła, że to sam Korsin.

- Mówiłaś o Keshirich - zagadnął. - Opowiedziałaś o Tahv, twoim mieście... wydaje się duże. Ale ilu jest Keshirich? Chodzi mi o to, ilu ich jest w ogóle?

Odpowiedziała natychmiast:

- Jest nas bez liku.

- Rozumiem - odparł Korsin, a jego twarz nagle złagodniała. - Chodzi ci o to, że nigdy nie zostali policzeni.

- Nie - odparła. - Chodziło mi o to, że nie znamy takiej dużej liczby.

Korsin znieruchomiał z dłonią zaciśniętą na jej ramieniu. Jego ciemne oczy, nieco mniejsze niż oczy Keshirich, skoncentrowały się na dzikim krajobrazie. Nigdy nie widziała go tak zdenerwowanego. Stan ten trwał może sekundę, zanim ustąpił.

- Zanim odejdziesz - rzekł, rozglądając się za drzewem, o które mógłby się oprzeć -

opowiedz mi, co wiesz o Zrodzonych z Nieba.

Korsin nazwał statek, w którym przybyli, „Omenem”. Słowo to nie tylko istniało w języku Keshirich, ale od dawna było ulubionym słowem Neshtovari. Obserwując to, co działo się teraz na placu znanym jako Odwieczny Krag, Adari domyślała się, że dosiadający uvaków wodzowie zdawali sobie

sprawę z tej ironii losu.

Wróciła do Korsina już następnego dnia, dokładnie w tydzień potem, kiedy „Omen” zderzył

się z górą - i z jej własnym życiem. Nietrudno jej było ściągnąć jeźdźców uvaków - kiedy tylko patrole dostrzegły ją i Ninka, poleciały za nimi do Gór Cetajan. Miejsce to było ostatnio sceną wielu zdumiewających wydarzeń, ale żadne nie mogło się równać z chwilą, kiedy Neshtovari ujrzeni Adari, dumnie stojącą pośród dwustu czterdziestu otaczających ją gości, a każdy z nich sygnalizował swoją obecność jarzącym się, rubinowym mieczem świetlnym. Adari nie miała takiego urzędnika, ale jej twarz promieniała. Adari Vaal, zbieraczka kamieni i wróg porządku publicznego, stała się Adari Vaal, odkrywczynią i wybawicielką, która odpowiedziała na wezwanie góry.

Można by jeszcze dodać do tego prorokinię, pomyślała, obserwując, jak kilkudziesięciu gości - niektórzy jeszcze kulejąc po niedawnym wypadku - wchodzi do Odwiecznego Kręgu.

Przeszli pomiędzy milczącym tłumem zadziwionych Keshirich, z których wielu jeszcze tydzień temu widziała pod swoimi drzwiami. W głębi kręgu stali wszyscy Neshtovari z okolicy, więcej, niż ich kiedykolwiek widziała. Trzydniowa akcja ratunkowa sprowadziła przybyszów z góry, a przez te trzy dni wieść trafiła do najdalszych zakątków krainy: oto Zrodzeni z Nieba przybyli na Kesh.

Żadne inne wydarzenie nie mogłoby spowodować, że jeźdźcy pokornie zajęli miejsca nie pośrodku Odwiecznego Kręgu, lecz wzdłuż wzniesionego obwodu. Mieszkańcy niedawno obserwowali z tego miejsca przesłuchanie Adari, a teraz Neshtovari patrzyli, jak stoi z Korsinem pośrodku Kręgu. Za nimi podążali kolejni goście, tworząc własny, wewnętrzny krąg, przez który Neshtovari musieli wyciągać szyje, aby coś zobaczyć.

Izri Dazh wydawał się bardzo mały, kiedy tak stał pod

trzy razy wyższymi od siebie kolumnami, które służyły za gnomon zegara słonecznego. Pokuśtykał naprzód i powitał Korsina i jego towarzyszy ckliwą przemową pochwalną, po czym zwrócił się do widzów. Wspinając się na palce, aby coś zobaczyć przez rząd przybyszów, Izri dokonał oficjalnej deklaracji. Oto są Zrodzeni z Nieba; właśnie zstąpili z tej samej góry, z której ich słudzy przynieśli prawa wiele setek lat temu.

Adari wiedziała, że to nie ta sama góra, a teksty zostaną zapewne skorygowane później, ale na razie Izri jakby zapomniał o tym szczególe. Oświadczył, że goście udowodnili swoją tożsamość w sposób zadowalający Neshtovari.

- Nie wierzyłeś im, kiedy sprawili, że twoja laska zaczęła lewitować - przypomniała mu Adari, nie mogąc się powstrzymać.

- Ale to się skończyło, kiedy unieśli także mnie - wychrypiał Izri. Obejrzał się i stwierdził, że mieszkańcy wiwatują - nie na jego cześć, lecz by uczcić Yaru Korsina, Wielkiego Lorda Zrodzonych z Nieba, który właśnie przeskoczył odległość dzielącą go od szczytu kolumny.

Kiedy wiwaty wreszcie ucichły, Korsin przemówił słowami Keshirich, których jego towarzysza, szacowna Adari Vaal, Córa Zrodzonych z Nieba, nauczyła go dzisiaj rano.

- Przybyliśmy z góry, jak powiadacie - rzekł, a jego głęboki głos niósł się daleko. -

Przybyliśmy, aby odwiedzić ziemię, która była częścią nas, oraz lud tej ziemi. A Kesh nas przyjął.

Kolejne wiwaty.

- Zbudujemy świątynię na szczycie góry odkryć - ciągnął. - Będziemy tam pracowali przez wiele miesięcy, opiekując się statkiem, który nas tu przywiózł, i jednocząc się z niebiosami. Przez ten czas Tahv będzie naszym domem i domem naszych dzieci... z pomocą Neshtovari, którzy byli godnymi namiestnikami w czasie naszej nieobecności. Dzisiaj odlecą do wszystkich zakątków Kesh, aby ponieść nowinę o

naszym przybyciu i znaleźć rzemieślników, którzy nam będą potrzebni.

- Musiał przekrzykiwać gorący aplauz. - Jesteśmy Zrodzeni z Nieba i wrócimy do gwiazd!

Zapanował radosny chaos. Młodszy syn Adari, Toma, zaczął wiercić się w jej ramionach.

Odszukała wzrokiem rozpromienioną, szczęśliwą matkę i Finna na honorowym miejscu, tuż poza Kręgiem.

Podniosła wzrok na Korsina i z trudem przełknęła ślinę.

Wszystko było takie doskonałe.

I takie złe.



## **ROZDZIAŁ 4**

Radosny nastrój Kesh trwał przez cały Dzień Przejścia. Zrodzeni z Nieba zostali zakwaterowani w pięknych domach Neshtovari, podczas gdy jeźdźcy roznosili wieści. Kiedy jednak zaczęli wracać, ich goście zgodnie stwierdzili, że woleliby pozostać w tych wygodnych, dość luksusowych pomieszczeniach. Kiedy szósty jeździec zwrócił się z tą sprawą do Izri, starsi postanowili, że wszyscy jeźdźcy mają przenieść swoje rodziny do skromniejszych domostw, a Zrodzeni z Nieba z pewnością docenią ich poświęcenie. Korsin i Seelah mieszkali w domu Izriego od pierwszego dnia.

Przeprowadzili się wszyscy, z wyjątkiem Adari. Pozwolono jej pozostać w domu Zhariego, aby dalej mogła służyć Zrodzonym z Nieba. Dzięki temu mogła przebywać w pobliżu Korsina, którego widywała codziennie jako jego ambasadorka i pomocnica. Codziennie też miała do czynienia z najważniejszymi ze Zrodzonych z Nieba: mrukliwym, ale uprzejmym Gloydem, który był - jak mówili - Houkiem, z Hestusem, który opracowywał słownik Keshiri, i z Ravilanem o rdzawej skórze, który często zdawał się zagubiony, niczym mniejszość pośród mniejszości.

Widywała też Seelah, która rozgościła się w luksusowym mieszkaniu Korsina. Adari dowiedziała się, że dziecko Seelah jest bratankiem Korsina.

Seelah zawsze popatrywała koso na Adari, kiedy ta kręciła się wokół Korsina. Tak samo było dzisiaj, kiedy Adari stała obok niego na szczycie wykopu na krawędzi Góry Cetajan, obserwując ocean, nad który uciekła miesiąc temu. Zrodzeni z

Nieba potrzebowali konstrukcji do umocnienia i zabezpieczenia „Omenu”, ale przedtem chcieli załatwić przejazd łądem na półwysep.

Droga w tamtą stronę powoli nabierała kształtu, bo Zrodzeni z Nieba, wśród których było wielu górników, gładko cięli skały swoimi mieczami.

- Miecze będą działać lepiej, kiedy odzyskamy lignańskie kryształy, żeby je zasilić -

tłumaczył Gloyd. Korsin pokazał Adari próbkę skały. Granit. Wiedziała, że przybyszów raczej nie obchodzą jej zainteresowania, ale przecież zawsze chciała się dowiedzieć, co jest w głębi gruntu.

Teraz wiedziała.

- Jednak miałaś rację - rzekł Korsin, obserwując, jak Adari przygląda się kamieniowi. Nie wspominała o swoim konflikcie z Neshtovari, ale pragnęła potwierdzić swoją teorię u osoby, która coś na ten temat wiedziała. Wulkany naprawdę tworzyły nowe ziemie, ale Góry Cetajan nie były wulkanami - dowiedziała się, że granit pochodzi z magmy, ale uformował się głęboko pod ziemią eony temu. Dlatego skały wyglądały inaczej niż ognisty kamień.

- Nie rozumiem połowy z tego, co mi mówią górnicy - dodał Korsin. - Oni twierdzą, że mogłabyś im bardzo pomóc... gdybyś nie pomagała mnie.

Potem zaczął rozmawiać z Gloydem na temat kolejnego projektu: poszukiwania metali niezbędnych do naprawy „Omenu”. Adari wtrącała swoje uwagi, ale zauważyła krążącą w pobliżu Seelah. Na szczęście kobieta zaraz znikła z pola widzenia. Co Adari zrobiła, aby zasłużyć sobie na taką nienawiść?

Ona nie patrzy na mnie, doszła wreszcie do wniosku. Ona patrzy na Korsina.

- Widziałam cię - Adari wypaliła, patrząc na przywódcę.

- Co takiego?

- Widziałam cię drugi raz tamtego dnia na górze, jak wyrzucałeś coś w przepaść.

Korsin odwrócił się do niej. Skinął ręką i Gloyd odstepił na bok.

- Widziałam, jak coś wyrzucasz w przepaść - powtórzyła, przełykając ślinę. Spojrzała w dół

na ocean, na fale rozbijające się o klify. - Nie wiedziałem, co to było... dopóki nie wróciłam do miasta. - Korsin z groźną miną zrobił krok w jej kierunku, ale ona nie mogła przestać mówić. -

Poleciałam tam, Korsin. Widziałam go na dole, na skałach. Był człowiekiem - dodała. - Takim jak ty.

- Jak ja? - prychnął Korsin. - Czy on... wciąż tam jest?

Pokręciła głową.

- Odwróciłam go, żeby się przyjrzeć - dodała. - Ale potem przypływ go splukał.

Korsin był jej wzrostu, ale w tej chwili wydawał się rosnąć. Ona zaś się kurczyła.

- Widziałaś go... a jednak sprowadziłaś tu Neshtovari, aby nas znaleźli.

Zamarła, niezdolna wykrztusić słowa. Spojrzała na skały w dole, tak podobne do tych na zboczach. Korsin wyciągnął do niej rękę...

...ale się cofnął. Dodał łagodniejszym tonem: - Twój lud zwrócił się przeciwko tobie, by ratować całą społeczność. Czy byłaś dla nich zagrożeniem?

Skąd on to wie? Spojrzała na niego. Z każdą chwilą mniej przypominał Zhariego.

- Wierzyłam w coś, w co oni nie chcieli uwierzyć.

Uśmiechnął się i delikatnie ujął jej dłoń.

- Mój lud dobrze zna takie problemy. Ten człowiek, którego widziałaś... był zagrożeniem dla naszej społeczności.

- Ale był twoim bratem.

Mocniej zacisnął palce, po czym puścił jej rękę.

- Naprawdę umiesz słuchać - rzekł, prostując się. Wiedział, że trudno będzie jej to zrozumieć. - Tak, był moim bratem. Ale był też zagrożeniem... a mieliśmy ich aż nadto, kiedy nas odnalazłaś - wyjaśnił. Spojrzał jej głęboko w oczy. - Myślę, że coś wiesz na ten temat, prawda, Adari? To morze tobie także kogoś zabrało. Mam rację?

Otworzyła szeroko usta ze zdziwienia. Skąd...? Zhari umarł w morzu, ale Neshtovari nigdy nie powiedzieliby o tym Korsinowi. Doniesienie o upadku jeźdźca złamałoby ich najpotężniejsze tabu: spaść - znaczyło dostać się w szpony Drugiej Strony. Nikt tego nie widział, poza Ninkiem... i wszystkim wiedzącymi Zrodzonymi z Nieba.

Korsin albo umiał czytać w myślach, albo był tym, kim twierdził, że jest. Z trudem wykrztusiła:

- Ale... to nie to samo. Ty wypchnąłeś tego człowieka. A ja nie miałam nic wspólnego z tym, co stało się mojemu...

- Oczywiście, że nie. Wypadki się zdarzają. Ale chyba nie przeszkadza ci, że umarł - odparł.

- Widzę to w tobie, Adari. Był dla ciebie zagrożeniem... dla osoby, którą się stajesz. - Krzaczaste brwi Korsina uniosły się lekko. - Cieszysz się, że go nie ma, prawda?

Przymknęła oczy. Korsin objął ją ramieniem i odwrócił twarzą w kierunku słońca.

- W porządku, Adari. Wśród Sithów to nie wstyd. Nigdy nie stałabyś się osobą, którą jesteś dzisiaj, gdyby cię tłamsił psychicznie. Tak samo nigdy nie byłabyś tym, kim się staniesz, gdyby gnębił cię Izri Dazh.

Na dźwięk tego imienia otworzyła oczy. Słońce ją oślepiło, ale Korsin nie pozwalał jej się odwrócić.

- Bałaś się nas - rzekł. - Bałaś się jeszcze bardziej, kiedy zobaczyłaś ciało. Wiedziałaś, że zginiemy na tej górze, jeśli nie sprowadzisz pomocy, a jednak sprowadziłaś Neshtovari, ponieważ pomyślałaś, że pomożemy ci stawić im czoło.

Puścił ją. Adari przez chwilę tępo wpatrywała się w

słońce, po czym odwróciła wzrok. Za jej plecami Korsin odezwał się łagodnym, kojącym głosem; to ten głos słyszała, kiedy po raz pierwszy dotarł do niej poprzez wiatr.

- Pomagając nam w kontaktach z Keshiri, pomagasz nie tylko nam, Adari. Dowiesz się o swoim świecie takich rzeczy, jakich sobie nawet nie wyobrażałaś. - Popatrzył na kamień w jej dłoni. - Nie wiem, jak długo tu będziemy, ale obiecuję ci, że w ciągu najbliższych kilku miesięcy dowiesz się więcej niż przez całe swoje dotychczasowe życie. Więcej niż którykolwiek Keshiri.

Adari zadygotała.

- Co... co ty... masz na myśli?

- Po prostu zapomnij, co wtedy widziałaś.

Korsin spełnił swoją obietnicę. W ciągu pierwszych miesięcy spędzonych pośród Zrodzonych z Nieba Adari dowiedziała się wiele o swojej planecie, a także o tym, kim byli w istocie jej ziomkowie i skąd pochodzili. Była dobrą słuchaczką. Cóż, świat poznaje się na podstawie prostych opowieści.

Sithowie Korsina byli istotami przybyłymi z wysokości, ale nie byli bogami z legend Keshirich. W każdym razie nie całkiem. Mieli zdumiewające umiejętności i kiedyś mieszkali wśród gwiazd, ale nie krwawili piaskiem i nie byli doskonali. Kłócili się. Zazdrościli sobie nawzajem.

Zabijali. Do pewnego stopnia potrafili też odczytać myśli. Korsin skorzystał z tych zdolności, kiedy zawołał do niej o pomoc, ujrawszy ją w powietrzu. Sithowie jednak nie byli wszechwiedzący.

Stwierdziła to po prostym, niewinnym doświadczeniu z Ravilanem. Zaproponowała mu spotkanie w restauracji, w samym środku najbardziej ruchliwej dzielnicy Tahv. Ravilan zgubił się w tej samej okolicy, w której ona zawsze się gubiła. Umiejętności poznawcze Sithów były więc zdumiewające, ale wciąż potrzebowali dokładnych informacji.

Starala się im to zapewnić, towarzysząc Korsinowi do wielu miejsc, gdzie trwały prace, najczęściej wykonywane przez sympatycznych keshirskich robotników. Zrodzeni z Nieba byli dla Keshirich wystarczająco doskonali - dla niej także. Yaru Korsin tak różnił się inteligencją od Zhari Vaala, jak ona od skały i dopóki udawało jej się unikać oka Seelah, drugiej wdowy, mogła liczyć na to, że nauczy się jeszcze więcej.

W miarę, jak rozwijała się jej wiedza, umacniała się też wiara Izriego. Nie cieszyło jej to zanadto, chociaż często aż chichotała, stwierdzając, że jej rola jest teraz ważniejsza niż jego. Stała się Odkrywczynią, na zawsze zapamiętaną przez keshirską społeczność. A Izriego nikt nie będzie pamiętał. Obserwując budowę kolejnej odkrywkowej kopalni, zastanawiała się, jak teraz będzie wyglądać jej społeczność. Wiedziała coś, czego nie wiedzieli Sithowie: jej naród był tu od bardzo dawna. Kiedyś wspomniała o tym jednemu górnikowi, który zupełnie zlekceważył jej słowa.

Ona jednak wiedziała swoje. Metali, których poszukiwali Sithowie, nie było na Kesh.

Naukowcy przetrząsnęli każdy kawałek kontynentu i zapisali wszystko, co znaleźli. Jeżeli substancje, których poszukiwał lud Korsina, znajdowały się głębiej pod powierzchnią, trzeba będzie czasu, żeby je odnaleźć. Dużo czasu.

Sithowie mieli czas.

A co mieli Keshiri?

# **WZÓR DOSKONAŁOŚCI**

## **ROZDZIAŁ 1**

4985 lat przed bitwą o Yavin

Woda była ciepła jak zwykle i spływała z kamiennej szczeliny w ścianie na ciało Seelah.

Sithom, którzy rozbili się na Kesh piętnaście standardowych lat temu, brakowało tu odświeżacza i innych nowoczesnych udogodnień. Nauczyli się jednak żyć z tym, co mieli.

Lśniące krople wody spływające po brązowej skórze Seelah pochodziły z roztopionego lodowca o pół kontynentu dalej. Jeźdźcy uvaków Keshirich, dosiadający zwierząt objuczonych potężnymi beczkami, przewozili wodę z tego odległego miejsca do górskiej siedziby Sithów.

Służba na dachu podgrzewała wodę dokładnie według jej życzenia, kierując ją przez specjalny system, codziennie skrupulatnie czyszczony z rdzy i innych brudów.

Teraz Seelah starannie szorowała dłonie pumeksem, sprowadzonym z podnóża Wieży Sessal o wiele kilometrów stąd. Artyści keshirscy uformowali dla niej kamienie w miłe dla oka kształty. Tubylców bardziej interesował wygląd niż funkcjonalność, ale w tym przynajmniej mieli sojusznika. Seelah z pogardą spojrzała na komórkę, zbudowaną do jej osobistego użytku przez braci Sithów, jak tylko przeniosła się na pokoje dowódcy Korsina. Teraz wyglądało to bardziej jak świątynia niż jak dom.

Cóż, nie można mieć wszystkiego. Nie tu.

Piętnaście lat. Tyle czasu już tu mieszkali, zgodnie z keshirskim kalendarzem, ale któż by mu ufał? Wyszła spod



prysznicą, ociekając wodą. Nie dotyczyło to na szczęście jej ciała, jak stwierdziła w ogromnym lustrze - produkcja wyrobów ze szkła była kolejnym rzemiosłem, w którym Keshiri przodowali. Seelah urodziła dwoje dzieci, jadła żywność, którą w domu karmiono by najwyżej zwierzęta hodowlane, a jednak wyglądała doskonale, jak zawsze. Trzeba było temu poświęcić sporo pracy. Ale czas był jedyną rzeczą, której miała w nadmiarze.

- Wiem, że tu jesteś, Tilden - odezwała się. Tilden Kaah, jej keshirski sługa, zawsze ustawiał

się poza zasięgiem odbicia w lustrze, nie pamiętając, że Seelah i tak wyczuwa go poprzez Moc.

Teraz też stał w drzwiach, odwracając do niej duże, błyszczące oczy i drżącymi dłońmi podając szatę.

Piętnaście lat jego też nie zmieniło, pomyślała z wewnętrznym chichotem, wkładając szatę.

Ale co z tego? Ta ordynarna, fioletowa skóra - nazywanie jej lawendową było grubą przesadą. I białe włosy - przecież to kolor starości. Jeśli Keshiri kiedykolwiek uważali innych Keshirich za pięknych, to dlatego, że nie znali Sithów.

Zresztą Tilden miał jedno zadanie: czcić Seelah. Był jednym z młodszych wysokich duchownych wiary Keshirich, która uznawała Seelah i pozostałych Sithów za starożytne bóstwa z niebios i żył po to, aby chodzić za nią wszędzie. Lubiła poznać się nad nim o poranku, popsuć mu humor na początek dnia.

- Pani syn poluje z jeźdźcami aż do wieczora - wyjaśnił.

- A pani córka jest w Tahv, razem z edukatorami, których wysłał wasz lud.

- Mniejsza o to - odparła, odsuwając suknię, którą jej zaprezentował, i wybierając jaśniejszą.

- Przejdź do ważniejszych rzeczy.

- Jest pani oczekiwana dziś po południu w szpitalu - rzekł znad pergaminu, który trzymał.

Uśmiechnął się łagodnie, widząc, że jest już ubrana i stoi przed wielkim lustrem. - Poza tym pani czas należy do niej.

- A Wielki Lord?

- Jego eminencja, nasz zbawca z niebios, rozpoczął poranek z doradcami. To ludzie wysoko urodzeni, tak jak pani. Jego wielki przyjaciel też tam jest - Spojrzał w notatki. - Och, jeszcze szkarłatny człowiek prosił o audiencję.

- Szkarłatny człowiek? - Seelah nie odrywała spojrzenia od spienionego oceanu daleko w dole. - Ravilan?

- Tak, pani.

- Więc muszę tam iść. - Seelah przeciągnęła się i odwróciła w poszukiwaniu butów.

Trzymał je Tilden. Była to jedyna część garderoby, którą uratowano z rozbitego „Omenu”, a której wciąż używała. Keshiri jeszcze wciąż nie wymyślili przyzwoitego obuwia.

- Ja... nie zamierzałem tak wcześnie zaczynać dnia pracy - wymamrotał, zapinając jej buty. -

Wybacz, pani. Czy skończyła już pani kąpiel? Górnicy mogą oczyścić wodę.

- Spokojnie, Tildenie, na razie chcę wyjść - rzekła, spinając ciemne włosy rzeźbioną kościaną klamrą, podarunkiem od jakiegoś lokalnego szlachcica, którego nawet nie pamiętała.

Zatrzymała się w drzwiach. - Powinni zwiększyć dostawy wody, i niech ją przywożą z drugiej strony łańcucha górskiego. Woda stamtąd jest lepsza dla skóry.

Seelah ziewnęła. Słońce stało jeszcze nisko na niebie, a już zaczęło się codzienne przedstawienie. Dowódca Yaru Korsin, zbawca Keshirich z niebios, siedział na swoim starym fotelu z mostka okrętu, tak samo jak robił to wcześniej na pokładzie dowodzenia „Omenu”. Teraz strzaskany wrak statku spoczywał za jego plecami, częściowo okryty solidną ochronną konstrukcją, a zniszczone krzesło dziwnie wyglądało, ustawione pośrodku wysadzanej mozaiką kolumnady, która ciągnęła się na setki metrów. Tu, wysoko, na otwartych przestrzeniach Gór

Takara - niedawno nazwanych tak na cześć jego wspaniałej matki, gdziekolwiek się podziewała - Korsin sprawował swoje rządy.

Architektura i lokalizacja przyciągały mieszczuchów keshirskich, którzy czasem tu przylatywali. Tak właśnie miało być. Budowla była dość duża, żeby pomieścić wszystkich szalonych petentów, których Korsin chciał zmieścić w harmonogramie dnia. Jak zwykle, na początku kolejki Seelah dostrzegła artylerzystę Gloyda, „wielkiego przyjaciela” Korsina.

Houkowi trzęsły się grube policzki, kiedy prezentował swój najnowszy pomysł: wykorzystanie ocalałych laserów do wiercenia, chociaż wciąż miały dość napięcia, aby wysyłać sygnały w przestrzeń. Seelah skojarzyło się to z wierceniem dziury w brzuchu, a Korsin też nie wydawał się zachwycony. Ciekawe, jak długo gadał Gloyd, zanim przyszła?

- Tym razem to zadziała - zapewnił Gloyd, a jego plamista skóra ociekała potem. - Musimy jedynie przyciągnąć uwagę jakiegoś przelatującego frachtowca. Kogokolwiek. - Otarł sobie czoło.

Seelah uważała, że loteria genetyczna niezbyt delikatnie obeszła się z Houkami; teraz wydawało się, że wiek i słońce sprawiają, iż skóra ścieka mu z czaszki.

- Natężenie zmniejszy się w odwrotnym stosunku do kwadratu odległości od Kesh - rozległ

się ludzki głos zza pleców Korsina. To Parrah, zastępca nawigatora „Omenu”, a teraz także główny doradca naukowy. - Wszystko będzie tylko jeszcze jednym, kosmicznym białym szumem. Czy niczego cię nie nauczyli tam, skąd pochodzisz?

Przypuszczalnie nie, zadumała się Seelah. Gloyd był rozbitkiem, zanim przyłączył się do załogi „Omenu”. Na ogół wszyscy unikali Kotła Stygiańskiego, grupa zabijaków Gloyda wymyśliła jednak, że musi tam być coś naprawdę zdumiewającego. I było: Imperium Sithów. Niewielu kompanów Gloyda przeżyło to odkrycie. On sam, jako

artylerzysta i piechur, który wiele razy w życiu walczył z Jedi, stał się jednak użyteczny dla Nagi Sadowa, a później Yaru Korsina.

Ale ostatnio jakby mniej.

- Nie sądzę, aby to zadziałało, stary druho - rzekł Korsin. Kątem oka dostrzegł Seelah i mrugnął do niej. - Nie możemy ryzykować spalenia kolejnego sprzętu. Znasz bilans.

Wszyscy znali. Kiedy jeszcze budowali kamienne schronienie dla „Omenu” po katastrofie, załoga ostrożnie demontowała cały sprzęt. Spodziewali się, że część urządzeń uda się ożywić za pomocą kilku nowych części; reszta była do użytku. Więc jej używano.

I to był błąd. Okazało się, że na Kesh nie ma żadnych metali. Sithowie kopali, gdzie tylko mogli, zużywając większość pozostałych im narzędzi, ale bez rezultatu. Z wierzchu planeta była miła dla oka, ale okazało się, że pod spodem nie znaleźli nic prócz piachu. Większość urządzeń działających na wewnętrznym zasilaniu zaczęła się psuć. Co gorsza, pole elektromagnetyczne Kesh zakłócało częstotliwości, od fal radiowych do energii elektrycznej. Miecze świetlne wciąż działały dzięki lignańskim kryształom, ale rozbitkowie, choćby nie wiadomo jak dzielnie walczyli o byt, nie dadzą rady wszystkiego wynaleźć ponownie. Po prostu nie mieli właściwych narzędzi.

- Rozumiem - odparł Gloyd i już nie wydawał się taki wysoki. - Znasz mnie. Jestem stworzony do walki. Ten spokojny raj doprowadza mnie do...

- Wiem, z czym możesz tutaj powalczyć - odezwała się Seelah. Powiewając lśniąca szatą, wstąpiła na podwyższenie i objęła Korsina ramieniem. - Widziałam, że w głównej sali przygotowują posiłek.

Korsin się uśmiechnął.

Gloyd zmierzył parę ponurym wzrokiem, po czym ryknął ogłuszającym śmiechem.

- Co mogę odpowiedzieć? - zapytał, klepiąc się po wielkim brzuchu. - Pani mnie przecież zna.

Korsin popatrzył za odchodzącym olbrzymem i ujrzał kolejną znajomą twarz.

- Ravilan! Jak wygląda twój wielki plan ucieczki z tej skały?

- Nic z tego - odparł zapytany. - Szkarłatny człowiek z opisu Tildena podszedł bliżej i z sympatią spojrzął na przywódcę. - Nie dzisiaj.

- Doprawdy? Cóż, wszyscy się starzejemy. Umysł nie działa jak kiedyś.

- Nie mój, dowódcu. - Ravilan przeciągnął palcem po macce na prawym policzku. U

Czerwonych Sithów była to oznaka zadumy. Seelah przeszedł dreszcz. Mocniej objęła Korsina.

Dawny kwatermistrz oddziału wojowników Massassich z „Omenu” nie miał nic do roboty, bo jego podopieczni powymierali w ciągu pierwszych dni na Kesh. Od tamtej pory wynajdywał sobie najdziwniejsze zajęcia. Przede wszystkim stał się reprezentantem Pięćdziesięciu Siedmiu -

ocalałych członków załogi, najbliżej spokrewnionych z czerwonoskórą rasą Sithów, oraz tych, którzy bardziej byli zainteresowani opuszczeniem Kesh niż mieszkaniem tutaj.

Los Ravilana nie przedstawiał się różowo. Jego grupa z początku liczyła więcej niż pięćdziesięciu ośmiu ludzi. Chyba z tuzin zginął z powodu wypadków lub niekompetencji - a żadne z dzieci ludu Ravilana nie przeżyło nawet dnia. Kesh nie był jednakowo przychylny dla wszystkich swoich gości; Ravilan miał więc dobry motyw do ucieczki z planety.

Nie to jednak sprowadziło go dzisiaj przed oblicze Korsina.

- Jest coś jeszcze - rzekł, spoglądając na Seelah. - Ludzie pracujący dla pańskiej... eee...

żony próbują udokumentować rodowody całej naszej

załogi. Stali się dość natrętni - dodał, przekrzywiając wypustkę brwiową.

Korsin poczuł, że uścisk Seelah staje się mocniejszy.

- Twoi podwładni nie muszą się tym przejmować, Rav. Chodzi tylko o ludzką załogę.

- Tak, ale wielu z nas ma trochę ludzkiej krwi - odparł Ravilan, przechodząc za Korsinem wzdłuż kolumnady. Tłum się rozstał, więc Seelah nieśmiało ruszyła za nimi. - A wielu z twoich ludzi ma trochę naszej. Połączenie linii Ciemnych Jedi z moimi sithańskimi przodkami jest dla mnie i dla naszego ludu powodem do dumy. Ale żeby ktoś się nad tym zastanawiał...

Korsin, idąc, napawał się widokiem oceanu. Srebrzyste pasma w jego włosach błyszcząły w słońcu. Seelah przyspieszyła, aby być bliżej.

- To wciąż obca planeta - tłumaczył Korsin. - Nie wiemy, co zabiło twoich Massassi, kiedy wylądowaliśmy. Nie wiemy też, co się dzieje z... no, sam wiesz.

- Z pewnością - odparł Ravilan. Też patrzył na ocean, ale zdawał się go nie widzieć. Na Kesh jego skóra stała się ciemna jak kasztan, a barwne kolczyki i inne sithańskie ozdoby wyraźnie się od niej odcinały. - Tym światem rządzi tragedia, Korsinie. Dla nas wszystkich. Gdybyś pozwolił, aby jedna z moich kobiet została położną, może bylibyśmy w stanie zrozumieć...

- Nie! - przerwała mu Seelah, stając między nimi. - Oni nie nadają się na personel medyczny, Korsinie. W takich warunkach musimy mieć nad wszystkim kontrolę!

Ravilan się cofnął.

- Nie chciałem cię urazić, Seelah. Twoja grupa naprawdę dobrze sobie radzi, odkąd nasza misja nabrała charakteru... pokoleniowego. Sithowie rozkwitają. - Jego poorana przez wiek i smutek twarz złagodniała. - Ale tak powinno być ze wszystkimi Sithami.

Seelah wbiła wzrok w Korsina, który lekceważąco

machnął ręką. Każe odejść nam obojgu?

- zdziwiła się.

- Porozmawiamy o tym później - rzekł Korsin. - Coś jeszcze?

Ravilan się zawahał.

- Tak... udam się na południe, jak rozkazałeś, odwiedzając miasta Jezior Ragnos.

Seelah słyszała o tym przedsięwzięciu: Keshiri zbierali jakiś gatunek fluorescencyjnych alg i Korsin wyznaczył Ravilana, aby sprawdził, czy da się je wykorzystać jako oświetlenie w budowlach Sithów.

- Jest tam osiem miast przy różnych akwenach i dość okazji do sprawdzenia.

- Spore terytorium - zauważył Korsin. - Jedziesz sam?

- Jak rozkazałeś - odparł Ravilan. - Zaczynam w Tetsubalu, najdalszym mieście.

Seelah się uśmiechnęła. Było to zupełnie bezmyślne zadanie, które niewątpliwie doprowadzi kwatermistrza do szaleństwa.

- Weź całą swoją switę - polecił Korsin i położył dłoń na ramieniu Ravilana. Korsin na wygnaniu nie nabrał bardziej imponującej sylwetki, ale chodził jak człowiek wzrostu Gloyda. - To ważne... będzie szybciej, jeśli się rozdzielicie. A wszystkim wam przyda się oddalenie od tej góry.

Przyciągnął Ravilana bliżej i szepnął mu prosto w ucho:

- Słuchaj... Seelah wolałaby, abyś nazywał mnie Wielkim Lordem.

- To podobno tylko tytuł dla Keshirich!

- A wokół są właśnie Keshiri. To rozkaz, Rav. Bezpiecznego lotu.

Seelah obserwowała, jak Ravilan odchodzi, kuśtykając. Przegrał utarczkę z uvakiem w drugim roku ich pobytu na Kesh. Była to kolejna porażka z wielu i Seelah nie miała zamiaru pozwolić, aby tym razem wygrał. Odciągnęła Korsina na bok.

- Ani mi się waży przyjmować jego ludzi do mojego szpitala!

- Śliczna jesteś, kiedy się robisz taka stanowcza.

- Korsin!

Spojrzał na nią przenikliwie.

- Już nie mieszkasz na Rhelg. Kiedy wreszcie pożegnasz się z przeszłością?

Zamiast odpowiedzi posłała mu płonące spojrzenie... ale Korsin je zignorował. Ujrzał

widocznie coś za jej plecami, bo uśmiechnął się i zwrócił do oczekującego tłumu: - Przepraszam wszystkich, że muszę przerwać przesłuchanie, ale przybyła moja towarzyszka posiłku.

Seelah obejrzała się.

Na skraju placu stała Adari Vaal.



## **ROZDZIAŁ 2**

Imperium Sithów za młodych lat Seelah stanowiło grupę systemów gwiazdnych, powiązanych wspólną spuścizną, ambicją i zachłannością. W pewnym sensie była to czarna dziura, z której niewielu mogło się wydostać.

Ograniczający wpływ Kotła Stygiańskiego na podróże nadprzestrzenne był niejednolity: nieszczęśni przybysze z zewnątrz o wiele łatwiej mogli dostać się do przestrzeni Sithów, niż Lordowie Sithów ją opuścić. Ci, którym udało się wejść, rzadko wracali, stając się niewolnikami tego czy innego księżątka. Przez pokolenia przybysze często zmieniali właściciela, całkowicie zapominając o własnym domu. Oni także stawali się Sithami.

Niektórzy Lordowie Sithów, tacy jak Naga Sadow, dość cenili pracę potomków oryginalnych uchodźców tapanckich. Ich panowie o twarzach ozdobionych czułkami, których pochodzenie sięga daleko wstecz, do początków Sithów, zainteresowani byli czarami, za to lud Seelah lubował się w nauce. Kiedy pozwalano im pracować, chętnie tworzyli infrastrukturę przemysłową i medyczną dla swoich Lordów. Niektórzy rozwiązywali nawet problem produkcji kryształów do mieczy świetlnych i ich zasilania, który umknął uwadze Jedi z Republiki. Takie osiągnięcia nigdy nie były rozgłaszane - żaden z Lordów Sithów nie pochwaliłby się nową bronią.

Jeśli porażka jest sierotą, sukces był dla Sithów potomkiem sekretnej miłości.

Seelah jako dziecko miała już własne sukcesy, służąc na Rhelg wraz z resztą rodziny w służbie Ludo Kressha,

największego rywala Sadowa. W wieku trzynastu lat była już utalentowaną uzdrowicielką, korzystającą zarówno z Mocy, jak i wiedzy medycznej swoich przodków.

Poświęcenie przynosiło owoce.

- Posuwamy się naprzód - oznajmił jej kiedyś ojciec. - Dobrze sobie radzisz, więc zostało to nagrodzone. Napawaj się tym szaczymem, Seelah, bo to największy, jaki może na nas spaść.

Powierzono jej mianowicie opiekę nad stopami Lorda Kresssha.

Znów przez całe popołudnie byli na zewnątrz, tylko we dwoje. Tilden doniósł o tym Seelah, ona zresztą miała również innych konfidentów, którzy dostarczali jej regularnych raportów. Korsin i ta keshirska kobieta będą sobie spacerować po ścieżkach, tak troskliwie wyrąbanych w zdradzieckim niegdyś zboczcu góry, dyskutując... o czym? Nie mieli zbyt dużo wspólnych tematów, o ile mogła stwierdzić.

Ich spacerowały stały się tradycją jeszcze na początku związku Seelah z Korsinem. Wtedy było to potrzebne. Vaal odkryła Sithów na górze i to ona działała jako mediator z Keshiri. W miarę upływu lat ambasador był coraz mniej potrzebny, ale spacerowały trwały nadal i były coraz dłuższe. Po przyjeździe na świat córki Seelah i Korsina, Nidy, spacerowały stały się codzienną tradycją, urozmaicaną czasami lotem na uvaku.

Seelah od swoich źródeł dowiedziała się, że nie musi podejrzewać niewierności - jakby ją to obchodziło. Tymczasem tubylcza kobieta postarała się zmienić swój pospolity wygląd. Niedawno zaczęła ozdabiać twarz symbolami vor'shandi, co było niezwykłą dekoracją dla keshirskiej wdowy po jeźdźcu uvaków. Jednak podsłuchiwanie potwierdzali, że błaha tematyka ich rozmów nie uległa zmianie. Dokąd słońce idzie na noc, Korsinie? Czy powietrze jest częścią Mocy, Korsinie?

Dlaczego nie można jeść kamieni, Korsinie? Jeśli miała być szpiegiem, to okazała się w tej roli całkowicie

bezużyteczna, dysponowała jednak dużą częścią czasu Wielkiego Lorda. I czymś jeszcze więcej.

- Ona jest naprawdę kimś, prawda? - zapytał w chwili słabości Korsin pewnego wieczoru, kiedy Adari poleciała z powrotem do Tahv.

- Zdaje się, że twoje standardy rozrywkowe spadły na łeb, na szyję - wycedziła Seelah.

- Razem z moim statkiem.

I moim prawdziwym mężem, pomyślała Seelah. Stojąc w wejściu na oddział, wróciła myślami do tamtej chwili. Piętnaście lat ze zniechęconym bratem jej ukochanego męża.

Piętnaście lat z człowiekiem, przez którego prawdopodobnie jej syn jest sierotą. Niech ta stara fioletowa wiedźma weźmie go sobie, pomyślała. Im mniej widuję Yaru Korsina, tym lepiej.

Uwiedzenie Korsina nie zajęło Seelah dużo czasu; wystarczyło go przekonać, że zostanie przyjęty inaczej niż ostrzem sztyletu. Był to przyzwoity układ z obu stron. Zdobywając jej zgodę, dowódca wzmocnił swoją więź z krnąbrnymi górnikiem, których wiozł jego statek - a jednocześnie zagarnął coś, co należało do zniechęconego brata. Pozwoliła mu nawet myśleć, że to jego pomysł, choć przez ten pierwszy rok gryzła wargi z niechęci.

Ze swojej strony Seelah zdobyła potęgę i wpływy w nowym zakonie - korzyści, które sięgały o wiele dalej niż wygodne poranne kąpiele. Mały Jariad był wychowywany w najlepszych warunkach, gdziekolwiek mieszkali - najpierw w otoczonym murami mieście Tahv, a potem w górskiej rezydencji.

No i miała pracę. Administracja oddziałów szpitalnych Sithów wydawała się bezwartościową synekurą, biorąc pod uwagę niezłe zdrowie rozpieszczanych przez Keshirich ludzi.

Nikt inny nie chciał się tym jednak zająć, nie teraz, kiedy mieli do podbicia nową planetę i do zorganizowania

międzygwiazdą ucieczkę. Zresztą większość Sithów i tak nie nadawała się na uzdrowicieli.

Seelah wiedziała więcej niż ktokolwiek o Sithach, którzy rozbili się na Kesh, łącznie z oficerem z „Omenu”, który zajmował się przedtem sprawami kadrowymi. Wiedziała, kto się kiedy urodził i z kogo - a to oznaczało władzę. Inni nawet nie zwracali na to uwagi. Ich oczy wciąż zwrócone były ku niebu, a myśli ku wyprawie. Tylko Korsin zdawał się rozumieć, że raczej muszą się przygotować do zasiedlenia tej planety - choć ciężko pracował, aby nikt poza Seelah tego nie dostrzegł. Nie rozumiała, czemu akurat z nią był tak szczery.

Może żona Yaru Korsina nie zasługiwała na złudną nadzieję. Nieważne. I tak jej nie potrzebowała. Widziała ich przyszłość - choćby tu, na placu zbiórek za szpitalem, kiedy przychodziła na krótkie inspekcje. Tu właśnie młodzież Sithów przychodziła, żeby się z nią zobaczyć. A raczej, aby to ona ich zobaczyła.

- Oto Ebya T'dell, córka górnika Nafjana i kadeta z mostku Kanika. - Orlenda, delikatna, zwiewna asystentka Seelah, stała za poważną, różową dziewczuszką i odczytywała dane z pergaminu.

- Za miesiąc skończy osiem lat według naszego czasu. Żadnych dolegliwości.

Seelah wzięła dziewczynkę pod brodę i obejrzała ją z lewa i z prawa, jakby oceniała bydło rozplodowe.

- Wysokie kości policzkowe - mruknęła, wbijając palce w buzię malej. Dziecko ani drgnęło.

- Znam twoich rodziców, dziewczynko. Czy jesteś dla nich źródłem kłopotów?

- Nie, Lady Seelah.

- To dobrze. A jakie masz obowiązki?

- Aby być taką jak ty, pani.

- Nie o taką odpowiedź mi chodziło, ale nie zamierzam się sprzeczać - odparła Seelah, puszczając dziecko i zerkając na

Orlendę. - Nie widzę żadnych wypukłości na czaszce, ale martwi mnie jej koloryt - powiedziała. - Za czerwona. Sprawdź jeszcze raz pochodzenie. Może jeszcze zdobyć nową rodzinę, jeśli dobrze wybierzemy.

Popędzona przez Orlendę kłapsem w pośladki, Ebya T'dell wróciła do zabawy na podwórku, na razie bezpieczna i spokojna, że jej życie może się nie okazać genetycznym ślepym zaułkiem.

To ważna sprawa, myślała Seelah, obserwując dzieci pojedynkujące się na drewniane pałki.

Wszystkie urodziły się po katastrofie. Poza wzbogaceniem populacji Sithów o młodzież, wydawało się, że niewiele uległo zmianie. W pierwotnej załodze „Omenu” niemal każdy kolor z palety ludzkości miał swojego przedstawiciela i ta sytuacja nie uległa zmianie. Przypadkowe próby łączenia się z Keshiri w ogóle nie przyniosły potomstwa - Seelah dziękowała za to Ciemnej Stronie - no i, oczywiście, był problem z ludźmi Rivilana. Liczba ludzi stosunkowo czystej krwi stale wzrastała. I czystość ich krwi także.

Pilnowała tego przy pełnej aprobacie Korsina. Miało to swój sens. Planeta zabiła Massassich. Jeśli jeszcze nie zabiła ludzi, to znaczy, że Sithowie potrzebowali ich więcej. Adaptuj się lub giń, mawiał Korsin.

- Na liście w tym tygodniu jest jeszcze kilkoro młodych - zauważyła Orlanda. - Chcesz ich dzisiaj obejrzyć, Seelah?

- Nie mam nastroju. Coś jeszcze?

Orlanda zwinęła pergamin i przegoniła pozostałe dzieci na boisko do ćwiczeń.

- Cóż - mruknęła - potrzebujemy nowego keshirskiego tragarza na oddziale.

- A co się stało z poprzednim, Orlando? - prychnęła Seelah. - Zamordowałaś go w końcu swoją uprzejmością?

- Nie. Sam umarł.

- Ten wielki? Gosem?

- Gorem - poprawiła z westchnieniem Orlenda. - Tak, umarł w zeszłym tygodniu.

Wypożyczyliśmy go grupie Rabilana, rozbierającej jeden z pokładów „Omenu” w poszukiwaniu czegokolwiek, co jeszcze mogłoby się przydać. Gorem był, jak pamiętasz, bardzo silny...

- Do rzeczy.

- Chyba przesuwali ciężkie płyty, a pod tym zadaszaniem jest gorąco. Upadł tuż obok statku. - Orlenda miała smutną minę.

- Hm... - A myślała, że Keshiri są zbudowani z mocniejszej materii. Ale i tak miło było podokuczać kochliwej koleżance. - Pewnie płakałaś przy stosie pogrzebowym?

- Nie, zrzucili go z klifu - odparła Orlenda, przyglądając jasne włosy. - To było tego dnia, kiedy tak mocno wiało.

Seelah odnalazła Korsina na placu tuż przed zmierzchem. Keshirska kobieta już poszła, a Korsin właśnie przyglądał się sobie - a raczej dość paskudnej kopii samego siebie. Rzeźbiarze z Tahv dopiero co dostarczyli czterometrowej wysokości, kiepską podobiznę swego zbawcy, wyrzeźbioną w ogromnej szklanej bryle.

- To tylko pierwsze podejście - zapewnił Korsin, wyczuwając jej obecność.

- Najwyraźniej. - Seelah uznała, że posąg zeszpeciłby nawet pola śmierci Ashas Ree. Za to jej keshirski adiutant myślał, że pomnik jest cudowny. Co najmniej cudowny.

- Jest naprawdę porażający, milady - zachwycił się Tilden. - Wart Zrodzonych z Nieba... to znaczy Obrońców.

Poprawił się szybko w obecności Wielkiego Lorda, ale nowe słowo, niedawno dodane do religii, w której się wychował, przechodziło mu przez gardło z wielkim trudem.

Kuzyn Rabilana, cyborg Hestus, przez lata pracował wraz z innymi lingwistami z „Omenu”, aby jakoś ułożyć ustne opowieści Keshirich. Szukali bodaj najmniejszych wskazówek, że ktoś kiedyś tu przybył, a teraz mógłby znów wrócić na Kesh i

pomóc im w ucieczce. Niewiele znaleźli.

Neshtovari, jeźdźcy uvaków, którzy do niedawna władali planetą, oparli swoją religię, głoszącą mit Zrodzonych z Nieba i wrogiej Drugiej Strony, na jeszcze dawniejszych opowieściach o Obrońcach i Destruktorach. Destruktorzy od czasu do czasu wracali, aby rzucać na Kesh kolejne klęski.

Obrońcy mieli za zadanie zatrzymać ich raz na zawsze. Korsin, zagłębiający w religii Keshirich, udał, że przyszło na niego olśnienie i oznajmił powrót do dawnych nazw.

Podobnie jak wiele innych w ciągu tych lat, był to pomysł Seelah. Neshtovari uważali się za synów Zrodzonych z Nieba, ale żaden z żyjących Keshirich nie mógł powoływać się na bodaj najodleglejsze pokrewieństwo z Obrońcami. W ten sposób przepadł wysoki status, jakim wcześniej cieszyli się tubylcy. A teraz, stwierdziła Seelah, Keshiri wyrażają swoją cześć za pomocą szklanych potworków o wyłupiastych oczach.

Niech lepiej nauczą się dobrze portretować nasze twarze, zanim zechcą uczcić i mnie, pomyślała.

- Nie o to chodzi, że ta rzeźba wygląda źle - powiedziała, kiedy Tilden odszedł. - Po prostu wygląda źle tutaj.

- Znów kombinujesz, żeby nas wyprowadzić z góry? - Korsin uśmiechnął się; jego poorana wiatrem twarz ciemniała w mroku. - Chyba już raz nadużyliśmy cierpliwości Keshirich, kiedy zamieszkaliśmy na początku w Tahv.

- Czy to ważne?

- Nic a nic. - Ku zaskoczeniu Seelah ujął ją za rękę. - Słuchaj, muszę ci powiedzieć, jak bardzo cenię sobie pracę, którą wykonujesz w szpitalu. Właśnie tego oczekiwałem; wiedziałem, że jesteś do tego zdolna.

- O, chyba jeszcze nie do końca wiesz, do czego jestem zdolna.

Odwrócił wzrok i się zaśmiał.

- Lepiej nie drażmy tego tematu. Może zainteresujesz się kolacją? - Oczy mu lśniły. Seelah rozpoznała to spojrzenie. Tak,

ten człowiek potrafił walczyć na wielu frontach naraz.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, z góry rozległ się okrzyk. Korsin i Seelah spojrzeli na wieżę strażniczą. Żaden atak im nie groził - Sithowie przetrzebili lokalne drapieżniki już dawno temu.

Strażnicy siedzieli tylko i medytowali, odbierając poprzez Moc wieści od sithańskich podróżników, wędrujących po najdalszych zakątkach tej ziemi.

- To Ravilan - zawołał młody strażnik o czerwonej twarzy. Kiedy „Omen” się rozbił, był jeszcze dzieckiem. - Coś się stało w Tetsubalu. Coś złego.

Korsin z irytacją spojrział w górę. On też wyczuwał coś poprzez Moc - dziwny chaos - ale nie miał pojęcia, co to takiego. Właśnie dlatego nie wykorzystywali swoich osobistych komunikatorów w poprzedniej próbie ucieczki.

Seelah spojrzała na wieżę.

- Czy... czy Ravilan umiera? - wyszeptała.

- Nie - odparł strażnik, ledwie wychwytyjąc jej słowa. - Ale jego towarzysze tak.



## **ROZDZIAŁ 3**

Sithowie zawsze gloryfikowali siebie i podporządkowywali sobie innych. To miało sens dla młodej Seelah, która właśnie poznawała życie w pałacu Ludo Kressha.

Nie wszystko jednak było w porządku. Dlaczego tak wielu z jej ludu, nawet z własnej rodziny, przyjmowało nauki Sithów, choć nie mieli nadziei na żadne osiągnięcia? Dlaczego Sith miałby żyć jak niewolnik?

Nie wszyscy oczywiście tak żyli. Imperium Sithów odpoczywało przez wiele lat, ale roiło się w nim od małych spisków. Jeszcze niedorośla Seelah obserwowała, jak jej mistrz, Kressh, szaleje, widząc poczynania Nagi Sadowa. Znała Sadowa z wielu spotkań w towarzystwie Kressha, a prawie wszystkie kończyły się awanturą. Dwaj przywódcy różnili się niemal pod każdym względem i to na długo przed tym, kiedy odkrycie szlaku nadprzestrzennego, wiodącego w samo serce Republiki, podzieliło ich w poglądach na dalsze kierunki rozwoju Imperium Sithów.

Sadow był wizjonerem. Wiedział, że stała izolacja była praktycznie niemożliwa w tym Imperium, które obejmowało tyle systemów i tak wiele potencjalnych dróg nadprzestrzennych.

Kotły Stygiańskie nie były murem, lecz zasłoną, a on widział przez nią nowe możliwości. To wśród członków świąty Sadowa Seelah poznała wielu ludzi i osób innych gatunków, którzy cieszyli się wyjątkowym statusem. Raz poznała nawet ojca kapitana Korsina.

Dla Sadowa wszelkie nowości były czymś pożądanym, a

istoty z zewnątrz mogły być Sithami równie dobrze, jak każdy, kto urodził się w Imperium. Za to dla Kressha, który spędził całe życie w bitwach, a nocą pracował nad magicznym urządzeniem, które chroniłoby jego syna przed wszelkimi zagrożeniami, nie mogło być gorszego losu niż ucieczka z kosmicznej kolebki Sithów.

- Wiecie, po co to robię? - zapytał Kressh pewnego dnia. Jego pijacka wściekłość zdążyła dotknąć wszystkich, włącznie z Seelah. - Widziałem holocrony. Wiem, co czyha w ciemności, Mój syn wygląda tak jak ja... i taka jest przyszłość Sithów. Ale tylko dopóki tu jesteśmy. Tam - splunął

między jednym ciosem a drugim - tam przyszłość wygląda tak, jak wy.

Adari Vaal powiedziała kiedyś Korsinowi, że Keshiri nie znają wystarczająco dużej liczby, aby określić, ilu ich jest. Załoga „Omenu” podczas pierwszych lat na Kesh próbowała choćby z grubsza oszacować populację planety, ale na horyzoncie wciąż pojawiały się nowe miasta.

Tetsubał, liczące osiemnaście tysięcy mieszkańców Keshirich, było jednym z ostatnich, gdzie policzono ludność, zanim Sithowie się wreszcie poddali.

Teraz poddali się znowu. W murach Tetsubału leżało tyle ciał, że nie dało się ich przeliczyć.

Lecąc na uvakach, Seelah, Korsin i ich towarzysze widzieli wszystkich z góry; leżeli rozrzućeni po drogach gruntowych niczym gałęzie po burzy. Niektórzy upadli u wejścia swoich chat z pędów hejarbo. Wkrótce się przekonano, że wewnątrz murów jest to samo.

Nie widzieli żadnych ocalonych. Jeśli nawet istnieli, dobrze się ukrywali.

Osiemnaście tysięcy trupów było dobrą oceną tej sytuacji.

Cokolwiek się tu wydarzyło, wydarzyło się nagle. Kobieta karmiąca dziecko piersią upadła tam, gdzie siedziała,

spleciona z niemowlęciem w śmiertelnym uścisku. Wzdłuż ulic biegła sieć odkrytych kanałów z akweduktu; wielu Keshiri wpadło do nich i utonęło tuż obok pływających drewnianych konwi.

Tyło Ravilan stał żywy, samotny i wstrząśnięty, przytulony do wciąż zamkniętych bram miasta. Przez cały wieczór tkwił na posterunku w Tetsubalu i to tylko pogorszyło sprawę. Korsin podszedł do niego, jak tylko zeskoczył z uvaka.

- To się zaczęło, kiedy spotkałem się tutaj z moimi łącznikami - jęknął Ravilan. - Ludzie padali w restauracjach i na rynkach. Potem zaczęła się panika.

- A gdzie ty byłeś przez cały czas?

Ravilan wskazał na krąg miejski, plac z wielkim zegarem słonecznym, podobnym do tego w Tahv. Była to najwyższa budowla miasta, poza napędzanym przez uvaki systemem zasilania akweduktu.

- Nie mogłem znaleźć adiutantki, którą zabrałem ze sobą. Wstąpiłem tutaj, aby jej poszukać... i mieć oko na to, co się dzieje.

- Mieć oko! - warknęła Seelah. - Coś podobnego!

Ravilan westchnął gniewnie.

- Tak, chciałem uciec! Kto wie, jaką zarazę noszą w sobie ci ludzie? Byłem tu przez wiele godzin, obserwując, jak padają po kolei. Wezwałem mojego uvaka, ale on też zdechł.

- Przywiążcie nasze poza murami - rozkazał Korsin. W świetle pochodni wydawał się mocno czerwony. Wyjął z tuniki chustkę i zawiązał sobie wokół twarzy. Nawet nie zauważył, że był ostatnim z grupy, który to zrobił. Spojrzał na Seelah. - Myślisz, że to jakiś czynnik biologiczny?

- Nie mam pojęcia - odparła. Zawsze pracowała z Sithami, nigdy z Keshiri. Kto wie, na co mogą być uczuleni?

Korsin pociągnął za rękę Gloyda.

- Moja córka jest w Tahv. Dopilnuj, aby wróciła w góry - polecił. - Szybko!

Houk, wyraźnie poruszony, rzucił się ku wierchowcowi.

- Zaraza może być przenoszona drogą powietrzną - szepnęła Seelah oszołomiona, wchodząc pomiędzy ciała. To wyjaśniałoby, dlaczego dotknęła tak wielu i tak szybko. - Ale nam to nie zaszkodziło...

Z góry dobiegł ją okrzyk. Seelah podniosła wzrok i zobaczyła, że ich zwiadowca znalazł

pod innym ciałem zaginioną adiutantkę Ravilana. Kobieta - około czterdziestki, tak jak Seelah - była martwa.

Seelah przycisnęła gazę do twarzy. Głupia, głupia... jaka jestem głupia! Czy już jest za późno?

- Wystarczająco późno - odparł Ravilan, podchwytyjąc jej nieopatrzenie odsłoniętą myśl.

Spojrzał na Korsina. - Wiesz, co musisz zrobić.

Korsin odpowiedział obojętnym tonem:

- Spalimy miasto. To chyba oczywiste.

- To nie wystarczy, dowódcu. Musimy ich odciąć!

- Kogo odciąć? - warknęła Seelah.

- Keshirich! - Ravilan objął gestem otaczające ich ciała. - Coś ich zabija, więc może zabić nas! Musimy usunąć ich ze swojego życia raz na zawsze!

Korsin wydawał się kompletnie zaskoczony.

Seelah chwyciła go za ramię.

- Nie słuchaj go! Jak mamy żyć bez nich?

- Jak wszyscy Sithowie! - zawołał Ravilan. - To nie nasz sposób życia, Seelah! Cokolwiek to jest, już powinno nas zabić, a jeśli tego nie zrobiło, to nie znaczy, że nie robi. To jest ostrzeżenie Ciemnej Strony.

Za gazową maską Seelah skrzywiła usta. Korsin jakby się ocknął.

- Zaraz, zaraz - rzekł, biorąc Ravilana pod ramię. - Porozmawiajmy o tym...

Korsin i Ravilan ruszyli w kierunku bramy, którą właśnie otwierali ich dworzanie.

Wydawało się, że całe miasto odetchnęło, wydychając tędy zepsute powietrze. Seelah nie poruszyła się, wyraźnie zahipnotyzowana widokiem otaczających ją ciał. Martwi Keshiri wyglądali według niej wszyscy tak samo: fioletowe twarze, niebieskie języki, rysy wykrzywione śmiercią przez uduszenie.

Potknęła się i zobaczyła adiutantkę Ravilana. Jakże ona miała na imię? Yilanna? Illyana?

Seelah знаła jeszcze wczoraj całe jej drzewo genealogiczne. Dlaczego dzisiaj nie może sobie przypomnieć nawet imienia, skoro kobieta leży na ziemi, uduszona własnym, napuchniętym i sinym językiem...

Zatrzymała się.

Uklęka przy ciele, starając się go nie dotykać. Wyjęła shikkar - szklane ostrze, które Keshiri dla niej wyrzeźbili - i ostrożnie rozchyliła usta kobiety. Rzeczywiście, jej język miał przedziwny, lazurowy kolor, naczynia krwionośne były nabrziałe i popękane. Widziała coś takiego kiedyś u ludzi, musi to wygrzebać z pamięci...

- Muszę wracać - oznajmiła nagle, wybiegając za bramę.

- Muszę wracać do domu... do szpitala.

Ravilan, bez skutku próbując uspokoić uvaka, którego Korsin przywiązał za murami miasta, obejrzał się zaniepokojony.

- Jeśli chcesz zawlec tę chorobę do naszego sanktuarium...

- Nie - odparła. - Pojadę sama. Jeśli zostaliśmy tutaj zainfekowani, i tak nic już nie pomoże.

- Wzięła uźdę od Ravilana i uśmiechnęła się do niego bez radości. - Ale jeśli się nie zaraziliśmy, to jest tak, jak powiedziałeś. To ostrzeżenie.

Korsin spojrzął za nią, po czym wrócił do przygotowań. Mieli spalić miasto. Seelah nie obejrzała się, tylko odleciała w

noc. Nie było wiele czasu. Musi spotkać się z całą obsługą szpitala, ze swoimi najbardziej lojalnymi współpracownikami.

! musi zobaczyć się z synem.

Gdy słońce weszło ponad Góry Takara, Tilden Kaah nie znalazł Seelah pod prysznicem -

choć czuła, że bardzo by jej się to przydało. Nie spała w ogóle. Po powrocie Korsina i Ravilana w środku nocy rezydencja zmieniła się w centrum kryzysowe.

Największym problemem była komunikacja. Śmierć bezimiennych Keshirich nie spowodowała wielkiego zaburzenia w Mocy dla tych, których oni i tak nie obchodzili. A jednak to, co się stało, wzbudziło w umysłach Sithów ogromne zamieszanie. Nawet najbardziej doświadczeni heroldowie mieli problem z przekazywaniem wieści. Korsin wezwał wszystkich swoich ludzi w miastach i miasteczkach Keshirich do powrotu - na razie Tahv i pozostałe duże miasta nic nie słyszały o katastrofie w Tetsubalu, a on nie chciał, aby masowa ucieczka uprzedziła tubylców.

Sithowie za granicą zostali pouczeni, że mają dyskretnie unikać kontaktów publicznych i wracać do domu.

To, co stało się w Tetsubalu, nie dotknęło jeszcze dużych miast - ale zwiadowcy na uvakach wciąż krążyli, sprawdzając sąsiednie tereny. Zanim dotrą wieści z najodleglejszych zakątków, wszyscy Sithowie będą bezpieczni w swojej twierdzy.

Tego ranka Seelah widziała Korsina kilka razy, ale tylko w przelocie. Chciał, aby jej pracownicy ustanowili strefę kwarantanny od wejścia do rezydencji. Żaden z Sithów, którzy spalili Tetsubal, nie wykazywał symptomów choroby, ale stawka była wysoka. Seelah miała własną robotę w szpitalu; niewiele osób z jej personelu medycznego pokazywało się publicznie.

- Pracujemy nad tym - powiedziała mu tylko.

Wracając po południu, Seelah zobaczyła, że Ravilan

razem z Korsinem przegląda raporty.

Korsin wydawał się bardzo zmęczony po bezsennej nocy, ale za to jego mała fioletowa lalunia nie przyjdzie dzisiaj na lunch! Ravilan, pomimo wstrząsających przeżyć poprzedniego dnia, wydawał

się jakby odmłodniały. Jego naga czaszka miała zdrowy, karminowy kolor.

- Wygląda to lepiej, niż się obawialiśmy, Korsinie - mówił. Proszę, proszę... już nie Wielki Lordzie, nawet nie dowódcu, pomyślała Seelah.

Korsin westchnął.

- Wszyscy twoi ludzie wrócili?

- Poinformowano mnie, że właśnie przybyli i są w stajniach. Też mi wakacje - mruknął

Ravilan, a jego macki twarzowe zwinęły się lekko. - Tu i tak jest dużo do zrobienia" Chodzi o nasze nowe priorytety.

Seelah podniosła wzrok. To powinno się wkrótce zdarzyć.

- Nadlatuje jeździec! - zauważyła.

Herold wyczuł nadlatującego uwaka na długo przedtem, zanim pojawił się on na południowym horyzoncie. Jeździec skierował się wprost ku kolumnadzie, posadził zwierzę i zeskoczył na kamienną powierzchnię. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, ale on widział jedynie Seelah.

- Wielki Lordzie - rzekł, z trudem chwyając oddech. - To... stało się znowu... w Rabolow!

Seelah usłyszała jęk Korsina, a żółte oczy Ravilana omal nie wypadły z orbit. Kwatermistrz potrzebował jednak tylko sekundy, żeby się opanować.

- Rabolow? - zapytał.

- To okolice Jezior Ragnos, jeśli się nie mylę. - Seelah spozjrzała na Ravilana i uśmiechnęła się skromnie. - Właśnie tam mieli jechać wczoraj twoi ludzie, prawda, Ravilanie? Miasta nad Jeziorami Ragnos.

Skinął głową. Wszyscy już tam byli, kiedy o tym rozmawiano. Ravilan poczuł, że zasycha mu w gardle, i odchrząknął.

- Muszę... muszę teraz porozmawiać z moim współpracownikiem, który właśnie stamtąd wrócił. - Kuśtykając, wyminął Seelah, odwrócił się i uklonił. - Ja... naprawdę muszę się z nim spotkać, dowódco.

- Więc zrób to - odparła Seelah. Korsin nie mówił nic, wciąż oszołomiony najnowszymi wieściami i dziwnym zbiegiem okoliczności. Obserwował, jak Ravilan znika mu z pola widzenia, kierując się ku stajniom.

- Nadlatuje następny jeździec!

Korsin podniósł wzrok. Seelah uznała, że wygląda na przestraszonego, jakby bał się wieści, które może przynieść jeździec.

I przyniósł - o kolejnym mieście śmierci, znów znad Jezior Ragnos. Trzeci jeździec doniósł

o następnym. A potem o czwartym. Sto tysięcy Keshirich zginęło.

Korsin był wstrząśnięty.

- Czy to ma coś wspólnego z jeziorami? Z tymi... co to było? Algi Ravilana?

Seelah skrzyżowała ramiona i spojrzała Korsinowi prosto w oczy. Przygarbił się i byli teraz prawie takiego samego wzrostu. Chciałaby, żeby ten moment trwał dłużej...

...ale czekała ją jeszcze praca. Wezwała Tildena Kaaha.

Zmartwiony służący nadszedł od strony szpitala, niosąc niewielki pojemnik. Wzięła naczynie, a Tildena odesłała.

- Wiesz, co to było, Korsinie?

Korsin przez chwilę obracał puste naczynko w dłoni.

- Krzemian cyjanu?

Fiolka pochodziła z medycznych zapasów na „Omenie” i z zasobów, jakie Ravilan przechowywał dla stworzeń, którymi się opiekował. Seelah wyjaśniła, że środek w postaci stałej był



stosowany przez uzdrowicieli pracujących z Massassi jako środek kauteryzujący. Widziała wielokrotnie, jak go używali, kiedy była na służbie u Ludo Kressha. Nic słabszego z pewnością by nie zadziało na grube skóry tych dzikusów.

- Sam preparat jest wystarczająco silny - tłumaczyła. - Jeśli jednak dostanie się do niego wilgoć, jego działanie staje się tysiącrotnie silniejsze. Jedna cząsteczka może wyrządzić nieprzewidywalne szkody.

Krzaczaste brwi Korsina ściągnęły się.

- A co... co mógłby zrobić z wodą z jeziora? Albo z akweduktem?

Seelah wzięła go za rękę i spojrzała znowu prosto w oczy.

- To, co w Tetsubalu.

Przypomniała sprawę śmierci jej szpitalnego tragarza. Potężny Gorem został przydzielony do grupy Ravilana, aby pomóc dotrzeć do tego, co jeszcze zostało w zmiażdżonych resztkach „Omenu”. Widocznie dotknął poplamionej płyty pokładu w aptece Massassi i umarł wkrótce po umyciu rąk. Śmierć nie była natychmiastowa, ale ofiara nie zdążyła odejść daleko.

Ravilan musiał się zorientować, co spowodowało śmierć Gorema i zdał sobie sprawę, że oto ma narzędzie przeciwko Keshiri. Że w ten sposób może zmusić Korsina i resztę, by zapomnieli o osiedleniu się na tym świecie i zaczęli szukać sposobów jego opuszczenia.

A teraz wszystkie miasta, które w ciągu poprzednich dni odwiedzali członkowie grupy Pięćdziesięciu Siedmiu, poszły w ślady Tetsubalu.

Korsin chwycił swój fotel dowódcy i roztrzaskał go o marmurową kolumnę. Nie używał

Mocy. Nie musiał.

- Dlaczego oni to zrobili? - Chwycił Seelah za ramiona. - Nie wiedzieli, jak łatwo będzie odkryć, czyja to wina? Jak

bardzo muszą być zdesperowani...

- Właśnie - szepnęła Seelah, przytulając się do niego. - Jak bardzo muszą być zdesperowani?

Korsin spojrział w słońce, które paliło zbocze góry. Odsunął Seelah i popatrzył w twarze swych pozostałych doradców. Najwyraźniej zastanawiali się, co się dzieje.

- Sprowadźcie resztę - polecił. - Powiedzcie im, że już czas.

## **ROZDZIAŁ 4**

Seelah postanowiła, że opuści Ludo Kressha, zanim ten zemści się na jej rodzinie. Nie zdążyła. Jej pan zranił się w kostkę w czasie bitwy, a ona nie zdołała powstrzymać infekcji. Tej pierwszej nocy zabił jej ojca, a potem miał być ciąg dalszy. Seelah ujrzała okazję do ucieczki kilka dni później, kiedy grupa górników Sadowa zatrzymała się na Rhelg po paliwo. Do tego czasu i tak nie miała już nikogo.

Devore Korsin był celem jej ucieczki. Widziała jego niedojrzałość i brak rozsądku, ale również cechy, które mogła ukształtować. On także szarpał niewidzialne łańcuchy krępujące jego ambicje. Mógł stać się jej sojusznikiem. Kiedy Seelah będzie na służbie u Sadowa, coś może się wydarzyć - oczywiście, jeśli Devore tego nie zepsuje.

A jeśli nawet, to cóż, zawsze jeszcze jest ich syn...

Tej nocy na górze błyskały miecze świetlne wszędzie, tylko nie na głównym placu. Seelah przechadzała się wzdłuż pogrążonej w mroku kolumnady, ozdobionej teraz dodatkowymi dekoracjami - porośnięte mackami głowy Pięćdziesięciu Siedmiu tkwiły w białe na pale w równych odstępach.

Oto młody strażnik z wieży, schwytyany i zabity. Nigdy nie opuścił posterunku. Po prawej Hestus, tłumacz - Seelah była obecna przy jego egzekucji. Korsin zapowiedział, że rano wróci do niego, aby wyjąć mu cybernetyczne implanty. Kto wie, może coś z nich da się wykorzystać.

Wyczuwała Korsina i jego poruczników za zewnętrznym murem. Prowadzili pozostałych na ostatni apel nad przepaścią, gdzie „Omeri” dokonał żywota. Żadnej litości. Oczyma duszy

widziała Korsina, zrzucającego w dół każdego, kto się poddał.

Cóż, ma w końcu wprawę.

Przed nią wznosił się kamienny silos głównej stajni. Od centralnej kolumny promieniście rozchodziły się zagrody uvaków, gdzie keshirscy stajenni myli śmierdzące zwierzęta. Gdy weszła do okrągłego pomieszczenia, stwierdziła, że dzisiaj Keshiri już odeszli. Pośrodku, pilnowane jedynie przez siedzącego w mroku strażnika, wisiało bezwładne, ale wciąż żywe ciało Ravidana.

Mocne liny z uplecionych przez Keshiri włókien mocowały jego rozpostarte ramiona do gzymsów po obu stronach konstrukcji, która została zaprojektowana tak, aby uvak nie mógł odlecieć w trakcie kąpieli. Teraz w ten sam sposób krępowała Ravidana, którego stopy zwisały zaledwie kilka centymetrów nad ziemią. Seelah odskoczyła, kiedy z wysoko umieszczonych na wieży otworów chlusnęła woda, zalewając i dławiąc więźnia.

Strumień zatrzymał się po minucie, ale zauważenie obecności gościa zajęło Ravidanowi o wiele więcej czasu.

- Wszyscy zginęli - wykrztusił. - Prawda?

- Wszyscy zginęli - odparła, wchodząc w krąg światła. - Ty jesteś ostatni.

Ravidana schwyтали najwcześniej, gdy chora noga ostatecznie go zawiodła.

Potrząsnął głową.

- Zrobiliśmy to tylko raz - rzekł ochryłym głosem. - W Tetsubalu. Te inne miasta... sam nie wiem. Nigdy tego nie planowaliśmy...

- ...ale ja owszem - odparła Seelah.

Wszystko okazało się zaskakująco proste, jak tylko zorientowała się, co Ravidan zrobił w Tetsubalu. Czas był jedynym istotnym elementem.

Wróciła do górskiej rezydencji w nocy i wezwała swoich najbardziej zaufanych pracowników ze szpitala. Wkrótce po

północy jej poddani byli już w powietrzu, popędzając ułaski w kierunku miast nad jeziorami na południu, które ludzie Ravilana mieli odwiedzić poprzedniego dnia. Jej szpital miał jedyny ocalały zapas krzemianu cyjanu - a teraz znajdował się on w studniach i akweduktach miast nad jeziorami...iw ciałach martwych Keshirich. Czas był tu elementem kluczowym, ale nie musiała koordynować tego sama.

- T-ty to zrobiłaś? - Ravilan zakasłał i zachichotał słabo.  
- Zdaje się, że po raz pierwszy spodobał ci się któryś z moich pomysłów.

- Załatwił sprawę.

Krzywy uśmiech Ravilana znikł.

- Jaką sprawę? Ludobójstwo?

- Nagle się troszczysz o Keshirich?

- Wiesz dobrze, o czym mówię! - Ravilan napiął więzy. - Zginęli moi ludzie!

Seelah przewróciła oczami.

- Nie dzieje się tu nic, co nie mogłoby się zdarzyć w Imperium. Wiesz, jak tam się miały sprawy. A właściwie po czyjej stronie byłeś?

- Naga Sadów tego nie chciał - wyrzucił Ravilan. - Sadów cenił potęgę, kiedy ją rozpoznał.

Cenił starych i nowych. Cenił nas...

Skinęła głową strażnikowi i kolejna gwałtowna fala wody spadła na Ravilana.

Tym razem potrzebował więcej czasu, aby odzyskać równowagę.

- To mogło zadziałać - wykrztusił. - Mogliśmy współpracować... jak dawniej Sithowie i upadli Jedi. Gdyby tylko nasze dzieci... moje dzieci... przeżyły...

Podniósł wzrok, a woda ściekała strumieniami po jego skrzywionej twarzy.

- To ty, prawda?

Seelah w milczeniu podniosła wzrok na umieszczone

wysoko pod sufitem wyloty, z których wciąż jeszcze leciała woda.

- Ty - powtórzył głośniej. - Ty prowadziłaś złobek. Ty i twoi ludzie.

Jego twarz wykrzywiła się w bolesnym krzyku. Przyszłość jego ludu już dawno została zniszczona.

- Coś ty zrobiła? Coś ty nam zrobiła?

- Nic, czego byś w ostatecznym rozrachunku nie zrobił nam. - Seelah odeszła w cień, w stronę strażnika. - Nie jesteśmy twoimi Sithami. Jesteśmy nowym ludem i mamy szansę zrobić wszystko jak należy. Jesteśmy nowym plemieniem!

- Ale... niemowlęta! - jęknął Ravilan i zwiśł bezwładnie.

- Jak mogłaś... co z ciebie za matka?

- Matka ludu - odparła i skierowała wzrok na strażnika. - Teraz, mój synu.

Strażnik wyszedł z cienia... i Ravilan ujrzał zwałistą sylwetkę Jariada Korsina, który zbliżał

się do niego. Miał dziki wzrok swojego ojca w bladej twarzy pod masą ciemnych włosów.

Nastolatek skoczył na więźnia i bez żadnych oporów użył zębatego wibroostrza. Na koniec wyciągnął miecz świetlny i w gwałtownym rozbłysku szkarłatu ściął Ravilanowi głowę.

- Zmieniłeś dzisiaj świat - powiedziała Seelah, podchodząc bliżej do swojego syna i współnika. To on odegrał kluczową rolę w koordynacji wydarzeń poprzedniej nocy, prowadząc jej współników tam, dokąd mieli się udać. Powinien mieć swój udział także i w tej sprawie.

Chłopak dyszał ciężko, spoglądając na swoją ofiarę.

- Nie jego chciałbym zabić.

- Cierpliwości - odparła, gładząc go po włosach. - Bierz przykład ze mnie.

Tilden Kaah szedł cicho mrocznymi uliczkami Tahv, dopiero od niedawna wybrukowanymi kamieniami. Sithowie odesłali pozostałych dworzan Keshirich wcześniej rano, kiedy

zaczęło się całe zamieszanie. On jako jeden z ostatnich opuścił rezydencję. Ulice, zwykle nawet o tej porze ożywione, były niepokojąco ciche. Zobaczył jedynie samotnego członka Neshtovari w średnim wieku, trzymającego wartość na skrzyżowaniu. Pozbawiony swojego uvaka pewnie już wiele lat temu, wydawał się mocno znudzony.

Tilden skinął głową wartownikowi i udał się na plac w pobliżu jednego z wielu akweduktów miejskich. Kaskady świeżej górskiej wody spływały długimi falami z kanałów, ochładzając noc, która nagle wydała się gorąca. Tilden podszedł pod ścianę wody, włożył szatę, którą przyniósł, naciągnął kaptur i wszedł pod wodospad.

A raczej przeszedł przez niego.

Ociekając wodą, ruszył ciemnym przejściem wiodącym w głąb kamiennej budowli.

Kierował się ściszonymi głosami, które dobiegały z końca korytarza. Nie było tu światła - ale było życie. Zbliżając się, słyszał przerażone szepty - straszne wieści z południa właśnie zaczęły napływać do miasta. Można było sądzić, że zabobonni Keshiri spokojnie przełkną te okropne wydarzenia, powiedział ktoś w mroku. Że wszystko zrzucą na Destruktorów.

- I tak się stało - odezwał się Tilden. - Seelah uwolniła Zrodzonych z Nieba od Pięćdziesięciu Siedmiu. Z istot, które nie są podobne do Sithów, pozostał jedynie gruby człowiek, Gloyd.

- Seelah cię o nic nie podejrzewa? - odezwał się cichy kobiecy głos. - Nie odczytała twoich myśli?

- Nie uważa, abym był tego wart. Mówi mi tylko o starych legendach. Uważa mnie za głupca.

- Nie potrafi odróżnić naszych wielkich uczonych od głupców - odezwał się mężczyzna.

- Nikt z nich tego nie potrafi - odparł drugi. - Dobrze, niech tak zostanie. Seelah wyświadczyła nam przysługę, zmniejszając ich liczebność. Może zrobić jeszcze więcej -

Rozbłysło oślepiające światło, kiedy starzec Keshiri zapalił latarnię. W ciasnym pomieszczeniu tłoczyła się spora grupka, ale wszyscy patrzyli nie na Tildena, tylko na postać, która wysunęła się z cienia za jego plecami. Tilden obejrzał się i rozpoznał kobietę, która jako pierwsza się do niego zwróciła.

- Pozostań silny, Tildenie Kaah. Z twoją pomocą... z pomocą wszystkich nas, zebranych tutaj, Keshiri dokończą dzieła. - W oczach Adari Vaal błyszczał gniew. - To ja sprowadziłam na nas tę zarazę... I ja ją zniszczę.



**ZBAWCA**

## **ROZDZIAŁ 1**

4975 lat przed bitwą o Yavin

- Dzieci Kesh, wasi obrońcy wrócili. Znowu!

Korsin czekał, aż wrzask tłumów ucichnie, ale nie ucichł. Dowódca Yaru Korsin, Wielki Lord plemienia Sithów na Kesh, stał na mozaikowej platformie i spoglądał na morze pogrążonych w ekstazie fioletowych twarzy. Za jego plecami wznosiły się kolumny i kopuły nowego domu.

Dawne miasteczko tubylców Tehv stało się teraz stolicą Sithów.

Na miejscu dawnego Odwiecznego Kręgu szybko wznoszono budynki. Minęło dokładnie ćwierć wieku w standardowych latach od przybycia Sithów na Kesh. Korsin postanowił, że ta rocznica powinna być radosnym świętem, a nie żałobą. Poprzez dzisiejszą uroczystość zasygnalizował, że zamierza na zawsze pozostać wśród Keshirich.

Teraz, wiele lat po katastrofie, wiadomo już było, że nie da się naprawić „Omenu”. Nie było sensu mieszkać tam wysoko, na górze, w świątyni na miejscu katastrofy, kiedy na dole było tak pięknie. Korsin podniósł wzrok na spowity w chmurach szczyt na zachodnim horyzoncie. Została tam niewielka grupa Sithów i robotników Keshirich, zamykając rezydencję na górze. Bezpieczny w swoim sarkofagu „Omen” będzie tam zawsze, jeśli go będą potrzebować.

Korsin wiedział, że statek nikomu się nie przyda. Nikt po nich nie przybędzie - wiedział o tym od chwili, kiedy ujrzał stopione wnętrzości nadajnika. Planeta Kesh znajdowała się daleko od wszystkich szlaków, inaczej Naga Sadów już by ich

odnalazł. Ich i drogocenne lignańskie kryształy.

Zastanawiał się, co się stało z kapitanem Saesem i ze „Zwiastunem”. Czy przeżyli kolizję, która wytrąciła z kursu „Omen”? Czy upadli Jedi okryli się chwałą, która należała się Sithom po zwycięstwie pod Primus Goluud? A może Naga Sadów zabił Saesa za jego brak kompetencji?

Czy Sadów w ogóle jeszcze żyje?

Korsin wiedział, że to bezsensowne rozmyślenia. Musiał jednak pilnować, aby te wszystkie pytania pozostały żywe wśród jego ludu, tak długo, jak długo ktokolwiek będzie pamiętał, skąd się wzięły. Wymagało tego samo życie.

Trudno będzie utrzymać jaką taką równowagę. Sithowie, przed którymi była przyszłość już tylko na Kesh, zawsze będą ze sobą walczyć o pozycję - a to może oznaczać więcej takich dni jak ten, wiele lat temu, kiedy Korsin zmierzył się z Devore'em. Spojrzał na Sithów stojących na baczność po obu stronach szerokich, łupkowych schodów, wiodących w dół platformy. Tak wielu ludzi, tak wiele ambicji do zagospodarowania. Dlatego Korsin pozwolił im myśleć, że uruchomił

boję ratunkową, zanim uległa zniszczeniu. Perspektywa ucieczki miała jednoczącą moc, tak samo jak widmo przybycia potężnego władcy.

Musiał jednak dopilnować, żeby nadzieje na ucieczkę ustąpiły miejsca ich prawdziwemu zadaniu: przekształceniu Kesh w świat Sithów. To, co przytrafiło się ludziom Ravilana, wynikało częściowo z jego błędnego postępowania, choć rezultat wcale go nie zmartwił. W przeciwieństwie do żony nie miał nic przeciwko szkarłatnoskórym Sithom, ale wszelkie frakcje zawsze zagrażają porządkowi. Łatwiej jest rządzić jednorodnym ludem Sithów.

Żona... Poślubienie Seelah było kolejnym ukłonem w stronę stabilizacji, mostem pomiędzy załogą „Omenu” a jego pasażerami z górniczej brygady. Oto i ona: po drugiej stronie

podwyższenia wita dygnitarzy, którymi mogli zostać Keshiri. Witaała ich, owszem, ale nigdy ich nie dotykała.

Korsin też jej już nie dotykał. A szkoda, bo nadal była wspaniała, z czarnymi włosami opadającymi w skrętach wokół ciemnej, nieskazitelnej twarzy. Nie wiedział, jakich czarów użyła jej grupa ekspertów, ale nie wyglądała na więcej niż trzydzieści pięć lat.

Ten gest był jej pomysłem. Nienawidziła jałowego pejzażu górskiej rezydencji - ich nowy dom był przyjemniejszy z wyglądu, no i na pewno cieplejszy. Rzemieślnicy Keshiri i sithańscy projektanci wiele się od siebie nawzajem nauczyli. Oczywiście, użyto kamienia, ale zewnętrzne ściany pokrywały cierniste pnącza kwiatów dalsa. Wokół pojawiły się ogrody, zwłaszcza w pobliżu szemrzących, zasilanych akweduktem basenów. Było to miejsce, gdzie chciało się żyć.

Nie wszystkie miasta Keshirich były takie, jakie by się chciało, pomyślał Korsin, pozdrawiając kuśtykających przed nim starszych. Wiele lat temu mało brakowało, żeby utracił

wszystkich swoich ludzi. Masowe zgony w miastach nad jeziorami postanowiono zrzucić na brak wiary mieszkańców w boskość Plemienia. Zaaranżowano nawet pokaz dla wątpiących: znanego keshirskiego dysydenta zapędzono do Odwiecznego Kręgu, aby podburzał przeciwko „tak zwanym Obrońcom”; po chwili upadł i umarł, jakby zakrztusił się na śmierć własnymi słowami. Sam Korsin postarał się przy tym wyglądać na niezmiernie wstrząśniętego, ale komunikat był jasny.

Buntowników czeka zaraza i śmierć.

To Gloyd wpadł na pomysł tej zmyślnej sztuczki. Dobry, stary Gloyd. Teraz już raczej stary niż dobry. Posepny Houk stał teraz za nim z włączonym mieczem świetlnym, w roli oficjalnego ochroniarza Korsina - choć dawny artylerzysta wyglądał tak, jakby sam potrzebował ochrony. Był

ostatnim nieczłowiekiem, jaki pozostał z pierwotnej załogi. Wraz z nim do historii przejdzie cała epoka.

- Córa Zrodzonych z Nieba, Adari Vaal - zaanonsował Gloyd. Korsin natychmiast zapomniał o architekturze i sprytnych Houkach. Adari, ich tubylcza wybawicielka z dawnych czasów, skromnie podeszła bliżej i skłoniła głowę.

Korsin zauważył chłodną reakcję Seelah. Gdyby nie działa się to na oczach połowy Kesh, jej zachowanie byłoby jeszcze bardziej ostentacyjne. Zawsze się zdumiewał, kiedy widział je razem. Trudno było porównać obie kobiety. Seelah była atrakcyjna i świetnie to wiedziała - nie pozwalając nikomu o tym zapomnieć. Uważała Keshirich za brzydkich - jeszcze jeden dowód, że jej osądowi nie wolno ufać.

Jako Keshiri, Adari była osobą znacznie mniej znaczącą niż Seelah, a jednak ważniejszą.

Nie dotknęła jej Moc, ale miała bystry umysł, zmagający się z pojęciami daleko wybiegającymi poza oczywiste ograniczenia jej ludu. I miała wolę jak Sithowie, choć niekoniecznie dzieliła ich wierzenia. Korsin tylko dwa razy widział, jak zawodzą ją siły - pierwszy raz, najważniejszy, kiedy zgodziła się zachować w tajemnicy śmierć Devore'a. Dzięki temu otworzyło się wiele możliwości przed nimi obojgiem.

Adari spojrzała na Korsina ciemnymi, uważnymi oczami, tajemniczymi i pełnymi inteligencji. Ujął jej dłoń i uśmiechnął się. Zapomnij o Seelah, pomyślał.

Minęło dwadzieścia pięć lat. Uratował swoich ludzi.

To był dobry dzień.

Nie możesz odczytać moich myśli. Czy wiesz, jakie to dla mnie kłopotliwe? Nie obchodzi cię to? - myślała Adari.

Wysunęła dłoń z ręki Korsina i uśmiechnęła się z przymusem. „Powitaniem” Seelah specjalnie się nie przejęła. Ale Yaru Korsin zawsze spoglądał na nią, jak na pojazd, który mógłby kupić za pół ceny.

Próbowała się cofnąć i ruszyć dalej w tłum gości, ale Korsin chwycił ją za ramię.

- To także twój dzień, Adari. Stań przy nas.

Świetnie, pomyślała. Usiłowała unikać wzroku Seelah, chowając się za Korsinem. Jednak z zakłopotaniem nauczyła się radzić sobie na co dzień. Nigdy nie przywyknie do publicznych spektakli, takich jak ten.

A przecież wszystkie skończyły się dla niej pomyślnie, począwszy od najdawniejszego. W

tym samym miejscu stała przecież oskarżona o herezję. A kilka dni później przyjmowano ją tu jak bohaterkę - chociaż właśnie ściągnęła na swój lud plagę w postaci Sithów.

Teraz stary plac zniknął pod nowym budynkiem, a ona znów tu była, przyglądając się tłumom ignorantów. Keshiri w rozkosznej nieświadomości świętowali własne zniewolenie, zapominając o niezliczonych braciach i siostrach, którzy umarli od dnia przybycia Sithów. Wielu zginęło podczas zagłady miast nad jeziorami - ale jeszcze więcej tubylców padło przy ciężkiej pracy, próbując zadowolić swoich gości z przestworzy. Sithowie tak zniekształcili wiarę Keshirich, że nic już nie miało znaczenia. Wszystkie swoje nadzieje te ogłupione masy pokładały teraz w Sithach.

Nawet Adari nie była na to odporna. Przypomniała sobie śmierć własnego syna, Finna. Już jako nastolatek uparł się, aby dołączyć do brygad robotników. Dziecko Córy Zrodzonych z Nieba nie musiało pracować, ale najmłodszy syn Zhariego Vaala zbuntował się w typowy dla dzieciaków sposób, uciekając do brygady.

Pospiesznie wznoszone rusztowanie zapadło się i... W Adari także coś się załamało tego dnia, kiedy zaniosiła zmiażdżone ciało syna do świątyni i złożyła u stóp Korsina. Korsin od razu spróbował użyć magii Sithów - przez chwilę Adari miała nawet nadzieję, że Wielki Lord rzeczywiście zdoła przywrócić jej syna do życia. Ale to się oczywiście nie udało.

Adari i tak już wiedziała, że oni nie są bogami.

Tego dnia Korsin nie uniknął kłótni z Seelah - uzdrawianie było jej domeną - ale Adari nie pomyślała ani przez

chwilę, żeby konsultować się z jej medykami. Sithańscy lekarze byli zainteresowani zdrowiem Keshirich tylko tak długo, jak długo nie przekonali się, że ich choroby nie stanowią dla nich zagrożenia - i że nie mogą mieć z nimi dzieci. Może dlatego Seelah tolerowała przyjaźń Adari z Korsinem.

Po tamtym dniu jednak przyjaźń ta nigdy już nie była taka sama. Adari lubiła się uczyć od Korsina, ale śmierć Finna obudziła w niej sumienie. Chciała teraz dla swojego ludu czegoś zupełnie innego - jako przywódczyni podziemnego ruchu oporu Keshirich, składającego się z tych, którzy oprzytomnieli.

A teraz, po dwunastu latach, byli wreszcie gotowi do działania.

Z południa dobiegł dudniący grzmot. Wieża Sessal od niedawna przeżywała swoją drugą wulkaniczną młodość. Znajdowała się w bezpiecznej odległości, ale i tak przeszkodziła formacji jeźdźców uvaków, unoszących się nad pochodem.

Adari podniosła na nich wzrok - a potem twardo spojrzała na Korsina, którego włosy były już szare jak łupek.

Nauczyła się ukrywać przed nim swoje myśli, zachowując spokojną, pozbawioną emocji postawę. Potrzebowała jej teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Zmusiła się do uśmiechu. Wiele lat temu Korsin poprosił ją o ratunek. Wkrótce wybawi też własny ród.

Nie jestem takim dobrym nabytkiem, jak ci się zdaje, pomyślała. Kesh też nie.

Seelah obserwowała, jak formacja uvaków ląduje na płaskiej powierzchni. Lecieli bezładnie, jak amatorzy, co nie zrujnowało całego pokazu, ale zwróciło uwagę na niedociągnięcia.

A głównie na pierwszego jeźdźca, który właśnie zsiadł i ruszył w kierunku schodów. Na jej dwudzieste urodziny Yaru Korsin mianował pokrakę, którą nazywał córką, na dowódcę czegoś, co nie istniało: Strażników Zrodzonych z Nieba. Byli oni jedynie klubem sithańskich jeźdźców, przydatnym przy

takich okazjach, jak dzisiejsze zgromadzenie. A Nida Korsin właśnie pokazała, że nie potrafi dokonać nawet tego.

Drobiazg, że Nida była również jej córką, nie miał dla niej znaczenia. Strój dziewczyny urągał obecnej modzie. Seelah podejrzewała, że kurtka i spodnie ze skóry uvaka miały nadać jej dziarski i energiczny wygląd, ale wchodząc teraz pod górę w kolejce gości mała Nida wyglądała po prostu komicznie. Seelah widziała w dziewczynie swoje oczy i wysokie kości policzkowe, ale niewiele więcej - krótko obcięte włosy i kolorowe malunki na twarzy całkiem zmarnowały naturalną urodę, którą prawdopodobnie odziedziczyła. Ta dziewczyna nigdy by nie przeszła żadnej z niesławnych inspekcji matki.

- Ona jest córką Wielkiego Lorda - syknęła Seelah do Korsina, kiedy dziewczyna ich mijała.

- Co sobie muszą myśleć Keshiri?

- A odkąd to się tym przejmujesz?

Nida poczłapała w dół, powitana przez Korsina ledwie skinieniem głowy. Teraz czas na prawdziwy pokaz.

Z tłumu rozległy się krzyki - najpierw zaskoczenia, potem zachwyty. Z różnych miejsc w tłumie wyskoczyło dwunastu akrobatów w kostiumach i ceremonialnych maskach Keshirich.

Unieśli się wysoko w powietrze, jednocześnie pozbywając się płaszczy. Lądując na terenie oczyszczonym z gapiów stanowczym naporem Mocy, czarno ubrani akrobaci okazali się Mieczami, nowym oddziałem honorowym Plemienia. Szkarłatne ostrza ich mieczy świetlnych tańczyły w powietrzu, kiedy wykonywali skomplikowane ćwiczenia. Ostatnie ewolucje wywołały wśród Keshirich wybuch entuzjazmu, po którym Gloyd ogłosił: - Arcylord Jariad z rodu Korsinów!

Główny Miecz pewnym krokiem wstąpił na centralne schody i zbliżył się do podwyższenia, napawając się spojrzemiami oczarowanych Keshirich. Jariad, o perfekcyjnie



ułożonych hebanowych włosach i brodzie, szedł z poczuciem historycznej misji. Zdżiczałe dziecko Devore'a Korsina i Seelah dorosło.

Z wciąż zapalonym mieczem świetlnym Jariad stanął przed Yaru Korsinem. Bratanek i pasierb był o dobre trzydzieści centymetrów wyższy od Wielkiego Lorda - i nie umknęło to uwagi nikogo z obserwatorów. Wymienili lodowate spojrzenia. Potem Jariad ukląkł, unosząc miecz tuż nad swoim opalonym karkiem.

- Żyję i umrę na twój rozkaz, Wielki Lordzie Korsin.

- Wstań, Arcylordzie Korsin.

Seelah z ulgą ujrzała, jak syn wstaje i pozwala się objąć. Tłum zahuczał. Pomimo tytułu i koneksji rodzinnych, Jariad nie był spadkobiercą władzy Korsina ani trochę bardziej niż - Seelah.

Korsin od dawna trzymał w tajemnicy swoje plany sukcesyjne. Siedmiu Arcylordów, których sam wyznaczył, było jedynie doradcami. Seelah wiedziała, że gdyby to jednak Jariad stał się jedynym faworytem, zarówno Sithowie, jak i Keshiri uznają jego prawo - tak czy inaczej. Cieszyła się, że jej syn zareagował dokładnie tak, jak mu poradziła. Pięć minut Yaru Korsina dobiegało końca, ale miejsce nie było odpowiednie na jakieś działania.

Jariad pozdrowił pozostałych, zwracając szczególną uwagę na Adari. Keshirska kobieta cofnęła się i spuściła wzrok. Seelah wiedziała, że to nie ze wstydu, choć ta niezdolna nudziara miała wiele powodów do skromności. Odkąd jej syn urósł i zaczął przypominać ojca, zawsze, gdy tylko się pojawiał, Seelah przechwytywała tajemne myśli Adari. Zastanawiała się nad tym co jakiś czas. Czy Korsin pochwalił się swojej wywołce, że zabił Devore'a? Czy to by wystarczyło, aby wywołać tak silną reakcję?

Wreszcie Seelah poznała odpowiedź - i to głęboko w jej myślach. Szperała już w umyśle Adari, kiedy po raz pierwszy

spotkały się w ciemności na górze. Wtedy szukała jakiegokolwiek szansy na ratunek. Po namyśle jednak doszła do wniosku, że to morze kamieni i fioletowe twarze tkwiące w myślach tej głupiej obcej zawierają coś jeszcze. Coś, co Adari widziała ledwie przelotnie, ale co nią wstrząsnęło: ciało, zrzucone z klifu we wzburzone fale.

Adari Vaal musiała widzieć, jak Yaru zabija Devore'a Korsina.

A Seelah wreszcie także to zobaczyła.

Jariad podszedł do matki i spojrzał na nią porozumiewawczo.

- Już niedługo - szepnęła.

Musieli uważać. Korsin miał przyjaciół, głównie ze stałej załogi „Omenu”, ale pozostało także wielu zwolenników Devore'a Korsina. Szeptane opowieści, głoszące, że dowódca zataił

wiadomość o ich rozbiciu, zyskały im dalszych sprzymierzeńców. Już ona dopilnuje, aby każdy z nich znalazł się na właściwym miejscu we właściwym czasie.

Tłum ryknął znów, kiedy Korsin ujął dłoń żony i skierował się na stopnie wiodące do ich nowego domu. Seelah się uśmiechnęła.

Dwadzieścia pięć lat. Nie straciła nic ze swojej nienawiści.

Koniec był bliski.

## ROZDZIAŁ 2

Korsin natychmiast rozpoznał ten dźwięk. W długiej galerii, tuż za korytarzem wiodącym do jego gabinetu, słysząc było trzask mieczy świetlnych.

Jariad zawirował na lśniącej podłodze i rzucił się na trzech przeciwników - ubranych w czerni Mieczy. Tym razem ich ostrza nie kręciły nieszkodliwych młynków w powietrzu. Napastnicy skoczyli na Jariada i natychmiast zostali odepchnięci ze wściekłą furją.

Załatwiał przeciwników po kolei - jednego pogrzebał pod przewróconym posągami, drugiego wyrzucił przez nowiutką szybę z przydymionego szkła. Trzeci zobaczył, jak jego miecz toczy się w głąb korytarza, kiedy Jariad oddzielił mu dłoń w rękawicy od przegubu.

Pojawił się Korsin, trzymając w ręku miecz świetlny i uciętą dłoń.

- Jesteś pewien, że chcesz tę twoją grupę nazwać Mieczami? Wydaje się, że już ich nie mają.

Jariad wyłączył broń i odetchnął głęboko.

- Właśnie to ci chciałem pokazać, Wielki Lordzie. Zbyt szybko ich rozbroiłem.

- Nie powinieneś brać tego tak dosłownie, synu - odparł Korsin, rzucając rękę jej zszokowanemu właścicielowi, leżącemu na podłodze. - Wiesz, że nie dysponujemy tu nowoczesnymi laboratoriami medycznymi.

- Nie ma u nas miejsca na niekompetencję.

- To tylko ćwiczenia, Jariadzie, nie Wielka Schizma. Odetchnij chwilę i wyjdź na zewnątrz.

Korsin westchnął ciężko. Pomimo uczuć, jakie żywił do niezjącego przyrodniego brata, próbował jakoś pokierować Jariadem, ale po prostu się nie dało. Jariad miał w sobie te same naturalne skłonności, które zrujnowały Devore'a. Albo nic nie robił - albo robił zbyt wiele. Na szczęście na Kesh nie ma narkotyków, pomyślał Korsin. Jariad mógłby i w tej sprawie pójść w ślady ojca.

Korsin wyszedł na prześwitujące przez dym światło słoneczne. Wulkan ostatnio popsuł

wiele ładnych dni. Natychmiast pojawił się keshirski służący, przynosząc napoje.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Jariad, wychodząc naprzeciw ojczyma. - W mieście zbyt wiele spraw odwraca uwagę Mieczy.

- Tak, to prawda - rzekł Korsin, rzucając okiem na dziedziniec. Właśnie przybyła Adari Vaal.

Jariad ją zignorował.

- Wielki Lordzie, proszę o pozwolenie przeniesienia Mieczy na Północne Rubieże, na misję szkoleniową - powiedział. - Tam będą się mogli skupić.

- Co takiego? - Korsin spojrzał na bratanka. - Ach, tak, oczywiście. - Wziął z tacy drugi kubek. - Wybacz moje roztargnienie.

Korsin był pewien, że Adari patrzy na niego. Kiedy jednak dołączył do niej w ogrodzie, przekonał się, że przygląda się reliefowi, który właśnie artyści rzeźbili na trójkątnym frontonie budynku.

- Co... co to takiego? - zapytała.

Korsin zmrużył oczy.

- Jeśli się nie mylę, to wyobrażenie moich narodzin. - Pociągnął łyk. - Nie jestem pewien, co z tym mają wspólnego słońce i gwiazdy.

W każdym miejscu pałacu, gdzie się tylko spojrzało, Keshiri umieszczali jakieś nawiązania do jego boskości.

Zachichotał pod nosem. Naprawdę udał nam się marketing, pomyślał.

- Nie spodziewałem się ciebie dzisiaj - rzucił.

- Jesteśmy teraz sąsiadami - zauważyła, machinalnie biorąc szklanke.

- W tej olbrzymiej rezydencji jestem sąsiadem połowy mieszkańców Kesh.

- A druga połowa myje ci w domu podłogi... - Adari urwała nagle i spojrzała mu w oczy. Od czasu do czasu zabawiała się w przekraczanie pewnych granic. Korsin roześmiał się serdecznie.

Zawsze go bawiła.

Kiedy jednak w powietrzu załopotaly skórzaste skrzydła, Wielki Lord pojął prawdziwy cel jej wizyty. Tona, jej drugi syn, wybiegł z ozdobnej przybudówki, żeby złapać uzdę lądującego uvaka. To Nida Korsin wróciła z porannej przejażdżki.

Korsin mianował Tonę głównym stajennym dla grupy Nidy tuż po jej utworzeniu. Młody człowiek wydawał się dość sympatyczny, choć średnio bystry. A Nida chyba go polubiła. Adari odprowadziła syna na bok i przez chwilę rozmawiali cicho.

Znów spojrzała na Korsina.

- Przepraszam, ale mam coś do załatwienia w mieście.

- Zobaczę cię jeszcze?

- Dzisiaj?

- Nie, w ogóle? - roześmiał się znów Korsin. Wydaje się zakłopotana, pomyślał i zaczął się zastanawiać, dlaczego. - Oczywiście, że dzisiaj. Przecież teraz mieszkamy w tym samym mieście.

Adari podniosła wzrok na olbrzymi budynek, wznoszący się za ich plecami.

- Naprawdę trudno bardziej mieć mnie u boku - zmusiła się do uśmiechu.

- Cóż, chciałem tylko powiedzieć, że jutro mnie nie

będzie - wyjaśnił Korsin. - Szpital Seelah przenosi się tutaj ze świątyni. Jutro rano muszę udać się na górę i sprawdzić wszystko przed zamknięciem. Tylko na jeden dzień.

Słuchając uważnie, położyła mu dłoń na rękę.

- Muszę iść.

Korsin spojrział na córkę, stojącą po drugiej stronie placu. Nida zatrzymała się, aby popatrzeć, jak Jariad i jego pobici przeciwnicy maszerują powoli ku swoim wierzchowcom.

A Tona się jej przyglądał.

- Twój syn musi uważać, Adari - odezwał się Korsin. - Spędza wiele czasu z Nidą. -

Uśmiechnął się ironicznie. - To urok Korsinów sprawia, że wy, Vaalowie, wciąż tu jesteście.

- Cóż, chyba nie dzisiaj, Wielki Lordzie - odparła i skinęła na syna. - Tona idzie ze mną.

Sprawy rodzinne.

- Rozumiem - odparł Korsin. Sprawy rodzinne, jasne. Obserwując, jak Jariad odlatuje na północ, żałował, że sam nie ma ich mniej.

Wiele lat temu dręczycielem Adari Vaal był Izri Dazh. Inkwizytor Neshtovari oskarżył ją o herezję, bo nie szerzyła legend o stworzeniu Kesh i o udziale w nim miejscowych bogów, Zrodzonych z Nieba.

Dazh nie żył od dawna. A teraz jego synowie i wnuki siedzieli w milczeniu przed Adari w oświetlonym świecami salonie Dazhów. Członkowie ruchu oporu Adari spotykali się od lat w wielu miejscach, od kryjówki pod akweduktem do kąta za stajnię uvaków, którą Tona prowadził w Tahv, ale rzadko przychodziło im naradzać się w takich luksusach. Cóż, takie warunki były uważane za luksus, dopóki Adari nie sprowadziła tamtych ludzi, którzy twierdzili, że są Zrodzonymi z Nieba i zmienili większość pojęć. Na razie w domu, który niegdyś tymczasowo zajmował sam Wielki Lord Korsin, Neshtovari i heretyczka wspólnie decydowali o losach ludu Keshiri.

- To powinno się udać - powiedziała Adari. - Nauczyliście mnie wiele o uvakach i wyjaśniliście, co mają zrobić wasi ludzie. Uda się.

- Lepiej, żeby tak było - burknął najstarszy z mężczyzn. - Wiele temu poświęcamy.

- Tak, wiele poświęciliście. To jedyna droga powrotu.

Adari wiedziała, że ryzykuje, wprowadzając do swojego kręgu Neshtovari. Ale musiała to zrobić, póki starsi z nich wciąż jeszcze pamiętali, co zostało im zabrane przez Sithów.

Wspomnienie wszystkich korzyści, jakimi jej dawna społeczność - niesłusznie - obsypywała jeźdźców uvaków, teraz zapewniło ich współpracę.

Adari niedawno dopiero zrozumiała, że uvaki to klucz. Sithowie byli potężni: w pojedynkę mogli utrzymać w ryzach dziesiątki Keshirich, może nawet całą wioskę. Ale myśleli najpierw do tej wioski dotrzeć. A Kesh z jego rozległą powierzchnią i dzikimi zakątkami nie zawsze na to pozwalała.

Sithów było już prawie sześciuset, a więc od czasu przybycia prawie podwoili swoje szeregi. Osady Keshirich też jednak pozostawały liczne. Konieczność utrzymywania porządku wymuszała na Sithach częste loty na uvakach w głąb łądu. Jeźdźcy uvaków poprzedniej ery zjednoczyli kontynent, pokonując wiele naturalnych barier. Teraz Sithowie zastosowali tę samą metodę, wysyłając napowietrznych posłańców, aby naradzali się z lokalnymi biurokratami, często byłymi członkami Neshtovari.

Jeśli jednak Neshtovari stali się reprezentantami Sithów na planecie, sami zostali uziemieni.

Sithowie zagarnęli wprawdzie dla siebie najsilniejsze uvaki tuż po przybyciu, ale wciąż tysiące udomowionych zwierząt pozostawało własnością Keshirich. Większość wykorzystano jako zwierzęta robocze, ale Neshtovari, niezależnie od innych obowiązków administracyjnych, wciąż mogli latać na uvakach do górskiej twierdzy Sithów.

To uległo zmianie dopiero po katastrofie nad jeziorami. Jeźdźcy uvaków byli tradycyjnie roznosicielami wieści wśród Keshirich, ale Sithowie chcieli, aby teraz rozgłaszano wyłącznie ich słowa. Dawni jeźdźcy, których nie odesłano do prac policyjnych, opiekowali się teraz stajniami, karmiąc zwierzęta, których nigdy nie będzie im dane osiąść. Ich uvaki należały do jakiegoś Sitha, który być może był jeszcze w powijakach. Adari pozwolono zachować Ninka, aby mogła odwiedzać Korsina, ale nikomu więcej.

- Korsin jedzie jutro do górskiej świątyni - powiedziała. - Seelah już tam jest, a Jariad wyjechał na północ.

Mężczyźni Neshtovari pokiwali głowami.

- Bardzo dobrze - rzekł najstarszy. - Jest nas wystarczająco dużo w każdym miejscu, jeśli dobrze policzyłaś.

- Dobrze policzyłam. - Do ruchu Adari należeli także keshirscy urzędnicy na dworach wielu znaczniejszych Sithów. Tilden Kaah policzył tych z dworu Seelah, inni trzymali się w pobliżu Korsina i Jariada. A jej syn obserwował pilnie latający cyrk Nidy. - Zaczynamy jutro w południe.

Uda się. Wychodząc na oświetloną pochodniami alejkę przed domem, pomyślała o Korsinie.

Wezwany przez Seelah nie pojedzie do świątyni sam, nawet w najbliższej sprawie. Ponownie sprawdziła liczby, które wypisała sobie na dłoni. Tak, wystarczy tam ludzi tylko wśród pomocników stajennych, którzy będą zamykać boksy.

Z ciemności wyłonił się Tona.

- Czekałem na ciebie.

- Przepraszam - odrzekła, spoglądając w górę. - Chcieli jeszcze raz wszystko omówić.

Kiedy syn wszedł w krąg światła, dostrzegła na jego twarzy lekkie rozczarowanie. Zawsze myślała, że jej dwaj synowie bardziej przypominają ojca; teraz, kończąc trzydziestkę, Tona zaskoczył matkę podobieństwem do niej.

- Powinienem być z tobą, matko. Też należę do



Neshtovari.

- Są po prostu ostrożni, Tona. Im mniej ludzi zna szczegóły, tym lepiej.

- Chcę pojechać z tobą jutro - upierał się syn.

- Masz tu własne zadanie do wykonania - zaprotestowała. - Zobaczmy się, kiedy je wypełnisz. - Dotknęła jego policzka. - Nie powinienes na długo oddalać się od Nidy i jej ludzi.

Jutro będzie ciężki dzień. Prześpij się trochę.

Obserwowała, jak syn oddała się w mrok. Miły, prostoduszny Tona. Nie powiedziała mu wszystkiego, ale jakże by mogła? Jej zmarła matka nigdy nie zrozumiała ani jej herezji, ani potem kanonizacji. Jak syn ma zrozumieć jej męczeństwo?

Zaczął się złoty wiek, pomyślała Seelah, rozglądając się po pustej sali szpitalnej. A to jej zasługa.

Przez te lata, kiedy prowadziła zespół medyczny Plemienia, wykonali dobrą robotę.

Wszystkie lokalne choroby zostały zidentyfikowane i opanowane. Z pomocą Keshirich biolodzy Seelah przeszukali pola i łąki, badając zioła użyteczne dla ludzi. Umiejętności leczenia Mocą u jej ludzi zamiast zanikać, jeszcze się wzmocniły. Podobnie jak przeżywalność ofiar amputacji.

Plemię było teraz także bardziej czyste rasowo - dzięki jej trosce o eugenikę. Za kilka pokoleń krew Sithów na Kesh będzie wyłącznie ludzka. Szkoda, że ona sama tego nie dożyje.

A może jednak? Była to miła myśl.

Ale i tak przyjemniej już było patrzeć na Sithów. Wpajała młodzieży szacunek dla własnych ciał, chęć uzyskania doskonałości fizycznej. Lordowie Sithów, których pozostawili w Imperium, wyglądali jak błazny: większość hołdowała barbarzyńskiej modzie na błyskotki i barwy wojenne.

Plemię Seelah nie pójdzie ich śladem. Tatuaze to oznaczenia dla niewolników. A każdy Sith z Kesh już w chwili narodzin ma być doskonały.

Po stratach odniesionych w czasie czystki, od ostatnich kilku lat liczebność Plemienia zaczęła wzrastać bardzo szybko. Perspektywa wygodnego domu nad morzem wystarczyła, aby nawet najbardziej niezależnie myślący Sith zapragnął założyć rodzinę. Na dziedzińcu Seelah dostrzegła właśnie główną hedonistkę Plemienia, Orlendę, w mocno zaawansowanej ciąży. Cudom nie ma końca.

- To chyba wszystko - oznajmiła Orlenda, opierając się o wózek wyladowany zapasami, które mieli przewieźć do Tahv. Młodsza kobieta nerwowo spojrzała w dół. Korsin mógł przybyć w każdej chwili. - Czy... czy jestem tutaj potrzebna? Nie mogę latać, ale mogłabym zjechać na dół w wozie z delikatnymi towarami.

Seelah zagryzła wargę. Jeśli Korsin po przyjeździe zobaczy u jej boku Orlendę, będzie swobodniejszy. Ale jeśli coś im się nie powiedzie, przekonania Seelah mogą przetrwać dzięki Orlendzie.

- Możesz iść - powiedziała z westchnieniem. - Ale szybko, bo już nadjeżdżają.

Orlenda ruszyła za keshirskimi tragarzami. Poza uvakami były to jedyne juczne zwierzęta na Kesh.

Już pora. Seelah ruszyła pospiesznie w kierunku placu utworzonego przez domostwa i kurhan „Omenu”. Świta Korsina wylądowała na drugim końcu, dla odmiany o czasie. Czterej ochroniarze Korsina i Gloyda zajęli stanowiska, a keshirscy pomocnicy odprowadzili uvaka. Stajnie będą ostatnim miejscem, które zamkną.

Korsin obserwował otaczający go plac.

- O, Seelah... tu jesteś. - Podeszedł do niej i wyszli na otwartą przestrzeń.

- Ty też tu jesteś. - Zamknęła oczy i skoncentrowała myśli. Jariad, teraz!

## **ROZDZIAŁ 3**

Korsina zaskoczył tak bardzo nie tyle ruch ciał, co miejsce, z którego wyskoczyli. Czarno odziani Sithowie wyskoczyli na plac z kwater mieszkalnych - drzwi, górnych okien, dachów - i z zakamarków wielopiętrowej świątyni „Omenu”. Korsin włączył miecz świetlny i stanął w gotowości, czekając na nadejście napastników. Byli to Miecze Jariada, ta sama grupa, co wczoraj rano.

Korsin wymienił spojrzenia z Gloydem. Ochroniarze otoczyli ich, tworząc obronny murek, twarzami zwrócony na zewnątrz. Czterech na jednego.

- Trzymać się razem - polecił Korsin.

Obserwował, jak Jariad pewnym krokiem wychodzi z bramy świątyni z zapalonym mieczem w dłoni.

- To mi nie wygląda na Północne Rubieże, Jariadzie - zauważył Korsin.

Bratanek nie odpowiedział. Miał w oczach to samo dzikie spojrzenie, spojrzenie Devore'a.

- Zgodziłem się oddać ci ten oddziałek, żebyś miał się czym zająć - zawołał Korsin. Zwrócił

się do posępnych towarzyszy Jariada. - Powinniście się wstydzić. Wracajcie do Tahv.

- Ja nie jestem Nida - odparł Jariad, zbliżając się coraz bardziej. - Nie mam żadnego hobby.

Stracono już zbyt wiele czasu.

Obszedł swoich konfederatów, którzy utworzyli teraz krąg lśniących mieczy świetlnych wokół grupy Korsina.

- Czas na rozliczenia, dowódco Korsin. Sam to

powiedziałeś. Zaświtała nowa era. Pora skończyć z panowaniem wojska. Trzeba pomyśleć o sukcesji, o tym, kto będzie władał Plemieniem.

- Na przykład kto? Ty? - Korsin próbował udawać zaskoczenie... nawet się roześmiał. - Och, Jariadzie. Chyba nic z tego. Wracaj do domu.

Jariad znieruchomiał, świadom czujnych spojrzeń swoich podwładnych. Gloyd, który zrozumiał żart, ryknął śmiechem.

- Dowódcu, nie powierzyłbym mu nawet sprzątanía stajni uvaków.

- To ja jestem przyszłością! - huknął Jariad. - Jestem najmłodszy z tych, którzy urodzili się na wysokościach. Wszyscy Sithowie po mnie przyszli na świat na Kesh. - Uniósł miecz. -

Przywódca Sithów powinien być kimś szczególnym.

Korsin zmierzył go wzrokiem i warknął:

- Nie jesteś nikim szczególnym. Widziałem już wielu takich jak ty.

Nagle usłyszeli kobiecy głos:

- Opowiedz mu o tym!

Seelah. Zapomniał o niej. Stała na skraju placu, otoczona kilkorgiem lojalnych dworzan.

Wszyscy byli uzbrojeni.

- Opowiedz mu, że widziałeś śmierć jego ojca, Yaru. Opowiedz mu o tym, jak zabiłeś go i zrzuciłeś jego ciało ze skały, żeby zachować nad nami kontrolę!

Korsin chciał już odpowiedzieć, ale Jariad cofnął się o krok. Miecze zacieśnili krąg.

Widocznie Jariad postanowił, że to na nich spadną pierwsze ciosy, zanim sam zacznie zabijać.

Korsin wyprostował się i spojrzał w niebo. Południe.

Nagle w jego polu widzenia pojawiły się ciemne sylwetki. Pięć, dziesięć, całe tuziny.

Wzbiły się w niebo spoza świątyni. Uvaki.

Ich uvaki.

- Co, do wszystkich... - Jariad spojrział na matkę. Seelah najwyraźniej nie wiedziała więcej niż on.

Dopiero jeden z jej dworzan udzielił odpowiedzi, bez tchu wbiegając na schody wiodące na płac.

- To pomocnicy stajenni! Keshiri! Kradną nasze uvaki!

Miecze Jariada spojrzeli ze zdumieniem w niebo. Korsin ujrzał w tym swoją szansę. Wraz z Gloydem rzucili się na czarno ubranych przeciwników, stojących najbliżej, wycinając krwawą ścieżkę w kierunku najbliższego budynku. Ochroniarze zamykali odwrót, blokując pościg, jak mogli najlepiej.

Korsin i Gloyd wpadli do budynku, ścigani przez tłum Mieczy. Korsin ruszył ku schodom, kiwając na Gloyda, aby pobiegnął za nim.

- Niezła sztuczka, dowódco! - wysapał Gloyd. - Ale przydałoby nam się coś lepszego.

- To nie mój pomysł - odparł Korsin. - Ale generalnie masz rację!

Niecierpliwie spojrział w niebo. Na próżno sondował je Mocą. Został sprowadzony z góry wiele lat temu, ale czuł, że jego wybawczym jest teraz bardzo daleko.

Od ostatniego szalonego lotu wiele lat temu umiejętności jeździeckie Adari zdecydowanie się poprawiły. Zręcznie poprowadziła Ninka świecę w górę, lecąc wzdłuż zębatej linii brzegowej.

Za nią niknęła ponad setka uvaków - wszyscy mieszkańcy stajni w górskiej świątyni. Dosiadali ich keshirscy pomocnicy stajenni, służba i robotnicy. Wszyscy członkowie ruchu Adari zostali tam rozlokowani tego dnia. Jeśli nawet w świątyni został Sithom jakiś wierzchowiec, nikt nie wykorzystał go do pościgu.

Stado, które zbliżało się ku nim ze wschodu, także należało do jej ruchu. I przybędą kolejni.

We wszystkich osadach na całym kontynencie będzie się działo to samo: konspiratorzy Neshtovari, opiekujący się swoimi uvakami, teraz ich dosiędą i wzbiją się w powietrze, nie pozostawiając ani jednego.

Jeźdźców nie wystarczy, ale to nie miało znaczenia. Wprawdzie uvaki nie były zwierzętami stadnymi, ale nawet nieujeżdżone jeszcze okazy mocno reagowały na grzmiące ryki starszych samców - dokładnie takich, jakimi zajmowali się Neshtovari. Od setek lat opowiadano o masowych powietrznych spędach, gdzie jeźdźcy prowadzili całe stada tych gadów. Grupa Adari miała być czołem burzy, porywającym wszystkie zwierzęta z przestrzeni. Tak zaplanowali trasę, żeby pociągnąć za sobą każdego uvaka, który nie jest przywiązany, aż do Wieży Sessal, wznoszącej się przed nimi w całym dymiącym majestacie.

Tu, w bezpiecznej odległości od krateru, przywódcy posadzą swoje zwierzęta po to, żeby z nich zsiść. A potem przebywająca w powietrzu Adari poleci Ninkowi wydać okrzyk godowy: potężny rozkaz, nakazujący wszystkim uvakom w zasięgu słuchu, żeby poleciały za nim.

Czterdziestoletni, wypiełgnowany Nink był najstarszym uvakiem w historii. Wszystkie inne na pewno posłuchają jego rozkazu - chociaż na chwilę, ale to wystarczy, żeby Adari zdążyła zanurzyć się w chmurach wysoko nad dymiącym kraterem - i zniknąć.

To nie będzie samobójstwo. To będzie wybawienie.

Sithowie wędrowali daleko na grzbietach uvaków, ale to Neshtovari mieli wpojoną przez pokolenia wiedzę o prądach powietrza na Kesh. Wiedzieli, jak dziwne harce wyprawia strumień pary, kiedy Wieża Sessal się uaktywnia. Jeźdźcy, którzy lecieli wystarczająco nisko, po prostu znikali, zapadając za poranny horyzont, ponad wielkim wschodnim morzem. Adari wzniesie się wysoko, a potem wiatr porwie ją i wszystkie uvaki, które polecą za nią.

Nie żywiła sympatii do tych zwierząt, ale skrzywiła się na myśl, co się potem z nimi stanie.

Oszalałe stado będzie walczyć z wirem, ale na tej wysokości to Kesh dyktuje prawa. Możliwe, że podobne zjawisko zniszczyło statek Sithów - Adari nie była tego pewna. Zanim jednak wiatry osłabną, ona - i każdy uvak, którego przekona, aby za nią poleciał - trafi w zabójcze objęcia oceanu.

Zupełnie jak mój mąż, pomyślała.

Jej współspiskowcy kochali swoje uvaki, ale jeszcze bardziej nienawidzili Sithów. Często zastanawiali się, co będzie później. Przywódcy Sithów zejść pewnie na brzeg po ścieżce dla służby, ale to im zajmie wiele czasu - dość, aby sojusznicy Adari uderzyli w głównych sympatyków Sithów w każdej wiosce. Każdy opór pokonają ostrzami shikkar. Sithowie mogliby być z nich dumni.

Oczywiście, Sithowie też zastosują siłę. Tahv bez wątpienia odczuje ich gniew, ale będą musieli prowadzić swoje działania na piechotę. Cały transport zniknie z mapy - dosłownie. A Keshirim łatwiej będzie wybić pozostałe, zbłąkane uvaki niż Sithów.

Sithowie muszą teraz chronić własne młode. Może ogrodzą sobie jakiś kawałek terenu i na tym się skończy. A lepiej niech na zawsze zaszyją się w swojej górskiej twierdzy. Większość Keshirich wciąż idealizowała Obrońców - ale dopóki znajdzie się kilku chętnych do otrucia swoich panów, zawsze będą zagrożeniem.

Jeżeli oczywiście trucizna w ogóle zabija Sithów. Adari nigdy nie podzielała entuzjazmu swoich współspiskowców co do następstw całej akcji. Wiedziała, do czego zdolni są Sithowie.

Może trzeba będzie poświęcić tysiąc Keshirich, żeby zabić jednego? Cóż, jeśli nawet, to w tej chwili liczby są po ich stronie. Później już tak nie będzie. Dlatego trzeba to zrobić dzisiaj.

Kesh tętnił życiem. To tragedia, że jeden z miejscowych gatunków zapłaci najwyższą cenę za swoją użyteczność. Ale Keshiri zapłacili już wysoką cenę, służąc Sithom. Wszystko kiedyś się kończy.

Grupa połączyła się ze stadami ze wschodu i Adari zawróciła Ninka, żeby spojrzeć w kierunku Tahv. Tak, to będzie ogromna fala.

Kiedy już nadleci.

Gdzież oni są?

Seelah przebiegła po dachu swojego dawnego domu. Pół życia budziła się, patrząc na ten sam ocean, który pochłonął Devore'a. Teraz, spoglądając w dół, widziała, jak fale zamykają się na człowieku, który go tam posłał.

Nie wiedziała, kiedy Korsin i Gloyd się rozdzielili. Potężny Houk wciąż żył, wiedziała o tym, bo jej lojalni dworzanie zagonili go do innej części kompleksu, Korsin był jednak ważniejszy.

Dobrze dobrał swoich ochroniarzy. Przy życiu pozostało już tylko dwóch, rannych, ale skutecznych w beznadziejnej obronie.

Tymczasem oddział Mieczy Jariada zdradzał solidne braki w wyszkoleniu. Jariad postanowił być ich jedynym mentorem, ale sam poważne szkolenie bojowe zaczął dopiero w ostatnich tygodniach, kiedy Seelah podjęła decyzję o uderzeniu. Syn z każdym dniem coraz bardziej przypominał jej swojego ojca. Nie było takich skrótów, na które Devore by nie poszedł.

Zniknięcie uvaków było nieoczekiwanym problemem, ale także narzędziem obosiecznym, bo odcinało drogę ucieczki obu stronom. Czy Jariad poczynił swoje przygotowania, nie informując jej wcześniej? Mało prawdopodobne, ale miało to chyba wpływ na plany Korsina. Stał teraz w dole, na wzmocnionym zboczu obok świątyni „Omenu”, i patrzył w górę. Seelah była pewna, że nie na nią.

Rozkoszowała się tym widokiem. Jariad wreszcie dopadł



Korsina. Wyszkoleni czy nie, Miecze mieli przewagę liczebną. W miarę jak jego ochroniarze słabli, Korsin cofał się w kierunku przepaści, dokładnie w tym samym miejscu, z którego spadł Devore. Jariadowi się to spodoba.

Wydawał się rozkoszować każdą chwilą - atakował Korsina raz za razem, a jego ostrze od czasu do czasu trafiało w cel. Korsin był już ranny i mocno krwawił. Jariad naciskał coraz bardziej, spychając wuja w tył.

A jednak Korsin nadal spoglądał w górę.

Na co czekał?

Jej uwagę odwrócił trzask dochodzący z tyłu. Bezwładna postać jednego z jej dworzan wystrzeliła ze świetlika i znikła za krawędzią dachu. A, więc to tam jest Gloyd. To dobrze, że został

okrażony, trzeba go trzymać z dala od tego, co się dzieje na dole.

Wściekła, że przeszkodzone jej w oglądaniu, jak umiera Korsin, odwróciła się ku rozbitemu świetlikowi...

...i straciła równowagę, gdy potężne skrzydła zaszumiały ponad szczytem dachu. Seelah przetoczyła się na bok, umykając przed wierzgającymi, pazurzastymi łapami. Uvaki wróciły!

Wpadając przez wybity świetlik, Seelah rąbnęła kolanami i rękami o kamienną podłogę.

Walka z Gloydem toczyła się w sąsiednim pomieszczeniu, ale i tak rzuciła się w tamtym kierunku.

Musiała zobaczyć, czy to Keshiri wrócili z uvakami, czy ktoś inny, kogo nie brała pod uwagę... i zrozumiała.

Wyjrzała i zobaczyła.

To była Nida.

## **ROZDZIAŁ 4**

Korsin wyciągnął swojego asa z rękawa.

Wiedział dobrze, że samo istnienie Nidy stanowiło jeden z powodów gry Seelah, aby utrzymać siebie i Jariada jak najbliżej władzy. Seelah „troskliwie” wynajdywała kolejne keshirskie niańki, a potem nauczycieli dla dziewczynki, upychając ją w kolejnych osadach. Oficjalnie był to dowód zaufania Sithów do Keshiri, w istocie powodem była pustka, jaka zawsze istniała w sercu jego żony.

Seelah nie tylko starała się usunąć Nidę z drogi, Korsin zdawał sobie sprawę, że dopilnowała, aby jej córka otrzymała tylko powierzchowne szkolenie według tradycji Sithów.

Seelah sama prowadziła dokumentację Sithów na Kesh, więc wiedziała, gdzie znaleźć potencjalnych mentorów.

Korsin jednak też miał kilku oddanych członków załogi, gotowych służyć mu w każdej roli.

Z pomocą Gloyda Wielki Lord upozorował ich śmierć w oddalonych rejonach Kesh i znalazł im kryjówkę. Przez wszystkie noce pozornego wygnania Nidy dziewczyna w tajemnicy poznawała sekrety Ciemnej Strony - nawet jeśli w ciągu dnia zaskarbiała sobie przyjaźń Keshirich i budowała sieć informatorów. A wszystko to w pozornie bezsensownej, za to bardzo ruchliwej roli powietrznej ambasadorki Sithów.

O ile Seelah starała się wykreować jako wzór dla Sithów na Kesh, Kersin zamierzał

stworzyć prawdziwego przywódcę, zdolnego i do walki, i do rządzenia. Spadkobierca dziś miał się stać wybawcą.

Poprzedniej nocy jeden z keshirskich znajomych Nidy

zdradził jej spisek polegający na kradzieży uvaków, gdy główni Sithowie będą na górze. Dziewczyna spędziła cały ranek na pilnowaniu, aby to, co próbowali zrobić Keshiri, nie zaszło za daleko, po czym dotarła do Korsina wraz ze swoimi Strażnikami Zrodzonych z Nieba i grupą zwolenników ojca. Niewielu ich było i nie tak szybko, jak chciała, ale w końcu zdążyli na czas. Przybyli i pokonali wrogów. Zaskoczenie było kompletne.

Nida zeskoczyła na ziemię, wymachując mieczem świetlnym, i zanim jeszcze wylądowała, przebiła nim jednego ze zbirów Jariada. Dwóch kolejnych próbowало ją osaczyć, ale przecięła każdego na pół. Trzecim rzuciła o ścianę świątyni za jego plecami. Na klifie nie było zbyt wiele miejsca do walki, ale Nida już zdominowała całą przestrzeń. Sam Jariad wycofał się, zanim zadał

choć jeden śmiertelny cios, i dołączył do Mieczy, aby się bronić.

Z rezydencji na zboczu dobiegła stłumiona eksplozja. Korsin był pewien, że to Gloyd.

Zacisnął zęby i dotknął rany na piersi. Wiedział, że nie wyjdzie z tego żywy. Grunt uciekał mu spod nóg. Nie zostało go wiele.

Znów spojrzał na Nidę.

Jest taka silna. Będzie przyszłością dla Sithów, koniec nadziei dla Seelah. Nida zwycięży.

Krzywiąc się z bólu, odczołgał się od krawędzi klifu w kierunku bitwy. Ranny Jariad, który właśnie usiłował odepchnąć nacierającą siostrę, obejrzał się zaskoczony.

- Masz rację, Jariadzie - zawołał Korsin, dławiąc się krwią. - Na mnie już czas... ale nie odejdę bez ostatniego oficjalnego rozporządzenia. Już i tak jest późno.

Adari powinna chyba być bardziej zaskoczona. Zanim zapadła noc, ponad tysiąc Keshirich nadeszło do podnóża Wieży, prowadząc pięć razy tyle uvaków bez jeźdźców. Te stada zwierząt, krążących wysoko nad dymiącą formacją skalną,

sprawały wrażenie żywej, skórzastej aureoli.

Było to poruszające, ale i rozczarowujące. Tyle uvaków ledwo wypełniłoby stajnie na południowych stokach.

Adari przestała obserwować horyzont na długo przedtem, nim uczynili to jej krajanie. O

północy z Tahv dotarł tylko jeden jeździec, zdyszany i przerażony. Jego relacja tylko potwierdziła obawy Adari. Tona uległ czarowi Nidy i ujawnił jej wszystkie plany.

Zresztą od początku sprawa wyglądała beznadziejnie - i tak ktoś by ich zdradził. Tona po prostu był najsłabszy. Adari odwróciła się. Nie chciała już wiedzieć, czy Nida wynagrodziła Tonę, czy go zabiła. Teraz to już nie miało znaczenia.

Za to zaskoczyło ją to, co nastąpiło potem. Oczekiwała, że wszyscy odlecą, uwolnią uvaki i wmieszają się z powrotem w społeczność Keshirich, zanim znajdą ich Sithowie. Tymczasem, kiedy wzbila się z Ninkiem pod chmury i skierowała ku ciemnemu strumieniowi powietrza, stwierdziła, że cała grupa leci za nią.

Zamknęła oczy, przekonana, że nocą Nink podda się sile grawitacji. Wielu już spadło, teraz kolej na nią.

Ocknęła się jednak i ujrzała coś całkiem innego.

Z góry ten kawałek ziemi wydawał się cienką linią pomiędzy falami a łańcuchem raf, otaczającym błotnistą powierzchnię, niewiele większą niż jej dawne sąsiedztwo. W żadnym razie nie wyglądało to na lądowisko. Ale strumień powietrza osłabł i Nink także. Z wszystkich jeźdźców, którzy wyruszyli, zostało nie więcej niż trzystu. Albo tutaj, albo nigdzie.

A to i tak jest niewiele warte, pomyślała, brnąc przez słone błoto plaży. Kontynent dawał

Keshirim wszystko, czego potrzebowali, aby rozkwitać. W tym miejscu trzeba będzie walczyć zębami i pazurami o najbardziej podstawowe rzeczy. Nieczęste deszcze napęśniały słodką wodą zagłębienia w rafach. Uvaki, bezużyteczne w tej

okolicy, będą musiały zostać przetrzebione, żeby skąpa roślinność miała szansę je wyżywić. Mięso tych zwierząt było prawie niejadalne, a skóra nadawała się jedynie na materiał budowlany.

Pod każdym innym względem wyspa też nie miała nic do zaoferowania. Taki sam gruz wulkaniczny od plaży po szczyty gór. Jak widać, lata w czyścicu, który Adari sama stworzyła, nie wystarczyły, teraz musi jeszcze zanudzić się na śmierć. Znalazła jedynie bardzo stare zwłoki jakiegoś Keshiri - kolejnej samotnej ofiary oceanicznych prądów powietrza.

Dlaczego Sithowie nie mogli wylądować właśnie tu?

Znała odpowiedź. Sithowie byli przecież uwięzieni w podobnym miejscu. Aby uratować siebie - przed nimi i przed starszyzną - uwolniła ich. Korsin miał rację, mówiąc wiele lat temu, że każdy robi to, co musi.

I właśnie teraz tak było. Spojrzała na Ninka, zdychającego ze zmęczenia. Jego szponiaste łapy ledwie reagowały na pieszczotę fal. Kiedy przyjdzie jego czas, nie może go tak po prostu pochować. Uvaki były podstawą ich przeżycia - ale w razie potrzeby mogli się bez nich obyć.

Sithowie dokładnie tak samo patrzyli na Keshirich.

Adari przyglądała się swoim ludziom, którzy, w milczeniu zabrali się do roboty na wyspie.

Nie mieli nadziei, że przeżyją tu chociaż rok. A co gorsza, ktokolwiek przybędzie ich szukać, na pewno nie okaże się wybawcą.

Być może Sithowie Korsina obawiali się tego samego, pomyślała. Może ich opowieści były prawdziwe. Może prawdziwi Zrodzeni z Nieba, prawdziwi Obrońcy z legendy rzeczywiście gdzieś tam byli i polowali na Sithów.

Już w to nie wierzyła.

Właściwie nigdy w to nie wierzyła.

Seelah ocknęła się, leżąc na kamieniu na oddziale starego szpitala. Nie było żadnej różnicy pomiędzy łózkami

pacjentów i stołami w kostnicy. Wykonano je z zimnego kamienia, podobnie jak wszystko inne w tej przeklętej świątyni.

Teraz mogła się już ruszyć - tylko nogi nie chciały jej nosić. Pamiętała wszystko dokładnie.

W kilka sekund po przybyciu Nidy Gloyd przeniósł walkę do jej sali. Gloyd zawsze chwalił się, że ktokolwiek go pokona, nie przeżyje, aby się tym nacieszyć. Teraz, przyparty do muru przez Seelah i jej konfederatów, Gloyd widocznie uruchomił coś, co dosłownie miał w rękawie od czasu katastrofy - detonator protonowy. Polisa ubezpieczeniowa Houka zaważyła strop sali na wszystkich walczących.

Moc pomogła Seelah wygrzebać się z gruzu, który przygniatał ją od kolan w dół, ale nic nie mogło sprawić, aby postawić ją na nogi. Nie potrzebowała nawet wykształcenia medycznego, aby to wiedzieć. Pracowała niezamordowanie nad sobą, żeby stać się doskonałym okazem człowieka, kimś, na kim mogliby wzorować się ludzie z Plemienia. Teraz, kiedy usiadła, żeby obejrzeć swoje skaleczenia i sińce, zrozumiała, że to koniec jej doskonałości.

- Ocknęłaś się - rozległ się cichy kobiecy głos. - To dobrze.

Seelah wykręciła szyję i ujrzała stojącą w drzwiach swoją córkę, ubraną w ten sam strój, co w Dniu Poświęcenia. Nida nie uczyniła żadnego ruchu, aby wejść, więc Seelah, używając obolałych ramion, odwróciła się na plecy.

- Teraz będziesz musiała dojść w tym do wprawy - zauważyła Nida, wchodząc do środka, by zanurzyć kubek w misce z wodą. Wypiła łakomie i odetchnęła. - Aha, gdybyś potrzebowała, woda jest tam.

Odwróciła głowę.

Nida wyjaśniła matce, jak dowiedziała się od Tony Vaala o pomysłe porwania uwaków Sithów, zaplanowanym dokładnie na dzień, kiedy możliwie jak najwięcej ważnych sithańskich osobistości wyruszy na górę. Zabrało to więcej

czasu, niż się spodziewała, ale udało jej się rozpracować spisek w Tahv i zdążyć, aby stanąć u boku ojca.

- Myślę, że sama już wyczułaś... ojciec odszedł.

Seelah oblizwała wargi, czując smak zaschniętej krwi.

- Tak, wiem. A Jariad?

- Ojciec próbował zrzucić go ze szczytu klifu, używając

Mocy - odparła Nida. - Próbował...

ale mu się nie udało, więc ja to zrobiłam.

Seelah tępo spojrzała na córkę.

- Przykro mi było, że muszę w ten sposób wykorzystać biednego Tonę - mówiła dalej Nida.

- Ale on myślał, że ma coś, na czym mi zależy. - Pociągnęła jeszcze jeden łyk i odrzuciła kubek. -

Wiesz, mamy ze sobą coś wspólnego. Nasze matki nie potrzebowały naszych ojców.

Tona wyjawiał, że konspiratorzy zabierają uvaki na Wieżę Sessal, ale nie wiedział nic poza tym.

- Nie ma tam po nich śladu - wyjaśniła Nida. - Podejrzewamy, że rzucili się do krateru z lawą. Na złość nam... albo ze strachu. Nieważne.

Sithowie czy Keshiri, na Kesh położono kres rozłamowi. To był bardzo owocny dzień.

- Przyszłam tutaj, ponieważ właśnie odczytano ostatni testament ojca - dodała Nida.

Testament rzeczywiście istniał i miała go w swoim posiadaniu. - Trzech ocalałych Arcylordów Sithów go ratyfikowało. Przekazuje spuściznę mnie. Widzisz? Jednak jesteś matką nowego Wielkiego Lorda. Gratuluję. - Nida promieniała. - W moim wieku mogę oczekiwać, że będę władać Kesh przez wiele dziesięcioleci. Albo dopóki Sithowie nie przylecą na ratunek.

Seelah zaśmiała się ironicznie.

- Jesteś dzieckiem - mruknęła i zsunęła się z głazu. Znów musiała podeprzeć się rękami, bo stopy odmówiły jej

posłuszeństwa. - Nikt po nas nie przyleci. Twój ojciec o tym wiedział.

- Powiedział mi, owszem. A mnie tak czy owak nic to nie obchodzi.

- A powinno - odrzekła Seelah, usiłując się "wprostować. - Jeśli powiem tym ludziom na zewnątrz...

Nida niedbale podniosła i odstawiła kubek, po czym skierowała się do wyjścia.

- Na zewnątrz nikogo nie ma - powiedziała. - Może powinnaś poznać resztę ostatniej woli ojca.

Po śmierci Wielkiego Lorda, wyjaśniła, jego współmałżonek oraz służba domowa mają zostać złożeni w ofierze.

- Chodzi o to, żeby uczcić ją lub jego... ale i ty, i ja wiemy, o co chodzi. - Ręką w rękawicy przecesała włosy. - Myślę, że to trochę utrudni mi życie towarzyskie, ale dam sobie radę.

Seelah zaparło dech.

- Chcesz powiedzieć...?

- Spokojnie - odparła tamta. - Rozkazałam na razie, żeby wszyscy Sithowie opuścili górę w hołdzie dla śmierci ojca. Dopóki ja żyję, nikt nie może tu wrócić. A dla ciebie to jest nowy dom...

znowu. - Mówiąc to, wyszła na dziedziniec.

Seelah potrzebowała wielu bolesnych minut, aby za nią nadażyć, wlokąc się po kamieniach.

Nida włożyła stopę w strzemień swojego uvaka, otoczonego skrzyniami z pędów hejarbo, pełnymi owoców i warzyw. Zapowiedziała, że kolejne regularne dostawy będą dostarczane na uvakach.

Tylko te stworzenia, dzikie czy oswojone, będą miały prawo naruszyć przestrzeń powietrzną nad świątynią. Poza tym wszelki dostęp do kurhanu „Omenu” został odcięty. Ścieżka, prowadząca w dół góry, ulegnie zawaleniu.



Zbudowano ją z wielkim trudem, a teraz na zawsze pozostanie niedostępna.

Seelah rozejrzała się wokół. Wszystko, co jej zostało, to ta zimna świątynia, której nienawidziła. Domostwo godne bogini na wysokościach... na zawsze samotnej.

- Nida - wykrztusiła, kiedy dziewczyna zaczęła wznosić się w górę. - Nida, jesteś moim dzieckiem!

- Wiem, tak mi mówiono. Żegnaj.

# **CZYŚCIEC**

## **ROZDZIAŁ 1**

3960 lat przed bitwą o Yavin

Popołudnie zaczęło się tak jak zawsze. Grabie" opadły, żłobiły równe rowki w czarnym błocie. Niosąc je do kolejnego przejścia, rolnik opuścił je znowu, starannie zaznaczając bruzdę.

Ori Kotai obserwowała go zza żywoplotu. Młody farmer pracował okropnie powoli. Grabie, wątła konstrukcja z pędów hejarbo i krzemienistej skały, bez trudu orały żyzną ziemię. Ale Jelph z Marisoty zdawał się nie spieszyć - ani w tym, ani w niczym innym.

Jakie to musi być monotonne zajęcie, pomyślała Ori. Codziennie, przez cały dzień, mężczyzna w słomianym kapeluszu zajmował się swoją pracą. Nigdzie nie chodził i nie miał

przyjaciół. Jego chata stała nad zakolem rzeki Marisota, daleko od większości centrów kultury Sithów na Kesh. Wyżej nie było już nic, tylko wulkany i dżungla, niżej też nic, poza miastami duchów nad Jeziorami Ragnos. Nie było to życie dla człowieka.

- Lady Orielle - odezwał się Jelph, uchylając kapelusza. Jasny, długi warkocz spadał na kołnierz przepoconej bluzy.

- Po prostu Ori - odparła. - Mówiłam ci tuzin razy.

- A to oznacza tuzin wizyt - odpowiedział tym swoim śmiesznym akcentem. - Jestem zaszczycony.

Smukła, rudowłosa kobieta przespacerowała się wzdłuż żywoplotu, obserwując robotnika.

Nie miała żadnego powodu, aby ukrywać, dlaczego znów tu przyszła - zwłaszcza jeśli chciała zapewnić przyszłość

swojej rodzinie. Ori mogła robić to, co chciała. A jednak, kiedy wchodziła przez wyrwę w żywopłocie na zwirową ścieżkę, czuła się znowu pokorną piętnastolatką. Nie Mieczem Sithów z Plemienia, starszą o dziesięć lat.

Spuściła ciemne oczy i zachichotała sama do siebie. Nie było powodu się wstydzić. Miała na sobie czarny mundur przynależny jej stanowisku, Jelph zaś nosił łachmany. Przeszła próby ucznia na terenie pałacu, na wspaniałej promenadzie, po której Wielki Lord Korsin przechadzał się ponad tysiąc lat wcześniej. Dom Jelpha był lepianką, a jego pole nie tyle farmą, co rezerwuarem użyźnianej gleby, którą dostarczał ogrodnikom w mieście.

Człowiek ten jednak miał coś, czego nie spotkała nigdy u żadnej istoty ludzkiej: nie miał

żadnych wymagań. Nikt w Tahv nie patrzył jej prosto w oczy. To się nie zdarzało. Ludzie zawsze jednym okiem pilnowali, co może im przynieść rozmowa z nią i jak jej matka mogłaby im pomóc.

Jelph nie myślał o awansie.

Po co zresztą takie myśli niewolnikowi?

Jelph odstawił grabie, wyszedł z błota i wyjął zza pasa ścierkę.

- Wiem, po co tu przyszłaś - rzekł, wycierając ręce. - Ale nie wiem, dlaczego akurat dzisiaj.

Co to za wielka okazja tym razem?

- Dzień Donellana.

Jelph spojrzął na nią niepewnie.

- To jedno z waszych sithańskich świąt?

Ori przechyliła głowę i ruszyła za nim.

- Też byłeś kiedyś Sithem, więc wiesz.

- Tak mi mówili - odparł, odrzucając ścierkę, która wylądowała w wiadrze stojącym na ziemi, poza zasięgiem wzroku. - Obawiam się, że w głębi ładu nie kultywujemy tak pamięci o przodkach.

Ori się uśmiechnęła. Jak na osobę z nizin społecznych, był całkiem wykształcony. Jelph uprawiał różne rośliny, ale w miejscu niewidocznym ze ścieżki, gdzie zostawiła swojego uvaka, by się pożywiać, dopóki znów nie zechce polecieć. Za domem, za małymi usypiskami rzecznej gliny, którą handlował z Keshiri, miał sześć szpalerów najpiękniejszych kwiatów dalsa, jakie kiedykolwiek widziała. Podobnie jak chata i grabie, kratownice szpalerów wykonane były z powiązanych razem pędów hejarbo - a jednak mogły rywalizować z ogrodowymi cudami Wysokiej Siedziby. Właśnie tutaj, za chatą niewolnika pośród pustki.

Farmer wziął kryształowe ostrze, które mu podała, i zaczął ścinać wybrane przez nią kwiaty.

Jak zwykle, udekorują one urny na balkonie jej matki w czasie święta.

- Wróćmy do twojego święta. O co w nim chodzi? -  
Zatrzymał się i spojrzał na nią. -

Oczywiście, jeśli chcesz mi powiedzieć.

- Jutro jest tysięczna rocznica urodzin pierworodnego syna Nidy Korsin.

- O - mruknął Jelph. - A co, został Wielkim Lordem, czy jak?

Zaśmiała się.

- Nie, nie. - Wyjaśniła, że panowanie Nidy Korsin rozpoczęło chwalebłą erę w dziejach Sithów. Donellan wiedział, że jego ojciec, Lord Małżonek, zostanie zabity, kiedy Nida umrze. Taka była ostatnia wola Yaru Korsina. Czekał jednak zbyt długo, aby wykonać swój ruch. Jedyne dziecko Nidy zmarło jako stary człowiek, czekając na szansę przejęcia władzy. I na nim się skończył system dynastyczny: po jego odejściu pozbawiona spadkobiercy Nida ustanowiła sukcesję uwzględniającą zasługi następcy.

- A więc facetowi się nie udało, a i tak ma własny dzień?

Sithom podobało się ukryte znaczenie historii Donellana,

wyjaśniła. Wielu Sithów cierpliwie zabiegało o swój awans społeczny, ale wiedzieli, że można być zbyt cierpliwym.

- Dzień Donellana zwany jest również Dniem Wydziedziczonych. Pomyśl o tym - dodała, podziwiając jego muskularne ramiona, widoczne przez rozcięte rękawy. - Czy Plemię kiedykolwiek potrzebowało powodu, aby świętować?

Zaśmiał się gardłowym śmiechem, który wywołał uśmiech na twarzy Ori.

- Nie, chyba nie - odparł. - Przynajmniej dzięki temu ludzie mojej profesji mają zajęcie.

Siedmiu Arcylordów starało się nawzajem prześcignąć w ozdabianiu swoich łoży na każdych igrzyskach. Osiem miesięcy temu Ori wzięła w swoje ręce projekt dekoracji łoży swojej matki. To wtedy od jednego z kwiaciarzy Keshiri dowiedziała się o Jelphie i jego tajemniczym ogrodzie - choć nie od razu. Wyczuła kłamstwo, kiedy Keshiri dowodził, że to jego kwiaty, i tego dnia poleciała za nim na swoim uvaku. Znalazła Jelpha - i odwiedzała go od tamtej pory wiele razy, zwłaszcza kiedy wybierał się do dżungli na swojej tratwie.

Dżungla. Ori spojrzała na zielone wzgórza, pnące się aż ku dymiącym szczytom na wschodzie. Nawet Plemię nie zapuszczało się w tę płataninę poszycia i zwisających pnączy.

- Żadna zdrowa na umyśle osoba nie powinna tam chodzić - mawiał Jelph. Ale to, co przywoził na swojej niewielkiej barce, stanowiło o jego sukcesie ogrodniczym i zadowoleniu wszystkich jego klientów. - Zanim spływ zejdzie na dół - wyjaśniał jej kiedyś, zanurzając dłonie w stercie ziemi - wiele cennych składników znika.

Ori leżała nocami, nie śpiąc i wyobrażając sobie Jelpha po pas w głębokim strumieniu górskim, ładującego błoto na tratwę.

Głupota. Wyjątkowa przesada. Ale była Sithanką, prawda? Komu innemu miałyby chcieć się przypodobać?

Jelph ukląkł i starannie ułożył ścięte kwiaty na kawałku

tkaniny rozłożonej na ziemi.

Wielkie, zabrudzone ziemią dłonie pracowały z zaskakującą delikatnością, odrywając pąki, które nie miały się już rozwinąć. Podniósł na nią uważne spojrzenie.

- Jak chcesz, to mogę ci podać nazwiska moich klientów bliżej Tahv. Uprawiają swoje rośliny na tej samej glebie.

- Twoje są ładniejsze - odparła. To przynajmniej była prawda. Być może kwiaty lepiej rosły bliżej swojej rodzimej gleby. A może było to dzieło człowieka, a nie Keshiri.

A może chodziło akurat o tego człowieka? Kiedy go spotkała, odniosła wrażenie, że dopiero niedawno został niewolnikiem. Żaden robotnik, człowiek czy Keshiri, nie miał takiego bogatego słownictwa. Musiał kiedyś przebywać w sithańskich miastach. Ale jej od razu i bez wahania powiedział:

- Jestem nikiem. I nikogo wcześniej nie znałem, oprócz ciebie.

Urodził się jako niewolnik i niewolnikiem pozostanie. On i wszystkie jego dzieci, jeśli kiedykolwiek będzie je miał.

Klasa ludzkich niewolników rozwinęła się wkrótce po wygaśnięciu rodu Korsina. Wielu potomków przybyszy z „Omenu” było wrażliwych na Moc. Ci, którzy nie byli, utworzyli własną warstwę społeczną, poniżej dworzan, którzy służyli Wielkiemu Lordowi. Wolni członkowie Plemienia, drobna szlachta, pomagali pilnować keshirskich robotników, którzy znajdowali się na samym dole drabiny społecznej. Kiedy jednak jakiś sithański obywatel został skazany przez Lorda, prawa jego rodu mogły przepaść na zawsze. Jelph z Marisoty nie miał nazwiska, bo jego ojciec nie mógł mu go dać. Był lepszy od Keshiri - Ori nigdy by nie pozwoliła żadnemu z fioletowoskórych sług mówić do siebie po imieniu - ale tylko dlatego, że był człowiekiem, a nie dlatego, że był

Sithem. Jelph winien był Sithom podległość i służbę, gdyby tego chcieli, ale tylko Ori kiedykolwiek mu coś nakazywała.

Co za marnotrawstwo, myślała, podziwiając i robotnika, i jego pracę.

- Wiesz, moja matka jest Arcylordem.

- Mówiłaś mi.

- Jest potężna, ale tradycje są zbyt silne - dodała. - Szkoda, że nie ma jakiegoś sposobu, abyś mógł wrócić do nas.

- Nigdy tam nie byłem - odrzekł. - Co ja bym robił w Tahv? Raczej nie pasowałbym do tych twoich pięknych ludzi.

Spojrzał na nią i mrugnął okiem. W tym świetle mogła dostrzec długą, twardą bliznę, biegnącą od jego prawego policzka aż na szyję. Czasem wyobrażała sobie, że to pamiątka z jakiejś wielkiej bitwy, a nie ślad po wypadku na farmie wiele lat temu. Ale miał rację. Gdyby nawet miał

nazwisko, przez to swoje oszpecenie nie pasowałby do Plemienia.

Jelph podniósł się nagle.

- Mógłbyś mi je zawinąć - odezwała się, zerkając to na niego, to na kwiaty.

- Właściwie mam coś dla ciebie - rzekł, kciukiem pokazując za plecy. - To z okazji twójego Dnia Wydziedziczenia.

- Wydziedziczonych.

- Przepraszam najmocniej. - Poprowadził ją dalej w głąb farmy, za pagórki ziemi, do miejsca, które widziała jedynie z nieba. Stała tam chata nad brzegiem rzeki, większa niż jego szafas i ze dwa razy wyższa.

Ori pobladła.

- Co tam jest? Strasznie śmierdzi!

- Nawóz zwykle śmierdzi. Uvaki są dość niechlujne - odparł, podchodząc do zaryglowanych drzwi. Kiedyś była to stajnia poprzedniego mieszkańca, któremu wolno było mieć uvaka, a teraz stanowiła nieprzewiewne miejsce do magazynowania ton łajna, którego potrzebował, aby mieszać ze swoją ziemią.



- Nie chciałabyś tu być, kiedy to zwożę. - Otworzył drzwi.

- To raczej nie jest twój podarunek dla mnie - zauważyła, mrużąc oczy i zatykając nos.

- Masz rację. - Sięgnął za drzwi i wyjął dziwnie wyglądające nosidła. - To coś, nad czym pracowałem. Rozciągnąłem kilka bukłaków i zamocowałem do części uprząży uvaka.

Chwycił w dłonie środkowe paski i pokazał jej, jak długie worki zwisają po obu stronach.

- Zawsze musiałaś wozic kwiaty z powrotem w mokrej chuście. Dzięki temu będziesz mogła je trzymać prosto... i nie będziesz przemoczona, gdy wrócisz do domu.

Ori szeroko otwarła oczy, gdy zamykał drzwi do cuchnącego pomieszczenia.

- Zrobiłeś to dla mnie?

Jelph rozejrział się.

- Hm... Nie widzę tu dzisiaj Wielkiego Lorda, więc... pewnie to dla ciebie.

Wrócili spacerkiem wzdłuż brzegu rzeki, mijając niewielką tratwę zacumowaną u brzegu.

Shyn, uvak Ori, który skończył właśnie się pożywiać, nadleciał z góry i usiadł na polance. Jelph pewnym krokiem podszedł do zwierzęcia i podniósł nosidła nad jego skórzasty kark. Doskonale pasowały. Shyn, który nie znosił nikogo obcego, tym razem pokornie kiwnął łbem.

Dlatego tu przyszłam, pomyślała Ori. Życie na dworze to zabawa w podrzynanie gardeł -

szczególnie w tym miesiącu, chyba bardziej niż kiedykolwiek. Większość dworzan kierowała się nie tyle żądzą większej władzy, co strachem, by nie stracić tej władzy, którą już mieli. Ten mężczyzna nie miał nic - i nie bał się niczego.

Jej matka miała na to dobre określenie: Pewność Siebie w Ślepej Uliczce.

Jelph do połowy napelnił bukłaki wodą i umieścił w nich rośliny. Shyn wyglądał teraz jak paradny wierzchowiec, okryty festonami kwiatów. Może to i jakiś pomysł na przyszłość, pomyślała Ori. Ale nie na jutro. Obserwowała, jak Jelph mocuje osłony, aby chronić kwiaty.

- Proszę. Zaprzęg godny Wielkiego Lorda. - Pomógł jej wsiąść na uvaka.

- Jelph - odezwała się, spoglądając w dół. - Z twoimi umiejętnościami powinieneś uczyć Keshirich, jak się uprawia kwiaty, a nie sprzedawać im ziemię.

- Ostrożnie - odparł, wskazując na stodołę z kompostem.  
- Moje życie jest w tej ziemi.

Poklepał Shyna po długim pysku i zawrócił ku swojej tratwie, kołyszącej się na wodzie.

- Może nie jestem z Plemienia, ale przynajmniej mam własny statek. - Zaśmiał się. - Jaki jest, taki jest, ale jest.

## **ROZDZIAŁ 2**

Ori wiedziała, że Sithowie też mają statek, Ale nigdy go nie widziała. Nikt żywy nigdy go nie oglądał. Jednym z ostatnich rozporządzeń Yaru Korsina było usunięcie wszystkich mieszkańców rezydencji na górze do Tahv, gdzie przybysze mogli zwiększać swoją liczebność i wpływy. Powietrzni strażnicy nieustannie chronili świętą i zakazaną Świątynię przed łamaniem tego zakazu, zarówno przez Sithów, jak i wszystkich innych. Góra zawsze była widoczna ponad bezużytecznymi dziś murami obronnymi, jak przypomnienie ich gwiazdznego pochodzenia.

Ori widziała szczyt bardzo dokładnie z okna nowego, luksusowego boksu matki na stadionie w Korsinacie. Kolejne poziomy stadionu wznosiły się ponad pięciokątnym polem do gry, a sektor Wielkiego Lorda górował nad pozostałymi. Dziś właśnie matka Ori zdobyła tak pożądaną sektor w pobliżu Wielkiego Lorda, którego balkon zawsze zwrócony był ku Świątyni.

- Blżej gwiazd - szepnęła Ori. - Pniemy się w górę.

Przyglądała się horyzontowi. Wiele kilometrów od niej, pod ochronną budowlą, krył się „Omen”, oczekując dnia, kiedy Sithowie przylecą po swoje zapomniane plemię. Nikt jednak nie przybył, a wyjaśnienia, dlaczego tak się stało, były bardzo urozmaicone. Legendarny Lord Sithów Naga Sadów znalazłby ich zapewne, gdyby wygrał wojnę. Jeśli jednak Sithowie i Jedi wzajemnie się wybili, może już nikt nigdy nie przylecieć.

A co, jeśli Jedi zwyciężyli? Podobnie jak na farmie, Ori pobladła na samą myśl. Wiedziała, kim są Jedi, jedynie od

swoich nauczycieli, którzy chronili historię od zapomnienia. Wiedziała jednak dość, aby nienawidzić Jedi i wszystkiego, co sobą reprezentowali. Słabość. Litość.

Samozaparcie. Odkrycie ich tu przez Jedi byłoby doprawdy okrutnym losem.

Najtrudniej jednak było zrozumieć, że w swoich dążeniach do opuszczenia tego świata ci pionierzy z legendy sprzed tysiąca lat zniszczyli zasoby, które teraz mogłyby się Plemieniu przydać. Do obiegu handlowego trafiło wiele lignańskich kryształów z ładowni „Omenu”; nadawały się one do mieczy świetlnych i właściwie do niczego więcej. A wszelka wiedza na temat funkcjonowania samego statku przepadła. Była to dziedzina naukowców, którzy nie mieli dostępu do statku. Jedynie Wielki Lord mógłby odwołać zakaz Korsina i pozwolić, by oczy Plemienia znów zwróciły się ku niebu.

Ale nie będzie to obecny Wielki Lord, największe zero, jakie kiedykolwiek piastowało to stanowisko. Ori aż się zdrygnęła, kiedy spojrzała na drugą stronę skrzydła, na zwiędłą wiedźmę w jej bogato zdobionej łoży. Lillia Venn kołysała się na tronie, machając drżącą ręką w zupełnie innym rytmie niż muzyka grana przez orkiestrę. Wielki Lord Venn zdobyła tytuł w drodze kompromisu, w zeszłym roku, kiedy pozostałych sześciu Arcylordów nie było w stanie dogadać się co do wyboru nowego przywódcy. Dwadzieścia lat starsza od najstarszego Arcylorda, Venn była w sumie niegroźna. Nikt nie myślał, że długo pożyje. Rywalizujące partie polityczne, odróżniające się czerwonymi lub złotymi szarfami, zaprzysięgły lojalność tej kobiecie, a same już spiskowały, planując kolejne kroki. Ten Wielki Lord był tylko figurą na pokaz.

- Nie zapomnij się pokłonić, kochanie.

Ori obejrzała się na czarnooką Candrę Kitai. Rześka jak na swoje pięćdziesiąt lat, najnowsza Arcylord podeszła do bariery, zwróciła się skromnie ku królewskiej łoży i złożyła ukłon. Kiedy Wielki Lord nie odpowiedziała, twarz Candry

ściągnęła się, a Ori zaczęła się obawiać, czy nie popęka jej skóra.

- Spokojnie, mamó - odezwała się. - Sama mi mówiłaś, że to nasz wielki dzień.

Wiele miesięcy temu matka Ori zajęła miejsce Venn pośród siedmiu Arcylordów, od razu stając się drugą co do ważności osobą w Plemieniu. Zachowując dla siebie poglądy dotyczące rywalizujących frakcji, Candra rozstrzygnęła spór i to ona wybrała ostatecznie sędziwą następczynię przywódcy.

W uznaniu dla nowej pozycji Candry Venn ofiarowała jej sektor w pobliżu siebie, w zasięgu jej słabego wzroku. Jeśli zostanie dobrze potraktowana, Candra będzie mogła cały czas utrzymywać patową sytuację wśród pozostałych Arcylordów, odpierając wszelkie wyzwania.

A potem? Kto wie, pomyślała Ori. Następny Dzień Donellana możemy spędzić w królewskiej łoży.

Jej rywale do stanowiska dowódcy Mieczy, bracia Luzo, siedzieli po obu stronach Wielkiego Lorda. Pękata para zmierzyła Ori gniewnym wzrokiem, ledwie ukrywając wzgardę.

Pewnie są wściekli, pomyślała, ponieważ na razie nie byli w stanie jej zaszkodzić. Obserwowali ją od miesięcy, mając nadzieję skorzystać z najdrobniejszego potknięcia. Przy odrobinie szczęścia koniec Venn będzie także oznaczał koniec braci Luzo.

- Spokojnie, moja droga - skarciła ją Candra, przechwytyjąc jej myśli. - Wszyscy dzisiaj jesteśmy przyjaciółmi.

Najnowsza Arcylord odwróciła się i skinęła głową przywódcom zwaśnionych frakcji, siedzących jak zwykle w swoich złotych i czerwonych łożach. Arcylordowie Dernas i Pallima byli dla niej równie ważni, jak Wielki Lord - i ona dla nich także.

- Jasne, przyjaciółmi. - Ori przewróciła oczami.

- Muszę przyznać, że nasza łoża wygląda ładnie. Znów

się postarałaś.

Ori z przyjemnością zwróciła wzrok na znacznie miłszy widok - kwiaty dalsa na balkonie, świeże i kolorowe. Jelph z Marisoty może się tu nigdy nie zjawić, ale przynajmniej jakaś jego częśćka odbyła tę podróż.

Z dołu rozległ się łoskot. Ori spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła jeźdźców, ubranych w starożytne stroje Strażników Zrodzonych z Nieba Nidy Korsin, jak wchodzą na plac razem z okaleczonym uvakiem. Najbrutalniejszy z krwawych sportów Kesh - jazda zabijaków - zawsze zaczynała się jatką. Mięśnie skrzydeł piskląt uvaków podcinano, uziemiając je na zawsze, ale zezwalając na pewien zakres ruchów. Potem do końców skrzydeł dorosłych osobników mocowano szklane szpony. Teraz zwierzęta krążyły w kółko, łopocząc skrzydłami przekształconymi w niebezpieczną broń.

Ori zmrużyła oczy, by rozpoznać jeźdźców. Dernas i jego Czerwoni mieli tam swoich faworytów, podobnie jak Pallima i Złoci. Venn obstawiała dwóch zawodników, promowanych przez braci Luzo. Ori interesował jednak tylko ostatni zawodnik, który właśnie wszedł na pole: Champion Dey, zapaśnik na uvaku z południowych ziem, które reprezentowała Candra. Dey pozdrowił Ori i jej matkę.

- Mam wrażenie, że dobrze mu pójdzie - zauważyła Ori.

- On umrze - odparła Candra.

Ori obejrzała się zaskoczona. Candra rozparła się w wygodnym fotelu, obojętnie słuchając bicia bębnow dochodzącego z dołu. Ori zrozumiała, o co chodzi. Wydarzenia sportowe były zawsze walką o sukcesję per procura. Rywalizujące frakcje mogły próbować zaskarbić sobie przychylność Candry, pozwalając wygrać jej zawodnikowi, ale najnowsza Arcylord nie miała zamiaru irytować Wielkiego Lorda Venn. Nie dzisiaj.

- Kiedyś przecież musimy wygrać - burknęła Ori.

- Nie dzisiaj - odparła Candra. Champion Dey właściwie

już nie żył.

Rozległ się sygnał rogu z muszli i na polu natychmiast zakłębiło się od pyłu i krwi. Jazda zabijaków nie miała reguł, nie miała symbolicznych układów. Jeźdźcy trzymali swoje miecze świetlne, ale każdy, kto miał odrobinę rozumu, pilnował swoich wodzy i niczego więcej. Podobnie jak każdy Miecz, Ori kochała dobrą walkę, ale teraz była to tylko walka zwierząt: olbrzymy rzucały się na siebie, rwąc wzajemnie swoje cielska na strzępy.

A zawodnik jej rodziny był tam tylko dla ozdoby, nie bardziej skuteczny niż kwiaty w...

- Patrz!

Wszystkie oczy zwróciły się na Campiona Deya, którego uvak nagle wspiął się na szponiastych nogach. Rzucił się naprzód z wyciągniętymi, ostrymi jak brzytwy skrzydłami. Zamiast jednak rozsiekać przeciwnika, który bezradnie się przed nim cofał, stworzenie skoczyło...

...i poleciało. Skrzydła, które nie powinny pracować, uderzały mocno, pozwalając uvakowi i jeźdźcowi wznieść się ponad całym zamieszaniem i ruszyć w kierunku miejsc dla dostojników.

Dey, stojąc w siodle, wznosił czerwony miecz świetlny, krzycząc coś, czego Ori nie słyszała. Kontrolował wszystko z góry. Ori zapaliła własny miecz i wspięła się na barierkę, gotowa skoczyć na niego, gdyby podleciał bliżej. Ale skrzydlaty potwór skręcił w lewo, niezgrabnie przebijając się przez spanikowany tłum ku luksusowej łoży Wielkiego Lorda nad ich głowami.

Ori zauważyła, że Lillia Venn stoi nieruchomo, patrząc, jak napastnik wspina się po kamiennych stopniach. Wznosząc drżące dłonie, Wielki Lord wypuściła burzę energii Ciemnej Strony. Zwierzę, zaskoczone snopami błękitnych iskier tańczącymi mu po skrzydłach, opadło w tył, na niższe siedzenia, i zrzuciło jeźdźca. Luzo wyskoczyli z królewskiej łoży, a ich miecze migały czerwono, gdy pędzili ku niedoszłemu zabójcy.

- Mamo, wracaj! - krzyczała Ori.

Po drugiej stronie sługa Keshiri zaciągnął właśnie rolety łoża Wielkiego Lorda. Ori zrobiła to samo, zrzucając przy okazji wazony pełne kwiatów Jelpha. Odwróciła się i ujrzała matkę chwiejącą się na nogach, jakby sparalizowaną na widok tej sceny.

- Co się stało, mamo? - Obie znały Campiona Deya od lat, wspierały jego szkolenie. Co mogło spowodować ten szaleńczy czyn?

Candra tylko pokręciła głową, a z jej twarzy, tak młodzieńczej jeszcze kilka chwil temu, uciekła cała krew.

- Proszę cię... lepiej odejź, Ori.

- Już inni Miecze zajęli się Deyem - zauważyła Ori, pilnując wejścia do łoża.

- Nie o to mi chodzi.

Ori zdumiona spojrzała na matkę.

- To nie my zaplanowałyśmy, więc nie mamy się czym przejmować, prawda? - Chwyliła starszą kobietę za ramię. - Mamo, prawda?

Przywołując ostatnie rezerwy spokoju, Candra się wyprostowała.

- Nie wiem, co się tu stało, ale się dowiem, w ten czy w inny sposób. - Minęła córkę i otworzyła drzwi. Na zewnątrz Sithowie i Keshiri miotali się w chaosie, pędząc w kierunku zewnętrznych ramp Korsinaty.

- Mamo!

Candra obejrzała się ze smutkiem w oczach.

- Nie mogę teraz rozmawiać, Ori. Wracaj do siebie i upewnij się, że niewolnicy wiedzą, iż dziś mogę nie wrócić do domu.

I znikła w tłumie.

Samotna gwiazda spadła z nieba. Wylądowała na wzgórzu i przez całą noc świeciła, dzięki czemu ogrody Keshi rozkwitły jak nigdy przedtem.



A potem wzniosła się znowu, podpalając wszystko wokół. Kamienie domu Ori rozpadały się w pył pod gorącym podmuchem, wystawiając ją na piekło żaru. Zwęglona, umierająca, goniła gwiazdę po dżungli, aby się dowiedzieć, czemu zniszczyła jej świat. Gwiazda odpowiedziała: - Bo uważałaś mnie za przyjaciela.

Ori doświadczyła wizji w Mocy już drugiego dnia, jako Tyro, najniższy poziom w hierarchii Plemienia. Nigdy nie miało to dla niej znaczenia. Dojeżdżając teraz do Gwiezdnego Deszczu, wiejskiej posiadłości swojej matki na południe od Tahv, przypomniała sobie tę wizję. Procesja keshirskich robotników kręciła się po mozaikowym domu, wynosząc ich rzeczy i rzucając je na płonący stos na trawniku.

Jej robotnicy. Jej własność.

Zostawiła Shyna przy kolumnach okalających frontową alejkę i podbiegła do ogniska.

Wyciągnęła miecz i zaatakowała szczupłą, fioletową postać kierującą pracami: stróża jej matki.

- Co się dzieje? - Chwyciła go za ramiona. - Kto ci kazał to robić?

Rozpoznając córkę swojej pani, Keshiri rozejrzał się trwożliwie na boki, zanim dotknął

dłoni Ori. Wyszeptał cicho:

- To rozkaz samego Wielkiego Lorda, pani. Przyszedł przed kilkoma godzinami.

Przed kilkoma godzinami? Przecież próba zamachu wydarzyła się zaledwie dwie godziny temu! Jak to w ogóle możliwe?

Stróż wskazał na główne wejście. W bramie stali dwaj uczniowie braci Luzo, obserwując przechodzących, obładowanych meblami robotników. Jeszcze jej nie zauważyli, ale Ori zaraz to zmieni. Zrobiła krok w stronę domu.

Starzec uwiesił się u jej ramienia i odciągnął ją w tył.

- Wewnątrz jest ich więcej - ostrzegł, ciągnąc ją na drugą

stronę ogniska, poza ich pole widzenia. - Zabierają także rzeczy twojej matki.

- Czy mama nadal jest Arcylordem? - zapytała Ori.

Stróż spuścił wzrok.

Uderzyła ją następna myśl.

- A czy ja jestem jeszcze Mieczem? - szepnęła.

Ogarnięta nagłą słabością, chwiejnym krokiem podeszła do ognia, usiłując sobie przypomnieć, co słyszała i widziała, opuszczając Korsinatę. Panował straszny chaos. Champion Dey został zabity kilka sekund po nieudanym zamachu i plotki przypisywały jego czyn komu tylko się dało. Czerwona frakcja twierdziła, że jej matka zawarła morderczy pakt ze Złotymi - i na odwrót.

Niektórzy twierdzili, że Venn umarła w swojej łóżce ze zdenerwowania i szoku, inni mówili, że widzieli egzekucje Arcylordów Dernasa i Pallimy w ich łóżkach koło areny. Nic z tego nie miało sensu.

Wszyscy zgadzali się tylko co do jednego - co do tego, kto sprowadził zabójcę na stadion: rodzina Kitai.

Ori musi wrócić do Tahv i porozmawiać z lojalnymi uczniami matki, którzy mają dostęp do Wysokiej Siedziby. Jako obrońcy interesów jej rodziny, powinni wiedzieć, co się teraz dzieje.

Ważne było, aby nie poddawać się złości na widok tego ogniska, bo ze strony Wielkiego Lorda była to oczywista próba sprowokowania reakcji i ujawnienia nielojalności.

Spojrzała na dom i uśmiechnęła się smutno. Polityczne umiejętności Candry Kitai były wyjątkowe. Na pewno już z powodzeniem odparła zarzuty i dowiedziała się, kim byli zwycięzcy turnieju. Zanim Ori dotrze do Tahv, Candra z pewnością będzie już siedzieć po prawicy tego, kto wygrał. Nie był to dobry moment, aby wpaść w prymitywną pułapkę zastawioną przez Luzo.

- To wszystko trzeba wyjaśnić - powiedziała do stróża i

skierowała się w stronę swojego uvaka.

- Żegnaj, Ori.

Wskoczyła na Shyna i chwyciła wodze. Nagle znieruchomiała i zawołała za oddalającym się starszym Keshiri:

- Czekaj! Nazwałeś mnie Ori?

Keshiri spuścił wzrok i odszedł.

Na Ciemną Stronę, pomyślała, wszystko, tylko nie to.

Jelph przechylił chwiejny wózek, pozwalając, aby kolejna porcja ziemi wyspała się do koryta. W miarę upływu lata sterty zaczną wysychać, stając się bardziej kwaśne, więc alkaliczna płukanka powinna je wzmocnić. Jego keshirscy klienci nie mieli pojęcia o jonach wodoru, ale byli bardzo wybredni.

Nagle usłyszał dziwny dźwięk. Rzucił łopatę i okrążył chatę. W gasnących promieniach zachodu stał jego gość z poprzedniego dnia. Ori, odwrócona do uvaka, trzymała się uzdy.

- Jestem zaskoczony twoim widokiem - rzekł, podchodząc do niej od tyłu. - Mam nadzieję, że dalsa były w porządku?

Odwróciła się, by poluzować uprząż. Błyszczące brązowe oczy pełne były cierpienia i gniewu.

- Zostałam potępiona - powiedziała Ori z Tahv. - Jestem teraz niewolnikiem.

## ROZDZIAŁ 3

Jelph nalał jej do miski jeszcze trochę grudkowatej mieszanki. Danie ubogich Keshirich -

kasza bez smaku - w jego wykonaniu stawała się czymś całkiem smacznym, przyprawiona ziołami z ogrodu i kawałeczkami solonego mięsa. Ori nie wiedziała, co to za zwierzę, ale żarłocznie pochłaniała posiłek. Dwa dni dumnego postu wystarczyły.

Wciąż dziwnie się czuła, widząc Jelpha poza polem. Każdego poranka poprzez dwa minione dni wstawał przed wschodem słońca i szybko wykonywał swoje obowiązki, żeby mieć więcej czasu dla niej. Pierwszego dnia, zanim wstała, wykapał się w rzece. Kiedy przyszła jej kolej, schował się w kącie chaty, który służył mu za kuchnię, aby uszanować jej skromność. Ori nie była pewna, czy w ogóle posiada coś takiego, ale znów pojawiła się w niej ta dziwna pokora. Jelph nie był keshirską zabawką, ale człowiekiem, choćby nawet niewolnikiem.

Tak samo jak ona.

Z jakiegoś powodu tego pierwszego wieczoru nie powiedziała mu nic. I tak niewiele mógł

zrobić, zwłaszcza poza ramami swojego świata. Siedziała w milczeniu w progu chaty, patrząc w przestrzeń, aż zasnęła. Następnego ranka zbudziła się w izbie, na posłaniu z siana, którego Jelph też używał. Nie miała pojęcia, gdzie spędził tę noc i czy spał w ogóle.

Drugiego wieczoru, po nietkniętej kolacji, pozwoliła, aby fala goryczy się przelała.

Opowiedziała mu wszystko, czego się dowiedziała podczas pobytu w Tahv. Przywódcy obu frakcji, którzy dotąd nie mogli uzgodnić między sobą kandydatury Wielkiego Lorda, pozazdrościli teraz swojej starszej, skłonnej do kompromisu kandydatce. Wydarzenie to dało pretekst jej podwładnym do ucięcia głowy - dosłownie - przywódcom Czerwonej i Żółtej frakcji.

Matka Ori wciąż żyła, jak zapewniali ją informatorzy, choć znajdowała się w szponach mściwej Venn. Dla Candry za późno już było na uratowanie kariery, ale mogła jeszcze uratować życie, jeśli powie, co trzeba i o kim trzeba. Podobnie jak Donellan, Candra zbyt długo zwlekała z zajęciem stanowiska i ustawieniem się na drodze do sukcesji. Wydawało się, że rok na stanowisku Arcylorda to niewiele. Ale dla Venn, której każdy oddech mógł być ostatni, najważniejsze było przeżyć swoich rywali.

Kiedy tylko się dowiedziała, że została skazana na niewolnictwo, Ori natychmiast dopadła ukrytego uvaka i poleciała do jedyne go bezpiecznego miejsca, jakie знаła. Po krótkiej chwili zaskoczenia Jelph przyjął ją uprzejmie, choć nie był pewien, co ma zrobić z uvakiem. Niewolnikom nie wolno było mieć tych zwierząt. Ori przypomniała sobie stodołę z kompostem, która niegdyś służyła jako stajnia, i nalegała, aby ukrył tam zwierzę za boksami z nawozem. Choć początkowo niechętnie, Jelph jednak ustąpił pod naciskiem. Ori, która i bez tego źle się czuła, zwymiotowała natychmiast, kiedy otworzył drzwi do cuchnącego pomieszczenia. Zrobiła to jeszcze raz następnego wieczoru, kiedy opowiedziała mu całą historię o upadku jej małej, ale ważnej rodziny.

Jelph był troskliwy i pomocny przez cały ten czas; zawsze miał pod ręką zimną wodę z rzeki i szmaty do wycierania. Teraz, o zmierzchu trzeciego dnia, uznała, że już nie może nadużywać jego gościnności. Czuła się już lepiej i cały dzień spędziła, kręcąc się po farmie, analizując jeszcze raz

wszystkie wydarzenia i planując powrót swojej rodziny do władzy, nawet jeśli z tej rodziny została tylko ona. Przy kolacji zbliżyła się do granic wiedzy i cierpliwości Jelpha.

- Nic nie rozumiem - rzekł, wyskrobując miskę ze skorupy orozo. - Myślałem, że Plemię liczy na to, że ludzie będą sobie wzajemnie zabierać stanowiska.

- Owszem - odparła, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. - Ale my nie zabijamy, żeby je zdobyć, tylko żeby je utrzymać.

- A jest jakaś różnica?

Ori upuściła pustą miskę na podłogę chaty. Też mi stół, pomyślała.

- Naprawdę nic nie wiesz o ludziach, prawda? Plemię to merytokracja. Ten, kto jest najlepszy w jakiejś roli, może ją mieć, o ile rzuci publiczne wyzwanie. Dernas nigdy publicznie nie wyzwał Wielkiego Lorda. Pallima też nie.

- Ani twoja matka - podpowiedział i ukląkł, aby wziąć jej miskę. Wydawał się nieco zaskoczony, kiedy użyła Mocy, aby podnieść mu ją do ręki. - Dziękuję.

- Widzisz, to bardzo proste - powiedziała i wstała, daremnie usiłując strzepnąć ziemię z munduru. - Jeśli dobierzesz się do swoich rywali, zanim będą gotowi, możesz zrobić, co zechcesz, z zabójstwem włącznie.

Zmarszczył brwi i podniósł na nią wzrok.

- To brzmi okropnie.

- Zazwyczaj staramy się to robić dyskretnie, dla zachowania porządku. Trucizna... Ostrze shikkar w brzuchu...

- Dla zachowania porządku, tak?

Stała w drzwiach i spojrzała na niego gniewnie.

- Będiesz krytykował, czy mi pomożesz?

- Przepraszam - odrzekł, wstając. - Nie chciałem cię zdenerwować. Ale myśl, że nawet w sprawie morderstw istnieją zasady, wydaje mi się odrobinę dziwna. To są zasady łamania zasad.

Ori poszła na brzeg rzeki i popatrzyła na zachód. Słońce wydawało się zanurzać w wodzie, rozpalając ją pomarańczowym ogniem. To naprawdę było piękne miejsce. Ale nie w tym sensie, jak to sobie wyobrażała. Nie potrafi zaplanować swojego powrotu stąd. I będzie potrzebowała innej pomocy, niż krzepki parobek.

- Muszę wracać - oznajmiła. - Moją matkę wrobiono. Ktokolwiek to zrobił, zapłaci za to, a ja odzyskam nazwisko. - Spojrzała na Jelpha. Żuł łodyżkę jakiegoś zielska, które wyrwał z ziemi. -

Muszę tam wrócić! - powtórzyła.

- Ja bym tego nie robił - odrzekł, podchodząc do niej. - Podejrzewam, że Wielki Lord zrobiła to całkiem sama.

Spojrzała na niego zdumiona.

- A co ty możesz wiedzieć na ten temat?

- Niewiele, przyznaję - odparł, nadal żując źdźbło. - Ale jeśli twoja matka jest potrzebna do wyboru zastępcy Venn, to rozumiem, że stara mogła chcieć się jej pozbyć.

Ori z niedowierzaniem zapatrzyła się w gęstniejące cienie.

- Trzymaj się lepiej nawozów, Jelph.

- Popatrz na to w ten sposób - ciągnął, przesuwając się tak, żeby go widziała. - Gdyby Venn nie zaaranżowała tego zamachu i naprawdę podejrzewała twoją matkę, nie zostałabyś skazana.

Byłabyś raczej martwa. Ale Wielki Lord nie musi cię zabijać, bo wie, że nic nie możesz zrobić.

Bardziej przydasz się jako odstraszący przykład. - Rzucił gałązkę do rzeki. - Robiąc niewolników z Arcylorda i jej rodziny, będzie miała żywego straszaka tak długo, jak będziecie żyły.

Ori spojrzała na niego ze zdumieniem. To naprawdę miało sens. Dernas i Pallima zginęli bez świadków, a ognisko w jej posiadłości ściągnęło uwagę zarówno ludzi, jak i Keshirich.

Gdyby pozostała w Tahv, może już by ją zapędzili do pracy, do ciężkich robót, które musiałaby wykonywać publicznie.

- Więc co mam zrobić?

Uśmiechnął się łagodnie. Jego blizna była teraz niewidoczna.

- No cóż, nie wiem. Ale odnoszę wrażenie, że jak długo nie czujesz poprzez Moc, że twoja matka cierpi, jedynym sposobem pokonania Venn jest... nie służyć za przykład.

Nie dopowiedział reszty, ale ona i tak usłyszała. Jeśli nie chcesz stać się przykładem, nie możesz tam wrócić. Spojrzała mu w oczy, w których odbijało się światło gwiazd tańczące na wodzie.

- Skąd farmer wie o takich sprawach?

- Widziałaś moją pracę - odparł, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Ciągle mam do czynienia ze smrodem.

Zaśmiała się wbrew sobie, po raz pierwszy, odkąd tu przybyła. Zrobiła krok, aby wrócić do chaty, ale noga ugrzęzła jej w miękkim gruncie.

Chwycił ją, nim upadła.

Pozwoliła mu.

Stojąc w wejściu do chaty, już dobrze po północy, Jelph patrzył na uśpioną dziewczynę na posłaniu z siana. Nie powinienem był pozwolić Ori zostawać tak długo, pomyślał. A już na pewno nie powinienem był pozwolić, aby sprawy zaszły tak daleko, jak zaszły przez ostatnie dziewięć dni.

Cóż, od samego początku popełnił błąd, zachęcając ją do odwiedzin.

Wyszedł na zewnątrz i owinał się mocniej sfatygowaną szatą. Po wielu gorących dniach nocne powietrze było chłodne, nietypowe dla tej pory roku. Pasowało do jego nastroju. Obecność Ori naraziła jego życie w sposób, jakiego ona sama nawet sobie nie wyobrażała. Stawka była znacznie większa, niż fortuna całej rodziny Sithów.

A jednak przyjął ją do siebie. Ori Kitai do niego



przyszła, a on nie potrafił jej się oprzeć.

Podczas wcześniejszych wizyt wydawała się taka dumna, pełna zdegenerowanych swobód swojego ludu, pewna siebie i swojej pozycji. Straciła jedno, a drugie samo odeszło. Jelph dostrzegł ukrytą pod tym osobę - niepewną i delikatną. Była wściekła na to, co się wydarzyło, ale jednocześnie smutna, bo straciła wizję siebie, jaką miała kiedyś. A ostatnio, gdy jej dni wypełniały jedynie spacerzy z chaty do ogrodu i z powrotem, smutek zdawał się zwyciężać.

Pokora Sitha... Zdumiewające zjawisko, którego właśnie był świadkiem. Jej zbroja się stopiła, obnażając to, co było pod spodem. Czy możliwe, że nie każdy Sith na Kesh urodził się zły?

Gniew Ori z powodu wydziedziczenia wydawał się... całkiem normalny. Nie większy niż jego, gdyby się znalazł w podobnej sytuacji. Nie była to furia, która niszczyła cywilizacje dla sportu. Nie była typowa dla Sithanki.

To przykre, że największe nieszczęście w życiu Ori sprawiło, iż stała się dla niego bardziej atrakcyjna. Rezerwa, którą sobie wypracował, opadła nagle tamtego wieczoru na brzegu rzeki.

Potrzebowała go, a od tak dawna nie czuł się nikomu potrzebny. Na istoty bez znaczenia nie było chętnych, ani w puszczy, ani nigdzie indziej. Za to ryzyko zawsze towarzyszyło szczęściu.

Popatrzył na północ. Pomiędzy wzgórzami a chmurami widniało wąskie pasemko światła.

Znowu pojawią się zorze. Niebawem nocą północne niebo będzie jak w ogniu. A wtedy nadejdzie czas.

Przyjrzał się szopie i zaczął obliczać, na jak długo będzie musiał opuścić farmę.

Niebezpiecznie byłoby pozostawić tu Ori na czas jego nieobecności. Będzie musiała odejść.

A on nie mógł na to pozwolić.

## **ROZDZIAŁ 4**

Odszedł o świcie, z długą tyczką hejarbo w dłoni, służącą do pchania tratwy w górę rzeki.

Ori straciła swój dotychczasowy spokój i wystąpiła z pretensjami. Czy to ważne, czego potrzebują jego klienci na jesienne uprawy? Co on jest winien tym ludziom? Wszystko, co dostawał za swoją pracę, to kilka przedmiotów, których nawet nie może wyegzekwować.

Jelph, patrząc na pokryte dżunglą wzgórza i na niebo, twierdził, że ma jeszcze inne zadania prócz tych, o których wiedziała. Ori wydrwiła go, ale potem było jej przykro. Martwiło ją to nawet teraz, kiedy wracała z dwiema pułapkami, które zastawił na gryzonie na skraju lasu. Jelph nie gniewał się na nią, ale i tak odszedł, pomimo jej próśb i błagań.

Nie podobało jej się to. Był lekarstwem, którego potrzebowała; dzięki niemu cały ból serca gdzieś zniknął. Przez tak dużą część życia była zależna od stanowiska swojej matki, że kusilo ją, by teraz złożyć swoje życie w jego ręce. Niestety, wciąż potrafił jej odmówić. Nie miała już władzy nad nikim.

A nie mogła bez niego żyć. Bez Jelpha nie miała nikogo.

Tylko Shyna. Dostrzegła tylne drzwi do stodoły z kompostem. Były uchylone, aby umożliwić dostęp powietrza. Nawet uvak nie powinien mieszkać w takim miejscu, chociaż to śmierdzący gatunek. Odetchnęła głęboko i podeszła bliżej. Większość dnia zajęło jej sprawdzanie i opróżnianie pułapek, w których znalazła kilka szkodników, wykorzystywanych przez Jelpha do uzupełniania diety. Ohyda. Jeśli zobaczy uvaka, przynajmniej przypomni sobie, że wciąż istnieje wolność, że

nadal ma szansę na...

Zmrużyła oczy. Coś się działo w Mocy. Upuściła pułapki, pobiegła do stodoły i otworzyła szeroko rozchwane drzwi.

Shyn nie żył.

Wielkie zwierzę leżało w kałuży krwi na klepisku; na jego długiej, złocistej szyi widniały wypalone głębokie rany. Natychmiast je rozpoznała, włączyła miecz świetlny i rozejrzała się po budynku.

- Jelph! Jelph, jesteś tam?

Ale stodoła była pusta, jeśli nie liczyć kilku narzędzi na ścianach i wielkiej kupy nawozu przy wejściu.

- Powiedziałem ci, że ją tu znajdziemy - rozległ się młody męski głos z zewnątrz. - Idź za smrodem.

Ori wyszła na zewnątrz z uniesioną bronią. Bracia Luzo, jej rywale w korpusie Mieczy, stali przy swoich uvakach. Flen, starszy, uśmiechnął się ironicznie.

- Za smrodem porażki, chciałeś powiedzieć.

- Szukasz śmierci, Luzo? - Wystąpiła naprzód, nie okazując lęku.

Bracia nie poruszyli się. Sawj, młodszy, zachichotał.

- W tym tygodniu zabiliśmy dwóch Arcylordów. Nie zamierzamy sobie teraz brudzić rąk niewolnikiem.

- Zabiliście mojego uvaka!

- A, to co innego - odparł Sawj. - Może o tym nie wiesz, ale my, Miecze, mamy obowiązek utrzymywać porządek. Niewolnik nie może mieć uvaka!

Kipiąc nienawiścią, ruszyła przed siebie, gotowa się na nich rzucić - ale Flen Luzo odwrócił

się spokojnie do swojego wierzchowca.

- Handlarze powiedzieli nam, że lubiłaś tu przyjeżdżać - rzekł, otwierając torbę przy siodle.

- Jesteśmy tu, by dobić targu.

Rzucił do jej stóp dwa zwoje.

Ori uklękała i obejrzała pieczęć na pergaminie. Rozpoznała herb swojej matki, wzór znany tylko jej i członkom najbliższej rodziny. Taką pieczęć stosowano, aby potwierdzić autentyczność testamentu. Rozwinęła zwój i stwierdziła, że w pewnym sensie jest to testament.

- Tu jest napisane, że mama spiskowała z Dernasem i Czerwonymi, aby zabić Wielkiego Lorda! - warknęła.

- A na drugim, że spiskowała z Pallimą i jego ludźmi - odparł Flen, szczerząc zęby. - Jak widzisz, podpisała oba zeznania.

- Mogliście z niej wszystko wyciągnąć pod przymusem!

- Fakt - zgodził się Flen.

Ori przejrzała dokument. Candra Kitai przysięgała wieczystą lojalność Wielkiemu Lordowi Venn, która zatrzyma ją, żywą, jako osobistego - i bardzo widocznego - niewolnika. Venn mianuje teraz trzech nowych Arcylordów według własnego uznania, i wyjaśnił Flen; w ten sposób skutecznie zablokuje wszelkie ruchy, jakie pozostały opozycji. Ori z tonu głosu Flena poznała, że bracia prawdopodobnie szybko awansują za swoją lojalność.

- Jak powiedziałem - rzekł Flen - przyszedliśmy tu dobieć targu. Proszę o twój miecz świetlny.

Ori rzuciła zwoje na ziemię.

- Będziecie musieli go sobie wziąć!

Flen skrzyżował ramiona na piersi.

- Twoja matka powiedziała, że będziesz współpracować.

Z pewnością nie chcesz, żeby cierpiała.

- Ona i tak cierpi! - Zrobiła kolejny krok w ich stronę.

- Cóż, wobec tego nasi Miecze przybędą tu z całą swoją drużyną i zmiotą tę farmę. I twojego chłopaka farmera - dodał ze złym błyskiem w oku. - Mają rozkaz, by to zrobić, jeśli nie przyniosę twojego miecza.

Ori zamarła. Nagle przypomniała sobie coś i niespokojnie spojrzała w kierunku rzeki.

Wkrótce Jelph będzie wracał do domu.

Flen ciągnął porozumiewawczym tonem:

- Nie obchodzi nas, co robi niewolnik ani z kim to robi. Ale ty nie jesteś niewolnikiem, dopóki masz tę broń. - Bracia jednocześnie włączyli swoje miecze. - No więc jak będzie?

Ori przymknęła oczy Nie zasługiwała na to, co jej się przytrafiło, ale tym bardziej Jelph na to nie zasługiwał. A był wszystkim, co miała. Wcisnęła przycisk, wyłączyła miecz i rzuciła go na ziemię.

- Mądra decyzja - stwierdził Sawj Luzo, wyłączając swój miecz i podnosząc jej broń. Bracia podeszli do swoich wierzchowców i wsiedli.

- Aha - odezwał się Flen i sięgnął po przedmiot przypięty do uprząży u waka. - Mamy prezent dla ciebie od Wielkiego Lorda... na nową drogę życia. - Rzucił długi przedmiot, który z łomotem wylądował u stóp Ori.

Łopata.

I to z metalowym ostrzem - prawdziwy skarb. Widać wykonano ją z nielicznych szczątków pozostałych po lądowaniu „Omenu”. Metal był obrabiany i przerabiany przez stulecia, jak tylko rozniosła się wieść o braku rud żelaza na Kesh. Ostatnia nagroda za jej dawne życie. Z łopata w dłoni obserwowała braci Luzo, lecących ze śmiechem na północ.

Rozejrzała się wokół, obejmując wzrokiem to, co jej zostało. Chata. Stodoła. Góry błota. I kratownice, oplecione kwiatami dalsa, które ją tu sprowadziły po raz pierwszy...

- Nie! - wrzasnęła.

Kipiąc gniewem, uderzyła w delikatną konstrukcję łopata. Jeden potężny zamach rozerwał

ramę, połamane kwiaty legły na ziemi. Zrujnowana konstrukcja z pędów hejarbo eksplodowała, rozbita w drzazgi siłą jej umysłu.

Oszalała z wściekłości rzuciła się w stronę farmy, niszcząc po drodze rozklekotany wóz Jelpha. Tyle gniewu, a tak

mało do zniszczenia. Obejrzała się i ujrzała przed sobą symbol swojego wydziedziczenia - stodołę z kompostem. Szarpnęła drzwi, wyrwała je z zawiasów i wpadła do środka. Używając Mocy, zerwała ze ścian żalosne narzędzia i uniosła je w powietrze w wirze nienawiści. I jeszcze ta góra nawozu, wielka i śmierdząca. Okręciła się i wbiła w nią ostrze łopaty...

Klang! Łopata uderzyła w coś pod powierzchnią łąjna, trzonek wyleciał jej z rąk, a ona sama straciła równowagę i usiadła w błocie.

Wstając, uspokajała się powoli. Ze zdumieniem przyjrzała się stercie. Pod cuchnącą masą dostrzegła brudną tkaninę, okrywającą duży kształt.

Metal.

Chwyciła łopatę i zaczęła kopać.

Czuł się fatalnie, zostawiając Ori z zajęciem, na którym strawi cały dzień. Ale sam też musiał sprawdzić pewną pułapkę. Tu, pod przepyszną zielenią, Jelph nie zdołał nic złapać od miesięcy, ale szczęście czy pech zdawały się mieć coś wspólnego z zorzami.

Podszedł do ukrytego pagórka i odnalazł swój skarb, ukryty pod olbrzymimi paprociami.

Oddychał szybko i niecierpliwie. Przez wszystkie ostatnie dni szaleństwa jakimś cudem czuł, że coś się wydarzy. Może to ten właśnie dzień, na który czekał od tak dawna.

Nagle znieruchomiał. Coś się działo, ale nie tutaj. Patrząc przez liście w kierunku zachodnim, znów doznał tego dziwnego uczucia. Coś się działo, i to właśnie teraz.

Pobiegł w stronę łodzi.

Ori znalazła dziwny przedmiot, ukryty pod utyłaną w łąjnie plandeką. Warstwa okrywającego ją paskudztwa nie była nawet gruba, tyle tylko, aby sprawić wrażenie, że to, co jest pod spodem, jest czymś innym, niż się wydawało.

A to, co tam ukryto, miało z pewnością długość dwóch uvaków: gigantyczny, metalowy nóż, pomalowany na czerwono

i srebrno, z dziwnym czarnym bąblem na jednym końcu. Ostre wyrostki w kształcie rombu wystawały ku tyłowi jak skrzydła, a każde skrzydło było wyposażone w dwie długie włócznie, które przypominały jej miecze świetlne.

Jakoś zapomniała o smrodzie i oddychała szybko, przesunęła dłoń po powierzchni metalowej zagadki. Była zimna i nierówna, na całej długości pełna wgłębień i śladów spalenizny.

Ale prawdziwa niespodzianka dopiero na nią czekała. Gdy dotarła do okrągłego bąbla na końcu i przycisnęła twarz do czegoś, co wydawało się czarnym szkłem, ujrzała w środku fotel, wciśnięty w zdumiewająco małą przestrzeń. Tuż za zagłówkiem znajdowała się metalowa, grawerowana płyta, zapisana znakami podobnymi do tych, których uczyli ją mentorzy: TAKTYCZNY MYŚLIWIEC BOJOWY KLASY AUREK

SYSTEMY FLOTY REPUBLIKI

MODEL X4A - SERIA PRODUKCYJNA 35-C

Ori wytrzeszczyła oczy. Wiedziała już, co to jest. Aż za dobrze.

Przez całe życie Jelph Marrian obawiał się Sithów. Wielka Wojna Sithów zakończyła się na długo przed jego urodzeniem, ale zniszczenia, jakie poczyniła w jego rodzimym świecie Toprawa, były tak ogromne, że poświęcił życie na to, by już nigdy się nie zdarzyły.

Posunął się tak daleko, że oddalił się od konserwatywnych przywódców, rządzących Zakonem Jedi. Wgnany, nadal kontynuował swoją misję, pracując z podziemnym ruchem Rycerzy Jedi, którzy mieli powstrzymać powrót Sithów. Przez cztery lata działał w ukryciu w całej galaktyce, pilnując, by Mistrzowie Zła stali się tylko wspomnieniem.

Wszystko jednak znów poszło nie tak. Trzy lata temu, wysłany w odległy region, dowiedział

się o rozpadzie Przymierza Jedi. Bojąc się wracać, ruszył w kierunku nieznanych światów, pewien, że nic już nie przywróci mu miejsca i nazwiska w Zakonie.

Na Kesh zmaterializowały się jego najskrytsze koszmary. Wessany przez jeden z licznych deszczy meteorytów, rozbił się w odległej dżungli niczym kolejna spadająca gwiazda. Nie mógł

wezwać pomocy z powodu aberracji pola magnetycznego, więc ruszył w kierunku światła, które ujrzał na horyzoncie. Światła cywilizacji pogrążonej w mroku.

Kilka metrów od brzegu wyskoczył z łodzi.

- Ori! Ori, wróciłem! Jesteś...

Znieruchomiał, kiedy zobaczył rozbite kratownice. Zlekceważył szkody i rzucił się w stronę szopy.

Drzwi były otwarte. W środku, odsłonięty w wieczornym półmroku, stał jego uszkodzony myśliwiec, który, z takim trudem lewitując, przeniósł kawałek po kawałku z serca dżungli. Znalazł

też coś jeszcze - metalową łopatę, porzuconą obok.

- Ori?

Wszedł w cień za stodołą i ujrzał zwłoki uvaka, na których pożywiały się małe drapieżne ptaszki. Za budynkiem znalazł pułapki, po które wysłał Ori, porzucone na ziemi. Była tutaj - i znikła.

Przed chatą zobaczył kolejne ślady: wielkie buty Sithów i odciski łap uvaków. Drobniejsze ślady Ori też tu były i prowadziły za żywopłot, drogą dla wozów, wiedącą do Tahv.

Jelph sięgnął pod kurtkę po węzełek, który zawsze ze sobą zabierał. Błękitne światło błysnęło w jego dłoni. Był samotnym Jedi na planecie pełnej Sithów. Jego istnienie im zagrażało, ale istnienie Sithów zagrażało całemu światu. Musiał powstrzymać Ori.

Nieważne, jakim kosztem.

Pobiegł ścieżką w ciemność.



# **STRAŽNICA**

## **ROZDZIAŁ 1**

3960 lat przed bitwą o Yavin

- Chyba... chyba zrujnowałem sobie życie.

- Wygląda na to, że spotkałeś kobietę - zauważył barman o purpurowej twarzy, nalewając mu napój. - Mam zostawić butelkę?

Tylko jeśli będę mógł ją sobie rozbić na głowie, pomyślał Jelph Marrian. I tak była to tylko słodka woda, nic, co mogłoby pomóc mu zapomnieć. Wypił łakomie. Pot ściekał mu ze zmierzwionej czupryny. Pusta szklanka zaśniła, kiedy szlifowane fasety pochwytyły światło. Jelph obracał ją w dłoniach, śledząc swoje odbicie. Od przybycia na Kesh pijał tylko ze skorup oroj, ale Keshiri produkowali takie piękne szkło - dostępne nawet tutaj, dla gości w jadalni dla biedaków.

Barman podał mu miskę owsianki.

- Przyjacielu, wyglądasz, jakbyś biegł całą drogę z Południowego Talbusu.

- I jeszcze dalej - odparł Jelph, ale nie dodał, że biegnie praktycznie bez przerwy od wczorajszego wieczoru. Teraz, kiedy słońce znów zaszło, zatrzymał się, spragniony i wściekle głodny, właśnie tu, w karczmie przytulonej pod wydłużającymi się cieniami murów stolicy. Jelph skinął głową miłemu, staremu Keshiri i usiadł w kącie ze swoją miską. Tubylcy z Kesh zawsze zachowywali się swobodniej wobec ludzkich niewolników niż wobec Sithów. Chyba nie mają problemu, żeby nas odróżnić, pomyślał. Jego przepocone, podarte ubranie z pewnością od razu dowodziło, że nie jest wysokiego rodu.

W istocie Jelph był jedynym człowiekiem na planecie, urodzonym naprawdę „wysoko”.

Pochodził z przestworzy, choć żadnej planety nie mógł nazwać domem. Trzy lata, które dawny Rycerz Jedi spędził w swoim małym domku nad rzeką Marisota, były najdłuższym okresem, jaki przemieszkał w jednym miejscu od wielu lat. Miał szczęście, że tam trafił. Jelph odkrył porzucone domostwo dosłownie w kilka dni po rozbiciu myśliwca w porośniętych dżunglą górach, gdy głód dodał mu odwagi, by rozpocząć poszukiwania. Poprzedni mieszkaniec musiał odejść dawno temu, prawdopodobnie wystraszony legendą o przekleństwie, ciężącym nad rzeką Marisota. Czując wszędzie wokół Ciemną Stronę, Jelph zaczął się z nim zgadzać, zwłaszcza kiedy ruszył na północ i stwierdził, że cała planeta jest przeklęta. Kesh należała do Sithów.

Jelph poświęcił całe swoje dorosłe życie staraniom, aby Sithowie nie wrócili do galaktyki.

Toprawa została zniszczona przez wojnę Jedi z Exarem Kunem; Jelph przyszedł na świat już pozbawiony wszelkiej nadziei. Pozbawiony ojca, od matki jedynie słyszał straszne historie o okupacji Sithów. Kiedy pewnego ranka znikła i nigdy więcej nie wróciła, młody Jelph mógł także stracić nadzieję - ale nadzieja pojawiła się w postaci zwiadowców Jedi. Kobieta, której go przedstawili, ocaliła mu życie.

Krynda Draay również straciła kogoś na Toprawie - swojego męża, Jedi - i wtedy stworzyła Przymierze: grupę Rycerzy Jedi, którzy gotowi byli zrobić wszystko, aby nie dopuścić do powrotu Sithów. Jej czujnym wizjonerom pomagali Cienie, agenci w służbie jej syna, jeszcze jednego Jedi o wielkich aspiracjach. Mistrz Lucien w jakiś sposób usunął Jelpha z rejestrów Jedi, dając młodzieńcowi pełną i całkowitą swobodę. Przez lata Jelph był doskonałym tajnym agentem.

Wędrował po Zewnętrznych Rubieżach, badając potencjalne zagrożenia ze strony Sithów, podczas gdy

prawdziwy Zakon Jedi zajmował się sprawami mniejszej wagi. Był zadowolony ze swoich sukcesów...

...aż do początku wojny Republiki z zakutymi w zbroje Mandalorianami, kiedy to wszystko się zmieniło. Jelph nigdy nie dowiedział się dokładnie, co się zdarzyło, poza tym że jacyś zdrajcy zniszczyli Przymierze, ujawniając między innymi jego istnienie. Teraz, uznany przez Jedi za wyjątego spod prawa, Jelph stwierdził, że jedyną możliwością jest ucieczka. Cóż za ironia, że kiedy już wybrał sobie Kesh na azyl, znalazł tam rasę, którą poprzysiągł zniszczyć!

Skończył jeść i przetaił oczy. Do tej pory wszystko robił jak należy. Żył jako Cień, więc ukrywanie się przed Sithami na Kesh nie było szczególnie trudne. Wiedział, jak osłonić swoją obecność w Mocy, istnienie zaś istot niebędących ludźmi ułatwiło mu wmieszanie się w tłum, dopóki mieszkał w dziczy i do minimum ograniczał kontakty. Szybko podchwycił lokalny dialekt i akcent, co pozwoliło mu na dostęp do wszystkiego, co konieczne do życia. Życia, które spędzał, pracując we dnie na farmie, a nocą naprawiając uszkodzony myśliwiec.

Myśliwiec... Dał sobie już radę z większością szkód, wyrządzonych Aurekowi przez burzę meteorytów. Pozostało jedynie zainstalować konsolę łączności, a potem wybrać czas i sposób odejścia. Wtedy stałby się naprawdę strażnikiem, którym chciał zostać, ostrzegającym Republikę i Jedi przed Sithami, a potem mógł odzyskać swoje imię.

Ale spotkał ją. Ori Kitai była Sithanką, a on za bardzo się do niej zbliżył, lekceważąc to, co mówił zdrowy rozsądek. Pozwolił sobie zapomnieć o misji i wpuścił ją do domu. A teraz ona odkryła jego myśliwiec - i odeszła, zapewne po to, aby ostrzec Sithów.

Czy na pewno?

Opuścił farmę w wielkim pośpiechu, bo nie miał innego wyboru. Wolał nie uruchamiać myśliwca bez sprawnego systemu komunikacji, a jego instalacja zajęłaby tydzień. Warto

było przynajmniej spróbować najpierw schwytać Ori. Przeklinał się teraz, że nie przyjrzał się dokładniej śladom. Z pewnością ktoś przeszedł przez stodołę, zabił jej uwaka i odsonił myśliwiec. Ale nie było jasne, kto co zrobił. To prawda, Ori zniknęła, a odciski jej stóp prowadziły w górę ścieżki. Ale niedawno byli tam też inni ludzie, dosiadający uwaków, którzy potem odlecieli. Tylko prawdziwi Sithowie latali na uwakach, ale wszyscy oni podobno źle życzyli Ori, którą uważali za niewolnika.

Czy coś się zmieniło? W każdym razie na pewno nie odjechała z nimi.

Mógłby się założyć, że Plemię jeszcze się nie dowiedziało o jego tajemnicy. Gdyby jeźdźcy uwaków odkryli jego statek, zostawiliby kogoś, aby go pilnował. Pozostawała Ori. Poprzedniego dnia, kiedy był w dżungli, wyczuł poprzez Moc potężne uderzenie zdrady z jej strony. Widział

dzieło zniszczenia, jakiego dokonała na jego małej farmie. A teraz dziewczyna kieruje się w stronę stolicy z informacją, która może spowodować zniszczenie całej galaktyki.

Na pewno tak jest. Ślady Ori znikły przed rozstajami, ale Jelph wciąż był przekonany, że udała się do Tahv. Na wschodzie nie było nic oprócz dżungli, a w opuszczonych miastach Jezior Ragnos nie byłoby komu o tym powiedzieć. Deszcze monsunowe wezbrały wody Marisoty, a brody prowadziły do kilku miast na południu. Pozostawała zatem stolica, miejsce, którego Jelph nigdy nie odwiedził. Było to centrum zła na Kesh: dom Wielkiego Mistrza Lillii Venn i jej całego przeklętego Plemienia.

Wyjrzał przez okno na bezużyteczne już mury miejskie. Gdzie może być Ori? Dokąd mogła się udać?

- Nie wyglądasz na szczęśliwego, mój przyjacielu. - Zatroskany stary Keshiri zabrał pustą miskę. - Zawsze staram się mieć coś, co mógłbym podać ubogim. Szkoda, że nie jest to nic lepszego.

- Nie o to chodzi - odparł Jelph, opanowując się.

- Ach, więc kobieta. - Stary wycofał się za ladę. - Może i nie jestem z waszej rasy, młody człowieku, ale powiem ci coś uniwersalnego. Jeśli wpuścisz kobietę do swojego życia, wszystko może się zdarzyć.

Jelph ruszył w stronę drzwi, obejrzał się i uklonił na pożegnanie.

- Tego się właśnie obawiam - rzucił.

Ostatni goście krążyli po zoo. Tak zawsze nazywała to miejsce Ori, choć prawdziwa jego nazwa była znacznie bardziej skomplikowana. Początkowo był to park na cześć Nidy Korsin i Strażników Zrodzonych z Nieba, potem dołożono imiona dwóch czy trzech innych Wielkich Lordów, choć akurat to nie wydawało się Ori szczególnym zaszczytem. Kiedyś trzymano tam dzikie zwierzęta, ostatnich przedstawicieli drapieżnych gatunków na Kesh, ale Sithowie już dawno wywlekli je stąd i zabili dla sportu.

Teraz miejsce to służyło za publiczne pastwisko dla uvaków, które brały udział w jeździe zabijaków - oczywiście tych kilku, które przeżyły walki w tym gwałtownym sporcie. Zarówno obywatele sithańscy, jak i keshirscy lubili tu przychodzić, aby podziwiać potężne zwierzęta, rozpieszczane i przygotowywane do walk na pobliskiej Korsinacie.

Ostatnio jednak zaczęli odwiedzać to miejsce, aby zobaczyć coś innego. A raczej kogoś innego.

Ori znalazła matkę tam, gdzie się spodziewała - wygarniającą mierzwę z boksów uvaków.

Jelph miał rację co do joty: Wielki Lord Venn uczyniła z upadku Candry Kitai widowisko publiczne. Pod czujnym okiem krzepkiego strażnika nocnego, zdegradowana Arcylord kontynuowała pracę, którą musiała wykonywać przez cały dzień ku uciesze obserwujących ją przechodniów. Candra stała na palcach, wciąż ubrana w swoją ceremonialną szatę z Dnia Donellana, teraz brudną i podartą, i rozgarniała delikatnie

śmierdzące sterty dużą łopata.

Spoglądając w dół ze swojego miejsca na dachu szopy, Ori czekała, aż strażnik znajdzie się dokładnie pod nią. Skoczyła w dół i kopniakiem pozbawiła go zmysłów. Uklękła, chwyciła miecz świetlny strażnika, a jego zaciągnęła do boku za stojącego tam uvaka.

Oczami łzawiącymi od smrodu Candra spojrzała na córkę. Miała zmęczoną twarz.

- Wróciłaś.

- Tak.

- Minęło tyle tygodni.

- Dokładnie dwa. - Ori przyglądała się matce. Tak mało czasu upłynęło od królewskiego święta, a już ledwie poznawała tę kobietę. Siwe włosy, zawsze starannie ukrywane przez fryzjerki Keshiri, teraz przeważały w rozczochranej czuprynie. Dłonie jednak pozostały wolne od odcisków.

Ori zrozumiała dlaczego, kiedy Candra automatycznie wróciła do pracy; trzymała łopatę delikatnie, czyniąc niewielkie postępy.

- Wciąż podają im paskudztwo, po którym chorują - mruknęła. - Wiem, że robią to celowo.

- Nigdy nie skończysz roboty, nabierając w ten sposób - zauważyła Ori. Podskoczyła i chwyciła narzędzie. Przez chwilę mu się przyglądała, ale przypomniała sobie, że nie jest farmerem, i odrzuciła łopatę na bok. - Byłaś tu przez cały czas?

Candra słabym ruchem ręki wskazała na pusty boks po drugiej stronie przejścia.

- Czasem pozwalają mi tu pospać. - Objęła Ori znudzonym spojrzeniem. - Wyglądasz na zmęczoną, kochanie. Odpoczęłaś trochę?

Ori prychnęła. Przez całą poprzednią noc i dzień biegła z farmy Jelpha, po tym jak odkryła jego sekret w szopie, a do Tahv dotarła ledwie przed godziną. Teraz wreszcie była na miejscu, no i miała coś na wymianę. Kim on był? Skąd

pochodził? „Systemy Floty Republiki”, mówiły dawne litery. Republika, jak pamiętała z przyswajanych nauk, była narzędziem Jedi - marionetkowym organem, który pozwalał Rycerzom Jedi rządzić słabeuszami z galaktyki.

Ta informacja na pewno dla kogoś będzie coś warta. Ale dla kogo?

- Wydobędę cię stąd - obiecała matce.

- Nie mogę tak po prostu odejść - odparła Candra. - Odnajdą nas, dokądkolwiek się udamy, i obie skończymy tutaj.

Ori zerknęła szybko poza boks i pociągnęła starszą kobietę w cień.

- Nie zamierzam cię wykradać. Odkryłam coś, co przywróci nas... co przywróci ciebie do łask. Musisz mi załatwić, żebym spotkała się z Arcylordami.

Candra gapiała się na nią, oszołomiona, po czym z poczuciem winy zwróciła oczy na łopatę.

- Lepiej wróć do pracy, zanim ktoś inny tutaj zajrzy...

Ori chwyciła matkę za rękę, zanim Candra mogła się poruszyć.

- Mamo, muszę wiedzieć, z kim powinnam porozmawiać.

Candra kręciła głową, próbując uniknąć spojrzenia na córkę.

- Nie, Ori. Nie wiem, co według ciebie znalazłaś, ale nic już się nie zmieni. Jesteśmy zgubione.

- To może zmienić wszystko! - Ori nie miała co do tego wątpliwości. Szybko wyjaśniła matce: na Kesh był jeszcze jeden statek oprócz „Omenu”, ukryty na farmie w pobliżu rzeki Marisota. Ori mówiła coraz głośniejszym głosem z podniecenia. - Nie chodzi tylko o naszą rodzinę, mamo!

Chodzi o zjednoczenie Plemienia z Sithami!

Candra spoglądała na nią z niedowierzaniem.

- Oszalałaś. Wymyśliłaś to sobie, żeby próbować wrócić do...



Słyszając, że strażnik zaczyna się ruszać, Ori błagalnie spojrzała na Candrę.

- Znasz się na polityce. Muszę wiedzieć, do kogo mam się udać.

Na słowo „polityka” oczy Candry jakby się ożywiły. Żałośnie zerkając na łopatę, zaczęła mówić przyciszonym tonem. Trzech Arcylordów to świeżo mianowani sługusi Wielkiego Lorda, wyjaśniła. Ale pozostało jeszcze czterech, którzy mogliby jej wysłuchać - po dwóch z dawnych frakcji Czerwonych i Żółtych. Utrzymywali równowagę we władzy politycznej i być może nagrodziliby rodzinę Kitai za przyniesienie tych wieści.

- Jeśli to prawda, musisz ich tam sprowadzić, żeby się przekonali na własne oczy - szepnęła Candra. - Wyślij im wiadomość przez Gadina Badolfe, architekta. Widuje ich wszystkich, a ja wciąż mu ufam. Nie mów dokładnie, co znalazłaś, w ten sposób nie zostaną skompromitowani, że chcą się z tobą zobaczyć.

Ori się zamyśliła. Cieszący się dużą popularnością Badolfa był ważną postacią w społeczności Sithów i miał takie powiązania, jakie tylko może mieć człowiek spoza hierarchii.

Arcylordowie mogą wprawdzie nie uwierzyć, że zaproszenie jest uczciwe, nawet jeśli zostanie przekazane przez tak zaufanego przyjaciela jak Badolfa - ale nie było wielkiego wyboru.

Ori wyciągnęła ciało strażnika z boksu. Zauważyła tu przedtem porządne koryto, które doskonale nada się na tymczasowy schowek dla niego; pozostali strażnicy pomyślą, że upił się na służbie. Zatrzyma jednak miecz świetlny. Minął tylko dzień od chwili, kiedy bracia Luzo zabrali jej broń, ale dobrze było czuć go znowu w dłoni.

- Mamo, jesteś pewna, że nie chcesz pójść ze mną?

Candra oparła się na stylisku łopaty i długo przyglądała się córce.

- Nie, tu jest teraz moje miejsce. Byłabym dla ciebie tylko ciężarem. - Spojrzała na klepisko boksu i skrzywiła się. - A jeśli ten twój plan nie zadziała, nie kłopotcz się już o mnie. I tak nie zamierzam tu długo zabawić.

## **ROZDZIAŁ 2**

Była tutaj nienawiść, czysta i dusząca. Tahv był jej pomnikiem. Jelph czuł ją na każdej ulicy, na każdym skrzyżowaniu. To miejsce przesiąkło Ciemną Stroną Mocy, jak żadne inne, które do tej pory odwiedzał.

Wiele razy podczas swoich młodszych lat na Toprawie Jelph myślał, że traci rozum.

Nękały go ciągle bóle głowy, każda chwila na jawie była dla niego cierpieniem. Dopiero po długim czasie zorientował się, co było tego powodem: jego wzrastająca wrażliwość na Moc. W ten sposób reagował na psychiczne blizny, jakie Exar Kun i jemu podobni zadali światu wiele lat wcześniej.

Ale tamto zło już przeminęło. Za to psychiczna trucizna, krążąca po ulicach Tahv, była wciąż żywa. I była wszędzie. Budynek, za którym się ukrył, należał do starego Sitha, który właśnie ostro karciał keshirskiego służącego. Za oknem po drugiej stronie młoda para planowała zabójstwo swoich sąsiadów. Strażnik na końcu ulicy w swoich wspomnieniach przechowywał obrazy wykraczające poza najgorsze wyobrażenia Jelpha.

Próbował odciąć się od tych wrażeń, dochodzących do niego poprzez Moc, jednocześnie zatapiając swoją obecność psychiczną. Było to prawie niemożliwe. Sithowie radośnie okazywali nienawiść i gniew, jak dzikie zwierzęta wyjące do gwiazd.

Oparł się ciężko o ścianę i zgiął wpół. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że posiłek przed przyjściem tutaj nie był dobrym pomysłem. Wyprostował się, z trudem chwytając powietrze, i otarł pot z czoła. Zastanawiał się, ilu Sithów mogło tu mieszkać? W Tahv czy w całym Kesh?

Nigdy się nie dowie. Był oficjalnie zwiadowcą Jedi, nawet jeśli go za takiego nie uważali. Chciał

po ewentualnym powrocie zdać pełny raport. Za każdym razem jednak, kiedy zbliżał się do jakichkolwiek siedzib ludności, przyplącał to chorobą. Tak jak teraz, kiedy najbardziej potrzebował

swoich zdolności.

Z trudem zbierał myśli. Ori. Musi znaleźć Ori. Jej imię, jej twarz będą jego linią ratunkową.

To ona była powodem, dla którego tu się znalazł... i dlaczego nie uciekł.

Bardzo dobrze znał jej obecność w Mocy, ale nie miał nadziei, że znajdzie ją w tym morzu nieprzyjaznych uczuć, którym był Tahv. Zastanawiał się, jak ona mogła w ogóle tu przeżyć. Mroki jej natury wydawały mu się zawsze innego rodzaju niż u pozostałych Sithów na Kesh, choćby nie wiadomo jak udawała. Była dumna, ale nie złośliwa, urażona, ale nie pełna nienawiści. Cofnąłby się przed jej dotknięciem, gdyby było inaczej. Musiał mieć rację co do niej.

Ale co, jeśli się pomylił? I czy ona w ogóle gdzieś tu jest?

Już miał poddać się rozpacz, kiedy coś poruszyło wspomnienia. Podczas jednego z ich pierwszych spotkań Ori chwaliła się, że żaden inny Miecz nie zna tak dobrze jako ona systemu akweduktów w mieście. Było to jej patrolowe terytorium, gdzie bywała ze swoimi uczniami.

Podniósł wzrok i ujrzał jedną z wielu wysokich, kamiennych budowli, rozsianych po całym mieście i dostarczających wodę z gór. Akwedukt zbudowany był pierwotnie przez Keshirich, ale Sithowie szybko go ulepszyli, dodając zbiorniki magazynowe, usytuowane kilka metrów nad ziemią. Ori miała rację. Stamtąd można było zobaczyć całe Tahv. I może nawet go nie czuć, pomyślał.

Wsunął się w plamę cienia pod masywnym filarem

akweduktu, słupem niemal szerokości budynku. Mroczne uczucie było tu nieco słabsze. Jelph wspiał się na podpórę, pilnując, żeby nie wyjść z cienia dopóki nie dotarł na szczyt.

Kamienny kanał, wyposażony w szerokie progi kierujące wzburzoną wodę, miał rozmiary miejskiej ulicy. Leżąc na jednym z progów, Jelph podziwiał dzieło Keshirich, którzy potrafili zbudować całą napowietrzną rzekę na długo przed pojawieniem się Sithów. Czego jeszcze mogliby dokonać, gdyby im nie przeszkadzano? Pokręcił głową i sięgnął do torby przewieszanej przez ramię, by wyciągnąć makrolornetkę.

Obserwując teren, zauważył łańcuch górski wznoszący się daleko na zachodzie. Poczuł

nagły dreszcz. Słyszał, że Sithowie trzymają tam swój rozbity statek, zamknięty w świątyni. Czy byliby w stanie wykorzystać materiały z jego myśliwca, aby go naprawić? A może tylko jeden Sith spróbowałby uciec w jego statku, planując powrót po resztę? Tak czy owak, najważniejsze było teraz odnaleźć Ori. Zwrócił znów uwagę na miasto w dole. Włączył noktowizor i zaczął się przyglądać ulicom wiodącym do wielkiego pałacu. Czy Ori przechodziłaby tamtędy, wiedząc, co Wielki Lord Venn zrobiła jej rodzinie? Próbując zobaczyć coś więcej, odważył się wstać.

- Ori, gdzie jesteś? - westchnął.

Nagle niewidzialna dłoń pchnęła go w tył, wprost do wartkiego strumienia. Makrolornetka wypadła mu z ręki, odbiła się od półki i roztrzaskała gdzieś poza zasięgiem wzroku na marmurowym dachu. Jelph odepchnął się ciężkimi roboczymi butami od śliskiej kamiennej podłogi i wybił się w górę - tylko po to, żeby znów polecieć w tył, pchnięty Mocą. Nie zdołał się wyprostować i zaczął płynąć w dół kanału.

Prąd zmniejszył się niebawem i zniósł go do osadnika - nieco niżej, ale wciąż wiele metrów ponad najbliższymi dachami. Z trudem przebrnął do płytszego końca, odpiął miecz świetlny od pasa i zapalił go. Niebieskie światło rozbłysło w

ciemności. Jelph zachwiał się w głębokiej po pas wodzie, rozglądając się za napastnikiem.

- Kłamca! - usłyszał.

Okrzyk dobiegał z kanału. Jelph dostrzegł nagle sylwetkę kobiety, która rzuciła się na niego, wymachując szkarłatnym mieczem. Z obiema dłońmi na rękojeści odbił potężny cios, pozwalając, aby impet ataku cisnął kobietę do zbiornika. Szybko jednak odzyskała równowagę i znów uderzyła.

- Kłamca! - powtórzyła Ori, a jej zwykle brązowe oczy rozblęły pomarańczowo.

- Znalazłeś go - stwierdził Jelph, krzyżując swój miecz z jej mieczem w klinczu. Nie wiedział, co innego mógł powiedzieć.

Ori warknęła coś niezrozumiale i spróbowała go kopnąć. Jelph usunął się na bok, co sprawiło, że oboje stracili równowagę, a miecz Ori wysunął się jej z ręki i wpadł do głębszej części zbiornika.

Widząc, jak nurkuje w poszukiwaniu broni, Jelph szybko się odsunął, robiąc jej miejsce.

- Znalazłeś go - powtórzył, wyłączając miecz. - Znalazłeś go i zniszczyłeś ogród. Nie winię cię za to.

- Aleja winię ciebie! - warknęła i wstała, skutecznie macając ręką pod wodą. - Jesteś kłamcą! Jesteś Jedi!

- Byłem - odparł, bo nie było sensu zaprzeczać. - Znalazłeś mój statek kosmiczny. Dzięki Mocy, że nie próbowałaś do niego wsiąść.

- A co, myślisz, że nie jestem dość bystra? - Ociekając wodą, spiorunowała go spojrzeniem.

- Jestem dla ciebie tylko jakimś głupim ziemnym stworzeniem... nie lepszym od Keshirich, tak?

- Nie o to chodzi!

- Też przybyliśmy z kosmosu, wiesz? I wrócimy tam! Tego się właśnie obawiasz?

- Owszem... między innymi. - Nagle przypomniał sobie, gdzie jest i nerwowo spojrzął w górę. Zbiornik był zbyt wysoki, aby usłyszano ich z dołu, ale widywał już latające patrole. - Co... co tutaj robisz?

Ori macała nogą po dnie, wciąż próbując znaleźć swój miecz.

- Przyszłam do Tahv, aby opowiedzieć im o tobie! Aby ich ostrzec!

- Tutaj? - Spodziewał się, że dziewczyna ruszy na spotkanie z kimś naprawdę ważnym.

Przyglądał jej się, jak wyciska wodę z włosów. - Zaraz, zaraz... Spotkałeś się z kimś naprawdę ważnym. Z matką, tak?

Sithanka tylko spojrzała wściekle.

- Myślałem, że twoja matka nie ma już władzy...

- Ale to się zmieni! - Twarz Ori wykrzywiła wściekłość.

- Z tym, co teraz wiemy, wróci na dawne miejsce! I ja też!

Jelph cofnął się, jakby odepchnięty siłą jej słów.

- To niepodobne do ciebie - rzekł. - Dziewczyna, która mieszkała ze mną, nie dbała już o takie rzeczy. Ta dziewczyna...

- To nie byłam ja! - prychnęła. - To była moja kłeska!

- Ale podobałaś mi się taka inna... nieważne, jak to nazwiesz. To było częścią ciebie.

- Wtedy nie byłam Sithanką! - Wskazała na gwiazdy, wyglądające spoza chmur wysoko nad ich głowami. - One należą do nas! I nie chodzi tylko o mnie. Mieszkamy tu od tysiąca lat, czekając, aby tam wrócić. Aby wrócić do tego, co jest nasze!

Jelph zaczął coś mówić, ale urwał.

- To prawda - rzekł, licząc szybko. Plemię tu przyleciało po Wielkiej Wojnie Nadprzestrzennej ponad tysiąc lat temu. Ale Ori nie wiedziała, co było dalej.

Miał już broń. Historię.

- Nie ma już innych Sithów - rzekł.

- Co takiego?

- Nie ma już innych Sithów - powtórzył. - Wyginęli.

- Kłamiesz - warknęła, brnąc do brzegu. - Ten statek, który ukrywasz, to okręt wojenny! Te długie... pręty po obu stronach. Chcesz powiedzieć, że to dekoracja?

Pokręcił głową.

- Tak, Jedi mają wrogów. Walczyliśmy z Sithami jeszcze za pamięci żyjących. Pewien Jedi, Exar Kun, przeszedł na Ciemną Stronę i wskrzesił ten ruch. Ale zostali wytępieni, zaszczuci, wszyscy, co do jednego. - Ostrożnie ruszył w jej stronę. - O ile wiem, jesteście jedynymi Sithami, jacy pozostali w galaktyce. Zjrzyj w moje myśli. Wiesz, że mówię prawdę.

Westchnęła i spojrzała na niego. Jej złość wygasła. Podciągnęła się na skraj zbiornika i zdjęła but, wylewając z niego wodę.

- Podniesiemy się - odparła już znacznie spokojniej. - Sami przeciwko jednemu Jedi lub ich miliardom. Zaryzykujemy.

- Zostaniecie zmiażdżeni przez Jedi.

- A czy ktoś w ogóle wie, że istniejemy? - zapytała. - Jeśli Sithowie nas nie szukali, wątpię, aby zrobili to Jedi.

- Ale szukają mnie - odparł. - I wierz mi, ale szukają również ciebie.

Nie wiedział, co się działo z wszystkimi członkami Przymierza od czasu jego ucieczki, ale był pewien, że dopóki żyje Lucien Draay, ktoś zawsze będzie szukał Sithów.

Ori w rozpaczy potarła czoło.

- Jeśli nie mogę ocalić mojej rodziny... ani mojego ludu... to co mam teraz zrobić?

- Co masz zrobić? - Jelph się roześmiał. - Przecież to ty zawsze powtarzasz, że sama wytyczasz sobie kurs. - Brodząc w wodzie, ruszył do niej. - Zdecyduj, czego ty chcesz.

Przez długą chwilę spoglądała na niego, gdy tak stał przed nią w lśniącej od gwiazd wodzie.

Wreszcie przytknęła oczy i pokręciła głową.



- Nigdy nie będziemy mogli sobie zaufać.

Popatrzył na nią badawczo, a ona rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Wyczuwam to w twoich myślach. Uważasz, że jestem piękna. Uważasz, że mnie pragniesz. Chcesz mi zaufać. Ale dokładnie analizujesz każde moje słowo; usiłujesz mnie rozgryźć, schwytać w pułapkę. Z powodu tego, kim jestem.

Jelph spojrział w wodę. Nie wiedział, po co przebył tę całą drogę, dlaczego tak ryzykował.

Aż do tej chwili.

- Myślę, że wiem, kim jesteś, Ori. - Zrobił krok i położył jej dłoń na ramieniu. Aż skurczyła się pod jego dotknięciem.

- Jelph - szepnęła, ale nie odepchnęła jego ręki. - Nie mogę być tą osobą, którą byłam na farmie. Jeśli jedynym sposobem, aby z tobą zostać, jest okazanie słabości, nie mogę tego zrobić.

- Potrafisz być silna - rzekł. Objął ją i ściągnął z półki, stawiając w wodzie, obok siebie.

Spojrziała na niego, kiedy jej stopy dotknęły dna. - Jesteś silna - powtórzył. - Po prostu nie musisz rządzić galaktyką.

Odwrociła wzrok i zapatrzyła się w wodę.

- Po to się urodziliśmy, wiesz? Aby rządzić galaktyką.

- A więc Plemię zostało zbudowane na oszustwie - odparł. - Na kłamstwie. Każdy walczy o coś, co może mieć jedna osoba. Tylko jedna. A to oznacza, że być Sithem, to zostać skazanym na prawie pewną porażkę. Wszyscy, którzy przestrzegają waszego kodeksu, są skazani na klęskę, zanim jeszcze zaczną. - Jelph zachichotał. - Co to za filozofia?

Uniósł jej podbródek i zajrzał w oczy, które znów były brązowe.

- Nie daj się oszukać. Nie można przegrać, jeśli się nie gra.

Pocałował ją, nie dbając, co zobaczą sithańskie patrole powietrzne. Ori oddała pocałunek, ale zaraz się odsunęła.

- Zaczekaj - rzekła. - Pamiętaj, że my już gramy. Wszystko poszło w ruch. Nie mogę tego powstrzymać.

- Co masz na myśli?

Marszcząc ciemne brwi, wyjaśniła, co zaproponowała jej matka.

- Już wysłałam wiadomości do rywalizujących ze sobą Arcylordów - szepnęła. - Mają się ze mną spotkać na twojej farmie, aby zobaczyć statek.

Przywrócony tym wyznaniem do rzeczywistości, Jelph wypuścił ją z ramion.

- Co... co im powiedziałaś?

Oszołomiony wygramolił się ze zbiornika.

Ori podążyła za nim. Matka podała jej zdanie, którego należało użyć - szyfr dla maleńkiej społeczności Arcylordów, oznaczający odkrycie, które może wstrząsnąć Kesh.

- Nie powiedziałam im o statku... wiedzą tylko, że to ważne - wyjaśniła. - Mają się tam ze mną spotkać jutro o wschodzie słońca.

- O wschodzie słońca! - Jelphowi opadły ręce. Dotarcie tu na piechotę zabrało mu cały dzień i noc. - Jak chciałaś się tam dostać?

- Miałam zamiar ukraść uvaka - przyznała się, wskazując ciemny cień na niebie. - Dlatego tu przyszłam, bo wiedziałam, że z akweduktu mogę zwabić na dół jeden z naszych powietrznych patroli. - Spojrzała na niego z wyrzutem - Oczywiście, wtedy jeszcze miałam miecz świetlny.

- Dobrze, że masz przyjaciela - odparł, stając na półce obok niej i mierząc wzrokiem wiszący nad nimi patrol. Uśmiechnął się. - Wiesz, Ori, jesteś w moim życiu pierwszym Sithem, z jakim walczyłem.

- Z następnym będziesz się musiał bardziej postarać - odparła, obserwując, jak włącza swój miecz. - Nie każdego z nas można tak łatwo oczarować.

## **ROZDZIAŁ 3**

Dobrze było znów lecieć. Ori patrzyła w dół na rolnicze tereny, które uciekały w tył pod łopoczącymi skrzydłami uvaka. Co chwila oglądała się na Jelpha, który przywierał do niej, kiedy ściągała wodze, ale cały czas się uśmiechał. Wiedziała, że lot nie jest dla niego żadną nowiną - ale jednak przez trzy lata mógł tylko patrzeć w górę, na latających Sithów. Zmiana była bardzo mile widziana.

Zastanawiała się, jak będzie wyglądał lot w jego statku kosmicznym. Teraz już wiedziała, dlaczego wcześniej nim nie odleciał - ale teraz, kiedy już odnaleźli siebie, nic więcej nie trzymało ich na Kesh. Ciasno im będzie w jednoosobowym pojeździe, wiedziała też, że Jelph musi przed odlotem zainstalować na nowo jakiś system komunikacji. Co prawda jeszcze tego nie omawiali, ale Ori miała wielką nadzieję na ucieczkę.

Jakie będzie potem wiodła życie, dziecię Plemienia w galaktyce zdominowanej przez Jedi?

Mogła sobie wyobrazić, że pewnie takie samo, jak Jelph tutaj przez te wszystkie lata. Ona już zaczynała myśleć w podobny sposób. Empatia dla Sitha oznaczała jedynie sposób lepszego poznania nieprzyjaciela, ale poza tym nie miała żadnego praktycznego zastosowania. Ori jednak zaczęła ostatnio widzieć sprawy z innej strony.

Weźmy na przykład taką Candrę. Było wiele powodów, dla których Ori chciała przywrócić matce dawną pozycję - ale większość z nich dotyczyła dumy, zemsty i wstydu z powodu obecnej i sytuacji. Ważniejsze było jednak - i teraz dopiero to

zrozumiała - żeby wyrwać matkę ze szponów Venn tylko po to, aby polepszyć jej życie. Czterech Arcylordów może to zrobić, zapewnił ją Gadin Badolfa, kiedy skontaktowała się z nim. Musiała tylko dać tym starcom w zamian coś innego niż statek kosmiczny Jelpha. Jelph zaproponował jej jeden z działających miotaczy, które ukrył w domu. Mogła przecież powiedzieć, że znalazła go w jakimś starym grobie. Cała broń, jaką mieli od załogi „Omenu”, dawno straciła całą energię. Odkrycie naładowanych karabinów mogło bardzo pomóc w polityce przemocy Arcylordów.

- Nie zdążymy na czas - mruknął Jelph. Ich uvak niechętnie niósł dwóch obcych jeźdźców i szarpał się z nimi przez całą drogę. - Co to jest?

Ori podniosła wzrok i ujrzała lecący wysoko nad nimi klucz uvaków - jeden z przodu i po każdej stronie jeszcze trzy.

- A niech to! - warknęła; zrozumiała, że tamci trafili na ciepły prąd. - Będą tam pierwsi!

- Spokojnie - odrzekł Jelph. Objął ją mocniej. - A teraz szybciej!

Ori pozwoliła Jelphowi zeskoczyć przed lądowaniem w miejscu niewidocznym z farmy.

Obserwowała, jak zwinnie Jedi ląduje na ziemi i odtacza się na bok. Zaskakujące było widzieć go w akcji, sprawnego fizycznie pod każdym względem, niczym Miecz Sithów. Był też ostrożny. Goście, którzy przywiązali swoje zwierzęta za farmą, nic nie zauważyli.

Odetchnęła głęboko i zsiadła z wierzchowca. Miotacze były dokładnie tam, gdzie powiedział jej Jelph, pod korytem do mieszkania. Wyglądały tak samo, jak te, które widziała w muzeum. Miała nadzieję, że wystarczą, aby zapłacić za oczyszczenie matki z winy - i skłonić gości do odejścia. Szeptem powtarzała sobie, co ma powiedzieć, okrążając farmę i mijając zniszczone kratownice. Wiedziała, których z czterech Arcylordów oczekiwać. Czując znajome mroczne obecności,

zawołała:

- Lordowie, mam to, czego szukaliście!

- Tak, myślę, że naprawdę masz.

Na dźwięk skrzeczącego głosu twarz Ori przybrała barwę popiołu. Wielki Lord!

Ze stajni wyszła blada i pokurczona Lillia Venn. Uniosła pokrytą plamami dłoń i chwyciła Ori poprzez Moc, unieruchamiając ją. Czterech z jej lojalnych strażników wyszło zza stodoły i złapało dziewczynę. Przywódczyni Sithów obejrzała się i zawołała w stronę stodoły: - Lordowie Luzo!

Ori poczuła, jak miękną jej nogi. Flen i Sawj Luzo otworzyli drzwi stodoły, odsłaniając wnętrze i metaliczną sylwetkę myśliwca bojowego Aurek. Dowiedziała się przedtem od Badolfy, że Venn wyniosła Flena i Sawja Luzo do pozycji Arcylordów za ich lojalność. Teraz przebiegli bracia wrócili na farmę... wraz z jej najgorszym wrogiem.

- Jak to się stało? - zapytała Ori, szarpiąc się w ramionach napastników. - Czy to Badolfa mnie zdradził?

- Och, pozwoliliśmy Badolfie dostarczyć wiadomości od ciebie - odezwał się Sawj Luzo głosem przepelnionym zadowoleniem. - Twoja matka zawarła kolejną umowę.

- Co?

- No właśnie - odparła Venn, kuśtykając do środka. - Nie wierzyła, że twoje odkrycie naprawdę istnieje... nie wierzyła, że inni Arcylordowie zechcą przybyć. Dlatego uprzedziła nas o tym małym spotkaniu.

Ori spojrzała na nią z przerażeniem.

- W zamian za co?

Venn oblizwała suche wargi.

- Nazwijmy to... lepszymi warunkami pracy. Gdyby którykolwiek z Arcylordów się tu pojawił, miałabym dowód jego zdrady. - Wskazała na pojazd kosmiczny. - Ale jest to jeszcze lepsza zdobycz.

Szarpiąc się w ramionach napastników, Ori rozejrzała się

wokół. Wiedziała, że Jelph gdzieś tam jest, ale wrogów było tak wielu! Właśnie starszy Luzo pomagał Wielkiemu Lordowi przejść przez częściowo rozkopany gnój w stajni ku ich odkryciu.

- Stało się - triumfalnie oznajmiła Venn. - A więc dożyłam tego dnia. - Puściła ramię towarzysza i oparła się o myśliwiec. - Życie to okrutny żart, Lordzie Luzo. Spędzasz całe życie, wspinając się na szczyty władzy... a kiedy tego dokonasz, wszyscy uważają, że czas, abyś umarł.

- Żaden z nas tak nie uważa, Wielki Lordzie.

- Zamknij się. - Poglądziła zimny metal statku. - Cóż, życie Lillii Venn nie dobiegło jeszcze końca. Znalazłam nowy szczyt, który można zdobyć. Zacznę od nowa... wśród gwiazd. - Mgliście uświadamiając sobie szuranie stóp sojuszników za plecami, dodała: - Oczywiście, zabiorę was wszystkich ze sobą.

- Oczywiście, Wielki Lordzie.

Na zewnątrz dwaj strażnicy - dawniejsi towarzysze Ori z oddziału Mieczy - puścili ją. Ich uwagę przykuło to, co działo się w środku. Ani oni, ani dwaj pozostali nie zauważyli za plecami porzuconego, zawiązanego worka z miotaczami, który cichutko lewitował w kierunku krzaków za farmą. Ori jednak wszystko zauważyła i chciała się cofnąć, ale usłyszała w myślach głos Jelpha: Ori! Padnij!

Zamiast wyrwać się i uciekać, Ori zaskoczyła trzymających ją strażników, z całym impetem rzucając się na ziemię. To małe zamieszanie wystarczyło Jelphowi, który wybiegł zza domu, strzelając z miotacza. Jaskrawe promienie, niewidziane na Kesh od pierwszego stulecia okupacji, trafiły dwóch strażników z tyłu. Pozostali dwaj Miecze obejrzel się, kompletnie zaskoczeni.

Wewnątrz stodoły starucha Venn nagle ożyła. Spojrzała gniewnie na nowych Lordów.

- Zabezpieczyć to miejsce! - zażądała.

Jelph wskoczył na podwórze, strzelając cały czas.

Pozostali Miecze, którzy nigdy w życiu nie odbili ani jednego strzału, rzucili się, aby odparować energię. Ori przetoczyła się po ziemi, usiłując namacać miecz świetlny któregoś z powalonych strażników. Przed sobą widziała braci Luzo, strzegących wejścia do stajni - a za nimi Wielkiego Lorda, która jakimś sposobem zdołała wgramolić się na myśliwiec.

Nie, nie na myśliwiec, jak Ori stwierdziła po chwili ze zgrozą. Wlazała do środka.

Obejrzała się na Jelpha, który wreszcie do niej dołączył. On też to zobaczył. Zamarł na moment, przerywając ogień z miotacza. Wiedźma wpakowała się do jego drogiego statku!

Chwyił Ori za ramię i pomógł jej wstać.

Strzelając znów w stronę Luzo i strażników, pociągnął ją za sobą.

Gwałtownie szarpnięta Ori obejrzała się na stodołę. On chyba nic nie rozumie.

- Jelph, nie! Wielki Lord jest tam! - zawołała. - Co ty robisz?

Nie odpowiedział. Pchał ją przed sobą, byle dalej od stodoły, w kierunku rzeki.

Wewnątrz stara kobieta sięgnęła do przepustnicy.

Metaliczny głos rozległ się pod kopułą:

- Automatyczny system nawigacji włączony. Uruchomiony tryb wznoszenia.

Venn wytrzeszczyła oczy, kiedy zaczęła się podnosić.

Stojący obok Aureka bracia Luzo rozkazali ocalałemu Mieczowi chronić wejście przed Ori i jej nieznanym obrońcą. Tylne drzwi stajni bez trudu mieściły szerokoskrzydłego uwa, więc powinny także pozwolić przelecieć nisko zawieszonemu myśliwcowi.

- Co za moc - szepnął Sawj Luzo, obserwując wznoszenie się stalowego potwora. - Nie będzie nawet musiała przecinać cum.

- Cum? - Flen zajrzał pod statek. Dwa cienkie, jednożyłowe włókna, okręcone wokół

rozprek podwozia, dopiero teraz stały się widoczne w świetle. Liny się naprężyły, a żółte oczy młodego Lorda powędrowały w stronę drugich ich końców, zagrzebanych w błocie, gdzie był

zaparkowany statek.

Zagrzebane w ziemi cienkie kołki pękły - i zniweczyły marzenia Mrocznego Lorda.

Jelph zainstalował urządzenie zabezpieczające, zanim przyniósł z dżungli pierwszy kawałek myśliwca. Aurek stał ukryty pod kupą nawozu w stodole, ale pod nim zakopano coś całkiem innego - dwie torpedy protonowe ze statku, wyładowane tysiącami kilogramów środków wybuchowych na bazie azotanu amonowego. Przekształcenie nawozu w substancję, która pasowałaby raczej do systemu przeciwwłamaniowego, wymagało wiele cierpliwości i uwagi, ale dało Jelphowi możliwość wykorzystania swojej profesji w sposób użyteczny dla misji.

Teraz system przeciwwłamaniowy zadziałał dokładnie tak, jak planował. Kiedy kable szarpnęły w górę, uruchomiły zapalniki w głowicach torped, a pociski zdetonowały, zapalając otaczające je materiały wybuchowe.

Farma zatrzęsa się od grzmotu, gdy ognista kula rozerwała otaczające ściany i wyrwała się na wolność, w jednej chwili pochłaniając stajnię i wszystkich, którzy znajdowali się w pobliżu.

Jelph szarpnął Ori za rękę i oboje wpadli do wody w tej samej chwili, kiedy fala uderzeniowa uniosła za ich plecami fontanny ziemi.

Myśliwiec podskoczył i przebił się przez dziurawy dach stodoły, unosząc się na gejerze energii i ciepła. Przez ułamek sekundy siedząca w środku kobieta rozkoszowała się lotem, przekonana, że to naturalny pokaz mocy pojazdu. Jej zachwyty



skończył się jednak, kiedy z powodu unieruchomionych tarcz pozostałe cztery torpedy eksplodowały w wyrzutniach. Nocni robotnicy aż w Tahv zauważyli nową kometę, która zabłysła i równie szybko zgasła, pozostawiając południowe niebo skąpane w upiornym świetle.

Lillia Venn znalazła swoją drogę do gwiazd.

## **ROZDZIAŁ 4**

Malutka chatka nabierała kształtów. Pod gęstym baldachimem liści, którego żaden uvak nie zdoła przebić, nowa budowla wznosiła się na stosunkowo suchym kawałku ziemi w głębi zarośli.

Tu, w dżungli, pędy hejarbo rosły znacznie grubsze; gdyby nie miecz świetlny Jelpha, Ori nigdy sama nie oczyściłaby terenu.

Osiem tygodni minęło od dnia, kiedy wybuch zniszczył farmę. Jelph i Ori tylko raz wyszli z dżungli pod osłoną nocy, aby sprawdzić, co zostało. Nie było co oglądać. Cały brzeg osunął się do Marisoty. Ciemne wody wirowały i bulgotały nad kraterem po wybuchu. Został jedynie mały kawałek zarośniętej zielskiej ścieżki, kończącej się na brzegu rzeki. Tej nocy młodzi wrócili do dżungli, wiedząc na pewno, że nikt się nie dowie, jakoby na Kesh kiedykolwiek znajdował się myśliwiec. Ori roześmiała się po raz pierwszy od wielu dni, cytując ulubione powiedzenie jej matki:

„Pewność Siebie w Ślepej Uliczce”.

Od czasu tamtej wyprawy skoncentrowali się wyłącznie na zbudowaniu dla siebie domu w ukryciu. Ori zrozumiała, że nie ma powrotu, zwłaszcza po zdradzie matki. Śmierć Venn z pewnością rozniosła się szeroko poprzez Moc - i bez wątplenia znów nastawiła pozostałych Arcylordów przeciwko sobie. Gra toczyła się od nowa. Może nawet Candra znajdzie w niej własną rolę do odegrania. Wszystko to należało już do przeszłości.

A jeśli nikt nie żałował Lillii Venn, nikt także nie wrócił, aby poszukać Ori i Jelpha. Oboje widywali teraz w okolicy

mniej Sithów i Keshirich niż kiedykolwiek. Prawdopodobnie przyczyniło się do tego tajemnicze zniknięcie Wielkiego Lorda w miejscu uważanym za nawiedzone od czasów tragedii nad Jeziorami Ragnos.

Ori to nie przeszkadzało. Żyła teraz nową wizją - opierającą się na starej historii, którą słyszała jako dziecko. Legenda Keshirich głosiła, że wkrótce po przybyciu Sithów część ludności tubylczej uciekła nad ocean. Wybrali podróż w jedną stronę ku nędzy i prawdopodobnej śmierci zamiast służby Plemieniu. Dzisiaj wiernopoddańczy Keshiri traktowali tę historię jako ostrzeżenie: wybór losu to luksus zarezerwowany dla obrońców, nie dla ich sług. Izolacja była ceną, jaką sługa płacił za arogancję.

Ori rozumiała to inaczej. Jeśli exodus rzeczywiście miał miejsce, to ktokolwiek poprowadził

za sobą tych niewolników, był największym Keshirim wszech czasów. Ich los już się zadecydował, a oni stawili mu czoło. Jelph miał rację. Musi istnieć sposób, aby wygrać dla siebie życie, ale inny niż wspinanie się na szczyty podzielonego na frakcje zakonu - tylko po to, aby dostać w plecy shikkarem lub zostać otrutym przez domniemanego sojusznika. Czy Venn czuła się szczęśliwa, dumiała Ori, kiedy rozpadła się na strzępy w chwili triumfu? Członkowie Plemienia wydawali się równie beznadziejnie przywiązani do swoich ścieżek, jak Keshiri, którzy zawsze będą niewolnikami. I oni myślą, że są mądrzejsi?

Spoglądając na słońce znikające za drzewami, Ori zaczęła przycinać ostatnie z długich na metr pędów, które miały tworzyć boczne drzwi. Dziwnie jest używać broni Jedi, pomyślała.

Wszystkie miecze Sithów używane na Kesh były czerwone, ale niektórzy z pierwszych rozbitków przechowywali zagrabione miecze Jedi jako trofea. Widziała jeden, zielony, w Muzeum Korsina.

Ten, którego używała, miał kolor dziwny i piękny,

odcień błękitu w naturze. Jedyne artefakt z miejsca, skąd pochodził Jelph.

Nie, nie jedyny, poprawiła się, wyłączając miecz.

Wiedziała, że właśnie tam teraz przebywa. Jak zwykle wstał o świcie, aby przełknąć coś na śniadanie i zebrać owoce na później. Nie zapewniając tak wspaniałych warunków do ogrodnictwa jak niziny, dżungla zaopatrywała ich za to w inne produkty potrzebne do życia przez cały rok. Na tej szerokości pewnie nawet nie zauważą nadejścia zimy. Resztę dnia Jelph spędzał na budowaniu ich chaty, po czym wieczorem, jak co dzień, ukrywał się, aby czuwać nad urządzeniem - jedyną częścią myśliwca, której nie zabrał na farmę. Wybrała się tam teraz, do miejsca ukrytego pod drzewami, gdzie Jelph godzinami siadywał na pniu, wpatrzony w ciemną metalową skrzynkę, i manipulował przyrządami.

Nie ukrywał tego przed nią. Dla Sithów „nadajnik”, jak go nazywał, mógł być równie wstrząsającym odkryciem, jak myśliwiec. Jelph uważał go jedynie za to, czym był w istocie - linę ratunkową do zewnętrznego świata. Nigdy nie zdoła wysłać stąd wiadomości, jak jej wyjaśniał: tłumaczył też tajemnice zmiennego pola magnetycznego Kesh, które udaremniało takie próby.

Może to nie jest sytuacja trwała, ale mogą minąć stulecia, zanim się zmieni. Ori zastanawiała się, czy to samo zjawisko przeszkodziło rozbitkom setki lat temu. Mógł jedynie ustawić urządzenie tak, aby skanowało częstotliwości w poszukiwaniu sygnałów od innych i rejestrowało je do późniejszego odtworzenia. Może gdyby jakiś podróżnik zbliżył się wystarczająco, Jelph byłby w stanie wysłać do niego wiadomość. Teraz Ori już rozumiała, po co były jego wędrówki w poprzednich miesiącach - przychodził tu, do dżungli, sprawdzić, jakie złowi dźwięki.

Zazwyczaj był to tylko biały szum. Cokolwiek jednak usłyszał teraz, musiało nim wstrząsnąć.

- Nie mogę wrócić - rzekł, tępo wpatrując się w urządzenie.

Ori spojrzała na migoczącą lampkę, nic nie rozumiejąc.

- Co się stało?

- Złapałem sygnał. - Potrzebował kilku chwil, aby wydobyć z siebie głos. - Jedi walczą między sobą.

- Co?

- Zaczął Jedi imieniem Revan - rzekł. - Kiedy tam mieszkałem, Revan był taki jak my: próbował zjednoczyć Jedi przeciwko potężniejszemu nieprzyjacielowi. - Głośno przełknął ślinę i stwierdził, że zaschło mu w ustach. - Sądząc z tego, co słyszałem, coś poszło nie tak. Zakon Jedi się podzielił. Walczy z samym sobą.

Jelph odtworzył dla niej zarejestrowaną wiadomość: fragment ostrzeżenia wysłanego przez admirała Republiki, który ostrzegał słuchaczy, że żadnemu Jedi nie wolno ufać. Trwające wieki przymierze Republiki z Jedi uległo rozbiciu. Teraz już pozostała tylko wojna.

Komunikat dobiegł końca.

Wstrząśnięty Jelph wyłączył urządzenie.

- To... nasza wina. Wina Przymierza.

- Sekty Jedi, do której należałeś?

- Tak. - Spojrzał w wieczorne niebo, ale przez listowie nie mógł dostrzec żadnych gwiazd. -

I w tym problem. Miało nie być żadnych sekt Jedi. Zakon jest teraz podzielony, ale to my podzieliliśmy go pierwsi. - Pokręcił głową. - Niech Moc im wszystkim pomoże.

Znów spojrzał w głąb puszczy. Ori pozwoliła mu siedzieć w milczeniu. Przyszło jej do głowy, że kiedy ona całymi dniami rozpaczała nad światem, który straciła, Jelph żył ze świadomością utraty całej galaktyki. A teraz tracił ją znowu.

Wreszcie podniósł się i odezwał:

- Nie wiem, co teraz zrobić, Ori, Powstrzymaliśmy Plemię przed odnalezieniem drogi ucieczki z Kesh, ale zawsze miałem

nadzieję, że za pomocą tego nadajnika pewnego dnia zdołam nawiązać łączność. Nawiązać łączność - powtórzył i spojrzął na nią przelotnie - aby nas zabrać z tego miejsca.

- I ostrzec ich przed moim ludem - dodała.

Odwrócił wzrok. Nie mógł uniknąć prawdy.

- Tak.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- To całkiem uczciwe. Ja próbowałam ostrzec ich przed tobą.

- Cóż, teraz to bez znaczenia - odparł i pochylił się, aby podnieść kamień nadający się do ich przyszłego ogródka przed domem. - Jeśli Jedi są podzieleni lub, co gorsza, jeśli Revan lub ktokolwiek inny przeszedł na Ciemną Stronę, zwrócenie ich uwagi na planetę pełną Sithów byłoby najgorszą rzeczą, jaką mógłbym zrobić galaktyce.

- Tego nie wiesz na pewno - odparła. - Możesz się mylić. Jedi mogą przylecieć i wszystko zrównać z ziemią.

- Tak, mogę się mylić. - Uśmiechnął się do siebie i spojrzął na nią. - Wiesz, pierwszy raz ktoś usłyszał te słowa z moich ust. Może gdybym powtarzał je kiedyś częściej, teraz nie byłoby mnie tutaj. - Rzucił kamień do strumienia i ukląkł. - Przez całe życie uważałem, że wiem, co powinienem robić. I po prostu nie wiem, co mógłbym zrobić teraz.

Obserwując go, Ori zauważyła w jego twarzy ten sam wyraz, który widywała w czasie poprzednich wizyt na farmie. Taką miał minę, kiedy pracował przy nawozie. Wtedy robił coś nieprzyjemnego, ale nie przestawał, ponieważ musiał to zrobić, aby jego ogród żył, a klienci byli zadowoleni. Wykonywał po prostu swój obowiązek.

Obowiązek. Słowo to nie miało takiego samego znaczenia dla Sithów. Będąc w szeregach Mieczy, Ori miewali misje, których wykonanie jej powierzano - ale traktowała to jak osobiste wyzwanie, nie zaś działanie kierowane lojalnością wobec wyższych celów. Galaktyka nie miała prawa powierzać

jej nieważnych zadań. Prawdziwie wolne istoty po prostu żyły. Obowiązki mieli niewolnicy.

A teraz Jelpł cierpiał; rozumiał, że ma do spełnienia jakiś obowiązek, ale nie wiedział jaki.

Jaką przysługę jest winien galaktyce - galaktyce, która już go odrzuciła?

- Może - odezwała się powoli Ori - może filozofia Sithów ma dla ciebie odpowiedź.

- Co?

- Nauczono nas egocentryzmu. Nie myślimy „my” i „oni”. Jesteś zawsze tylko ty i wszyscy poza tobą. Nikt prócz ciebie nie ma znaczenia.

Objęła go ramionami od tyłu i zapatrzyła się w ciemny strumień, spokojnie bulgoczący w swojej drodze do rzeki Marisota.

- Sithowie odtrącili mnie. Jedi odtrącili ciebie. Może ani jedni, ani drudzy nie zasługują na naszą pomoc?

- Więc jedyna strona, jaką warto ocalić - powiedział, odwracając się w jej stronę - to my?

Uśmiechnęła się do niego. Tak, od początku miała rację. Był kimś znacznie więcej niż niewolnikiem.

- Spróbuj choć raz, Jedi - powiedziała. - Jeśli ja mogłam zrobić coś altruistycznego, może przyszedł czas, abyś ty zachował się jak egoista.

Przez długą chwilę przyglądał się jej z błyskiem w oku. Bez słów uwolnił się z jej objęć i podszedł do odbiornika. Wyrwał go z trawy i spojrział na nią z szerokim uśmiechem.

- Można?

Ori obserwowała przez chwilę, jak tuli do siebie mrugającą światełkami maszynę, zanim zrozumiała, co ma zamiar zrobić. Odetchnęła głęboko i pomogła mu przenieść nadajnik na brzeg strumienia. Szerokim łukiem wrzucili urządzenie do wody. Aparat uderzył w ukryty kamień i rozpadł się z hałasem na kawałki. Razem obserwowali przez chwilę, jak

resztki obudowy podskakując, nikną w ciemności.  
Więzy zostały przecięte.  
Nadszedł czas, aby żyć.



# **PANTEON**

## **ROZDZIAŁ 1**

3000 lat przed bitwą o Yavin

Czas to kochanka, jak powiada stare przysłowie: sithańska kochanka. Kusi cię wiecznością, a potem podrzyna ci gardło i zostawia na śmierć.

Spoglądając w zwierciadło wody, Varner Hilts przyglądał się ostatniej bliźnie, zadanej przez czas, jego jedyną długoletnią kochankę. Nie, nie mógł tego zwalić na grę światła albo brudną wodę.

Była prawdziwa. Świeża bruzda odchodziła prosto od jego lewego oka ku skroni. Odwrócił głowę, spojrział bliżej i zaklął. Czemu przynajmniej taka sama zmarszczka nie pojawiła się z drugiej strony? Czas niespecjalnie dbał o symetrię.

Hilts znajdował się na najlepszej drodze do stania się najmniej wartościowym tworem w całym dziele stworzenia: starszym w społeczności Sithów. Była to wielka ironia Plemienia z Kesh.

Człowiek bez wrogów żył długo, ale nie miał przyszłości. Dzięki swemu unikalnemu powołaniu, Hilts zdołał przeżyć dziesięciolecia tumultu - ale po co? Aby mógł spędzić kolejnych trzydzieści lat wokół tego samego stawu, obserwując jego niszczenie z dnia na dzień?

Cóż, tradycje są ważne, pomyślał. Przyklękając nad odbiciem, podniósł rękę do twarzy i się skrzywił. Powoli przesunął palcem po nowej bruzdzie.

Trzask!

Starożytny głąz zadrżał. Zaskoczony Hilts podniósł wzrok. Wysoko nad jego głową część napowietrznego

akweduktu Tahv zadrżała i ustąpiła, spadając z wysokiej podpory.

- Opiekunie!

Zanim Hilts zdołał się całkiem podnieść, w głębi alejki pojawiła się czerwona plama.

Mężczyzna Keshiri rzucił się głową w przód, trafiając Hiltsa prosto w brzuch i obalając go na ziemię. Gigantyczne bloki kamienia zwały się na ulicę, ścierając w proch krawędź stawu, gdzie Hilts klęczał zaledwie chwilę temu.

Leżąc płasko na plecach na bruku, Hilts sięgnął poprzez Moc i strzepnął kawałki gruzu z siebie i swojego wybawcy. Żadna siła nie była jednak w stanie powstrzymać strumienia czarniawej masy wody, która runęła w dół ze strzaskanej śluzy. Keshiri osłaniał Hiltsa najlepiej, jak mógł, dopóki kaskada wody i kamieni nie osłabła.

Hilts, kaszłąc, spojrzał na swojego wybawcę.

- Próbujesz zarobić punkty u szefa, Jaye? - Wstając, otrząsał brudną wodę z rzadkich, siwych włosów.

- Ja... przepraszam, że pana popchnąłem, Mistrzu Hilts - wymamrotał Keshiri. -

Przechodziłem tędy...

- Uspokój się. - Hilts wiedział, że to próżne prośby, choć Jaye oficjalnie był pod jego rozkazami. Tubylec o księżycowej twarzy nie miał większych szans na uspokojenie się, niż Hilts na zostanie Wielkim Lordem. - Ot, normalny dzień w „Koronie Kesh”.

- To koniunkcja - szepnął Jaye, ocierając płaszcz zwierzchnika. Nerwowe, czarne oczy obserwowały zniszczony horyzont stolicy. - Omen, o którym panu mówiłem!

- I mówiłeś. I mówiłeś. - Hilts zauważył tłum ludzi sprzeczących się w pobliżu zburzonej części akweduktu. Zdawało się, że jedynym prawdziwym przemysłem Tahv było rzucanie winy.

Pociągnął Jaya za rękaw. - Uciekajmy do biura, zanim

ktoś stwierdzi, że to my go zawaliliśmy, bo za mocno oddychaliśmy.

Dawniej Sithowie na Kesh nie spieszyli się ze zdobywaniem władzy, tymczasowo podążając za innymi, by pewnego dnia zażądać nagrody. W łatwiejszych czasach dla większości prosta struktura władzy Arcylordów, Lordów i Mieczy była dążeniem do klęski. Hierarchia przetrwała głównie dlatego, że służyła celom znacznej większości, która miała dość władzy, aby chronić system przed innymi, którzy go chcieli zniszczyć. Przez ponad tysiąc lat od śmierci założyciela Plemię rozkwitało.

Ale drugie tysiąclecie przyniosło bezlitosne zmiany. Wielki Lord Lillia Venn znikła ponad dziewięćset lat temu w wydarzeniu, które tubylcy Keshiri dość niewymownie określali jako Noc Odwróconego Meteoru. Z pewnością wywróżył on zgubę wnuków „Omenu”. Rywale Venn, gdy tylko dowiedzieli się o jej zniknięciu, najpierw zaatakowali jej popleczników - a potem siebie nawzajem. Pokonana frakcja opuściła stolicę i udała się w głąb ładu, gdzie wielu z nich znalazło wspólny język z wydziedziczonymi ludzkimi niewolnikami. Coraz większa liczba Sithów wywierała nacisk na miłujących pokój Keshirich i włączała ich w swe szeregi. Przez stulecia frakcje jednoczyły się dość długo, by podbić Tahv i obalić panującego Wielkiego Lorda - aby natychmiast zacząć walkę między sobą. Jedna grupa buntowników rozbiła się na dwie, a te na kolejne dwadzieścia. Władza w Plemieniu zatruwała każdego, kto jej skosztował.

Ćwierć wieku wcześniej Hiltu ukuł znakomite określenie tego okresu, choć nie wymagało to wielkiej wyobraźni. - Era Zepsucia widoczna była wszędzie. Po kolejnych oblężeniach bogate ulice Tahv popadły w ruinę. Pozostawione bez konserwacji wysokie akwedukty zatykały się i przelewały, poranne podtopienia stały się aż zbyt częstym zjawiskiem. Wieża Sessal daleko na południu wściekała się, jak nigdy przedtem za pamięci Keshiri i eksplodowała tak gwałtownie, że

jedna część ogromnej areny, Korsinaty, zapadła się. Wydawało się, że sama planeta usiłuje walczyć z emigrantami z kosmosu.

Jednak pozostawało jedno miejsce, skryte w kącie erodującego marmuru stołecznego budynku, które nie zostało zaniedbane - biuro Opiekuna. Pośród wszystkich walk pomiędzy Wielkimi Lordami i Antylordami, tylko ono pozostawało nietknięte.

Nie dlatego, aby Sithowie obawiali się świętokradztwa. Biuro Varnera Hiltsa, znajdujące się poza tradycyjną konstrukcją, zostało ustanowione za czasów Nidy Korsin, aby zapewnić Plemieniu dokładny pomiar czasu i prowadzić archiwa historyczne. Było to zajęcie na całe życie, częściowo dlatego, że niewielu kandydatów było nim zainteresowanych. Nikt nie pożył losu Opiekuna, jego jedynymi zwolennikami była grupa urzędników Keshiri, którzy nie nadawali się do służby w żadnej armii. Hilts też nie był szczególnie potrzebny. Zafascynowany historią, dość wcześnie dowiedział

się, że przy swoich zdolnościach we władaniu mieczem świetlnym nie musi bać się zdradzieckiego sojusznika. Nikt się do niego nie zbliżył z obawy, że zostanie niechętny pocięty na kawałki.

Wyszedł z przedsionka do sali koralikowców i znów uszy wypełniło mu klikanie i trzaskanie, które witało go tu przez pół życia. Odziani w brąz Keshiri, siedząc w półokręgu, pracowali przy ręcznych ramkach z liczydłami, wykonanymi z muszli i młodych pędów hejarbo.

Hilts odrzucił ociekający wodą płaszcz i przeszedł przez salę, prawie nie zastanawiając się, nad czym tak dzisiaj pracują. Jaye pilnował, żeby liczący zawsze mieli robotę przy obliczaniu dat, tak aby zgadzały się ze strzępkami informacji, które Hilts wydobywał z archiwów. Często zdumiewała go ich precyzja. Jak na rasę, która w czasach katastrofy „Omenu” miała jedynie podstawowe informacje z zakresu matematyki, Keshiri nauczyli się rachunków tak szybko i z takim zapałem, z jakim traktowali

wszystkie inne swoje sztuki.

Jaye chwycił liczydło, wrywając je swojemu współpracownikowi i podążył za Hiltsem do nasłonecznionego atrium. Wiele wieków temu pierwszy Wielki Lord, Yaru Korsin, obserwował

pojedynek swojego bratanka Jariada, wiedząc już zapewne, jak podejrzewał Hilts, że Jariad planuje go zdradzić. Teraz pomieszczenie zdominowane było przez Piaskowe Tuby. Otoczone milczącą opieką odzianych w płowe szaty dziewcząt Keshiri, sieć wysmukłych, wypełnionych proszkiem szklanych rurek odmierzała czas Plemienia. Jakby można było zabutelkować czas, pomyślał Hilts, drapiąc się po policzku.

- Chcę móc przejrzeć się w tych tubach - zaordynował. - Nie muszę chyba wam mówić, jakie wielkie święto się zbliża.

Nie musiał. Pracownicy jeszcze staranniej zaczęły polerować potężne urządzenie, pilnując, aby nie zakłócić jego pracy. Po raz pierwszy w ciągu ich młodego życia do ich miejsca pracy mieli przybyć goście. Żaden Wielki Lord ani uzurpator nie mieszkał w tym pałacu od sześciuset lat -

architekci Korsina tworzyli dla piękna, nie dla obrony. Dzień Testamentu był jedynym dniem, kiedy w budynku zjawiali się goście.

Co dwadzieścia pięć lat w rocznicę śmierci Korsina po raz kolejny odczytywano jego ostatni testament. Pięćdziesiąt lat wcześniej Hilts był chłopcem i nie wolno mu było wchodzić do pałacu -

ale idea łączenia się z przeszłością zadziałała na jego wyobraźnię.

Dzięki nauce i badaniom zapewnił sobie, że kiedy nadejdzie kolejny Dzień Testamentu, to on będzie organizował to wydarzenie.

Teraz święto nadchodziło znowu, niczym kometa. Pałac jednak dziś był o wiele mniej szlachetnym miejscem, a on nie miał możliwości go wyremontować. Spoglądając na pęknięcia w

przydymionych szybach okien w suficie, Hilts po prostu nie umiał wydobyć z siebie entuzjazmu.

Jaye nie miał tego problemu.

- Opiekunie, potwierdzili! - zapiszczał Keshiri, potrząsając liczydłem. - Moje obliczenia na temat Piaskowych Tub...

- ...w tej chwili nie są ważne - odparł Hilts - chyba że weźmiesz szmatę i pomożesz je czyścić.

Spojrzał na młode kobiety, zajęte pracą. Przynajmniej część sali będzie dobrze wyglądać.

- Mamy dwanaście dni. Zdażymy.

Urzędnik przygryzł wargę.

- Czy naprawdę możemy być gotowi? To... to mistyczna zbieżność. Nie... święta zbieżność.

Hilts wznosił oczy w niebo. Jaye nie tylko kochał liczby, on się ich także bał. Ten rok rzeczywiście był pierwszym takim rokiem dla Plemienia. Dzień Testamentu nie był jedyną rocznicą... a Yaru nie był jedynym Korsinem. Jego córka Nida rządziła po śmierci ojca przez rekordowy okres siedemdziesięciu dziewięciu lat, a jej awans na stanowisko Wielkiego Lorda został upamiętniony miesięcznym festiwalem, który odbywał się co siedemdziesiąt dziewięć lat na terenach okalających pałac. Nawet Hiltsa jeszcze nie było, kiedy odbywał się ostatni.

- Czy ty tego nie widzisz, Opiekunie? - Muszelki liczydła zagrzechotały, kiedy Jaye wykonywał kolejne obliczenie. - Minęło tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt pięć lat, odkąd Wielki Lord Korsin opuścił ten padół i został zastąpiony przez Nidę... a to siedemdziesiąt dziewięć razy dwadzieścia pięć! Po raz pierwszy Dzień Testamentu i Powstania Nidy wypadły w tym samym roku! - Strzelając oczami na boki, zniżył głos do szeptu. - Po raz pierwszy w historii!

- W historii! - Hilts z udaną powagą chwycił swego bladofioletowego towarzysza za ramiona, przez co Jaye upuścił

liczydło na kamienną podłogę. - Co chcesz mi powiedzieć... pewnie to, że tym razem zaoszczędzimy na winie! - Hilts puścił Jaye'a i lekko poklepał go po policzku. -

Nie potrzebujemy kolejnych omenów, Jaye. Mamy już jeden, tam na górze, pamiętasz? I nikt do niego nie może podejść.

Hilts ruszył do swojego prywatnego biura, pozostawiając asystenta tępo wpatrzonego w liczydło.

- Ale Opiekunie...

- Przesadzasz, Jaye.

- Ale co z tym, czego się dowiedziałem o Piaskowych Tubach?

- Nie zaczynaj z tym znowu! - Hilts wszedł do biura i z ulgą spojrzął na fotel. Tak, to było rozwiązanie. Po takim poranku cudownie będzie usiąść w milczeniu i napić się...

W atrium na zewnątrz nagle rozległy się głosy. Hilts z hałasem odstawił na pół napełnioną szklankę na blat i z urazą krzyknął przez ramię: - Jaye, powiedziałem ci, że masz się uspokoić!

- To ciekawe - odezwał się matowy kobiecy głos. - Właśnie powiedziałam mu to samo.

Hilts obejrzał się i zobaczył ubraną na czarno kobietę przed trzydziestką, trzymającą lśniący miecz świetlny nad szyją Jaye'a. Jej złote oczy aż pulsowały mroczną inteligencją.

- Musimy porozmawiać, Opiekunie - powiedziała. - I nienawidzę, kiedy mi przerywają.

Miała pewnie ze dwa metry wzrostu, o wiele więcej niż Hilts. Jaskraworude, starannie uczesane włosy, nieskazitelna różowa cera. Doskonale poradziłyby sobie podczas inspekcji Seelah Korsin setki lat temu, pomyślał Hilts. I właśnie o to chodziło.

Napastniczka poprowadziła Hiltsa z powrotem do atrium, gdzie zobaczył pół tuzina podobnie odzianych kobiet. Wszystkie stanowiły doskonałe wzorce człowieka, ale



terroryzowały przerażone robotnice mieczami świetlnymi.

- Oczywiście, wiesz kim jestem.

- Tylko ze słyszenia - odparł z zaschniętym gardłem. Nie zdążył skosztować drinka. -

Nieczęsto wychodzę.

- Zauważyłam. - Kobieta uśmiechnęła się skromnie i wyłączyła miecz świetlny. - Iliana Merko. A to moje towarzyski, Siostry Seelah.

- Zdaje się, że Seelah Korsin nie miała siostr - mruknął Hilts, przyglądając się pięknotkom pilnującym jego Keshiri.

- Siostry duchowe - wyjaśniła Iliana i dumnie ruszyła przed siebie, miażdżąc pod stopą liczydło Jaye'a. Matematyk leżał teraz z innymi, twarzą do podłogi, ale bezpieczny. Stukając obcasami po kamieniu, Iliana przyjrzała się szklanym posągom zdobiącym atrium. Wszystkie przedstawiały albo Yaru Korsina, albo Nidę. Iliana wydawała się niezadowolona.

- Przykro mi - odezwał się Hilts. - Wynieśli posągi Seelah po... po tym co się zdarzyło wiele lat temu.

Uznał, że powinna wiedzieć o nieudanym zamachu, który przygotowała Seelah przeciwko mężowi, Yaru. Dla członków grupy Iliany to było prawie wczoraj.

- Chyba nie zachowali żadnego kawałka poświęconego Seelah.

- Nie jestem zaskoczona. Nikt nie obdarzał naszej pani szacunkiem, na który zasługiwała. -

Iliana spojrzała na szklaną podobiznę Yaru Korsina i jej wyraz twarzy zmienił się w zdumienie. -

Czy on naprawdę tak wyglądał?

- Wtedy rzeźbiarze Keshiri jeszcze nie nauczyli się porządnie przedstawiać ludzkich oczu. -

Hilts ostrożnie podszedł do niej. Kobieta wydawała się nie spieszyć i uznał, że to dobrze wróży jego szansom na przeżycie. Z drugiej strony wyglądało na to, że nie lubi, gdy jej przerywać. W ogóle po co tu przyszła?

- Wiesz, po co tu przyszłam - zauważyła, stając przed nim.

- Testament nie będzie gotowy wcześniej niż za dwanaście dni. Po co przyszłaś tu teraz?

Szybko podeszła do niego.

- Musimy porozmawiać o tym, co mówi Testament Korsina - oznajmiła. - Zanim pojawią się inni.

Hilts nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Wiesz, co mówi Testament. Wszyscy wiedzą. Był odczytywany tyle razy...

Iliana rzuciła się w przód, zapalając miecz świetlny i machając nim pod samą włochatą brodą Opiekuna.

- Oczywiście, że wiemy! Ale to co innego. Ten Dzień Testamentu, to czytanie... jakoś stało się konklawe.

Zmrużył oczy.

- Pokój Panteonu.

- Właśnie.

Dla Hiltsa wszystko właśnie nabrało sensu. Przez stulecia Dzień Testamentu i czytanie było jedynym dniem, kiedy cała hierarchia Plemienia spotykała się w pokoju pod jednym dachem -

dachem pałacowego atrium - aby wysłuchać słów zmarłego założyciela. Sithom, choć rozbitym, za każdym razem wystarczył szacunek do wielkich władców przeszłości, aby wszyscy przywódcy rozmaitych frakcji zebrali się razem. Nikt nie odważyłby się skorzystać z okazji, aby zacząć rozróbę; niektórzy uważali Korsina prawie za istotę magiczną, która może wpływać na zdarzenia nawet zza grobu. Ich przodkowie stąpali wśród gwiazd.

- Będą tu wszyscy moi rywale - mówiła, wciąż grożąc mu mieczem. - Niektórzy uważają, że w Testamencie znajdują poparcie dla swojej sprawy, poparcie od martwego człowieka. - Spojrzała znów na posąg i wyszczerzyła zęby. - Cóż, przecież wszyscy wiemy, co to jest: nudna stara gadka nagradzająca jego

sojuszników za pomoc w powstrzymaniu Seelah.

Hilts przełknął ślinę. Nie, Iliana i jej poplecniczki nie znajdują wiele w przedśmiertnej przemowie Korsina. Przywódca wspominał o Seelah jedynie po to, aby ją skazać na banicję.

Niektóre inne grupy mogą w słowach Korsina znaleźć wsparcie dla własnych roszczeń do władzy -

ale Siostry na pewno nie.

- Dlatego, staruchu, chcę, żebyś zmienił to, co jest w Testamencie. - Iliana pokonała ostatnie kilka kroków dzielące ją od Opiekuna i spojrzała na niego z góry. Uśmiechnęła się. - Zmień go.

Tak, żeby nam sprzyjał.

Przez chwilę wytrzymał jej wzrok.

- Mówisz poważnie.

- Śmiertelnie poważnie. - Okręciła się na pięcie i odstała, wyłączając miecz świetlny. -

Znam cię, Wilts.

- Hilts.

- ...ty i twoje urzędaski istniejecie tu tylko po to, aby wykopywać nieważne drobiazgi. Cóż -

stwierdziła, odwracając się - tym razem oznajmicie, że odnaleźliście prawdziwy Testament...

głoszący, że Seelah i ci, którzy postępują zgodnie z jej naukami, są dzisiaj legalnymi spadkobiercami władzy na Kesh.

Jedna z towarzyszek Iliany wyjęła zwój i podała go Hiltsowi. Posłusznie rozwinął go i wybałuszył oczy.

- Nie sądzę, aby to się udało.

- Och, uda się - odparła Iliana. - Wszyscy są tacy zabobonni i każdy powołuje się na jedną czy drugą postać z naszej historii. Czczą naszych przodków, którzy urodzili się wysoko... i mają rację. Ale nie szanują tej, którą powinni szanować - wskazała pergamin w rękach Hiltsa. - To się zmieni, kiedy odczytasz ten dokument zamiast Testamentu Korsina. Ci głupszy uwierzą i pójdą za mną. To powinno wystarczyć.

Hilts odetchnął, z trudem hamując śmiech. Spojrzał na tę kobietę, tak pełną energii i sprytu -

i wszystko to miało się całkowicie zmarnować.

Nie, oczywiście, że nie może o tym wiedzieć, pomyślał. Jest za młoda.

Iliana spojrzała gniewnie.

- Co jest?

- Przykro mi - rzekł Hilts, wskazując na zwój. - Podziwiam twoją inicjatywę, Iliano Merko.

Ale istnieje powód, dla którego nikt wcześniej tego nie próbował. Nie znasz go, chyba że już wcześniej byłaś na czytaniu Testamentu albo rozmawiałaś z kimś, kto na nim był.

- O czym, do wszystkich piorunów, ty mówisz?

Powoli, aby jej nie zaniepokoić, podszedł do Piaskowych Tub i zbliżył się do zakrytego piedestału.

- Widzisz, ja nie odczytuję Testamentu Korsina. Opiekunowie nigdy tego nie robią.

Iliana obserwowała ze zdumieniem, jak wraca z czymś owiniętym w bogato zdobioną tkaninę.

- Więc kto go odczytuje?

- Robi to Yaru Korsin. - Hilts rozwinął materiał i odsłonił niewielki przedmiot w kształcie piramidy. Urządzenie... w mieście, gdzie ich nie było.

## ROZDZIAŁ 2

- To... zdumiewające.

- Niedobrze, Opiekunie.

- Nie twierdziłem, że to dobrze - odparł Hilts do swego pomocnika. - Ale i tak jest to zdumiewające.

Kiedy słońce Kesh rzucało pierwsze promienie na miasto, Hilts i Jaye spoglądali z balkonu na tereny pałacowe. Nigdy wcześniej nie widzieli w mieście takiego ruchu. Falujący kobierzec ludzi i Keshiri okrywał to, co niegdyś było Odwiecznym Kręgiem, ludzie stawiali przenośne osłony przed deszczem wulkanicznym.

Świętujący zaczęli zbierać się nazajutrz po dniu, kiedy Iliana i jej wojowniczkі weszły do pałacu, zaludniając miejsca, gdzie trwały przygotowania do festiwalu Powstania Nidy. Żaden ze zwykłych obywateli nie zostanie dopuszczony do czytania Testamentu, ale to zdawało się nikomu nie przeszkadzać.

- To planeta, której jest potrzebne święto - mruknął Hilts.

- Chcą przywódcy - odpowiedział Jaye. Ciemne oczy spoczęły na Opiekunie. - Słyszałem, że Iliana tak twierdzi. Wszyscy ludzie mają nadzieję, że słowa Wielkiego Lorda dadzą im wskazówkę.

Hilts zachichotał.

- Cóż, przynajmniej będą to jego własne słowa.

Spojrzał przelotnie na pałac, gdzie Iliana i jej towarzyszkі w osłupieniu spoglądały na ozdobną piramidę.

- Nigdy nie wymyślą, jak ją włączyć.

To niestety była prawda, Hilts pamiętał, że sam z trudem uruchomił urządzenie w ostatnim Dniu Testamentu, dwadzieścia

pięć lat temu. Jego poprzednicy opisywali to jako urządzenie rejestrujące i przekazywali z jednego na drugiego starożytny sekret jego uruchomienia - Hilts jednak musiał próbować aż cztery razy, żeby działało jak należy w wyznaczonym dniu. Zastanawiał

się, co się z nim dzieje. Czy zadziała w tym roku?

Nieważne. Przez ostatnie cztery dni pracowało całkiem dobrze, pomyślał Hilts. Aby zyskać na czasie, skłamał Ilianie, że urządzenie włącza się tylko w Dniu Testamentu. Nie przeszkodziło to aroganckiej kobiecie manipulować przy nim, oczywiście daremnie - ale wybieg przyniósł skutek, jakiego oczekiwał. Rywale Iliany przybyli do Tahv wraz ze świętującymi i ze znacznym wyprzedzeniem, widocznie zwabieni raportami swoich szpiegów, donoszących, że Siostry Seelah zajęły pałac. Teraz nad obozowiskami powiewały flagi Korsynitów, Złotego Przeznaczenia, Siły Pięćdziesięciu Siedmiu i niezliczonych innych stowarzyszeń. Bojowniczkę Seelah zajęły miejsce na zewnątrz wejścia do pałacu, ale nie wiadomo było, jak długo będą w stanie bronić wejścia przed rosnącym tłumem przeciwników. Do Dnia Testamentu pozostało osiem dni i nawet zacięci wrogowie pohamowali się przed przemocą, wykorzystując za to publiczne zgromadzenie jako szansę na nawrócenie. Powstanie Nidy stało się festiwalem paplaniny.

- Szukać przywódcy wśród tej bandy - mruknął Hilts. - Niech Ciemna Strona pomoże nam wszystkim...

- Koniunkcja - odparł Jaye. Hilts obawiał się, że będzie musiał wysłuchać kolejny raz całej teorii i tego, czym naprawdę był ten dzień, kiedy Keshiri westchnął i spojrział wprost na niego. -

Opiekunie, nigdy nie zrozumieję, czemu sam nie chciałeś rządzić Plemieniem. Jesteś mądrzejszy od innych w taki sposób, jak byli starożytni Obrońcy.

- Za mądry - odparł Hilts z rozbawieniem. - To epoka Bezwstydnej Głupoty, przyjacielu.

Wykształceni łądziej, tacy jak my, nie zajdą daleko.

- Ale Plemię naucza, że każda kobieta i mężczyzna mogą wznieść się na stanowisko Wielkiego Lorda.

- I ja całkiem spokojnie mogę w to wierzyć - odparł Hilts. - Ale jeśli ty w to wierzysz, to już gorzej. A jeśli ci dumie tam również w to wierzą - ciągnął, wskazując na tłum - to już jest tragedia.

Twoja szansa oznacza moją klęskę. - Zaśmiał się. - A co to znaczy, że „Plemię naucza”? Nikt już nie zgadza się nawet co do tego, o co chodzi z Plemieniem.

System edukacji był kolejną ofiarą zamieszek. Pod władzą Korsina i jego następców ludzie współpracowali. W miarę jednak, jak pojedyncze osoby szukały drogi na skróty do wyłącznej władzy, społeczność Sithów - jeśli w ogóle można ją tak nazwać - rozpadała się. Hilts poklepał

młodego pomocnika po ramieniu.

- Nie, jest już za późno. Tak jak Donellan, dałem się prześcignąć czasowi.

- Nie zgadzam się...

- Słuchaj, Jaye. Kiedy człowiek w zaawansowanym wieku mówi ci, że coś jest prawdą, to albo mu uwierz, albo przynajmniej grzecznie kiwaj głową - rzekł Hilts, odchodząc od barierki. -

Ostatnią rzeczą, jakiej byś chciał, jest zachwianie jego przekonaniem o swojej wszechwiedzy.

- Nawet jeśli się myli?

- Zwłaszcza jeśli się myli. - Odwrócił się, aby wejść do pałacu. - A skoro już mówimy o głupcach...

Wewnątrz Iliana wciąż jeszcze obmacywała małą piramidę. Pozostały z nią tylko dwie towarzyszki, reszta poszła pilnować wejścia.

- Jeśli to jakieś urządzenie rejestrujące - mruknęła - musi mieć źródło zasilania. Może lignański kryształ.

- Jeśli dowiesz się, jak to działa - odparł Hilts - sama

znajdziesz się w zapisach historycznych.

Zajął niegroźnie wyglądającą pozycję w pobliżu Piaskowych Tub. Iliana zamknęła pozostałych pracowników w innym pomieszczeniu, a Opiekuna zatrzymała przy sobie, aby móc zadawać mu pytania. Hilts zresztą i tak nigdzie się nie wybierał. Cała historia stała się zabawnym przedstawieniem, a aktorki wesoło było obserwować.

Stwierdził, że Iliana jest uroczą kobietą, choć kompletnie zepsutą i niegodną zaufania. Hilts nigdy nie miał towarzyszk, częściowo z powodu swego stanowiska bez przyszłości, ale i dlatego, że wiedział, iż Sithowie nie umieją się dzielić. Widział te historie już tyle razy, całą tę zazdrość i spiskowanie, nawet w rodzinach. Nic dziwnego, że Yaru Korsin zażądał, aby towarzysze życia kolejnych zmarłych Wielkich Lordów byli zabijani. Trucizna nie powinna dotrzeć do sypialni.

Iliana jednak zdawała się o tym nie wiedzieć. Teraz, tak samo jak dzień wcześniej, podeszła do niego i spojrzała mu w oczy z nagłą czułością.

- Opiekunie, czy jesteś pewien, że nie ma możliwości, żeby teraz obejrzeć zapis... żeby go zmienić? - Ręką w rękawiczce delikatnie pogładziła go po ramieniu.

- Na krew Gloyda, dziewczyno! Mam co najmniej dwa razy tyle lat, co ty - odparł, spoglądając na nią z niedowierzaniem. - Jesteś Siostrą Seelah.

Spiorunowała go wzrokiem i cofnęła się.

- A ty jesteś starym, ropiejącym wrzodem!

- No, to już lepiej. Czy możemy wreszcie przejść do faktów? Nawet gdybym chciał, nie byłbym w stanie zmienić nagranej wiadomości. A nie chcę! - Odwrócił się od niej i gestem wskazał

na rysunki na ścianach atrium, przedstawiające przybycie podróżników z nieba. - Ten gadżet jest jedynym działającym powiązaniem z tą przeszłością, z historią naszego istnienia. Nie kombinowałbym przy tym, nawet gdyby moje



życie od tego zależało.

- A życie kogo innego?

Hilts usłyszał ostry syk włączanego miecza świetlnego Iliany. Obrócił się ostrożnie i stwierdził, że jej towarzyszki złapały Jaye'a za ramiona.

- No nie, nie ma aż takiej potrzeby...

- Myślę, że jest. Zacznij rozkładać na części to urządzenie, Opiekunie. A w czasie, kiedy będziesz to robił, my zaczniemy rozkładać na części tego Keshiri. Może coś z niego zostanie, jeśli będziesz pracował szybko...

Oczy Hiltsa przeskakiwały z przerażonego, wijącego się asystenta na lśniący gadżet i z powrotem. Nie wiedział nawet, jak zacząć, ale musiał coś zrobić. Niechętnie wziął do ręki małą piramidę...

...i omal jej nie upuścił, kiedy przez szklane okna nad jego głową z trzaskiem wskoczyło do środka kilka postaci i rozstawiło się po atrium. Odziani w starożytne stroje Strażników Zrodzonych z Nieba ze skóry uvaków spadli przed trzymającymi Jaye'a kobietami i włączyli miecze świetlne.

Jednocześnie kilka ze stojących na zewnątrz wojowniczek Iliany wpadło do środka, cofając się przez ponuro wyglądający tłum mizantropów. Iliana, z wyciągniętą bronią, rzuciła się na pomoc swoim podwładnym, uwalniając Jaye'a, który rzucił się na podłogę u stóp Hiltsa.

- No nie, chłopcze! - Chwytając go za tunikę jedną ręką, a w drugiej trzymając rejestrator, Hilts ruszył w kierunku Piaskowych Tub, uciekając od potyczki. Za ich plecami szkarłatna energia trzaskała, tnąc sithańskie ciała. Nagle zrozumiał, że oprócz Iliany były jeszcze dwie inne grupy napastników.

Kiedy rozpoznał kto to, wiedział już, co musi zrobić.

- Ludzkie śmieci! - wrzeszczała z furią Iliana, ścierając się na miecze świetlne z pokrytą bliznami, olbrzymią kobietą.

- Zdradziecka dziwka! - darła się łysa masa męskiej

wściekłości, jeden z odzianych w skórę przybyszów z dachu. Ścierający się przeciwnicy wydawali się w równym stopniu zainteresowani walką, jak wzajemnym obrażaniem się. Byli tak zajęci, że pomiędzy jednym ciosem a drugim z trudem zdołali usłyszeć...

- Hej! Tu na górze!

Głowy zwróciły się ku szklanej konstrukcji rozwieszanej na północnej ścianie. Potargany Hilts wisiał na drabince serwisowej w pobliżu Piaskowych Tub, a przerażony Jaye ścisnął szczękę tuż poniżej. Opiekun, trzymając urządzenie rejestrujące w jednej ręce, przełknął ślinę i przemówił: - Frakcje Kesh... zaproszeni goście... witajcie. Yyy... wszyscy przybyliście za wcześnie.

## **ROZDZIAŁ 3**

Koniecznienie musieli wytluc te okna, pomyślał Hilts. Trzydzieści lat spędził na utrzymywaniu tej części stołecznego budynku w jakim takim stanie. Te skłócone chamy urządziły jego i wszystkich pracowników na kolejne trzydzieści lat, o ile w ogóle przeżyje to popołudnie.

- Muszę powiedzieć, że jestem zaskoczony, widząc was wszystkich tutaj - rzekł, przekraczając stos odłamków szkła i podchodząc do środka pomieszczenia. Wojownicy odstąpili od siebie, ale wciąż trzymali przed sobą miecze, zostawiając Hiltsowi i Jaye'owi tylko niewielki kawałek miejsca między sobą. - Do Dnia Testamentu jeszcze osiem dni. Ale to jest pałac. Myślę, że znajdziemy dla was wolne pokoje.

- Zamknij się, stary! - Muskularna, czarnowłosa kobieta z bliznami zrobiła krok naprzód i wskazała na Ilianę. - Chcemy wiedzieć, co ona tu robi?

Hilts spojrzał na Ilianę i jej towarzyszkę, niektóre już krwawiące z ran, przyparte do Piaskowych Tub, gotowe do ostatniej walki. Twarz Iliany emanowała zadziornością.

- Nie odpowiadaj tej kretynce, Hilts!

- Nie podnoś głosu w tym miejscu, kobieto! - Potężny łysy mężczyzna z czarnymi wąsami wysunął się przed swoją odzianą w skóry koterię i zrobił niegrzeczny gest w kierunku Iliany. - Dom Korsina nie był miejscem dla Seelah... i nie jest miejscem dla ciebie!

Widząc, że szereg wojowników za plecami Iliany spiął się do skoku, Hilts szybko stanął pomiędzy nimi i olbrzymem.

- Jesteś... jesteś z Ligi Korsynitów, tak?

- Jestem Korsin Bentado - odparł mężczyzna o lśniącej czaszce grzmiącym głosem, który zadudnił w całej komnacie. Wskazał na obie swoje strony - To jest Korsin Vandoz, a Korsina Immerę znasz z ostatniego czytania Testamentu. Przybyliśmy tu, Opiekunie, aby świętować życie Yaru i Nidy Korsin w tym wspaniałym, niebiańskim czasie. Mamy nadzieję, że wszystko jest gotowe...

- No cóż, będzie...

- ...i mam nadzieję, że pokażesz błędzącym pośród nas prawdę Testamentu. Że przywódca przybył z niebios, że Plemię jest ciałem przywódcy, a ten, kto naraża ciało na niebezpieczeństwo, nie zasługuje ani na litość, ani na życie - mówił Bentado. Spojrzał z szacunkiem na posąg, z którego drwiła Iliana i skłonił głowę. - Jeden staje się wszystkimi, a wszyscy stają się jednym. Korsin teraz, Korsin na zawsze.

- Jak sobie życzysz - odparł Hilts. Obejrzał się i rzucił Jaye'owi dyskretne spojrzenie, kręcąc głową. Hilts dobrze znał tych ludzi. Dawny niewolnik utworzył Ligę Korsynitów sto lat temu, przyjmując tytuł Korsina dla siebie, oddzielnie od hierarchii Lordów. Wyzwolony, zaczął żyć na wzór tych, których prowadził pierwszy Wielki Lord i jego spadkobierczyni. Jak twierdził, każdy godny tego mógł aspirować do tytułu Korsina, podobnie jak on sam. Jego ludzie wzięli to sobie do serca - a będąc Sithami, stwierdzili, że również mogą przyjąć ten tytuł jako swój. I wszyscy to zrobili ku chwale twórcy ruchu i ostatecznie po jego trupie. Teraz po mieście krążyło kilkuset samozwańczych Korsinów płci obojga, śpiewając mantry i opowiadając o swoim imperium komu popadło. Nawiązanie rozmowy z Korsynitą oznaczało ryzyko śmierci z powodu dysonansu poznawczego.

- Wciąż chcę wiedzieć, czemu ta... ta kobieta została tu wpuszczona! - Kobieta o twarzy w bliznach ciężko położyła gołą dłoń na ramieniu Hiltsa i obróciła go ku sobie. Hilts z

zaskoczeniem stwierdził, że ta dłoń ma tylko trzy połączone błoną palce.

- Jesteś z Siły Pięćdziesięciu Siedmiu, jak widzę.

- Najwidoczniej! - Jej towarzysze stłoczyli się za nią, warcząc jak dzikie zwierzęta. Hilts uznał, że kobieta, imieniem Neera, była w istocie najmniej makabryczna z całej bandy. Nikt nie wiedział wiele na temat pierwszych Pięćdziesięciu Siedmiu, Seelah Korsin widocznie podjęła wszelkie możliwe kroki, aby wymazać istnienie tej frakcji z pamięci. Ale opowieści Keshiri głosiły, że część załogi „Omenu” była w jakiś sposób zdeformowana, w przeciwieństwie do doskonałych egzemplarzy ludzkich Seelah.

Obecnie Siła Pięćdziesięciu Siedmiu liczyła sobie znacznie więcej niż pięćdziesiąt siedem osób. Spoglądając na sojuszników Neery, Hilts zaczął się zastanawiać, czy wszyscy zdeformowani ludzie na Kesh dołączyli już do jej szeregów. Łatwo było ich odróżnić, kiedy zbliżali się do stolicy: nawet ci najmniej poszkodowani przez naturę mieli dziesiątki własnoręcznie wykonanych blizn.

Hilts domyślał się, że pewnie każdy miał ich pięćdziesiąt siedem, ale nigdy nie miał ani okazji, ani ochoty ich liczyć.

- Seelah skazała naszą rasę na wygnanie, żeby mogła mieć tę swoją rozkoszną doskonałość -

wrzasnęła Neera, machając rękami. - To miejsce jest odrażające! Widzicie chyba, kogo brakuje na tych obrazach, no nie? Gdzie jest Ravilan, przywódca Odmiennych? Patrzcie, nie pokazali nawet Gloyda, tego, któremu Korsinowie pozwolili żyć jak zwierzęciu! - Splunęła na marmur. - W

waszym drogocennym Panteonie brak kilku członków!

- Masz absolutną rację, Opiekunie - odezwał się Korsin Bentado, dopinając wiązania na prawej rękawicy. - Błuzniercy muszą ponieść karę. Zakończymy tę bitwę tu i teraz, a potem na zewnątrz, gdzie zebrały się pozostałe frakcje. Krew uświęci to miejsce. Liga Korsynitów będzie triumfować i za osiem dni

tylko my, sami, wysłuchamy błogosławieństwa Yaru Korsina.

Skulony za swoim panem Jaye zapiszczał rozpaczliwie.

- Ależ tam są tysiące ludzi!

- Jeśli tak musi być.

- Ale wcale nie musi tak być! - wrzasnął Hilts.

Przypominając sobie o rejestratorze, potrząsnął nim w powietrzu. - Przybyliście na czytanie. Dlaczego nie zrobić tego teraz?

Iliana zgromiła go wzrokiem.

- Mówiłeś, że uruchamia się tylko w Dniu Testamentu!

Hilts spojrzął na nią i wrzucił ramionami.

- Jestem Sithem. Skłamałem.

- Liga nie zgadza się na czytanie Testamentu w innym dniu niż rocznica - rzekł Bentado, błyskając złotymi oczami pod krzaczastymi brwiami. - Czy chcesz zostać ogłoszony heretykiem, Opiekunie, tak jak ci inni? - Szereg za nim znów się poruszył. - Usłyszymy założyciela za osiem dni... sami!

Widząc, że walczący rzucają się naprzód, Hilts poczuł, jak Jaye czepia się go z całej siły. W jednej chwili dokonał skojarzenia.

Osiem dni.

- Jaye! Twoje obliczenia! - Siłą oderwał głowę Keshiri od swojej piersi i krzyknął

niecierpliwie. - Twoje obliczenia dotyczące Piaskowych Tub!

Pomocnik spojrzął na niego z twarzą zalaną łzami paniki.

- Teraz? Ale przecież powiedziałeś, że nikt się nie będzie tym interesował...

- Teraz, Jaye - zgrzytnął. - Powiedz im!

Dygocząc z przerażenia, mały Keshiri wypuścił pana z objęć i zwrócił się do zgromadzonych.

- Proszę Wasze Lordowskie Mości o wybaczenie...

- Nie wszyscy jesteśmy Lordami, Keshiri!

Jaye omal się nie przewrócił na słowa Neery. Jego olbrzymie czarne oczy powędrowały znów do Hiltsa, który bezgłośnie ponaglił go: Gadaj!

- Błagam o wybaczenie, ale kiedy Obrońcy tu wylądowali, sprowadzili ze sobą Standardowy Kalendarz, który Keshiri przyjęli, niezależnie od naszych różnic w długości dnia i roku...

W tłumie zapłonął kolejny miecz świetlny.

- ...i skalibrowaliśmy nasze Piaskowe Tuby zgodnie z waszym magicznym zegarem na pokładzie „Omenu”. Kiedy świątynia górską została zamknięta, a „Omen” opuszczony, tragarze znieśli Piaskowe Tuby tu, wciąż mierząc czas...

Dwa kolejne miecze świetlne i kolejny ruch.

- ...ale wiele lat temu dowiedzieliśmy się, że piasek nie przelatował przez Tuby z taką samą prędkością tu, na dole i w górach. - Z twarzą rozpromienioną czerwoną energią, Jaye przelknął

ślinę. - Płynie wolniej.

Bentado uniósł broń - i jedną brew.

- O ile wolniej?

- O jedną sekundę - odezwał się Jaye skrzeczącym głosem. - Wasz dzień standardowy jest naprawdę o sekundę krótszy niż ten, który stosujemy przez cały czas.

Neera i reszta z Pięćdziesięciu Siedmiu zaczęli mrużyć z niecierpliwością.

- A jaką przekłętą różnicę to robi?

Hilts zacisnął pięści i spojrzał na Jaye'a.

- Powiedz im!

- W ciągu dwóch tysięcy lat? Dokładnie osiem dni różnicy, a to oznacza...

- A to oznacza - wtrącił Hilts, stając obok dygoczącego pomocnika - że zgodnie z dokładnym pomiarem czasu naszych założycieli, Dzień Testamentu wypada dzisiaj. A festiwal Powstania Nidy również tak naprawdę zaczyna się dzisiaj. -

Spojrzał na Ilianę i zniżył głos: - Ale to Dzień Yaru jest ważniejszy.

Bentado ciężko podszedł do nich i ryknął wściekle: - To jest absurdalne! - Złapał Jaye'a za nadgarstek. - Chcesz mi powiedzieć, że ten keshirski głupek przeliczył wszystkie sekundy praktycznie od czasu, kiedy wylądował „Omen”? To musi być z dziesięć milionów...

- To słowo w waszym języku nazywa się miliard - skrzeknął Jaye. - I jest ich więcej niż sześćdziesiąt.

Iliana wystąpiła naprzód i opuściła miecz.

- On mówi prawdę - rzekła. - Nie czuję w nim żadnego kłamstwa. I prawie niczego innego.

Bentado spojrzał na swoich ludzi, którzy milcząco skinęli głowami. Nawet monstra z Pięćdziesięciu Siedmiu zawahały się.

Hilts spojrzał na Keshiri z podziwem. Dobra robota. A teraz się zamknij!

- Czytanie się zaczyna - rzekł. - Ogłaszam Pokój Panteonu.

Podnosząc wysoko urządzenie rejestrujące, spoglądał od jednego przywódcy do drugiego.

- Wyłóżcie swoje miecze i wezwijcie wszystkich przywódców rywali z zewnątrz - polecił. -

Nie mogę wam mówić, panowie, jak macie załatwić swoje sprawy. Może Yaru Korsin to potrafi.



## ROZDZIAŁ 4

„...Kiedy wylądowaliśmy, było nas niewielu. Nasze przeżycie nie było gwarantowane.

Plemię... to, czym się staliśmy, było niezbędnym mechanizmem. Kiedy poznaliśmy Kesh, nie miał

on już dla nas zagrożeń, jedynym zagrożeniem byliśmy my sami...”

Kapitan statku gwiazdowego siedział w fotelu dowódcy w obliczu śmierci i - o czym nie wiedział - wielu swoich dalekich potomków. Obraz Yaru Korsina migotał w powietrzu, rzucając upiorne cienie przez okryte mrokiem atrium. Osoba, która się pojawiła, nie był to ani krzepki Korsin z ostatnich obrazów, ani wylupiastrastokie bóstwo z posągu Keshiri, lecz zwykły człowiek.

Zmęczony król-wojownik, ściskający ranę na piersi i wygłaszający ostatnie słowa.

„...i tak, jak przeszkoliłem cię w sekrecie, Nido, są tajemnice, których musisz zawsze dochować. Prawdziwa potęga jest za tronem. Jeśli wydarzy się katastrofa, pamiętaj...”

Banały przekazywane przez władcę swojemu dziecku, choć oboje już dawno nie żyli. Hiltz studiował te słowa przez tak wiele lat, że już dawno straciły dla niego czar. Oczywiście, pierwszy raz, kiedy ujrzał ożywionego Yaru Korsina, pobudził jego wyobraźnię. Tym razem jednak było inaczej. Stojąc przed urządzeniem i obrazem, stwierdził, że nie patrzy na starożytną postać, lecz poprzez nią na zebranych słuchaczy. Tamtego popołudnia atrium zostało oczyszczone z martwych ciał i żywych wojowników, a teraz, kiedy zapadł mrok, pozostali jedynie przywódcy frakcji, plus ponad tuzin sprowadzonych z

zewnątrz. Hilts wodził wzrokiem od twarzy do twarzy. Niektórzy mieli w rysach ten sam zachwyt, co on kiedyś. Pokora była dla większości Sithów nowym pojęciem. Inni zdawali się nieporuszeni.

Hilts znów spojrzał na Korsina. Kiedy to rejestrował, był umierający, krwawił na fotel, który kiedyś był fotelem kapitana na „Omenie”, pospiesznie przekazał wiadomość córce, która tymczasem wykańczała rebeliantów w innym punkcie góry. Pomiedzy atakami kaszlu, widmowy Korsin mówił o hierarchii Plemienia, o tym, jak należy tą strukturą zarządzać, aby uniknąć takich zamachów jak ten, który ostatecznie go zabił. Właśnie wypowiedział część dotyczącą zabijania małżonków Wielkich Lordów i wygnania Seelah. Hilts wciąż czuł wściekłość emanującą z Iliany.

„...to powinno na długo utrzymać Plemię, ale będziecie chcieli próbować wznosić własnych ludzi do poziomu Lordów. Mam kilka sugestii, zależnie od tego, kto przeżyje...”

- To jest ta nudna część! - warknęła Iliana. Hilts spojrzał na buty. Miała rację. Pomimo szacunku, jakim otaczano ten dokument, wiedział, że zawiera on mnóstwo szczegółów logistycznych.

Wielu z przywódców słuchało bardzo uważnie, jak Korsin mówił o ich adoptowanych przodkach intelektualnych, ale dla innych były to nudy.

Obserwując krnąbrnych słuchaczy, Hilts zastanawiał się nad kolejnym ruchem. Był teraz sam. Jaye został wyrzucony na zewnątrz wraz z wszystkimi innymi pracownikami przed rozpoczęciem czytania. Dla nich na razie było to najlepsze rozwiązanie. Ale Pokój Panteonu dobiegnie końca, kiedy skończy się nagranie, a nie wyglądało na to, aby jego słowa prowadziły do jakiegokolwiek rozwiązania. Jak może pozostać przy życiu, a tym bardziej chronić swoich ludzi i stanowisko. Nie obchodzi mnie przyszłość Plemienia, myślał. A co ze mną?

Po kilku minutach słowa Korsina zaczęły napływać

wolniej. Śmiertelna rana zbierała swoje żniwo, przemowa stała się bardziej osobista. Hilts znów podniósł wzrok, jak dawniej zafascynowany chwilowym kontaktem z człowiekiem, który ma dwa tysiące lat.

„...Nido, córko moja, jesteś czymś więcej niż tylko jedyną dobrą rzeczą, która urodziła się z Seelah. Jesteś przyszłością Sithów na tej planecie... To nie był... twój wybór, aby tu żyć. Ale... to był nasz wybór, aby tu nie umrzeć. Ten wybór.... Zostanie dokonany przez ciebie...”

Korsin opadł na fotel. Obraz znieruchomiał.

- I to wszystko? - zapytała Iliana Hilts spojrzał na nią, wcale nie zdziwiony, że wygrała wyścig, kto pierwszy zabierze głos.

- To wszystko - odparł i podszedł do urzędnika.

- To wystarczy - z szacunkiem odezwał się Korsin Bentado. - Właśnie usłyszeliście, jak powiedział to wielki przywódca. Może być tylko jedna struktura władzy... ta, którą on stworzył. Ta, którą reprezentuje mój lud. Nie ma kompromisu.

- Mylisz się - odezwał się inny głos. Hilts stwierdził, że należy on do przywódcy Złotego Przeznaczenia, grupy opętanej międzygwiazdowymi aspektami pochodzenia Plemienia. - Słyszałem, jak wielki zdobywca opisuje potężnych ludzi. Nawet nie chcieliśmy tu przylecieć, a jednak natychmiast podporządkowaliśmy sobie ten świat. Każdy człowiek w galaktyce na pewno ma swoje planetarne królestwo! Musimy przestać walczyć, otworzyć świątynię i wrócić do gwiazd!

Hilts pokręcił głową, gdy kłótnie rozpoczęły się od początku. Jeszcze nie błysnęły miecze, przywódcy byli zbyt zajęci mówieniem sobie nawzajem, co właśnie wszyscy usłyszeli. Ale to tylko kwestia czasu. Uruchomił urządzenie tym razem nieco szybciej, ale z jakiejś przyczyny nie chciało się normalnie wyłączyć.

Pojawił się biały szum, a potem coś innego, przelotne

obrazy, przeplatające się ze sceną ze zmarłym Wielkim Lordem.

- Tam coś jest - powiedział Hilts. - Coś jest pod spodem.

Palimpsest. Kiedyś słyszał, jak artyści keshirscy mówili o tej koncepcji. Od czasu do czasu na wcześniejszej wersji malowana była kolejna, wykorzystująca to samo płótno. Pojęcie to nie dotyczyło rzeźby - a czy wyświetlany obraz nie był czymś w rodzaju żywej rzeźby? Coś jednak tam było. Może kiedy Korsin użył urządzenia, aby nagrać swoją wiadomość, coś było na niej wcześniej!

Poruszył kilkoma regulatorami, które znów rozumiał...

...i pojawił się potwór.

„Oto twój władca, Naga Sadów, przemawia do kapitana Yaru Korsina!”

Na dźwięk chrapliwego głosu przywódcy natychmiast przerwali swoje kłótnie. Należał on do istoty nie całkiem ludzkiej, odzianej w szaty władcy Sithów. Twarz Sadowa miała czerwony kolor i ozdobiona była dwoma spiczastymi wyrostkami, które wiły się, kiedy mówił. Żyły na jego nagiej czasce pulsowały jak łańcuchy górskie.

Mówiąc, gestykulował rękami - co za ręce! - zakończonymi szponami, jakich nie powstydzilby się uvak.

Nerra z Siły Pięćdziesięciu Siedmiu przemówiła pierwsza.

- Co... co to jest?

„Oprócz Saesa i »Zwiastuna«, zobowiązany jesteś dostarczyć grupę górników należącą do twego brata, Devore'a do Phaegonu. Uzyskasz tam kryształy lignańskie dla mojej sprawy i wrócisz do Kirrek”.

Hilts musiał przetrzeć oczy. Język był podobny do ich języka, ale z ciężkim akcentem. Ale kto to mówił? Poza Keshiri nie było wzmianek o istnieniu jakichkolwiek istot rozumnych we wszechświecie.

A z pewnością nie takich, które wydawały rozkazy ludziom.

„Na tę misję wysłałam osobę, z którą już pracowałeś wcześniej. Ravilana Wrotha i jego wojowników Massassi”.

Obraz zmienił się - i jeśli twarz Nagi Sadowa zaskoczyła widzów, pojawienie się tego, którego zwali Ravilanem i jego towarzyszy wywołało słyszalne westchnienia. Jego skóra była całkowicie szkarłatna i wyglądał jeszcze mniej po ludzku niż Sadow, gdyż oprócz dłuższych jeszcze wyrostków twarzowych, miał sterczące wyrostki brwiowe. A ogromne, krwistoczerwone potworności, które za nim stały, były groteskowe nie do opisania.

Obraz zamigotał i znów pojawił się Naga Sadow.

„Posłałem po twego brata, Devore’a, aby go poinformować, że to ty jesteś dowódcą. Lecz pamiętaj, że podlegasz moim prawom i kaprysom. Możesz mieć więcej swobody działania niż inni Sithowie dają swym niewolnikom, ale jedynym dążeniem, jakie może mieć twój gatunek, to kompetentna służba mojej sprawie. I tego tylko od ciebie wymagam. Rozpocznij przygotowania.

Zwycięż w moim imieniu. Zawieź mnie, a umrzesz”.

Obraz znikł, pozostawiając atrium w prawie kompletnej ciemności. Przez wybite okna w dachu migotało światło gwiazd.

Wreszcie odezwała się Iliana.

- Co to było?

- Wiadomość - odparł Hilt, ostrożnie dotykając urządzenia. - Wcześniejsza wiadomość.

Myślę, że Korsin nagrał na niej... że nie mieliśmy jej oglądać.

Urządzenie ostatnio było dość kapryśne. Może wreszcie nie zrobiło tego, co miał na myśli Korsin. Odetchnął głęboko i spojrzał w górę, na gwiazdy.

- Myślę, że nazywał się tak, jak mówił. Naga Sadow.

Tłum zaczął wykrzykiwać z niedowierzaniem, a najgłośniej krzyczał Korsin Bentado.

- Naga Sadow to tylko imię z jakichś bajek, „gwiezdny

sojusznik Korsina”. To... to coś zachowywało się tak, jakby było właścicielem „Omenu”. I załogi!

- Nie byli zdobywcami - jadowicie zauważyła Iliana. - Byli kopaczami w ziemi. A wielki Yaru Korsin był zwykłym chłopcem na posyłki!

Makabryczni wyrzutowie z Siły Pięćdziesięciu Siedmiu wydawali się najbardziej wstrząśnięci ze wszystkich, kiedy zobaczyli prawdziwą twarz Ravidana i jego bandy.

- To... to nie jest po sithańsku - odezwała się Neera, zniżając głos niemal do szeptu. - To jakieś szaleństwo.

Hilts stracił mowę. Wszystkie małe tajemnice z historii i wszystkie redagowane kawałki tekstów nagle nabrały sensu... o ile można nazwać to sensem. Yaru Korsin i cały panteon założycieli byli niewolnikami... tego czegoś?

- Nic dziwnego, że Seelah Korsin chciała, abyśmy byli czystą rasą - zauważyła Iliana, stając przed pozostałymi. - Sankcjonowała tę rasę.

Korsin Bentado krążył jak schwyte zwierzę.

- Nie, to nie może być. Nie może. - Zmierzył wzrokiem Hiltsa. - Ty! Opiekunie! Siostry były tu wcześniej! Kombinowałeś coś przy tym?

- Nie wiedziałbym nawet, jak zacząć - wyznał Hilts. Podniósł projektor z podłogi i umieścił z powrotem na postumencie.

- Więc... co to oznacza?

- Oznacza, że nie tylko jesteśmy Plemieniem - stwierdził Hilts. - Jesteśmy Zapomnianym Plemieniem - prawie wypluł ten przymiotnik. Nie było w tym żadnego powodu do dumy. -

Zgubiliśmy się. Nie przyłecieliśmy tu sami. Wysłano nas, ale nie tutaj. Ale kiedy się rozbiliśmy, Korsin został... bo nie chciał wracać i mieć do czynienia z tym. I zapomnieli o nas.

Szepty stawały się coraz głośniejsze. Kto by winił Korsina? Ale to sprawiało, że stali się czymś doprawdy potwornym.

Zbiegłymi niewolnikami.

Iliana jednym ruchem włączyła miecz i skoczyła. Hilts cofnął się, pewien, że ruszyła na niego, ale jej broń skierowała się na urządzenie rejestrujące, przecinając je na pół wraz z postumentem, na którym stało.

Hilts popatrzył na iskrzące połówki urządzenia.

- No i po co to zrobiłaś?

- Nikt nie może się o tym dowiedzieć - powiedziała Iliana do pozostałych poważnym tonem.

- Nie chcieli, abyśmy wiedzieli. Seelah musiała zakazać wszelkich zapisów na temat tego, kim naprawdę był Ravilan i jego ludzie. Dlatego Korsin nagrał swoją wiadomość na tej. Musimy zachować ten sekret.

Hilts spojrzał na nią.

- Nie wiem jak...

- Nie możemy pozwolić, żeby dowiedzieli się nawet Keshiri! - ryknął Korsin Bentado.

Stoicki olbrzym dorównywał teraz nerwowością Jaye'owi. - Jeśli się dowiedzą, że ich Obrońcami rządzą takie stwory...

- Nie dowiedzą się - syknęła Neera. - Zabiję ich najpierw wszystkich.

- Nie będzie to konieczne - zauważyła Iliana, miażdżąc obcasem fragmenty rejestratora. - To już jest załatwione.

Hilts spojrzał na szczątki.

Rzeczywiście.

Wszystko poszło oczywiście źle, co było do przewidzenia. Dwudziestu Sithów nie umie dochować tajemnicy, nawet dla własnego bezpieczeństwa. Ktoś opowiedział wszystko. Może jeden z obecnych, przerażony i czymś spity, wyjawił całą historię o pochodzeniu Zapomnianego Plemienia. Z pewnością wielu z towarzyszy przywódców bardzo chciało wiedzieć, co się działo podczas czytania. A na zewnątrz rozbili obozowiska ludzie z całego Kesh, świętujący festiwal

Powstania Nidy. Ludzie z uvakami, gotowymi wzlecieć i dostarczyć straszliwe wieści.

Nie byli wyjątkowi.

Rezultaty nie kazały na siebie długo czekać. Miasta Kesh popadały w ruinę. Teraz jeszcze płonęły. Wszystkie, do których docierało choćby jedno słowo z reszty kontynentu. Dzisiaj był

normalny, planowy Dzień Testamentu. Wystarczyło raptem osiem dni, aby zatruta prawda dotarła do każdego miejsca, gdzie żyli ludzie.

Nie byli niczym ważnym.

Hilts wyrzął na nocne ulice z chaty Jaye'a z pędów hejarbo. Domek przetrwał pierwszą burzę ognia, ale podpalacze znów ruszyli i prawdopodobnie nie przetrwa długo. Wszędzie z ukrycia wyglądali Keshiri, bojąc się o swoje życie i zafascynowani konwulsjami, w jakich wili się ich panowie. Gniew płynął swobodną falą, kiedy cała rasa próbowała popełnić samobójstwo.

Nie zasługiwali na to, aby być kimś.

- To koniec wszystkiego, mistrzu Hilts - zauważył Jaye, kuląc się obok niego w drzwiach.

Przerażony Keshiri spojrział w górę na stado oszalałych uvaków, krążących nad płomieniami.

Hilts tylko skinął głową. Powiedział pomocnikowi o zawartości nagrania. Teraz to i tak już nie miało znaczenia. Populacja ludzka Kesh już zmalała do kilku tysięcy w wyniku wewnętrznych walk. Iluż mogło zostać? Nie widział ani jednego z przywódców frakcji od dnia, kiedy rozpoczęły się zamieszki - nawet Iliany, która wydawała się pewna, że zagrożenie już minęło. Ależ się myliła.

Teraz to już długo nie potrwa.

A jednak...

...Korsin powiedział coś jeszcze. Prawdziwa potęga jest za tronem. Cóż za dziwne stwierdzenie. Hilts słyszał o idiomie keshirskim, który mówił coś o udziale małżonka. Ale mąż



Seelah nie mógł tego powiedzieć. Znał przecież Ilianę, jej duchową spadkobierczynię. Hilts nie zaufałyby jej nawet, że nie obrabuje trupa. Żaden Sith nie ufał kochance - zwłaszcza takiej jak Seelah.

Hilts stanął w drzwiach.

- Opiekunie, buntownicy cię zobaczą!

Siwowłosy człowiek nie zwracał na to uwagi, patrząc w kierunku pałacu. Ewakuowali się, kiedy tłum zaczął być groźny. Ale nie myślał w tej chwili o tym, co tam było. Przypomniał sobie, czego nigdy tam nie było.

Tron.

Powiewając płaszczem, Hilts wyskoczył na ulicę. Zaniepokojony Jaye pobiegł za nim, uważając, żeby nie nadepnąć - ani nie spojrzeć - na swoich zabitych sąsiadów.

- Opiekunie, o co chodzi?

- Tron, Jaye! Chodzi o tron!

Keshiri znali to określenie. Starsi Neshtovari też robili dla siebie trony.

- Ale Korsin nie miał tronu...

- Nie w pałacu, chłopcze. Patrz! - Chwytnąjąc pomocnika za ramiona, ustawił go twarzą ku zachodowi i spowitym w chmury szczytom Gór Takara. Nagle odmłodniały Hilts wyrecytował te słowa: „Są tajemnice, których musisz zawsze dochować. Prawdziwa potęga jest za tronem. Jeśli wydarzy się katastrofa, pamiętaj ...” Mrużąc oczy przed dymem, spojrzał na zakazane miejsce.

- Tronem Korsina był jego fotel z „Omenu”, i on tam jest!

- N... nie rozumiem - wymamrotał Jaye.

- Nie mieliśmy usłyszeć wiadomości od Sadowa, ale to nie jest spuścizna Yaru Korsina. Jest coś jeszcze. Coś, o czym wspomniał w Testamencie. Coś, co może uratować Plemię przed nim samym!

Hilts oddychał ciężko, tak podniecony, jak nie był już od

lat. Przez całe życie sądził, że zna całą historię, wszystko, co Korsin miał do powiedzenia. Czy naprawdę mógł zostawić... post scriptum?

- Możemy zrobić tylko jedno - rzekł Hilts, zapinając płaszcz i pewnie ruszając w chaos. -

Musimy otworzyć świątynię. Ruszamy na pokład „Omenu”!

# **TAJEMNICE**

## **ROZDZIAŁ 1**

3000 lat przed bitwą o Yavin

Podobnie jak wszyscy Sithowie w Erze Zepsucia, ród Hiltsów miał swoje ambicje, jednak ich realizacja nigdy nie wychodziła jego członkom zbyt dobrze.

Ojciec Varnera Hiltsa spędził całe lata na próbach zdobycia zaufania lidera lokalnej frakcji w Beray. Z wielką starannością wybrał shikkar, który miał przeciąć nić żywota jego suzerena.

Niestety, nie zatroszczył się już o solidną pochwę dla sztyletu; szklane ostrze wysliznęło się z pokrowca u pasa i zraniło go w kostkę. Starszy Hilts zmarł miesiąc później, zniszczony gangreną.

Niezrażona niepowodzeniem męża wdowa po Hiltsie szybko przejęła pałeczkę i zaledwie tydzień później postanowiła uwieść przywódcę frakcji. Słudzy z zachowaniem wszelkiej ostrożności dostarczyli ją do prywatnych kwater przywódcy w potężnej, ceremonialnej umie.

Niestety, wieko urny było zatrzęsnięte bardzo mocno, a nikt nie poinformował jej, że przywódca prowadzi obecnie kampanię w górach i nie będzie go przez jakiś miesiąc. Mimo to można stwierdzić, że niespodzianka się udała - w każdym razie na pewno wobec służby, która zajmowała się sprząaniem komnat swojego pana.

Varner Hilts żył dłużej niż jego przodkowie, ostrożnie i pracowicie pnąc się po drabinie hierarchii w Plemieniu. Każdy swój dzień spędzał w najokazalszym pałacu na kontynencie - i miał

zaszczyt oglądać Testament Yaru Korsina nie raz, ale dwa razy! Był także bliżej niż ktokolwiek inny Świątyni, w której spoczywał „Omen” - statek, którym Korsin i Zapomniane Plemię Sithów przybyło na Kesh.

A teraz miał zostać zgładzony przez... roślinę.

- Jaye! Jaye! - wołał, zawieszony do góry nogami w kolczastej sieci pędów. Każdy ruch sprawiał, że roślinne wici mocniej zaciskały się na kończynach staruszka. Przez zieloną zasłonę dojrzał swojego asystenta, przyglądającego mu się ze szczytu porośniętego zielskiem muru. - Jaye, odetnij mnie!

Keshiri zamrugał ciemnymi oczami.

- Czym, Opiekunie?

- Czymkolwiek!

- Wiem już! - Chłopak zniknął na chwilę i zaraz pojawił się ze swoją torbą. - Mieczem świetlnym... tym, który znalazłeś!

- Na litość Mocy, nie! - Hilts zamachał gwałtownie wolną ręką. Tak jak podejrzewał, Jaye ujął broń odwrotnie. - Jeśli go włączysz, zabijesz się!

Jaye uklęknął na kamiennym bloku nad swoim panem.

- W takim razie może sam spróbujesz, Opiekunie?

- Nie. Posłuchaj, znajdź jakiś ostry kamień - powiedział Hilts, próbując zająć wygodniejszą pozycję w swoim kolczastym więzieniu. - A ja tu sobie, eee... zaczekam.

Słuchał, jak Keshiri oddala się pospiesznie, a potem westchnął i kolejny raz przeklął się w duchu za swój szalony pomysł. Nikt od wieków nie ośmielał się zbliżyć do wzniesionej w górach Świątyni - a teraz miałby tego dokonać sześćdziesięcioletni archiwista i jego bojaźliwy asystent? I to akurat teraz, kiedy w każdej osadzie, jak Kesh długi i szeroki, wrzało od rebelianckich nastrojów? Pokręcił głową, ignorując drapiące mu policzek kolce rośliny. Musiał oszaleć, skoro w ogóle wpadł na taki pomysł.

Cóż, sama wyprawa była istotnie dość szalona. Najpierw Hilts wrócił do swojego muzeum w stolicy, Tahv, gdzie od

dawna przechowywał starożytne mapy Świątyni „Omenu”. Niestety, okazało się, że do pałacu wdarli się rabusie, którzy spalili doszczętnie wszystkie pergaminy z archiwów. Zniszczyli wszystko, co dało się zepsuć. Widok strzaskanych Piaskowych Tub doprowadził Jaya do łez.

Ale Hilts był na to przygotowany. Autodestrukcyjny szal trwał nieustannie, odkąd Plemię odkryło, że ich przodkowie nie byli zdobywcami, tylko niewolnikami obcych. Mimo to widok tak wielu ludzkich ciał leżących na ulicach wytrącił go z równowagi. Żaden Sith nie postrzegał życia jednostki jako czegoś szczególnie cennego, ale teraz istnienie ich rasy było zagrożone. Potomkowie załogi „Omenu” byli początkowo tak nieliczni... Ilu z ich wnuków zginęło teraz bezsensownie? Czy Sithowie kiedykolwiek zdołają się odrodzić i odzyskać dawną potęgę?

Możliwe, że odpowiedź na to pytanie czekała na odkrycie w tajemniczej Świątyni, ale jeśli Hilts miał ją odkryć, musiał tam dotrzeć pierwszy, unikając po drodze wędrownych band zbirów i żądnych krwi renegatów. Właśnie dlatego wziął ze sobą Jaya; rodziny Keshirich, które kiedyś oddawały ludziom cześć, teraz bały się ich - wiedział, że nikt dobrowolnie nie zapewni mu schronienia. Mimo to Sitha, który podróżował z potulnym Jayem Vuhldem, nie traktowano jak groźnego bandziora. Dzięki temu on i Jaya korzystali z gościnności Keshirich w ciągu dnia, podróżując głównie w nocy.

Podróż była długa, ale konieczna - Świątynię wzniesiono wysoko w Górach Takara, na północnym krańcu długiego półwyspu, równoległego do kontynentu. Dla uława byłby to tylko króciutki kurs przez zatokę, ale żadna siła nie zmusiłaby Hiltsa do wspięcia się na grzbiet jednej z tych latających bestii. Długo więc wędrowali wzdłuż południowego wybrzeża, zanim wreszcie opuścili wrogie terytorium. Tutaj jednak nie mieli gdzie się schronić ani jak zdobyć pożywienia -

zresztą Hiltsowi było i tak wszystko jedno, bo odkąd

zaczęły się zamieszki, zupełnie stracił apetyt.

W końcu dotarli do stóp Bariery - potężnych granitowych bloków tarasujących wąskie przejście, wzniesionych przez Nidę Korsin, aby uniemożliwić niepowołanym osobom dotarcie do Świątyni pieszko. Każdy blok miał dziesięć metrów wysokości, a całość sprawiała wrażenie jakichś gigantycznych schodów dla bogów i była przeszkodą trudną do pokonania. Mimo to na przestrzeni wieków w szczelinach kamiennych bloków zakorzeniła się odporna roślinność - silne pnącza, które umożliwiały wspięcie się po ich pędach.

Albo zawiśnięcie do góry nogami, dopóki nie dostaniesz krwotoku i nie wykorkujesz, pomyślał smętnie Hilts. Spojrzał w górę. Gdzie się podziewa ten zatracony Keshiri?

Zobaczył na niebie jasny błysk i zmrużył zmęczone oczy, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

Odbicie? Ale co mogło odbijać światło tak wysoko w górze?

- Opiekunie! - Usłyszał piskliwy głos i poczuł szarpnięcie za nogi, a chwilę później ktoś zaczął go wciągać do góry.

- Jaye! Co ty wyprawiasz?

Keshiri stęknął i z wysiłkiem owinął sobie wiązkę pędów wokół długich, szczupłych palców. Kiedy był już w pobliżu skalnej półki, Hilts z trudem zgiął się wpół, wymacał krawędź i resztką sił wdrapał na górę. Jak tylko upewnił się, że jest bezpieczny, klapnął na skałę i sapał ciężko przez dobrą minutę. W końcu przeturlał się na bok i zrozumiał, jak Jaye zdołał go wciągnąć na górę: niedaleko miejsca, w którym leżał, w skale wykuto szereg otworów, jakby przeznaczonych do ustawienia ogrodzenia. Szczeliny były na tyle duże, że swobodnie mieściły się w nich stopy Keshiriego, dzięki czemu jego cherlawy asystent mógł się zaprzeć i wywindować swojego pana na skalną półkę.

- To już... ostatnia zapora - wysapał Jaye, wycierając pokrwawione palce i oglądając się za siebie. Krótkie zejście wiodło z tego miejsca do szlaku prowadzącego w górę wąwozu - i do górującego nad nimi szczytu, na którym wzniesiono Świątynię.

Hilts nie patrzył jednak w stronę Świątyni, tylko wyżej, na niebo.

- Spójrz! - Wskazał swojemu praktykantowi kołującego nad ich głowami uvaka, kierującego się w stronę Świątyni. Opiekun zmarszczył czoło i zmrużył oczy. Uvaka dosiadał jeździec, był tego pewien. Znow pojawił się błysk. Na ubogiej w metal planecie Kesh oznaczało to zwykle jedno: rękojeść miecza świetlnego.

Staruszek odetchnął głęboko i spojrział w stronę Świątyni.

- Lepiej ruszajmy w drogę. - Wstał, strząsnął z szaty resztki pędów i zrobił krok... prosto w wykuty w skale otwór.

- Opiekunie!

Hilts poczuł na policzku chłód granitowego bloku.

- Po namyśle uznałem - wysapał - że... najpierw tu trochę... odpoczniemy.

Keshiri nie protestował.

„Musicie dokończyć plan opuszczenia gór. Przeznaczeniem Plemienia jest władanie Kesh...”

Takie polecenie zostawił swojej córce w Testamencie Yaru Korsin, a jego rozkaz był

wypełniany i respektowany przez lud, który nie darzył szacunkiem niczego i nikogo. O tym myślał

Hilts, schodząc ze skalistej ścieżki na kamienny taras. Sithowie podczas powodującego rozłam w społeczeństwie sporu wykorzystywali wszelkie argumenty, a mimo to żaden z nich nie wrócił nigdy w to miejsce, do kolebki starożytnej wiedzy - przynajmniej tyle wiedział Hilts. Możliwe, że kierował nimi lęk, ale Opiekun przypuszczał, że raczej nie spodziewali się znaleźć



tu niczego, co przyniosłoby im korzyść. Co mogli tu zostawić Korsin i pierwsza załoga „Omenu”, czego nie zabraliby ze sobą, opuszczając góry?

Mimo to Hilts traktował tę misję jak wyzwanie. Postawił sobie jej wypełnienie za punkt honoru. Tysiące metrów niżej jego kultura zatracala się w amoku samozagłady; dwadzieścia walczących ze sobą frakcji niszczyło potęgę Sithów - ujawnienie ich wspólnego, niskiego pochodzenia pogrzyżyło wszystkie dusze w otchłani przygnębienia i rozpacz. Przetrwali tyle lat w niewiedzy, a teraz... mogli się powybijać co do nogi w ciągu tygodnia.

Czy znajduję tam coś, czego nie znalazł jeszcze nikt inny?  
- zachodził w głowę Hilts, wpatrując się w majaczące na horyzoncie bliźniacze wieże, strzegące królewskiej siedziby.

Wiedział, że przywiodła go tu próżność, ale może jednak nie był to aż tak szalony pomysł, jak mu się początkowo zdawało? Wszyscy inni szukaliby tutaj broni czy jakiejś starożytnej technologii z gwiazd. On szukał jednak czegoś innego - przesłania, które Korsin zawarł w swoich ostatnich słowach, wskazówki, która mogła sprowadzić Plemię z powrotem na prostą ścieżkę. „Prawdziwa potęga leży za tronem - mawiał Korsin. - Pamiętajcie o tym w nieszczęściu”.

Jaye zszedł ostrożnie na południowy taras świętego miejsca. Po bokach ciągnęły się rzędy podniszczonych kamiennych budynków o ścianach nadgryzionych zębem czasu.

- Jest większa, niż sądziłem, Opiekunie - stwierdził z nabożeństwem.

- To dobrze - powiedział Hilts, nie zwracając uwagi na obolałą kostkę i pracę z determinacją przed siebie. - Wiem, gdzie jesteśmy.

Rzeczywiście, wiedział. Nie miał co prawda ze sobą map, ale przez całe lata sprawowania nad nimi pieczy zdołał dobrze zapamiętać plan Świątyni i teraz rozpoznawał niższy taras, gdzie mieszkała służba. Na północ od stajni dla uvaków

znajdowały się stopnie prowadzące na środkowy taras, mieszczący salę treningową, dormitoria, magazyny i świetlicę. U szczytu schodów rozpoczynała się zewnętrzna kolumnada - miejsce, gdzie Yaru Korsin prowadził sądy. Dalej rozciągał się dziedziniec głównego placu, od strony zachodniej graniczący z apartamentami monarszymi, od wschodu - z wieżą strażniczą i wartownią, a od północy - z główną kopułą Świątyni. Część wyższego placu wzniesiono bezpośrednio nad świętym miejscem spoczynku „Omenu”, żeby zapewnić mu ochronę.

Samo myślenie o „Omenie” sprawiało, że Hilts czuł przyływ energii. Nie zwolnił kroku, nawet kiedy wchodzili po stromych schodach prowadzących na środkowy taras. Każdy, kto spojrzał

z dala na cały kompleks budynków, pomyślałby, że został zbudowany przez lud, który uwielbiał się wspinać.

Cóż, właściwie to tak było.

- Chodź, chłopcze - przynaglił Jaye’a Hilts. - Nie ociągaj się.

Stworzenie zostało zabite niedawno. Żywot uvaka zakończyło szybkie, niechlujne chłaśnięcie przez gardło. Hilts przyglądał się bestii, palonej promieniami stojącego w zenicie słońca. To musiał być ten sam uvak, którego widzieli wcześniej.

- Domyślam się, że nasz gość uznał stajnie za niegodne jego zwierzęcia - mruknął.

Jaye schował głowę w ramiona.

- Czy... czy dać ci twoją broń?

Opiekun rozejrzał się dookoła, ostrożnie rozpoznając otoczenie poprzez Moc. Ktoś był w pobliżu, czuł to.

- Tak - potwierdził. - Daj mi ją.

Jaye poszperał w torbie i za chwilę wyciągnął miecz świetlny. Jako Opiekun, Hilts nie miał

takiej broni - bo i po co? - ale po drodze z Tahv trafili na zwłoki wojownika, który miał u pasa miecz. Staruszek postanowił zabrać broń ze sobą. Nigdy nie wiadomo, czy się nie

przyda.

- Wiesz, jak jej używać? - spytał go Jaye.

- Oczywiście. Kiedy trafimy na przeciwnika, namówisz go, żeby stanął przede mną, a wtedy ją włączę.

Ten beztrojski żart nie zmniejszył jego niepokoju. Będąc Opiekunem, Hiltis nie był biegły w korzystaniu z Mocy do obrony. W młodości przeszedł co prawda to samo szkolenie, co każdy członek Plemienia, ale poza odbijaniem kawałków walącego mu się na głowę akweduktu, w ciągu ostatnich dziesięcioleci nie miał zbyt wielu okazji do korzystania z Mocy.

Mimo to potrafił rozpoznać złe przeczucie i wiedział, że instynkt go nie myli. Czuł, że coś tu jest nie tak jak powinno.

- Świetlica - powiedział i odwrócił się w stronę, z której napływały niepokojące sygnały. -

Zostań tu. Jeśli usłyszysz coś niepokojącego, uciekaj i nie oglądaj się za siebie.

W pałacu w Tahv nie było pomników Seelah Korsin, ale postać na płaskorzeźbie umieszczonej na ścianie szpitala trudno było pomylić z kimś innym. Jako żona Yaru Korsina, Seelah była Matką Plemienia, wcześniej zaś - żoną Devore'a Korsina i matką zdrajcy. Hiltis nigdy nie widział żadnego wizerunku Seelah, ale jedno spojrzenie na gładką skórę, kunsztownie u fryzowane włosy i idealne kształty odwzorowane w kamieniu utwierdziły go w przekonaniu, że widział jej siostrę bliźniaczkę - i to całkiem niedawno.

- Iliano Merko! - zawołał, wchodząc do budynku. - To ja, Opiekun Hiltis. Wiem, że tam jesteś i sądzę, że powinniśmy porozmawiać.

## ROZDZIAŁ 2

- Iliano? Iliano! - Hilts zapatrzył się z otwartymi ustami na postać mającą w półmroku.

Ostatnie dwa tygodnie były trudne dla wszystkich mieszkańców Kesh, ale ledwie rozpoznawał przywódczynię Sióstr Seelah. Iliana siedziała skulona w zimnym kącie magazynu, czule pieszcząc trzymaną w dłoniach czaszkę.

Szlochała cicho, najwyraźniej nieświadoma jego obecności. Hilts obejrzał się i obrzucił

nerwowym spojrzeniem rzędy marmurowych stołów operacyjnych, a potem spojrzął na trzymany w dłoni miecz świetlny i przypiął go do pasa. Iliana Merko może i była niebezpieczną przywódczynią wojowniczej frakcji, ale osoba, na którą teraz patrzył, wydawała się zmieniona nie do poznania. Jej niegdyś lśniące włosy były brudne i rozczochrane, nieskazitelna skóra - umazana popiołem i krwią, a po twarzy spływały łzy, których nigdy nie spodziewałby się tam zobaczyć.

- Umarła tutaj - zaszlochała Iliana, podnosząc czaszkę na wysokość twarzy i opierając nagą kość o czoło. - Sama. Samotna.

Hilts spojrzął na ziemię. W półmroku dostrzegł porzucone beładnie w kącie fragmenty szkieletu. Kiedy dotarło do niego, czyją czaszkę hołubi Iliana, zagadnął ostrożnie: - Skąd wiesz, że to Seelah?

- Wiem - wyszeptła Iliana. Otworzyła dłoń w rękawiczce, w której tkwił sygnet z godłem rodziny Korsinów: obrączka wierności Tapani.

- Zostawili ją tutaj? - mruknął z niedowierzaniem Hilts i przyklęknął, żeby przyjrzeć się szczątkom. Kości udowe były nienaruszone, ale piszczele sprawiały wrażenie pogruchotanych.

Widocznie czas zrobił swoje, pomyślał, ale kiedy w pobliżu zauważył porzuconą laskę, wszystkie kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsca. Opiekun pamiętał, że zdrada Seelah wyszła na jaw i że Nida Korsin ukarała swoją matkę. Zapiski nie wspominały jednak, czy Seelah została skazana na wygnanie, czy na śmierć. Teraz Hilts rozumiał, po co wzniesiono Bariere - miała powstrzymać kalekę Seelah od przejścia na drugą stronę, tak jak innych od pokonania jej i wejścia do Świątyni. - Wygnanie - wymamrotał.

- Została zdradzona! - Iliana ze złością otarła spływające po policzkach łzy. - Zasłużyła na lepszy los!

- Tak czy inaczej, jest martwa. - Hilts wstał i cofnął się, a Iliana delikatnie odłożyła czaszkę na ziemię. - Jesteś sama. Co się stało z...

- Siostrami Seelah? - Odwróciła wzrok ku ścianie, próbując dojść do siebie. - Kiedy zaczęły się rozruchy, walczyliśmy zaciekle jak wszyscy. Potem jednak... dałyśmy za wygraną. Jak cała reszta. - Pokręciła głową i spuściła wzrok. Jej złote oczy były zaczerwienione od płaczu. -

Straciłyśmy cel istnienia. Seelah urodziła się jako niewolnica!

- Na to wygląda.

- Tak właśnie było! - warknęła Iliana, zaciskając dłoń w pięść. - Jako młoda dziewczyna doznałam wizji w Mocy, w której mi się objawiła. Prosiła, żebym ją pomściła...

Hilts przywołał w pamięci płaskorzeźbę, którą widział na zewnątrz.

- Ach, więc dlatego wiedziałas, jakie nosiła uczesanie!

- Nikomu jednak nie wyjawiałam, co robiła w tej wizji - dodała Iliana cicho, niepomna na jego uwagę. - Był tam ten potwór, ten czerwonoskóry diabeł, wyglądający całkiem jak

Ravilan w wiadomości. A ona... myła mu nogi! - Iliana uwolniła energię Mocy, ciskając drogocennymi kośćmi o ścianę. - Jego cuchnące, obrzydliwe stopy!

Hilts skinął głową. Cóż, jeśli chodzi o niego, chciałby zostać pomszczony za coś takiego.

Iliana wyminęła go i przeszła do świetlicy.

- Wszystko wskazuje na to, że inne Siostry miały podobne wizje. - Otarła oczy i podniosła twarz. - Nie mogliśmy długo wytrzymać razem po czymś takim. - Zatrzymała się nagle między marmurowymi marami i sięgnęła po swój miecz świetlny. - Ktoś tu jest - rzuciła, odwracając się w stronę wejścia. - Są tutaj!

Hilts podreptał za nią.

- W porządku. On jest ze mną - uspokoił ją. Zawołał swojego asystenta i za chwilę do środka zajrzał nieśmiało Jaye.

Iliana opuściła trzymany w pogotowiu miecz i przewróciła oczami.

- Służący? Świat się kończy, a ty wciąż ciągasz za sobą pachółków?

- Jestem Opiekunem - przypomniał jej Hilts. - Przynajmniej mam się jeszcze kim opiekować. - Wszedł między nią a Jaye'a. - Co miałaś na myśli, mówiąc „są tutaj”?

- Szukają mnie - wymamrotała.

- Kto?

- Wszyscy. Korsin Bentado, to, co zostało z Siły Pięćdziesięciu Siedmiu, ci szaleńcy ze Złotego Przeznaczenia... Ci, którzy przetrwali. Cóż, zanim wszyscy umrzemy, przynajmniej wyrównamy rachunki - dodała gorzko.

- Śledzili cię?

- Tak sędzę. Zanim uciekłam, trochę dałam im się we znaki. Ich tropiciele widzieli, że leciałam na zachód... a na zachodzie nie ma nic poza tym.

Hilts złapał Jaye'a za ramiona, odwrócił w stronę drzwi i popchnął lekko w stronę wyjścia.

- Nie mamy wiele czasu - powiedział stanowczo. -  
Chodź za mą. Po drodze wszystko ci wyjaśnię.

Iliana spojrzała na niego drwiąco.

- Nie jestem twoim popychadłem. Dlaczego miałabym  
gdziekolwiek za tobą iść?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Bo jeśli mam znaleźć to, czego szukam, mogę  
potrzebować pomocy, a ty zabrnęłaś w ślepą uliczkę. Sama tak  
powiedziałaś. - Wskazał wyjście. - A poza tym mam plan.

Iliana westchnęła teatralnie i zrobiła parę kroków w  
tamtą stronę.

- Jestem dziwnie pewna, że to głupi plan.

- Jesteś wcieleniem podłości - skwitował zjadliwie Hilt.

- To cecha wrodzona?

Iliana obejrzała się na niego i uśmiechnęła krzywo.

- Jestem dzieckiem Seelah.

„Której czaszkę najpierw całowałaś, a potem  
roztrzaskałaś o ścianę”, miał ochotę się odgryźć, ale zamiast  
tego uśmiechnął się tylko pod nosem. Iliana czciła Seelah, ale  
równie dobrze mogłaby czcić kogokolwiek innego, podobnie  
zdeprawowanego. Nigdy jej nie ufał - zresztą Sithowie nigdy  
nikomu nie ufali - ale zaczynał ją rozumieć.

- Kieruj się do wejścia na górze - poinstruował ją. -  
Zobaczysz tam coś, czego nie widział  
dotąd nikt żywy...

Przyglądał się, jak kobieta gładzi palcami ciemny metal.  
Najwyraźniej istniało jednak coś, co robiło na niej wrażenie.

- To... cudowne - wyszeptła z podziwem.

Pod sklepionym pułapem Świątyni tkwił kadłub  
„Omenu”, lekko podświetlony światłem prętów jarzeniowych  
zapalonych przez Jaye’a. Legendy głosiły, że statek  
przypominał lanvarok, starożytną broń Sithów. Nikt na Kesh nie  
widział jednak nigdy lanvaroka, a „Omen” spoczywał tu, skryty  
przed ludzkim wzrokiem, od wielu wieków. Praojcowie Sithów

zrobili co w ich mocy, żeby zachować wrak w dobrym stanie, wznosząc dookoła niego mury z polerowanego kamienia i ograniczając liczbę prowadzących do niego korytarzy, a mimo to sfatygowany kadłub pokrywała warstwa pyłu.

„Omen” przeszedł swoje; w kilku miejscach pancierz był pogięty i popękany. Co takiego przydarzyło ci się pośród gwiazd? - zastanawiał się Hilts. Co miałeś chronić? Sądząc po powgniatanym, poszarpanym poszyciu, coś naprawdę cennego. Opiekun pierwszy raz widział taką ilość metalu zgromadzoną w jednym miejscu. Było go więcej niż ktokolwiek z zamieszkujących Kesh widział w swoim życiu - chociaż ostatnio w obiegu i tak było sporo cennego materiału, odzyskanego z części statku, rozrzuconych w górach po katastrofie.

Cóż to musiało być za widowisko, zastanawiał się Hilts, oceniając rozmiar „Omenu”. Cud, że statek i góry przetrwały zderzenie.

Iliana precyzyjnie się obok niego i pierwsza weszła do środka - tak jak się spodziewał. I nie miał jej tego za złe. Wolał zwiedzać wewnątrz z Jaye'em niosącym pręt jarzeniowy u boku. Obejrzał

się na wystraszonego Keshiriego i dał mu gestem znak, żeby szedł za nim.

- To by było świętokradztwo - wymamrotał chłopak. - Jestem Keshirim i nie mam prawa...

- Daj spokój - wszedł mu w słowo Hilts. - Potrzebujemy światła.

Znaleźli Ilianę w przedniej części statku. Tak jak w reszcie pomieszczeń, na mostku widać było ślady katastrofy. Sufit był powyginany i poszarpany, przednie iluminatory - zgruchotane, a resztki ram wygięte na zewnątrz. Czyżby ktoś zniszczył je od środka? Hilts nie miał pojęcia, podobnie jak nie miał pojęcia o przeznaczeniu wyposażenia, które go otaczało - gładkich, czarnych pulpity, z których część była uszkodzona. Potrzaskane osłony odślaniały kłęby kabli i złączek.



Opiekun przyjrzał się jednemu z pulpity, a potem następnemu. Rozpoznawał pismo Sithów, ale część słów była mu obca - telemetria, nadprzestrzeń, astrogacja... Brzmiały całkiem jak magiczne zaklęcia. Uczni Plemienia próbowali zachować przez stulecia wiedzę o podróżach kosmicznych, ale znikła ona stopniowo na przestrzeni wieków, tak samo jak wiele innych tajemnic Sithów.

Iliana naciskała coraz mocniej guziki na czarnych panelach, zupełnie jakby siłą mogła zmusić statek, żeby obudził się do życia. Hiltsa nie dziwiła jej zachowanie. Spodziewał się, że będzie desperacko szukała sposobu na wydostanie się z tej planety - tak jak wszyscy inni.

Kiedy, sfrustrowana, rąbnęła pięścią w jeden z pulpity, panel pękł pod siłą uderzenia.

- Nic tu nie działa! - poskarżyła się gniewnie.

- Nieprawda - zaprzeczył Hilts. - Coś jednak działa.

Wskazał jej kłęczącego na tyłach mostka Jaye'a. Keshiri nachylał się nad lśniącym w świetle pręta jarzeniowego wyświetlaczem i patrzył w niego jak zaczarowany. Na ekranie pojawiały się sithańskie cyfry, aby za chwilę zniknąć, zastąpione innymi. To było urządzenie, które miały naśladować ich Piaskowe Tuby - chronometr „Omenu”.

- Rzeczywiście. Działa - stwierdziła ze zdumieniem Iliana.

Hilts wzruszył ramionami. Wszystko na pokładzie statku musiało skądś czerpać energię -

może urządzenie odmierzające czas nie potrzebowało jej po prostu zbyt wiele? Podszedł bliżej i dotknął ramienia Keshiri, który wyglądał jak zahipnotyzowany.

- Czy dziś jest ten dzień, który wyniknął z naszych obliczeń, Jaye? - spytał.

Chłopak otworzył usta, ale nic nie powiedział. Odzyskał głos dopiero po dłuższej chwili.

- Tak. Piaskowe Tuby nie działają od ośmiu dni. Tak jak

myślałem...

Hilts spojrział na niego ciepło.

- Świetnie, Jaye. Jestem pod wrażeniem.

On i Jaye spędzili wiele godzin, próbując znaleźć odpowiedzi na najważniejsze pytania, świadomi, że nigdy się nie dowiedzą, czy ich przypuszczenia były trafne. Tu i teraz okazało się jednak, że - przynajmniej częściowo - mieli rację. Hilts czuł się z tą świadomością co najmniej dziwnie. Wiedział, że Sithowie i Keshiri nie powinni dążyć do wspólnych celów - a jednak tak właśnie było z nim i z Jaye'em. A teraz okazywało się, że to Jaye miał rację...

Hilts poczuł ukłucie zazdrości; przeniósł wzrok na środek pomieszczenia. Nie było tutaj tego, czego szukał.

- Czy to tu stał fotel, z którego dowodzono statkiem? - spytała Iliana, wskazując na podwyższenie. - Ten, który chcesz odnaleźć?

- Zawsze wiedziałem, że nie będzie go wewnątrz „Omenu” - mruknął Opiekun, podchodząc do podium. - Pomyślałem po prostu, że będziesz chciała się rozejrzeć.

Wszyscy doskonale wiedzieli z malowideł Keshirich, że kiedy Korsin przyjmował gości, prznosił swój fotel kapitana statku pod kolumnadę. Teraz nie było go jednak ani tam, ani nigdzie w pobliżu.

Iliana rozejrzała się nerwowo wokół.

- Nie rozumiem. Dlaczego, mając taki statek, Korsin odesłał wszystkich z górnego do Tahv? -

Podeszła do nachylonego nad pustym podestem Hiltsa. - Może jego pokolenie nie potrafiło go naprawić, ale... zostawić tak wszystko i odejść? Miałam rację, Korsin był głupcem!

- Chciał, żeby Plemię osiadło na Kesh - zaprotestował starszy. - Wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, w jakim stanie jest statek. Nie mieli szans stąd odlecieć. Widziałaś budynek na zewnątrz - „Omen” nie mógłby wystartować, dopóki nie rozebraliby murów. Wybudowali wokół

niego schronienie. - Podeszedł do otworu zięjącego w miejscu zniszczonych iluminatorów i obrzucił

wzrokiem kamienne ściany na zewnątrz. - To nie jest stajnia dla uva, Iliano. To grobowiec.

Przywołał w pamięci twarz z Testamentu wyobraził sobie Korsina, planującego swoją strategię. Przywódca Plemienia zarządziłby z pewnością wzniesienie budynku, żeby chronić statek przed niszczycielskim wpływem żywiołów, a reszta rozbitków by się na to zgodziła. Kiedy jednak jego lud rozprawił się z Odmiennymi - groteskowymi ludźmi Ravilana - Korsin stopniowo zaczął

kierować uwagę swoich poddanych na przejęcie władzy nad Kesh. To było najlepsze wyjście w ich sytuacji. Kiedy zamknęli Świątynię i opuścili góry, nie mieli już odwrotu.

Aż do teraz.

Kątem oka Hilts złowił jakiś ruch.

- Ktoś jest na zewnątrz! - zawołał i zanurkował pod strzaskany iluminator. Światło z dziedzińca rzucało długie cienie na zakrzywione ściany. Iliana bezceremonialnie pchnęła Jaye'a na pokład i sama przypadła do miejsca, w którym ukrywał się Opiekun. Chwilę później ostrożnie wyjrzeli na zewnątrz, przyglądając się wchodzącym do Świątyni postaciom, które trzymały w dłoniach pręty jarzeniowe.

Staruszek naliczył ośmiu - przynajmniej tylu widział - ale słyszał też głosy dalszych, idących za nimi. Jedną z postaci rozpoznał natychmiast - łysego i otyłego Korsina Bentada, przywódcę Korsynitów. Wydarzenia ostatniego tygodnia porządnie dały mu się we znaki; stracił

podczas zamieszek lewą rękę. Trzy inne postacie miały na sobie podniszczone tuniki Złotego Przeznaczenia, frakcji ogarniętej obsesją na temat pozaświatowego pochodzenia Plemienia.

Niegdyś piękne szaty straciły swój dawny przepych.

Jedna z postaci wydała mu się znajoma.

- Znam go - szepnął do Iliany i wskazał na młodego, jasnowłosego wojownika. Edell Vrai był częstym gościem w muzeum. Zafascynowany architekturą z czasów Korsina, a także opowieściami o „Omenie”, potrafił o tym rozprawiać godzinami. Opiekun spodziewał się, że chłopak będzie zachwycony widokiem statku kosmicznego z jego marzeń, jednak Edell miał

ponurą, nachmurzoną minę.

- To obrzydliwe - usłyszał jego głos. - To coś... ta rzecz... to nic więcej niż transport do przewożenia starych kłopotów!

Na dźwięk słów chłopaka Hilts o mało nie zerwał się na równe nogi, ale Iliana w samą porę pociągnęła go w dół. Wspólnie słuchali, jak Edell i jego towarzysze - niektórzy byli członkami zwalczających się wcześniej frakcji - wyrażają się z pogardą o zniszczonym statku.

- Transport dla pasożytów, chciałeś powiedzieć - rzucił któryś z pogardą.

- To od niego się zaczęło zniewolenie naszej rasy - dodał Bentado. - To rzeczywiście omen... zwiastujący rozpacz!

- Masz rację - powiedział Edell, a jego słowa rozległy się echem w przestronnej komnacie. -

Musimy go zniszczyć.

Hilts i Iliana wymienili spojrzenia, nie wierząc własnym uszom. Na zewnątrz rozległy się okrzyki poparcia - wyrażane przez ludzi, którzy do tej pory nie mogli osiągnąć porozumienia w żadnej sprawie.

- Dokładnie - zagrział donośny głos Bentada. - To będzie ostatni, śmiertelny cios. Nasz lud zginie... ale zrobi to, zaciśniętą pięścią wygrażając przeznaczeniu!

- Wiem, jak to zrobić - wtrącił Edell. - To będzie nasze ostatnie wspólne dzieło. Uda nam się!

Kiedy Hilts usłyszał na zewnątrz odgłos kroków, kierujących się w stronę wejścia, zemdlilo go. Spodziewał się,

że nowo przybyli będą chcieli wejść na pokład „Omenu”, ale mylił się. Czyżby żądza autodestrukcji odebrała im wszystkim zmysły?

Najwyraźniej tak właśnie było.

- Nie zdołają zniszczyć tak wielkiego obiektu - tłumaczyła Iliana, rozglądając się gorączkowo dookoła. - Nie ma tu żadnych ładunków wybuchowych. Przecież chyba nie potną go mieczami świetlnymi?

Hilts nie miał pojęcia, co planuje Edell - ale wiedział, że nie powinien wątpić w jego zdolności.

- Znajdą sposób - mruknął, wstał i pociągnął za sobą Ilianę. - Nie mamy czasu do stracenia.

Musimy się dowiedzieć, co chciał nam przekazać Korsin, zanim będzie za późno!

## **ROZDZIAŁ 3**

Kiedy Hilts wyrzwał przez wąskie okno kopuły, zobaczył, jak Edell wciela swój plan w życie. Umieszczony na szczycie dachu Świątyni wymyślna rotunda dawała dobry widok na główny dziedziniec - i z tego miejsca Opiekun obserwował ze zdumieniem rozgrywające się w dole widowisko.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, ale wojownicy Sithów pracowali pełną parą. Było ich tu co najmniej trzydziestu - niektórzy ubrani w szaty swoich frakcji, inni w zwykłych, niewyróżniających się niczym strojach. Podczas gdy Hilts, Jaye i Iliana czekali na sposobność dyskretnego opuszczenia „Omenu”, w dole wciąż zjawiali się kolejni i teraz wszyscy brali udział w projekcie konstrukcyjnym, zakrojonym najwyraźniej na całkiem dużą skalę. No, był to właściwie raczej destrukcyjny projekt. Wojownicy wspinali się właśnie na ściany strzelistej wieży strażniczej, oplątując wsporniki długimi, skórzanymi linami. Wartownia była imponującą konstrukcją, najeżoną na szczycie licznymi platformami obserwacyjnymi; obalenie jej będzie wymagało ogromnego wysiłku.

Hilts dobrze wiedział, gdzie miała upaść. Edell stał na placu, dyrygując wojownikami i instruując ich, jak mają ustawiać swoje zespoły uvaków. Zgodnie z jego założeniami, umieszczone w odpowiednich punktach w powietrzu i na ziemi bestie, ciągnąc jednocześnie liny, miały sprawić, że najcięższe piętro kamiennej wieży wyląduje dokładnie na samym środku komnaty, w której spoczywał „Omen”.

- To solidna konstrukcja - oceniła Iliana, oglądając się przez ramię. - Myślisz, że zdoła ją uszkodzić?

- Pęknie jak jajo uvaka pod uderzeniem młotka - mruknął Hilts. Znał Edella; chłopak był porywczy, ale i skrupulatny. Wiedział, jak zostały wzniesione starożytne budowle, i widział z bliska miejsce spoczynku „Omenu”. - Nie mogą wysadzić statku w powietrze, więc postanowili go pogrzebać w ruinach Świątyni.

Iliana prychnęła lekceważąco.

- I tak już był martwy. I pogrzebany.

Hilts tylko pokręcił głową; nie mógł oderwać oczu od rojących się w dole żołnierzy - tylu ludzi, pracujących wspólnie, żeby osiągnąć niszczycielski cel. Rozpoznał Neerę, muskularną, okaleczoną przywódczynię Siły Pięćdziesięciu Siedmiu, pracującą ramię w ramię z innymi wojownikami.

- Czy nie ma z nimi przypadkiem kilku twoich Sióstr Seelah? - spytał, mrużąc oczy w gęstniejącym mroku. - Przecież im przewodziłaś. Nie posłuchałyby cię?

- Nie widziałeś, co się ostatnio działo? - odburknęła, wzruszając ramionami. - Nikt już nie słucha niczyich rozkazów. Ale teraz pracują razem. Sithowie potrzebują celu.

Hilts zamrugał. Jedność, o której marzył tyle czasu, właśnie wróciła, ale raczej nie w takiej formie, jakiej oczekiwał. Zamiast tego lud Sithów połączył siły, żeby wcielić w życie plan, który zniszczy jego marzenia raz na zawsze. Łypnął na Ilianę spod oka.

- Mogłabyś przeżyć, gdybyś się do nich przyłączyła.

- To mało prawdopodobne - parsknęła. - Jak myślisz, kto obciął Bentadowi rękę?

Z tyłu sali dobiegło głośne kliknięcie.

- Udało mi się uporać z zasuwą, Opiekunie - poinformował Jaye. Potężne drzwi do rotundy były teraz szeroko otwarte, pierwszy raz od stuleci.

- Nie ma to jak zręczne palce - ucieszył się Hilts. - Dobrze mieć kogoś takiego u swojego boku.

Jaye zaczął, aż Iliana i jego pan przekroczą próg, a

potem sam wszedł do środka z prętem jarzeniowym w dłoni.

Nad salą skrywającą potężny statek znajdowała się rotunda, w której stało samotne krzesło i piecyk. Hilts podszedł do niego pospiesznie - tak jak przypuszczał, miał przed sobą fotel dowodzenia. Tron Wielkiego Lorda.

Zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Uznał, że to dziwne miejsce na umieszczenie podobnego artefaktu - samotna komnata na szczycie Świątyni. Zerknął w górę. Pręt jarzeniowy Jaye'a dawał za mało światła, żeby rozświetlić górny poziom rotundy.

- Widzisz tam coś?

- Mam pomysł. - Iliana nie odpowiedziała na jego pytanie. Szybko przyciągnęła do siebie Jaye'a i - zanim chłopak zdążył zaprotestować - zdarła z niego jednym ruchem tunikę. Bez słowa wyjaśnienia zwinęła ubranie w kłęb i cisnęła do piecyka, a potem za pomocą przypasanego do boku krzemienia wzniciła ogień. Ku sufitowi rotundy wzbil się dym.

- Ktoś na zewnątrz może go zobaczyć - zauważył Jaye, rozcierając zmarznięte ramiona.

- Nie obchodzi mnie to - stwierdziła lekceważąco Iliana.

- Nie zostało mi już nic oprócz walki.

Hilts spojrzął na swojego ucznia i zadygotaj Wewnątrz było zaskakująco zimno.

- Trzymaj się blisko ognia - poradził mu i spojrzął do góry.

Przez chwilę wydawało mu się, że widzi gwiazdy; powtórne spojrzenie utwierdziło go w przekonaniu, że rzeczywiście tak było - w pewnym sensie.

- Planetarium!

W zaokrąglonym suficie umieszczono krwistoczerwone kamienie, lśniące teraz w świetle buzującego w dole ognia. Hilts wyławiał spośród nich, jedną po drugiej, gwiazdy widoczne na letnim niebie Kesh - a także kolejne, których nie znał.

- Czy to kryształy lignanu? - spytała Iliana.



Hilts roześmiał się radośnie.

- Dlaczegoż by nie? Załoga „Omenu” miała ich w końcu całe mnóstwo! - Spojrzał znów na fotel - brakujący element mostka statku. Nietrudno mu było sobie wyobrazić, jak Yaru Korsin zasiada w nim nocą, zastanawiając się nad powrotem jego ludu do gwiazd. Pomyślał znów o słowach Korsina z Testamentu. Co jest za tronem? Nie widział tam nic oprócz gołej ściany. Czyżby coś kryło się na gwiazdnej mapie? Ale przecież ona była w górze...

Nie zwracając uwagi na olśniewające dzieło nad ich głowami, bez odrobiny szacunku dla historii własnego ludu, Iliana opadła na fotel i przerzuciła nogi przez podłokietnik..

Hilts wybałuszył na nią oczy.

- Zamierzasz tu siedzieć?

- Nie zamierzam. Siedzę. - Jakby nigdy nic odpięła od pasa swój miecz świetlny i przerzuciła go z ręki do ręki. - Ci ludzie na zewnątrz albo zawałą nam Świątynię na głowy, albo nas tu znajdą. Jeśli mam czekać, wolę to robić na siedząco.

- Jak sobie chcesz.

- Wiesz, to wszystko jest całkowicie bezużyteczne - stwierdziła Iliana, splatając palce i rozciągając je, aż dało się słyszeć strzelanie stawów. - Te błyskotki w górze to tylko widziany przelotnie obraz nieba.

Hilts skinął głową. To prawda, mapa pełniła raczej funkcję dekoracyjną niż praktyczną.

Jego myśli wciąż jednak zaprzętał tron - i Testament Korsina.

- Masz nóż?

- Oczywiście. - Iliana Mocą wysunęła ze schowka w bucie szklany sztylet. Broń zawisała w powietrzu, tuż przed nosem Hiltsa.

- Dzięki - mruknął Opiekun, wziął nóż i uklęknął przy fotelu.

„Za tronem...” Niepewnie, z nabożnym lękiem, Hilts

przebił końcówką shikkara grubą skórę oparcia. Sithowie nie cenili sobie wygody, ale nawet szorstka, mocna skóra siedzenia musiała ustąpić pod naporem ostrza Keshirich. Ostrożnie, żeby nie przeciąć więcej materiału niż to konieczne, Hilts wyciągnął nóż ze szpary i wsunął dłoń w utworzoną kieszeń.

Iliana nie ruszyła się z miejsca. Przyglądała się beznamyślnie, jak starzec, zanurzwszy w obicie rękę aż po łokieć, szpera w środku - bez rezultatu.

- Wyglądasz jak kretyn - parsknęła.

Cóż, Hilts właśnie tak się czuł. Miał już wyjąć rękę, kiedy jego palce natrafiły na coś na poziomie podłokietnika.

- Coś tam jest - powiedział. - Zaszyte w środku! - Wyciągnął rękę tak niecierpliwie, że rozdarł przy tym obicie.

Szklana rurka, którą trzymał w dłoni, zawierała zwój przejrzystego materiału - cieńszego niż najcieńszy pergamin, jaki zdołali wyprodukować Keshiri. Kiedy zbliżył go do przygasającego ognia, rozpoznał pismo.

- Co to? - zainteresowała się Iliana.

- Stare narzecze Tapani... język ludzi używany pod panowaniem Sithów - wyjaśnił Hilts. -

Język matki Korsina.

- Skąd wiesz?

- Bo go badałem, a to ona jest autorką tego listu. - Zepchnął bezceremonialnie nogi Iliany z podłokietnika i przysunął arkusz do ognia najbliżej jak się dało. - Takara Korsin. Ojciec Korsina zostawił ją dla matki Jariada. - Przesunął wzrokiem po stronicy. Badał teksty w tym języku cały poprzedni rok. Powoli, pieczołowicie zaczął teraz odcyfrowywać znaki. - Jest oznaczony jako poufny - stwierdził. - Przekazany Korsinowi przez zaufanego posłańca. - Przełknął ślinę i zaczął

czytać:

- „Wiem, że męczy cię już wysłuchiwanie o moich wizjach, synu. Jeśli nic się u ciebie nie zmieniło, przypuszczam,

że przeczytasz ten list dopiero podczas wypełniania nowego zadania.

Cieszę się, że poruczono ci dowodzenie w tak ważnej dla Nagi Sadowa misji, nawet jeśli smuci mnie - tak samo jak nas wszystkich - świadomość, że twoje zwycięstwo będzie tylko przyczynkiem do jego chwały.

Tak, miałam kolejną wizję. Widziałam naszych potomków, rządzących pewnego dnia potężnym ludem - i wolnych od Czerwonych Sithów. Zdobędziemy coś, co będzie wyłącznie nasze.

A jeśli trafi się mądry władca, nasz lud czekają nowe perspektywy - nowe miejsca do podbicia.

Yaru, tylko ty jesteś wystarczająco mądry, żeby nas poprowadzić. Devore sam sobie kopie grób; wyczuwam siłę w jego kochance, Seelah, ale to nie wystarczy. Tylko ty wiesz, jak rządzić ambicjami wielu... jak kształtować swój gniew i okiełznać go, żeby służył celom, które trzeba wypełnić.

A ty masz cel. Pamiętaj o tym. Jeśli dobrze pokierujesz swoim ludem, zawsze będzie miał misję do wypełnienia”.

Hilts opuścił list i zapatrzył się w ogień. Nie zauważył nawet, kiedy u jego boku stanął ostrożny, pełen szacunku Jaye.

- Spójrz na datę - powiedział, wyciągnął drżącą dłoń i wskazał nad ramieniem Hiltsa cyfry w rogu. - Otrzymał go, zanim „Omen” został wysłany na Phaegona.

Opiekun skinął głową, zastanawiając się nad słowami swojego ucznia. Korsin na pewno by nie pozwolił, żeby ktoś przeczytał tę wiadomość podczas jego misji dla Nagi Sadowa - stąd kryjówka. Mimo nieplanowanego zakończenia misji, przez kolejne ćwierć wieku zawsze trzymał

list blisko siebie.

- Zawsze się zastanawiałem, skąd czerpał swoją siłę - szepnął.

- Nakręcające ambicję bzdury spisane przez przewrażliwioną matkę - zadrwiła Iliana. -

Nawet sam Korsin nie uwierzyłby w takie brednie.

- Zamilknij, dziewczko. - Hilts spojrział na nią gniewnie. - Takara Korsin była mądrą kobietą.

Widziała w swoich wizjach to, co zbudujemy, a to dowodzi, że naszemu ludowi nie był pisany los niewolników. Przed nami jest przyszłość. - Hilts wstał gwałtownie i ruszył w stronę wyjścia. - Ci ludzie na zewnątrz... Gdybym mógł im to przeczytać...

- Nie będą cię słuchać - przerwała mu Iliana. - To wszystko szło zbyt daleko. Ja w każdym razie na pewno bym cię nie posłuchała.

Zanim dotarł do wyjścia, Hilts zatrzymał się, spojrzął jeszcze raz na list i zmarszczył czoło.

Iliana miała rację. Emocje były balsamem dla duszy, ale ludzie potrzebowali celu... Na przykład w postaci przewrócenia wieży i zniszczenia statku.

- O jaki cel ty byś walczyła, Iliano? - spytał, zwijając list i wsuwając go z powrotem do tuby.

Iliana nie zastanawiała się ani chwili.

- O przetrwanie.

- Hm...

Z zewnątrz dobiegało teraz więcej okrzyków. Zespół burzący był już pewnie blisko realizacji swojego celu. Jeśli Hilts i jego towarzysze mieli przeżyć, nie mogli tu zostać dłużej - na pewno nie w tym miejscu, na samym szczycie schronienia „Omenu”.

- Chwileczkę - wymamrotał Hilts, wbijając wzrok w podłogę.

Jaye zadygotał, skulony w pobliżu dogasającego ognia.

- Co się stało, Opiekunie?

- Ta wiadomość... to nie o nią chodziło Korsinowi. - Obejrzał się na wciąż siedzącą w fotelu Ilianę. - Przypomnij

sobie cytat: prawdziwa władza leży za tronem. Nie „w tronie”, nie za tym, kto na nim zasiada...

- Chcesz teraz dyskutować o semantyce? - Iliana pokręciła głową. - Och, tak... Rozumiem!

Szukasz sensu w słowach umierającego głupca...

- Głupca dość mądrego, żeby udało mu się podbić cały tubylczy lud i wyszkolić pod nosem swoją córkę na wojowniczkę - przypomniał jej Hilts, potrząsając tubą. - Nie. Ta wiadomość też była dla Korsina ważna, ale to nie ją miał na myśli. - Spojrzał znów na sufit, gdzie w niknącym blasku ognia gasły sztuczne gwiazdy. - To bez sensu...

Iliana zmieniła pozycję na fotelu.

- Co masz na myśli?

- To miejsce. Nie wierzę, żeby Korsin spędzał tu cały swój czas - wyjaśnił Opiekun. - Masz rację, ta mapa na suficie nie ma zastosowania praktycznego, stworzono ją w celach dekoracyjnych.

Korsin skupiał całą swoją uwagę i energię na budowaniu na Kesh przyszłego imperium. Nie mógł

tutaj wysiadywać i gapić się w gwiazdy. - Zdecydowanym krokiem ruszył wokół sali. - Poza tym sam Korsin... widziałś, jak wyglądał na nagraniu...

- Tak, pamiętam - potwierdziła Iliana, obserwując z rosnącym zaciekawieniem nagle ożywienie Opiekuna. - Wykrwawiał się na śmierć.

- Legenda głosi, że Korsin został śmiertelnie ranny na zewnątrz fortecy, na zachodnim stoku, i wrócił na ten fotel, żeby nagrać Testament.

- To było tutaj - podsunął Jaye.

- Nie. - Hilts przypomniał sobie wiadomość, którą oglądał jakiś czas temu. Tamten obraz nie zawierał żadnego tła. Widzieli oparcie fotela, ale nic więcej. - Założyliśmy, że nagrał ją tutaj, bo tu znaleźliśmy krzesło, ale spójrzcie tylko, jak wysoko jesteśmy. Yaru nie zdołałby się wspiąć po tych

wszystkich schodach z otwartą raną w piersi. Ja jestem zdrowy, a ledwo udało mi się tego dokonać!

Iliana wstała i obrzuciła fotel krytycznym spojrzeniem.

- Nie łapię. Przenieśli fotel tutaj po tym, jak umarł? -  
Wzruszyła ramionami. - Ale po co? I gdzie miałby stać wcześniej?

Hilts zastanawiał się nad tym przez chwilę, aż jego rozmyślenia przerwał skulony przy piecyku Jaye:

- Może coś jest w komnacie pod „Omenem”?

- Pod? - Hilts zamrugał, zaskoczony. - Pod „Omenem” nie ma żadnej komnaty. Wzniesli Świątynię wokół statku, aby go chronić...

- Ale statek wylądował na zboczu - zauważył rozsądnie Jaye - a podłoga pod nim jest płaska i równa. Musieli zrobić jakąś podbudówkę. - Wstał, obliczył coś na bladofioletowych palcach i podjął: - Weszliśmy do Świątyni przez pasaż na dwudziestym trzecim stopniu schodów prowadzących ze środkowego tarasu, ale na siódmym stopniu minęliśmy zamknięte drzwi. -

Skrzyżował z zadowoleniem ręce na piersi. - Jest jeszcze jedna sala, u podstawy budowli kryjącej „Omen”.

Iliana przewróciła oczami.

- Liczył schody?

- Liczył schody - potwierdził Hilts, uśmiechając się pod nosem. Niestety, chwilową poprawę humoru zakłócił lekki wstrząs, wprawiający podłogę w drżenie. Zrzeszeni naprędce byli wrogowie zaczynali osiągać swój cel. - Na co czekacie? Szybko!

## **ROZDZIAŁ 4**

Ludzka noga nie powstała tu od niemal dwóch tysięcy lat - a nawet kiedy pomieszczenie było używane, nieczęsto je odwiedzano. W przeciwieństwie do pośmiertnego doku „Omenu” i gwiazdnej kopuły wieńczącej jego miejsce ostatniego spoczynku, ten niższy poziom nie był

miejszem świętym, ale nie był także ogólnodostępny. Wąski, pogrążony w mroku korytarzyk nie miał uchwyków na pręty jarzeniowe, a wejście do ośmiokątnej komnaty - w porównaniu z innymi, bogato zdobionymi drzwiami - było bardzo skromne.

Hilts, Jaye i Iliana prześliznęli się niezauważeni obok zamieszania trwającego na placu, znaleźli drzwi, o których mówił Jaye, i weszli do katakumb. Okazało się, że skórzane liny, za pomocą których wojownicy chcieli obalić wartownię na „Omen”, popękały, co chwilowo zniweczyło plan Edella. Hilts wiedział jednak, że wcześniej czy później Sithowie znajdą nowy sposób na realizację swojego celu. Zanim to nastąpi, musi dowiedzieć się, co miał na myśli Korsin.

Cóż, w panującym tu półmroku mogło to nastrożać pewne trudności.

- Znajdź jeszcze kilka prętów jarzeniowych - rozkazał Jaye'owi. Keshiri skinął głową i natychmiast zabrał się do dzieła.

Dzięki tym nielicznym źródłom światła, które przynieśli ze sobą, a także poświęcie mieczy świetlnych jego i Iliany, widzieli jako tako sprzęty w pomieszczeniu. Jedną ze ścian pokrywała potężna, wyrzeźbiona w kamieniu mapa Keshtah -

ich kontynentu - z niewielkimi kryształami lignanu umieszczonymi w miejscach osad; odpowiednik gwiazdnej mapy z kopuły. Na innej ścianie znajdowały się drzwi, a pozostałe sześć zasłaniały wielkie, puste płyty dorównujące wielkością tej z mapą.

- Nie podoba mi się tu - mruknęła Iliana, zaciskając mocniej palce na rękojeści miecza świetlnego. - Czuję się jak w grobowcu.

- To właściwe określenie - skwitował Hilts, podnosząc wzrok. - Yaru Korsin umarł w tym miejscu. Czuję to.

Iliana wpatrywała się przez chwilę w przestrzeń, mrużąc oczy.

- Ja też to czuję - przytaknęła. - To... budujące, prawda?

Hilts zignorował jej złośliwą uwagę. Przykłękął na środku pokoju i przysunął ostrze miecza do podłogi.

- Koleiny - stwierdził, badając palcami kamienną powierzchnię. - Cztery. To tutaj w nocy przechowywano fotel Yaru Korsina. - Spojrzał na mapę na ścianie. - Był odwrócony w tę stronę.

- Ale dlaczego nie zostawili go tu po jego śmierci?

- Może Nida chciała, żeby każdy, kto w przyszłości tutaj trafi, myślał, że Yaru spędzał cały swój czas, kontemplując kosmos i licząc na powrót jego ludu do gwiazd?

Iliana parsknęła drwiąco.

- To może powinna była kazać wybić kilka okien w sali, gdzie trzymali statek?

Hilts wstał i podszedł do mapy. Tak, to miało sens. To nie był elegancki salon, tylko miejsce pracy, gdzie Korsin planował podbój przez Plemię nowego świata. Całkiem możliwe, że przyprowadzał tutaj tylko zaufanych Keshirich, który pomagali mu opracować mapę. Spod zmrużonych powiek przyjrzał się w ciemności pozostałym ścianom. Wielkie czarne płyty, przytwierdzone metalowymi bolcami, musiały pochodzić z „Omenu”. Hilts wyobraził sobie Korsina pracującego w tym



miejscu, snującego plany dla Plemienia. Jeśli fotel kapitana był zwrócony w stronę mapy (a Hilts nie wyobrażał sobie, żeby mogło być inaczej), to „za tronem” nie było nic, tylko czarne kamienne płyty.

Opiekun wyłączył swój miecz świetlny i wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w mrok.

Co też Korsin mógł mieć na myśli?

Do głowy przyszedł mu nagle pewien pomysł. Cofnął się trochę od mapy... tylko po to, żeby zobaczyć, jak do środka wpada, młócąc w powietrzu kończynami, jakaś postać, wypchnięta z korytarza potężnym uderzeniem Mocy.

- Jaye! - krzyknął Hilts i w kilku susach doskoczył do chłopaka, który upadł kilka metrów od ściany. Delikatnie odwrócił go na plecy i zobaczył ziejące w piersi chłopca czarne otwory ran -

od miecza świetlnego. Albo kilku.

- Wybacz, Opiekunie - wykrztusił Jaye, ostatkiem sił trzymając się uchodzącego z niego szybko życia. - Próbowalem... znaleźć... prety jarzeniowe...

Oniemiały Hilts spojrział w bok, na Ilianę, która przybrała już pozycję bojową. Postaci, które widzieli wcześniej na zewnątrz, jedna za drugą napływały do pomieszczenia. Każda postać trzymała zapalony miecz świetlny.

- No, proszę - odezwał się Korsin Bentado; w jego głosie słyhać było okrutną uciechę. - A więc to tutaj zaszła się szefowa naszych siostrzyczek! - Podniósł do góry okaleczoną lewą rękę i potrząsnął nią. - Tęskniłem za tobą!

- Nie tylko ty - warknęła Neera, blokując razem z Edellem i kilkoma jego ziomkami ze Złotego Przeznaczenia jedyną drogę ucieczki z sali. - No, moja mała... czas skończyć tę zabawę.

- Zamknijmy ją w wieży i zobaczmy, jak spada razem z nią! - zaproponował Bentado.

- Nie - stwierdził któryś z jego towarzyszy, wskazując

wymownie kikot ręki Bentada. -

Przytnijmy ją łańcuchem do miejsca, na które wieża spadnie!

- Po moim trupie! - wycodziła Iliana, przygotowując się do odparcia ataku. - Skończymy to tu i teraz!

- Przestańcie! - krzyknął Opiekun. Jego głos odbił się gromkim echem od ścian sali, po raz pierwszy zmuszając przybyłych do skupienia na nim uwagi. Trzymając w ramionach ciało swojego martwego asystenta, Hilts dodał groźnie: - Który z was to zrobił?

- A co to za różnica? - Zęby Bentada zalsniły w blasku kling mieczy. - To Keshiri. Sama jego obecność tutaj to profanacja. Przychodząc tu, zbecześcił to miejsce.

- Co takiego? - Hilts wypuścił bezwładne ciało Jaye'a z objęć i skoczył na równe nogi; przepelniał go gniew, jakiego nie czuł od czasów młodości. - To Keshiri pomogli wznieść tę Świątynię! Mówisz o profanacji? Ty, który chcesz zniszczyć Świątynię, a wraz z nią „Omena”?!

- Całe nasze życie to profanacja - wycodziła Neera. Od czasu, kiedy widział ją ostatni raz, przybyło jej kilka nowych blizn. - Widziałeś naszych obcych panów. Wiesz doskonale, jak potworne potrafi być życie.

Hilts zrobił parę kroków w stronę grupy; wtedy na jej czoło wystąpił Edell.

- Wiem, ile znaczy dla ciebie to miejsce, Opiekunie - powiedział. - Zadrwiono z nas jednak... z każdego z nas. Wszystko, co kiedykolwiek powiedziano nam o Plemieniu, jest kłamstwem. To już koniec. Nie ma sensu przywiązywać wagi do miejsc takich jak to. To tylko kolejny element naszej przeszłości, z którym powinniśmy się rozliczyć. Zniszczymy go, a potem wszystkie inne...

- To jeszcze nie koniec - warknął Hilts. - Wcale nie koniec!

- Racja - potwierdził lodowatym głosem Edell. - Koniec

już nastąpił. Po prostu dotąd o tym nie wiedzieliśmy.

Wojownicy zaczęli przesuwac się do środka sali, napierając na Hiltsa, ale to nie on był ich celem; szykowali się do konfrontacji z Ilianą - groźniejszym, bardziej godnym przeciwnikiem.

Staruszek zachwiał się pod naporem ciał i rozejrzał gorączkowo; jego wzrok spoczął na czarnych tablicach, przytwierdzonych do ścian metalowymi bolcami. Z jakiegoś dziwnego powodu wróciła myśl, która przyszła mu do głowy na chwilę przed tym, zanim Jaye wpadł, ranny, do komnaty: dlaczego ktoś miałby marnować cenny metal na mocowanie do ścian zwykłych kamiennych płyt?

I nagle go olśniło.

Nadludzkim wysiłkiem wyszarpnął Mocą metalowe trzpienie z muru. Tablice zasłaniające sześć ścian sali osunęły się i upadły z hukiem na kamienną podłogę. Hilts zanurkował w stronę Iliany, odpychając ją z miejsca, gdzie chwilę później upadła jedna z ciężkich tablic.

Łup! Łup! Łup! Łup! Łup! Szczęk!

Na widok osłupiałych, zdezorientowanych wojowników Hilts szybko wstał i chwycił leżący w pobliżu pręt jarzeniowy. Kiedy zbliżył go do ściany naprzeciwko, tej z mapą Keshtah, zobaczył

to, czego się spodziewał: resztę świata.

Edell Vrai spojrział na sąsiednią ścianę.

- Cc... co to? - wykrztusił.

- To mapa Kesh - wyjaśnił Hilts, podnosząc pręt wyżej.

Panele sąsiadujące z mapą Keshtah były puste, ale cztery płyty po przeciwnej stronie pomieszczenia zajmował potężny kontynent, tak wielki, że przy nim uwiecznione w kamieniu miejsca, które znali, wydawały się mikroskopijne. -

To jest mapa drugiej strony Kesh - poinformował zgromadzonych nabożnym szeptem. - To reszta świata!

Iliana otworzyła ze zdumienia usta i zaraz zamknęła je z

głośnym kłapnięciem.

- Ale przecież za oceanami nic nie ma! - bąknęła. - Przecież Keshiri zbadali wszystko, zanim jeszcze na Kesh zjawił się „Omen”!

- Widzieli tylko to, co mogli zobaczyć z grzbietu uvaka, i to z miejsc, do których uvak mógł

dotrzeć - przypomniał jej Hilts. Z podnieceniem błędził palcami po mapie. Tutaj też umieszczono kryształ, oznaczające miasta - i było ich znacznie więcej niż na mapie po przeciwnej stronie sali, a na dodatek oznaczono je rytami Tapani. - A więc właśnie to było za tronem - oznajmił, odwracając się w stronę intruzów. - Właśnie to miał na myśli Korsin!

Kiedy patrzył im w oczy, wojownicy rozchodzili się stopniowo po sali. Podnosili miecze, ale nie po to, żeby atakować czy się bronić - używali ich jako źródła światła.

- Co tu jest napisane? - spytał Edell, wyraźnie sfrustrowany. - W tym miejscu jest całkiem sporo tekstu...

- Chwileczkę - mruknął Hilts i podszedł do niego. Słowa wryto diamentowym rysikiem -

artefaktem, który badał z namaszczeniem wiele lat temu w pałacu w Tahv. - Toż to pismo samego Korsina! - powiedział zaskoczony. Kiedy w skupieniu przyglądał się rytom, w sali zapanowała nabożna cisza. Opiekun rozpoznał kilka nowych słów, które, jeśli się nie mylił, odnosiły się do Kesh i Keshirich - tych określeń nie znano w dialekcie Tapani. Pomijając wszystkie inne jego zdolności, Korsin był bez dwóch zdań utalentowanym mistrzem słowa. Z wahaniem, powoli, Hilts zaczął tłumaczyć - najlepiej jak umiał:

„Nido, poznasz ten język podczas studiów, które ci poleciłem, ale nie rozpoznasz tej mapy.

Nikt jej nie rozpozna. Została ona sporządzona na podstawie ostatnich danych, zarejestrowanych przez kamery »Omenu« podczas naszego podejścia do ciemnej strony Kesh. Kiedy odkryłem kamerę z działającym wyświetlaczem, ukryłem

urządzenie, przenosząc przez te wszystkie lata to, co zostało w nim utrwalone, na panele z mapami - dopóki jego moc ostatecznie się nie wyczerpała.

Nasz lud i Keshiri byli przeświadczeni, że ten kontynent jest jedynym punktem na tej planecie, samotną wyspą na olbrzymim morzu. Postawiliśmy sobie za cel przejście kontroli nad Keshtah.

Okazuje się jednak, że miejsce, które znaleźliśmy, to zaledwie Keshtah Minor. Ta mapa pokazuje Keshtah Major - kontynent znacznie większy od naszego, będący daleko poza zasięgiem skrzydeł

uvaka i znacznie gęściej zaludniony! Właśnie tak: on jest zamieszkały. Jestem tego pewien.

Kryształy oznaczają światła - światła! - widoczne na ciemnej stronie planety. Oznacza to, że są tam miasta: inne cywilizacje, prawdopodobnie także złożone z tubylców, ale na pewno bardziej zaawansowanych, nieodczuwających lęku przed Zrodzonymi z Nieba. Mogliby wspomóc naszą potęgę, ale równie dobrze mogą się okazać wrogami, których trzeba podbić.

Przez całe lata potajemnie uzupełniałem mapę na podstawie dostępnej mi wiedzy, zanim wyczerpało się źródło wiadomości. To odkrywanie nowego świata! Teraz zrobiłem już wszystko, co w mojej mocy, a moi zaufani Keshiri zasłonią tę mapę, zanim opuścimy Świątynię i wyruszymy do Tahv.

Ty jednak i twoi potomkowie możecie któregoś dnia potrzebować celu, który zjednoczy nasz lud. Wiedza, którą wam w ten sposób przekazuję, to obietnica prawdziwej potęgi. Zazdrość doprowadziła Sithów do wielkich osiągnięć. Oto daję wam znów coś, czego możecie pożądać - coś, co może się znaleźć w zasięgu rąk odpowiednio pokierowanego ludu..."

Kiedy Hiltz umilkł, w komnacie panowała cisza. Opiekun spojrzął na wypisane na ścianie słowa i na imponującą mapę, i odetchnął głęboko. Nagle poczuł w kieszeni na piersi ciężar tuby ze zwojem. Nie namyślając się długo, wyjął ją zza

pazuchy.

- Hm... - odchrząknął. - Mam też list od jego matki...

Stojący ramię w ramię z Ilianą Bentado obejrzał się na Hiltsa.

- Wszędzie tutaj są napisy w tym samym języku - powiedział. - Czy istnieją jakieś wskazówki, dzięki którym można by je odczytać?

- Były - stwierdził ponuro Hilts. - Były, dopóki twoi ludzie nie zniszczyli moich archiwów. -

Przestąpił z nogi na nogę. - Teraz jestem jedyną osobą, która potrafi odcyfrować to pismo. - Na dźwięk własnych słów wyprężył się i podniósł dumnie głowę. - Jestem jedyną osobą, która potrafi odczytać jego słowa!

- To... niesamowite - zająknęła się Iliana. - Dlaczego Korsin nikomu o tym nie powiedział?

- I tak mieli już jeden kontynent do podbicia - stwierdził Hilts. - A jego konflikt z Seelah i Jariadem miał podłoże zbyt osobiste. Nie zainteresowałyby ich to. - Obejrzał się na zgromadzonych za jego plecami wojowników. - Ale nasz lud powinno to poruszyć. Jeśli chcesz, żeby Sithowie się zjednoczyli, wskaż im wroga...

Korzystając z chwili ciszy, Hilts rozwinął list Takary Korsin. Przeczytał zgromadzonym o przeznaczeniu ludu Tapani, który zawędrował na terytorium Sithów i został zniewolony - i o ich przyszłości; o władzy, o panowaniu na obcym lądzie. A potem na kolejnym. I następnym. „Jeśli dobrze pokierujesz swoim ludem, zawsze będzie miał misję do wypełnienia”.

Edell sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

- Ale... jak niby mamy się tam dostać?

Wszyscy obecni wiedzieli, o czym mówi. Keshiri nie byli ludem nawykłym do podróży morskich, lokalne lasy były za gęste, żeby się przez nie przeprawiać, drzewa zaś miały pnie zbyt słabe, żeby dało się budować z nich tratwy.

- To będzie największe przedsięwzięcie, jakiego

kiedykolwiek podjął się nasz lud - ogłosił

Hilts. - Nigdy jednak nie zdołamy tego dokonać, jeśli będziemy się zachowywać tak jak dotychczas. Będziemy do tego potrzebowali każdej pary rąk. - Spojrzał na okaleczoną Neerę. - Nas wszystkich. Takie przedsięwzięcie będzie wymagało porządku i dyscypliny - urwał i zamilkł na kilka sekund. - Tak jak za dawnych czasów.

Ku zaskoczeniu wszystkich obecnych, Edell wyłączył swój miecz świetlny.

- Stworzymy nowe społeczeństwo, naprawdę jak za dawnych czasów. - Podeszedł do Hiltsa i przyklęknął. - Jesteś Opiekunem. Tylko ty rozumiesz starożytny język naszych praprzodków i znasz pradawne zwyczaje lepiej niż ktokolwiek inny. Dobrze pokierujesz naszym ludem.

Hilts spojrział z niedowierzaniem na klęczącego przed nim młodego człowieka. Ziomkowie Edella ze Złotego Przeznaczenia także schylili głowy. Stojący z boku Korsin Bentado zawahał się, ale po chwili także skłonił łysą głowę na pierś i padł na kolana.

- Przywróciłeś nam wiarę w Korsina.

Nawet Neera przyklęła.

- Tam, gdzie nie było nawet wąskiej ścieżki, odnalazłeś dla nas szeroką drogę. Sam.

Powierzam ci moje zaufanie.

Wkrótce Iliana była jedyną stojącą osobą w komnacie. Szeroko otwartymi oczami przyglądała się swoim prześladowcom, klęczącym przed oszołomionym starcem.

- Oddajcie cześć Varnerowi Hiltowski, nowemu Wielkiemu Lordowi!

## **ROZDZIAŁ 5**

Hilts nadał nazwę poprzedniej erze, więc teraz, wraz z końcem Ery Zepsucia, mógł wymyślić nazwę dla nadchodzącego okresu w dziejach Sithów na Kesh.

Uznał, że Odrodzenie Hiltsa brzmi całkiem nieźle.

Największą z frakcji, które przetrwały dwutygodniowe zamieszki, okazało się Złote Przeznaczenie - i całkiem dobrze się złożyło. Podobnie jak ich przeciwnicy, członkowie Przeznaczenia zawsze chcieli przejąć władzę nad zamieszkującym Kesh ludem, ale w przeciwieństwie do innych frakcji, dążyli do opuszczenia planety. Hilts nie mógł im co prawda obiecać powrotu do gwiazd, o jakim marzyli, ale odkrył przed nimi nowy świat, który mogli podbić. Bentado, a także Neera i inni szybko odeszli, niosąc nowinę reszcie wojowników. System rządów całego Plemienia miał zostać przeorganizowany i skupiony na nowym celu.

Hilts nie martwił się o to, jak podbiją nowy kontynent. Mianowany głównym inżynierem Edell obiecał rozwiązać ten problem, poświęcając się badaniom sposobów pokonywania większych odległości, niedostępnych dla ułwa ani statku morskiego. Mogło to zająć lata, dziesięciolecia albo nawet stulecia, ale Plemię w końcu osiągnie swój cel - Hilts był tego pewien.

Nowy Wielki Lord zastanawiał się nad czekającymi ich odkryciami. Czy Korsin powiedział

Adari Vaal o nowym kontynencie? Nawet jeśli nie, to mieszkańcy tamtej ziemi mogli dowiedzieć się o Sithach, gdyby



badaczka zdołała tam jakoś dotrzeć na grzbiecie uwaka.

Informacje Korsina były najprawdopodobniej dokładne; podbicie nowego kontynentu nie będzie tak łatwe, jak okazało się zajęcie starego, ale perspektywa nowego wyzwania sprawiała, że Hilts znów czuł się młodo.

Pozostawała jedna, ostatnia rzecz. Właściwie pomysł ten przyszedł mu do głowy całkiem przypadkiem. Kiedy został obwołany przez Edella i innych Wielkim Lordem, dostrzegł w oczach Iliany dziwny błysk. To ona dążyła jeszcze niedawno do zdobycia władzy, nie Opiekun. To ona liczyła na wyniesienie i na zaszczyty. Gdy Hilts ochłonął z początkowego szoku i dotarło do niego, że Bentado i jego ludzie nadal będą pragnąć zemsty na Ilianie za jej przewinienia, powiedział bez namysłu:

- Jeśli mam być Wielkim Lordem, będę potrzebował żony.

Te słowa chyba najbardziej zaskoczyły jego samego. Iliana nie wydawała się specjalnie zdziwiona i nigdy właściwie nie wyznała mu, co o tym myśli - aż do teraz.

Pod przecinającą jasność smugami cienia kolumnadą, wzniesioną na szczycie góry Świątyni, wysoka i królewska Iliana stała przed nim w lśniącej, złocistej szacie, utkanej przez najznakomitszych keshirskich rzemieślników. Ceremonie zaślubin były traktowane przez członków Plemienia jako kolejny powód do świętowania, więc nie przestrzegano ściśle jakichś wyjątkowych rytuałów. Znacznie wyżej od obrzędów Sithowie cenili sobie potęgę, a Iliana właśnie doznała zaszczytu wyniesienia do władzy. W pobliżu stało kilka jej byłych Sióstr Seelah w tradycyjnych szatach obrzędowych; był to widomy znak, że szczęśliwy obrót spraw usunął wszelkie rozłamy na kontynencie.

Obracając na palcu starożytną obrączkę wierności Seelah, Iliana uśmiechnęła się blado do zgromadzonych, a potem żarliwie spojrzała Hiltsowi w oczy.

- Oboje wiemy, że to idiotyzm - szepnęła. - Jeśli sądzisz,

że będę ci wdzięczna za to, że mnie ocaliłeś...

- Nigdy nie przysłoby mi to do głowy - zapewnił ją szybko Hilts.

Wyglądało na to, że chwilowo taka odpowiedź ją zadowala. Kiedy jednak członkowie Plemienia zaczęli się ustawiać w długiej kolejce z życzeniami, przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Zaraz, zaraz - mruknęła. - Podobno masz przywrócić dawne tradycje. A czy po śmierci Wielkiego Lorda jego małżonka nie ma przypadkiem obowiązku zginąć razem z nim? - Ściągnęła brwi. - Pamiętam, że tak było ustalone w Testamencie Korsina...

- Och, czyżby? - Hilts spojrział na nią i zmarszczył lekko czoło. - Zupełnie o tym zapomniałem.

Iliana uśmiechnęła się do niego, a Hilts odwzajemnił uśmiech. Tak długo, jak będzie żył, zamierzał rządzić mądrze - a czekało go może nawet kolejne czterdzieści lat sprawowania rządów -

bo będzie miał u boku kogoś, kto dopilnuje, żeby nic mu się nie stało. Będzie to ktoś potężny, młody i przebiegły, walczący zaciekle we wszystkich jego bitwach. Nie miał złudzeń - wiedział, że wszyscy zgodzili się, żeby przyjął ten zaszczyt, bo uznali, że będzie łatwym celem, ale ona na pewno nie. A jedynym sposobem, żeby zdołała ochronić własne życie, było chronienie życia jej męża.

Hilts podniósł wzrok na górujący nad nimi posąg - oto patrzył na nich z góry sam Yaru Korsin, mędrzec nad mędrkami we wszystkich sprawach, nawet małżeńskich. U stóp posągu stały na baczność szeregi schludnie ubranych członków Plemienia, oczekujących z niecierpliwością na spotkanie z nowym przywódcą i jego świeżo upieczoną żoną. Hiltsowi przyszło do głowy, że w tej chwili jest tu chyba obecny każdy Sith z Keshtah Minor. Niektórym wyraźnie dały się we znaki ostatnie miesiące zamieszek, ale wszyscy stali teraz, świętując

zarówno ich zaślubiny, jak i ostatni dzień obchodów Powstania Nidy. Czekał ich długi miesiąc świętowania, który na długo zapadnie wszystkim w pamięć.

Po obydwu stronach kolumnady stały setki wiwatujących i radujących się Keshirich. Kiedy Hilts im pomachał, odpowiedzieli zbiorowym okrzykiem entuzjazmu. Tubylcy nie mogli być do tej pory członkami Plemienia, ale Hilts zamierzał to zmienić. Wielu z nich było bardzo utalentowanych w rozmaitych pożytecznych dziedzinach, a Plemię podczas czekającego je zadania będzie potrzebowało każdej pomocy.

Przez chwilę Hilts próbował sobie wyobrazić, jak biedny mały Jaye wyglądałby w szacie nowicjusza albo Miecza. Uśmiechnął się do tej myśli. Wiedział, że zajmie to trochę czasu, ale w końcu dopnie swego. Nie miał żadnych wątpliwości.

Całe swoje życie poświęcił studiowaniu historii. Teraz napisze własną.

A Plemię przetrwa.

# **PANDEMONIUM**

## **ROZDZIAŁ 1**

2975 lat przed bitwą o Yavin

- Gotów! Cel! Pal!

Tuzin drewnianych wyrzutni huknął unisono, a potężny trzask rozległ się po całej fortecy.

Po sekundzie, podczas której strzelcy balist naładowali je ponownie, rozległ się kolejny taki sam odgłos. A potem jeszcze jeden. I następny. Huk odmierzał kwadranse w tym małym miasteczku, tak samo jak w większych miastach kontynentu. Mógłby to równie dobrze być hymn narodowy, jak powiadali niektórzy - ale Alanciar miał już mnóstwo pieśni patriotycznych.

Artylerzyści są tu dobrzy, pomyślała Quarra, obserwując strzelnicę ćwiczebną, podczas gdy wprowadzała muntoka do kompleksu. Przybycie ogromnego, sześcionogiego gada i jego keshirskiego jeźdźca nie odwróciło uwagi kadetów od strzelania. Odstęp pomiędzy strzałami ich ręcznych balist był krótszy niż u większości strzelców metropolitalnych terenów w głębi ładu. Czy to broń lepsza, czy wojownicy? Pewnie i to, i to, pomyślała. Jej dystrykt Uhrar był położony bardziej w głębi kontynentu. Keshiri, którzy mieszkali tutaj, w forcie przy Przesmyku Garrowa, zlokalizowanym w poprzek jednej z długich mierzei wbijających się w morze, musieli być lepsi, bo tu właśnie kryło się zagrożenie.

Quarra miała wszelkie prawo tu przebywać, ale wciąż czuła się nie na miejscu. Jasnoszara kamizelka, srebrne włosy ciasno zwinięte w kok... prezentowała elegancki styl wojskowy, a to był

obóz roboczy. Znała ciężką pracę, ale ostatnio była innego...

- Hej tam, stać! - Kapitan o twarzy barwy burgunda, stojący obok szeregu, dmuchnął w gwizdek i podbiegł do niej.

Quarra szarpnęła wodze i wydała komendę. Potężny muntok gwałtownie przyhamował, rozbryzgując fioletowy żwir w twarz zbliżającego się oficera, który zaklął i próbował wytrzeć jedyne dobre oko.

- Przepraszam! - zawołała, klepiąc po łbie pomrukujące zwierzę. - Muntoki to tylko nogi i chmury piasku.

Kapitan się nie roześmiał.

- Dokumenty!

- Zostałam już sprawdzona przy wschodniej bramie. Jak pan sądzi, w jaki sposób się...

- Dokumenty! - Podniósł broń. Przypuszczała, że naładował ją tnącymi odłamkami, a nie tanimi prętami szklanymi wystrzeliwanymi przez uczniów.

- Jasne. - Tu na zachodzie nie znają się na żartach, pomyślała, sięgając do kieszeni. Podała kapitanowi skórzaną teczkę. - List z przeniesieniem i mój przydział - wyjaśniła.

Uczniowie przestali na razie strzelać i utkwili w niej spojrzenia. Byli to Keshiri płci męskiej i żeńskiej, w wieku od dwunastu do piętnastu lat, wszyscy w swoim pierwszym oddziale. Quarra wodziła wzrokiem od jednej młodej twarzy do drugiej. Jej najstarsza córka będzie trenowała tak jak oni już za rok.

Obserwowała kapitana, który wertował jej papiery. Może stracił oko przez rekruta, a może nie. Był dość stary jak na swoje zadanie - a to oznaczało, że jest w nim dobry. Żaden rozsądny urzędnik nie przeniesie utalentowanego Strzelca balisty z Przesmyku Garrowa. Właśnie tu się wszystko rozgrywało.

A raczej mogłoby się rozegrać.

- Dowódca Okręgu Quarra Thayne - jęknął, a widok jej

insygniów zepsuł mu najwyraźniej apetyt na następny miesiąc. - Zatrzymałem dowódcę okręgu! Przepraszam panią.

Quarrę kusiło, aby potraktować oficera z pozycji Lorda, ale przypomniała sobie, po co tu jest.

- Nie ma problemu, kapitanie...

- Ruehn. Oddział szkoleniowy 108, Dyrektoriat południowo-zachodni.

- Nie ma problemu, Ruehn. Jesteście tu na ostrzu noża. Albo blisko ostrza.

Jej przepustka wskazywała, że kieruje się do Posterunku Wyzwanie. Jedno z najbardziej wysuniętych na zachód terytoriów Alanciaru, granitowy stożek zaznaczał najdalszy kraniec międzymorza za fortecą. Kontynent, jak mawiano, przypominał nogę muntoka. Większość ludności i przemysłu mieściła się na większych wysokościach ogromnego uda na wschodzie. Pocięty kanałami region, znany jako Goleń, ciągnął się na zachód, kończąc się Sześciu Szponami - prawie równoległymi górskimi półwyspami, sięgającymi głęboko w zachodnie morze. Każdy Szpon miał

na końcu stację sygnałową - przygotowaną na wypadek, kiedy nadejdzie wreszcie wyczekiwany ze strachem dzień.

Kapitan odchrząknął i złożył pergamin.

- Zaskoczyło mnie, że nie przebywa pani z całą resztą brudasów, skoro nadchodzi Dzień Obserwacji - zauważył.

- Uznałam, że to dobry moment, aby odwiedzić front.

Dobre oko strażnika mrugnęło.

- Ładny mi front wojenny, niech mnie w moją przystojną fioletową...! Spędzam całe dni na przetrzymywaniu moich kadetów w czterech ścianach. Straż Nadbrzeżna zwija dla siebie każdego, kto jest na zewnątrz. Trzydzieści lat i to jedyna bitwa, jaką kiedykolwiek prowadziłem.

Quarra schowała dokumenty do teczki. Wskazała na widniejące w dali wysokie bramy.

- Mam przejść tamtędy?

- O ile nie chce pani pływać. - Latające zwierzęta wierzchowe, zwane uvakami, były w tej okolicy używane wyłącznie przez Straż Nadbrzeżną, a podróż wodą w sąsiedztwie zachodnich i wschodnich fiordów, utworzonych przez Sześć Szponów, była surowo zakazana. Nie było innego dostępu do Posterunku Wyzwanie niż przez obóz wojskowy przy Przesmyku Garrowa. - Miłej podróży. I bądź gotowa.

- Bądź gotów - odparła, biorąc wodze.

Popędziła muntoka klusem i skierowała się ku zachodnim barykadom - produktowi setek lat budowy i renowacji. Jej wzrok przykuła jednak wieża sygnalizacyjna, wznosząca się wysoko pomiędzy pierścieniami fortecy. Jaskrawe, kolorowe światła latarni migały, doskonale widoczne nawet teraz, wczesnym popołudniem. Przyglądała im się, mijając wieżę i znów przypominając sobie, po co tu jest.

Wszystko zaczęło się od wiadomości przekazanych trzy lata wcześniej przez tę właśnie stację przekaźnikową. A teraz po raz pierwszy widziała przed sobą źródło tych wieści. Kiedy potężna brama otwarła się, aby ją przepuścić, powiodła wzrokiem po kamienistej ścieżce.

Częściowo zasłonięty chmurą mgły wodnej, Posterunek Wyzwanie sterczał nad wzburzonymi falami. Pojedynczy zbiornik, ustawiony na górze, migał maleńkimi światełkami jakby w odpowiedzi odległej fortecy, górującej nad jej głową.

Przez chwilę myślała, żeby zawrócić, przebyć z powrotem długą drogę, która ją tu przywiodła. Jeśli zdoła dotrzeć do stajni uvaków przed zmierzchem, będzie w znanym sobie świecie, zanim ktokolwiek zauważy. Dla Quarry Thayn, żony i matki trójki dzieci, głównego administratora wojskowego Uhrar i rzadkiej wśród Keshiri osoby władającej tajemniczą potęgą, znaną jako Moc - nastał moment, że chciała być wszędzie indziej, byle nie tu. Oficjalnie była w roboczym objeździe fabryk zbroi bojowych na Północnym Zbocz Alanciaru, a tymczasem wybierała się na tajne spotkanie w



środku dziczy z kimś, kogo nawet nie znała.

Za jej plecami kadeci wznowili strzelanie, a odgłos strzałów zgrał się w rytmie z migającymi w oddali sygnałami.

Jakby zahipnotyzowana tymi dźwiękami i widokiem, poczuła, że przed nią rozpościera się cała przyszłość. Istniało coś, co musiała zrobić.

Odetchnęła głęboko i wbiła pięty w boki muntoka, nakłaniając go do galopu.

Lepiej, żeby było warto.

Słońce świeciło nisko nad zachodnim oceanem, ale Quarra nie dała się zmylić. Ciemność była właśnie tam, w tym kierunku. Jej zwiastunka przybyła z zachodu, tak samo jak prądy powietrza i wody na tej południowej szerokości. Właśnie na zachodzie istniała zdrada i oszustwo, nienawiść i panika.

Obrońcy, którzy stworzyli Alanciar i całą Kesh, dobrze zaopatrzyli swój lud. Sześć Szponów było jak kamienne pazury, na których wzniesiono mury obronne. Przez stulecia fiordy stanowiły ruchliwe porty dla statków patrolowych Straży Nadbrzeżnej, a obserwatorzy wznosili się na walcach nad ich głowami. Z czasem wszystkie sześć półwyspów ufortyfikowano i uruchomiono.

Quarra wciąż widziała zamiatane wiatrem resztki wcześniejszych instalacji na Posterunku Wyzwanie. Kupka ruin leżała przed wieżą sygnalizacyjną - i były to prawdziwe gruzy, jakby żołnierze z Przesmyku Garrowa wcześniej ćwiczyli na nich wyburzenia. Większość obszaru posterunku była opuszczona, bo działania skupiły się na szerszych kawałkach ziemi dalej na północ. Nie były tak daleko wysunięte na zachód jak Wyzwanie; niektóre z nich - te wyższe -

oferowały lepszą osłonę dla wybrzeży, a te ulokowane na północy były lepiej rozmieszczone, żeby strzec masywu Alanciar. Odkąd wprowadzono nowe instalacje, patrole napowietrzne i wodne przesunięto bliżej linii wybrzeża. Ludzie ukrywający się popełniliby błąd, gdyby przypadkowo obudzili

Destruktorów, wypływając zbyt daleko na morze.

Stacja sygnalizacyjna była ogromna - biały walec wznoszący się nad otoczonym murami dziedzińcem. Ogrodzone barierkami tarasy, rozmieszczone na górnym poziomie wieży, wychodziły na wszystkie strony, a szczególnie ważna dla obrony sieć kul ogniowych była ustawiona na słupkach nad wschodnim balkonem. Quarra zsiadła przed murami, znalazła słupek i przywiązała do niego muntoka.

- Mgła idzie - zauważył Keshiri o rzadkich zębach, pewnie sześćdziesięcioletni, i otworzył jej bramę. - Może być sztorm.

Quarra zbladła z wrażenia, kiedy go zobaczyła. Małe kępki twardych włosów układały mu się w komiczne rożki tuż za uszami, a guziki munduru ledwo mogły okiełznać jego brzuch.

- Nie jesteś przypadkiem Jogan Haider? - zagadnęła.

- Ależ skąd - powiedział rażno. - On jest w wieży. Ja tylko z nim pracuję.

W duchu odetchnęła z ulgą.

- Jesteś myślowołączem?

Jestem, odparł poprzez Moc. A ty?

Quarra przymknęła oczy i przesłała telepatycznie odpowiedź twierdzącą. Szybko uniosła powieki i zobaczyła, że stary Keshiri się uśmiecha.

- Miło spotkać kogoś, kto też ma dar - rzekł. - Ale ledwie cię słyszałem. Zmęczona?

- Jazda była długa. - Quarra znów się zdenerwowała. Już od dawna nie wzywano jej, aby w swojej pracy użyła Mocy. Ostatnio wykorzystywała ją tylko do zabawiania dzieci, żeby sprawdzić, czy też posiadają ten rzadki talent, ale była to zwykła macierzyńska ciekawość. Rada Wprowadzająca i tak w końcu odkryje, które dzieci mają zdolności.

Ściągnęła torbę z grzbietu muntoka i podała Keshiri teczkę z dokumentami.

- Chcesz je zobaczyć?

- Nie ma potrzeby - odparł jowialnie. - Nasi przyjaciele w forcie nie wpuściliby cię bez nich tak daleko. - Podszedł i wziął bagaż. - Jeśli wszystko idzie normalnie, trzepią mnie przez godzinę na każdej bramie. Lepiej wejdź teraz, zanim zamkną klub oficerski.

Quarra odetchnęła i z powrotem schowała dokumenty pod kamizelkę. Z torbą w dłoni pomachała myślowo łączowi i zamknęła za sobą bramę. Dotarła tu wreszcie - i była w środku.

Nieśmiało przeszła przez dziedziniec do otwartych drzwi wieży. Usłyszała w środku czyjś śpiew, rozbrzmiewający echem w potężnym kamiennym cylindrze. Mocno trzymając torbę za sznurkowy uchwyt, weszła do środka i zadarła głowę. Drewniane schody wznosiły się spiralą w górę, prawie poza zasięg wzroku. Słoje stopni nie pasowały do siebie, widocznie wymieniano je wiele razy przez lata pracy stacji. Ktoś jednak zaczął malować je w rozmaite kolory, co tworzyło efekt spiralnej tęczy.

Wokół okrągłego pomieszczenia ujrzała drzwi wiodące do różnych części kompleksu. Czula zapach potrawy gotującej się w małej kuchni; dwoje drzwi wiodło do skąpo umeblowanych sypialni, jedna obok drugiej. A ostatnie przejście prowadziło na dół - do źródła śpiewu. .

- „Hej, ho, i za życie z tobą...” - łagodny baryton śpiewał z każdą chwilą głośniejsze. - „Mym domem jest morze, i choć zawsze w drodze, wierz, że pozostanę..

- „...sobą?” - Quarra stanęła w drzwiach. - Jakoś tego nie słyszałam.

- Pieśń żeglarza. Mamy ich tu sporo - zauważył krótkowłose Keshiri, piastujący stos oprawionych tomów pergaminu w muskularnych objęciach. - Jesteś Quarra?

- Przyznaję się do winy. - Rzuciła torbę z głuchym stukiem. - Mogę ci z tym pomóc?

- Nie ma problemu - odparł, mijając ją. Skórę miał

koloru ciemnego, zgaszonego rózu i krótko ostrzyżoną latkę srebrzystej brody. Mężczyzna w mundurze ważył ze dwa razy tyle co ona i był w doskonałej kondycji.

Więc on jest w moim wieku? - pomyślała. Przecież musi ciągle biegać w górę i w dół po tych schodach.

- Przepraszam, że nie wyszedłem cię przywitać - rzekł, układając stos książek na rozchwierutany stoliku. - Byłem w bibliotece, na wypadek gdybyś się spóźniła. Lubię sobie poczytać przy jedzeniu. - Przeszedł pod kamiennym, sklepionym łukiem i zlokalizował szklany garnek, bulgoczący na przygaszonych węglach. - Potrawka zawsze tu jest. Zjesz coś?

- Nie, dzięki - odparła, opierając się o drzwi. - A ty jesteś...

- No właśnie - mruknął, rzucając łyżkę i wycierając dłoń. - Przepraszam. Jogan Haider -

potrząsnął jej dłonią. - Nie mamy tu wielkomięjskich manier.

- Nie szkodzi - odparła, uśmiechając się mimowolnie, kiedy poczuła mocny uścisk dłoni.

Nagle oprzytomniała i zabrała rękę. - Macie tu bibliotekę?

- Byle jaka, ale jest - odparł z uśmiechem i poprowadził ją dalej. - Na przepustce jeżdżę do Przesmyku Garrowa, bo czasem podróżnicy zostawiają tam coś do czytania. Niewiele jest tu do roboty - wskazał miejsce, gdzie kończyły się pomalowane schody. - Czasem jedna z pozostałych stacji sygnalizacyjnych wyśle jakieś historie, jeśli nie ma ruchu, ale to powolny sposób czytania.

Quarra wiedziała, o co mu chodzi. Ich rozmowy zaczęły się trzy lata temu, podczas rutynowej wizyty w Kerebbie, centrum zaopatrzenia wojska w górze jednego z kanałów, który wpływał do zatoczki utworzonej przez Sześć Szponów. Rozmawiała tam z kuzynem, który zarejestrował całe miesiące

opowieści z granicy, przesyłane przez oficera sygnalizacyjnego w chwilach wolnych od służby. Quarra starannie przeczytała całą kolekcję, oczarowana zonglerką słów i uczciwą, bolesną oceną życia na krawędzi cywilizacji. Kiedy kuzyn zmienił przydział, Quarra sama wysłała wiadomość przez stację sygnalizacyjną w Uhrarze i przedstawiła się.

To, co zdarzyło się potem, całkiem zmieniło jej życie. Wymienili między sobą ponad tysiąc wiadomości. Jego przesyłki zwykle przychodziły w nocy, a rano czekały już na nią, kiedy przychodziła do biura. Wkrótce zaczęła nosić je ze sobą w czasie obchodów, wertując tekst w tajemnicy, aby umknąć przed nudą dnia.

Bezsensowne odprawy dystrybucyjne stały się dla niej okazją, aby wymyślać odpowiedzi, które wysyłała mu przed pójściem do domu. Starła się przedstawić swoje życie w sposób atrakcyjny, ale w miarę jak pogłębiało się między nimi zaufanie, zaczęła dzielić się z nim uczuciami na temat pracy i domu. Wdzięczna była za to, że dostęp do systemu semaforów miała ograniczony, bo martwiła się, że jej gadanina stanie się nie do zniesienia. Jogan jednak zawsze był

wyrozumiały. Po nocach układał przemyślane i elokwentne odpowiedzi.

A teraz była tu, w jego miejscu na ziemi. Wyobrażała go sobie wiele razy, jak siedzi w spowitym w kożuch mgły posterunku na końcu bezpiecznego świata. Nie rozczarowała się, a on zdecydowanie wydawał się nią zainteresowany. Zauważyła wieszak i szybko zdjęła płaszcz, zostając w mundurze. Było to konieczne w jej podróżach, ale insygnia pozostawiła w biurku, w pracy. I tak czuła się dość niezręcznie, bez ostentacyjnego chwalenia się wyższą szarżą na pierwszym spotkaniu.

- Spotkałeś Belmera przy wyjściu? - zapytał.

- Tak - zachichotała. - Nawet się wystraszyłam, że to ty.

- Nie, ja tylko wysyłam za niego romantyczne wiadomości pod moim nazwiskiem - zaśmiał

się. - Żartuję. Wszystkie ukochane Belmera są przeterminowane.

- Nie jest to dokładnie wzór myślowołącza na froncie, prawda?

- Oczywiście, na dyżurze nie pije. - Sięgnął po jej torbę.  
- Pozwól, że to wezmę.

Obserwowała wyczekująco, jak umieścił torbę pomiędzy drzwiami dwóch sypialni, coś jakby bagażowy odpowiednik mrugnięcia. Nie rozmawiali ze sobą o szczegółach zakwaterowania na ten tydzień jej wizyty - to byłaby przesada. Znacznie ciekawiej było się zastanawiać.

- Wybacz wygląd tego miejsca. Jesteśmy na samym końcu trasy inspekcji, a z takimi starymi kawalerami... sama możesz sobie wyobrazić.

- Mam troje dzieci. Powinieneś zobaczyć mój dom, kiedy mąż za długo jest w pracy -

odparła i natychmiast tego pożałowała.

- Twój mąż... Brue, prawda? Jak się miewa?

- Doskonale. - Żałowała, że w ogóle o nim wspomniała. Głupia, głupia! Uciekła wzrokiem w bok. - A ta wycieczka, którą mi obiecałeś?

- Chętnie ci wszystko pokażę, choć nie ma wiele do oglądania - odrzekł. - Ale wszystko po kolei, Quarro. Chodź.

Zobaczyła, jak daje znak, żeby poszła za nim; zawahała się, zanim zrozumiała, o co mu chodzi. Zakłopotana kierunkiem, w jakim powędrowały jej myśli, poszła za nim po spiralnych schodach do wieży sygnalizacyjnej. Idąc, kręciła głową i zastanawiała się nad stanem swojego umysłu. Nie jestem czternastolatką od trzydziestu lat! Co się, u licha, ze mną dzieje? - pomyślała.

## **ROZDZIAŁ 2**

- Tu się odbywa cała magia - wyjaśnił Jogan, pomagając jej wejść do latami. - A przynajmniej tyle, ile jej jest.

Tuż za drzwiami skierowanymi na zachód na drewnianym stojaku stały różnego rozmiaru cylindry. Każdy wałek składał się z kilku pokrytych łupkiem kółek, ustawionych wokół centralnego trzpienia; kreski dzieliły obwód każdego koła na równe części. Jogan wybrał jeden z bębnow średniej wielkości i wstawił go w uchwyt na swoim stole. Z szybkością zrodzoną z rutyny napisał

kredą wiadomość, stawiając po jednym znaku w każdym prostokącie i obracając cały bęben za każdym razem, kiedy kończył wiersz. Kiedy skończył, wyjął z cylindra mały pręt blokujący, dzięki czemu koła z literami mogły obracać się swobodnie. Po ustawieniu pozycji kół w przypadkowym układzie wstawił z powrotem pręt blokujący i zapisał dziesięciocyfrową liczbę odzwierciedlającą nową pozycję bębnow.

- Dla tej wiadomości nie było za dużo szyfrowania - oznajmił. Wyjął cylinder ze stacji roboczej i wyszedł na zachodni balkon. Przy parapecie stała rama zawierająca sieć kul ognistych.

Wszystkie, z wyjątkiem jednej, zwrócone były w stronę swoich przepustów, w pozycji „wyłączone”. - Może będziesz musiała zasłonić oczy - uprzedził.

Stała w drzwiach i obserwowała Jogana, jak obsługiwał układ sygnalizacyjny. Obracając wałki, pobudził siatkę do świetlistego życia. Zapłonęło jedno pomarańczowe światło, a

potem kolejne, posyłając promienie daleko w coraz głębszy mrok na wschodzie. Po wysłaniu sygnału alarmowego dłonie Jogana zaczęły przeskakiwać od jednej kontrolki do drugiej, odsłaniając i zasłaniając światła w kolorach czystej bieli, złota, oranżu i zieleni. Kiedyś Quarra nauczyła się, co one oznaczają; było to częścią podstawowego szkolenia. Jednak tylko prawdziwy ekspert mógł

wysłać sygnały tak szybko, jak doświadczony operator semafora z Alanciaru. Joganowi przesłanie kodu przeznaczenia i rozpoczęcie transmisji wiadomości zajęło tylko pięć sekund.

- Jesteś dobry.

- Praktyka - odparł, ledwie patrząc na bęben z tekstem nagryzmołonym jako odpowiedź. -

Strasznie dużo pracy wymaga przekazanie choćby takiej wieści, że Belmer Kattun będzie spać na podłodze tawerny przez tydzień, a jego zmiennik właśnie przybył.

- Nie używasz mojego imienia?

- Nie trzeba - odparł i uśmiechnął się do niej, choć jego ręce nadal obsługiwały urządzenie. -

Jesteś jeszcze jedną anonimową wojowniczką Wielkiej Sprawy.

Może jeszcze w ten weekend będziemy mieć własną Wielką Sprawę, pomyślała z nadzieją że jej rumieniec nie zostanie zauważony w jaskrawym świetle.

Odwróciła się do wnętrza, osłoniętego przed oślepiającymi błyskami, i obejrzała samotny pokoik. Razem z obserwatorami, sygnalistami i specjalistami od transkrypcji większość lądowych stacji sygnalizacyjnych miała nie mniej niż czterech pracowników. A wiele miało ich nawet więcej, jeśli obsługiwały sygnały w wielu kierunkach. System, który miał być jedynie systemem wczesnego ostrzegania, stał się kręgosłupem logistycznym kraju, przekazując wszystko, od raportów pogodowych po aktualizację dostaw. Mijały dziesięciolecia, oczekiwany wróg się nie pojawiał i wiele osób z



kreęgów władzy zaczęło wykorzystywać sieć do przekazywania wiadomości osobistych, takich jak te, które wymieniała z Joganem. Sieć była jednym z największych wynalazków współczesnych czasów, ale stawała się coraz bardziej obciążona i w każdej chwili należało się spodziewać, że Gabinet Wojenny ukróci te praktyki.

Nie szkodzi, pomyślała. Jestem tu teraz.

- Gdzie pracuje myślowołącz? - zapytała.

- Czasem tu, czasem na balkonie albo na podwórzu - odparł, wracając do środka. Po zakończeniu wiadomości wytarł cylinder wilgotną szmatką. - Na dole jest pokój do medytacji, zapewniający niejaką prywatność, ale zdaje się, że dla was to nie ma znaczenia.

- Racja - odparła, przypominając coś sobie. - Ty nie możesz używać Mocy.

- Naprawdę podoba mi się mój sposób wysyłania wiadomości? - Wskazał palcem na drzwi obok. - Chcesz zobaczyć zachód słońca?

Quarra jakimś cudem znalazła się na zachodnim balkonie, zawieszonym wysoko nad grzmiącymi falami. Życie tutaj toczyło się bez jej udziału. Nie podejmowała już decyzji, a przynajmniej nie świadomie. Na zewnątrz, zgodnie z obietnicą, pomiędzy niskim pułapem chmur a horyzontem pojawił się pomarańczowy pas.

- Koralne Ławy na południu są jeszcze ładniejsze. Mamy łódkę i wiosła, może rano będziesz mogła je zobaczyć. - Jogan pojawił się obok niej z butelką i szklanką w dłoni. - To z rezerwy Belmera.

Nalał jej.

- Przepraszam, mam tylko jedną szklankę. Belmer pije z butelki.

Mrugnął i zrobił to samo.

- Więc tym się zajmujecie, chłopaki - mruknęła. - Siedzicie tu przez cały rok, pijecie.

- ...i piszecie do mężatek.

- ...pijecie i piszecie do mężatek, a Wielki Nieprzyjaciel czai się za falami. - Pociągnęła łyk i się uśmiechnęła. - Jestem dowódcą okręgu, wiesz? Mogłabym o tym donieść.

- Zaryzykuję.

Słońce znikło i kobierzec chmur przesłonił resztę nieba. Czując narastający wiatr, przysunęła się bliżej do poręczy, gdzie stał Jogan.

- Nigdy się nie ożeniłeś?

- Nie i dobrze o tym wiesz - odparł. - Rozpracowaliśmy to w wiadomości numer dwa.

Quarra zachichotała. Swój stan cywilny ujawniła dopiero w wiadomości numer dwanaście.

- Chyba trudno jest myśleć o założeniu rodziny, siedząc na końcu linii.

- Koniec linii - mruknął Jogan i obrócił się, spoglądając na ocean. - Podoba mi się to.

- Przepraszam... uraziłam cię?

- W tym nie ma nic złego. To jest front. - Chwyił ją za ramię i obrócił, pokazując palcem. -

Widzisz tamtą boję? To kierunek, z którego przybyła Zwiastunka dwa tysiące lat temu. Gdzieś za nią jest największe zło, jakie kiedykolwiek znał Kesh. Diabeł, którego znamy. Mógłbym dostać przydział w głębi ładu i przesyłać przyziemne wieści innym ludzi, ale mogę też siedzieć tutaj i co wieczór mówić światu, że wszystko wciąż jest dobrze.

- Głęboka myśl - odparła, kończąc drinka. Postawiła szklankę na półce. - Napisałeś mi o tym kiedyś. - Pamiętała, że nawet kilka razy. - To dobry powód, żeby tu być.

Skinął głową.

- Skoro o tym mowa - zapytał, odstawiając butelkę - to dlaczego ty tu jesteś?

Zaśmiała się.

- Z przydziału, jak wszyscy inni!

- Nie o to chodzi. - Odwrócił ją plecami w stronę krajobrazu i spojrzał ciemnymi, żarliwymi oczami. - Co robisz właśnie tutaj?

Zająknęła się, zakłopotana zmianą w jego tonie.

- Co... co masz na myśli?

- To, że kobieta na twoim stanowisku ma lepsze rzeczy do roboty niż przyjeżdżać i tkwić z rezydentem w Korpusie Sygnalizacyjnym.

- Może chciałam obejrzeć ocean?

Uśmiechnął się, ale zaraz spowaźniał.

Odetchnęła głęboko i wyszeptwała:

- Brue...

- Brue? Co właściwie robi twój mąż? Ma coś wspólnego z Dyrektoriatem Szkoleniowym, tak?

- Uczy starszych ludzi dmuchania szkła.

- No cóż, to...

Quarra odwróciła wzrok, a Jogan prędko zmienił zamiar.

- Jestem pewien, że wiele wynosi z pracy z nimi.

- Czy bóle głowy się liczą? - uśmiechnęła się blade. - Brue nienawidzi każdej chwili tej pracy. To weterani, a choć są na emeryturze, wciąż jeszcze muszą robić coś dla Sprawy, jak my wszyscy. I tacy zrzedliwi ludzie stają na linii produkcyjnej, a każdy po kolei uważa, że jest wyższy rangą od nauczyciela. Pewno by tak nie myśleli, gdyby Brue miał w ogóle jakąś rangę... - Nie dokończyła.

- Przynajmniej sprawia, że ci ludzie są użyteczni. To wszystko, co możemy zrobić, prawda?

- Nie - odparła, kręcąc głową. - A może i tak. Może to wszystko, co Brue potrafi zrobić... ale nigdy się nie dowie, bo nie próbuje. To dobry ojciec dla dzieci i stworzył przyzwoity dom, choć ja jestem ciągle zajęta...

- Ale nie jest już tym człowiekiem, za którego wyszłaś.

- Właśnie, że jest. W tym cały problem. Przez dwadzieścia lat awansowałam od urzędniczki zaopatrzenia na

myślowołącza, potem do nadzoru materiałów i wreszcie na dowódcę okręgu.

Dobrzy dowódcy okręgu stają się z czasem burmistrzami. Zawsze kończy się to tak, że zaczynam nienawidzić swojej pracy i staram się znaleźć coś lepszego. Za to Brue nie ma odwagi wygarnąć takiemu staremu grzybowi, którego władza skończyła się przed Pradawnym Katakлизmem!

Urwała, żeby złapać oddech. To było zupełnie jak te wiadomości, które nadawała, tylko teraz nie musiała ograniczać liczby słów. Wcale nie chciała tego robić, nie zamierzała skarżyć się na Brue. To nie było wobec niego uczciwe, zwłaszcza w związku z tym, po co tu przyjechała.

A właściwie po co tu przyjechała?

- Wiesz co - odparł - nie jest tak źle, jeśli on ma do tego właściwe podejście. Tu się niewiele dzieje, ale jest coś dobrego w możliwości przekazania ludziom tego, co się chce. Każdy z moich raportów to mała opowieść, nawet jeśli opowiadana po jednym zdaniu na...

Nie dokończył tego, co chciał powiedzieć, ponieważ Quarra właśnie zdecydowała, po co tu przyjechała. Nie uchylił się przed pocałunkiem. Kiedy oparł się plecami o barierkę, przytuliła się do niego i pocałowała jeszcze mocniej. Czowała wszechogarniającą ulgę. To cudownie, że jest w tym miejscu i robi właśnie to, co robi... po tych wszystkich miesiącach i wszystkich słowach, które padły. Na razie dość słów.

- Quarra... - jej imię miękko zawisło w powietrzu. Przyciągnął ją do siebie. Odwróciła głowę, aby musnąć ustami jego policzek, przelotnie spojrzała na ocean...

...i ujrzała, jak z mgły wyłania się ogromny, latający kształt.

- Jogan!

Spojrzał na nią, przerażony, że przekroczył granicę, ale kiedy zobaczył jej oczy, odwrócił

się także.

- Co to takiego? - wykrztusiła.

Ciemna masa zbliżała się i stawała coraz wyraźniejsza. Miała zaokrąglony kształt, jak dobrze wyrośnięte ciastko, ale była gigantyczna, wielka jak sama wieża. Fluorescencyjne wzory nadawały jej wygląd wyszczerzonej gęby obcego. Pod spodem coś wisiało - otoczona barierą platforma, niewiele mniejsza od barek towarowych na kanale. A po obu stronach z tyłu coś się poruszało na wietrze, prawie jak żywa istota. Było tam jakieś życie - Quarra czuła poruszenie w Mocy - ale cała konstrukcja była sztuczna.

Statek napowietrzny.

- Są dwa takie! - krzyknęła i pociągnęła Jogana za kurtkę, pokazując palcem.

- Nie! - zaprzeczył, wyciągając rękę bardziej na północ. - Trzy!

Na ułamek sekundy znów do siebie przyłgnęli, oszołomieni, gapiąc się na statki.

- Co robimy? - jęknęła.

- To, co należy - odparł. Puścił ją i skoczył do środka.

- Zaczekaj, co robisz?

- Odpowiedź powinna być prosta - odpowiedział i chwycił zakurzony cylinder, leżący samotnie na samym szczycie drewnianego stojaka. Był to pierwszy cylinder zapisany w celu transmisji po otwarciu stacji sygnalizacyjnej wiele wieków temu. Zawierał tylko jedno, niezaszyfrowane słowo z identyfikatorem źródła - Posterunek Wyzwanie na szczycie.

Nie było kodu adresata, ponieważ adresatami byli wszyscy.

- Nie wysyłałem żadnego sygnału błyskowego od czasu tajfunu, który przeleciał tędy sześć lat temu! - zawołał, pędząc na wschodni balkon. - Mam nadzieję, że mi uwierzą! - Po drodze uruchamiał rolki, ale kiedy się obejrzał, stwierdził, że Quarra wciąż stoi w drzwiach. - Quarra, na co czekasz?

- O czym ty mówisz?

- Jesteś myślowołaczem, prawda? - rzekł. - Semafore poniosą wieść, ale zbyt wolno. Musisz zawołać! Zamarła, nagle zdając sobie sprawę, gdzie jest - i co robiła - kiedy to się stało. Tak ciężko pracowała, aby wszystko utrzymać w tajemnicy! Głos jej zadrżał: - Ale... ale mnie nie powinno tu być!

- Quarra!

Nie miała wyboru. To było właśnie to. Właśnie to, jeśli te słowa miały jakiegokolwiek znaczenie w Alanciarze. Uczucie w Mocy było teraz silniejsze. Brudniejsze. Bardziej mroczne.

Teraz Quarra już wiedziała, po co tu jest. Nie musiała zwracać się twarzą do lądu, ale zrobiła to, przymknęła oczy i skoncentrowała się z całej siły. Na gęsto zaludnionym północnym wschodzie były inne umysły, czekające tylko, aby podać dalej jej wołanie. Jedno słowo. Słowo, którego mieszkańcy Alanciaru bali się przez dwa tysiące lat, odkąd Zwiastunka wylądowała niedaleko ich brzegów.

- Sithowie!

## ROZDZIAŁ 3

Edell Vrai spodziewał się, że dozna różnych uczuć na widok zbliżającego się łądu. Nie planował tylko jednego - żalu.

Dwadzieścia pięć lat pracy włożył w ten dzień, w najważniejszy moment w historii ludzkości na Kesh. A teraz wreszcie on, Edell, Arcylord Plemienia i kapitan ekspedycji Sithów, dokonał tego. Odkrył nowy świat... a tak niewielu mogło być tego świadkami.

Ktoś powinien to rejestrować, pomyślał kapitan. Szkoda, że nie mamy skryby.

Edell przytrzymał się poręczy na dziobie gondoli i mrużąc oczy, spojrział w mrok na wschodzie. Teleskopy, które dostarczali jego Keshiri na place budowy, nie na wiele się tu zdały.

Spodziewał się, że na nowym kontynencie zobaczy więcej światła, tak jak to widziały kamery „Omenu” w swojej samobójczej podróży ku powierzchni Kesh. Ale na razie jedynym widokiem były czarne kształty, wznoszące się z powierzchni jak żebra przebijające się przez gnijące ciało.

- Skorygować prędkość! - zawołał do załogi na rufie. - Czeka nas jeszcze wiele kilometrów.

Nie wiemy, jakie wiatry będą przy brzegu.

- Tak jest, kapitanie!

Edell poczuł się pokrzepiony. Kapitan. Tytuł, z którym Yaru Korsin przybył na Kesh. Od dwóch tysięcy lat wśród Sithów nie było kapitanów niczego większego niż barka, jakimi farmerzy pływali po rzece. Zawsze przyjmowano, że ten, kto wymyśli metodę przemierzania morza, będzie miał zaszczyt

poprowadzenia ekspedycji, ale zbliżający się do pięćdziesiątki Edell uważał się za szczęściarza, że jednak mu się udało. W końcu, kiedy poszukiwania się zaczęły, był młodym człowiekiem. Chudy, o świeżej cerze i starannie uczesanych blond włosach, był członkiem Złotego Przeznaczenia, najodważniej myślącej frakcji Plemienia przed Kryzysem. Lubił myśleć, że wciąż jest młodym człowiekiem: dorósł do swojego wyglądu, a jako główny inżynier królestwa był

niezwykłą postacią. W ostatnim dziesięcioleciu jednak stracił nadzieję, że kiedykolwiek osiągnie cel. Tyle spraw poszło złym torem.

Problemem była odległość. Keshiri, których Korsin spotkał, żyli na Keshtah, samotnym kontynencie na oceanie. Tak to opisywali Keshiri, a Sithowie to potwierdzili w czasie swoich podróży. Jednak zbiorowa wiedza na temat kartografii ograniczona była przez pewien drobny szczegół - wytrzymałość uvaka. Podobnie jak przed nimi Neshtovari, Sithowie prowadzili wiele lotów badawczych poza wybrzeże Keshtah. Ci, którzy wrócili, mówili, że we wszystkich kierunkach widać morze i ani jednej wyspy. Miejscami tuż pod powierzchnią fal widać było rafy, może kiedyś nawet był tu suchy ląd. Jeśli jednak jakkolwiek jeździec rzeczywiście przeleciał ocean na grzbiecie uvaka, nikt nigdy tego nie ogłosił. Sithowie oczywiście wiedzieli, że ich świat jest okrągły, a tubylczy Keshiri wpadli na to całkiem sami. Wydawało się jednak, że nie było na nim nic poza Keshtah.

Duża mapa, którą Wielki Lord Korsin schował pod świątynią, usunęła niejedną, ale dwie wątpliwości. W istocie było tu o wiele więcej lądów. Rysunek jednak pokazywał, jak bardzo daleko są położone. Rozczarowująco, rozpaczliwie daleko. Droga zachodnia była krótsza, ale broniły jej prądy. Wschód był jedyną opcją.

Teraz w Tahv znów rządził Wielki Lord, a Edell zaprzyjaźnił się z nim jeszcze w czasach, kiedy ten był



kuratorem muzeum pałacowego. Varner Hilts nie był matematykiem, ale szanował i zatrudniał ludzi, którzy nimi byli - a jako nastolatek Edell spędził wiele dni na studiowaniu technik konstrukcyjnych wielkich budynków. Gdy tylko zatem nadeszła Restauracja, Hilts nałożył na Edella obowiązek rozwiązania problemu podróży. I to raz na zawsze, pojedyncza wyprawa go nie interesowała. Musiało to być rozwiązanie powtarzalne, gotowe do masowej produkcji. Korsin przecież wykazał, że sąsiedni kontynent jest zamieszkały. A po odkryciu powinna nastąpić okupacja. Mijały lata eksperymentów. Statki były poza dyskusją, dżungle Keshtah nie rodziły drzew, które wytrzymałyby wysokie fale. Hejarbo było mnóstwo, ale ich pędy najwyżej chroniły farmerów Keshiri od deszczu. Nie wytrzymałyby ciśnienia wody na powłokę statku. Vosso i kilka innych twardych gatunków drzew z głębokiego interioru miały zbyt duży ciężar, aby pływać. Inne były zbyt elastyczne.

Edell spędził drugą dekadę swoich badań na analizowaniu tych materiałów, w nadziei że znajdzie coś, co umożliwi podróż. Klęska goniła klęskę, wielu asystentów, zniesmaczonych, stało się jego rywalami, forsując własne plany. Hilts uczynił go jednym z najmłodszych Arcylordów w historii, aby zapewnić mu pełny dostęp do zasobów, ale Edell nie miał czasu na politykę dworską...

ani na rodzinę. Nie ustępował. Jego przodkowie przemierzali gwiazdy. Moc może negować prawa natury. Sith powinien umieć przeskoczyć planetarną kałużę!

Rozwiązanie, które mu się ostatecznie objawiło, było dalekie od inżynierii, a jego otoczeniu wydawało się alchemią. Gorące szczeliny Wieży Sessal emitowały mnóstwo trujących gazów, w tym metanu. Za pomocą szklanych naczyń, wykonanych przez keshirskich szklarzy, Edell i jego zespół przechwycili metan i używając prostego katalizatora wodnego, wyizolowali z niego wodór, najlżejszy ze znanych gazów. Edell stworzył linię produkcyjną i opracowywał konstrukcje, które

gaz mógłby unieść w górę. I znów keshirscy rzemieślnicy stanęli na wysokości zadania, produkując niezwykle cienki materiał powłokowy, który sztywniał pod wpływem ciśnienia. Najstabilniejszą formą okazał się „wznoszący się dzwon” Edella. Projektant dodał do niego gondolę z wielu warstw plecionego hejarbo, dość mocną, by unieść ciężar załogi i zapasów. Co nie popłynie po wodzie, popłynie w powietrzu.

Od chwili, gdy Edell doszedł do tego punktu, minęły trzy lata, a potem znów ogarnęła go rozpacz. Nie było sposobu na kontrolowanie kierunku lotu, co narażało balony na gwałtowne kaprysy wiatrów oceanicznych. Strumienie wulkaniczne średnich szerokości geograficznych mogły być potężnym sojusznikiem, ale okazały się nie do okiełznania. Na południu kaprysy Wieży Sessal i innych wulkanów mogły wysłać lotnika gdziekolwiek. Północne wiatry unosiły ich wyżej i wyżej, a potem zrzucały, aby ginęli na potężnych czapach biegunowych. A droga równikowa wysyłała jeźdźców na wodną śmierć w pasie ciszy - przynajmniej tak sądzili, bo jeszcze żaden nie powrócił z lotów testowych.

Wreszcie, na początku roku, kiedy wrogowie już zaczęli protestować przeciwko tym ekstrawaganckim wydatkom, Edella ołśniło. Pojazd nie miał być mniejszy, lecz większy. Dość duży, aby unieść ciężar dwóch lub więcej uvaków, zawieszonych w uprzężach na rufie, poniżej gondoli. Uvak o własnych siłach nie przetrzymałby takiej podróży, ale na balonie zwierzęta mogły odpoczywać, jeść, a nawet spać, kiedy nie były akurat potrzebne. A często były, bo ich łopoczące skrzydła dawały odpowiedni napęd, o ile oczywiście pilot, który je prowadził, właściwie wyczuwał prądy powietrzne.

Edell przeszedł na prawą stronę gondoli i spojrzał w dół, w ciemność, na jedno ze stworzeń podskakujących w misternym jarzmie. Było całkowicie zdezorientowane, nie wiedziało, co się z nim dzieje, ale na komendę machało skrzydłami.

- Chyba Sterburta jakoś sobie radzi - zauważył Edell. - A jak Bak?

- Bak szczęśliwa i nażarta - odparła Peppin, pracująca jako opiekunka uvaków i jednocześnie pilot „Candry”. - Powiedz tylko, gdzie chcesz lecieć.

Kapitan się uśmiechnął. Uvaki rzeczywiście przeniosły ich przez ocean - choć w sposób, jakiego nikt by sobie dotąd nie wyobraził.

Poczuł, że wiatr się wzmaga, i skierował się na śródokręcie. Słona bryza, bardzo dobrze.

Schodzili w dół dzięki kontrolowanemu upuszczaniu gazu od chwili, kiedy zobaczyli ziemię kilka minut wcześniej. Po północnej stronie Edell zobaczył dwa towarzyszące mu statki, które właśnie wylaniały się z chmur. A więc jego mała flota dotarła na miejsce - wszystkie trzy statki.

„Candra”, „Lillia” i „Dann Itra”. Edell był wściekły, kiedy przyszło mu nazwać statki powietrzne od imion Wielkich Lordów z czasów Ery Zepsucia. Był to najnowszy trend w myśleniu Wielkiego Lorda Hiltsa. Spędzono wiele lat na odnawianiu powiązań Plemienia z jego założycielami, a teraz ich przywódca uważał, że konieczna jest rehabilitacja innych postaci z historii. Nawet tych, które przez swoje działania lub ich brak przyczynili się do chaosu, który później nastąpił. W swojej długiej kadencji Candra Kitai była najlepiej znana z zamknięcia lokalnego zoo. A jednak teraz jej figurę zamocowano na zewnątrz gondoli. Dekoracji nie było w projektach statków Edella. Gdyby statek miał zrzucić balast, aby nabrać wysokości, szanowna Lady Candra byłaby pierwsza w kolejce do nurkowania.

Na pokładach „Lillii” i „Dann Itry” zapaliły się czerwone iskry - miecze świetlne, na przemian włączane i wyłączane. Edell odpowiedział na sygnał. Wszyscy widzieli ład i zmniejszali prędkość. Edell nie znał właściwie pozostałych kapitanów, którzy pochodzili z wyboru - kolejny polityczny

nonsens - ale wiedział, że będą go naśladować. Ich statki, podobnie jak jego, miały każdy dziesięcioosobową załogę: kapitan, pilot, jasnowidz oraz pięciu wojowników i dwóch ambasadorów Keshiri. Fioletowe twarze mogą się przydać, gdyby mieli nawiązać kontakt z tubylcami. Kontakt jednak nie leżał w planach tej wyprawy. Edell planował raczej rekonesans z góry Keshtah Major, a potem wrócić, przekraczając stosunkowo niewielki ocean ku rodzinnym zachodnim wybrzeżom. Większe siły, już przygotowywane, miały wyruszyć za nim, jeśli tylko się przekonają, że mapa Korsina nie jest utopią.

Edellowi to nie przeszkadzało. Pozostawmy walkę innym, myślał. On przyjmie na siebie chwałę odkrycia, prowadząc „Candrę” prosto do Tahv - i wszyscy wątpiący zobaczą, jak wyłania się na tle zachodu słońca.

Najwyższy czas.

Ciemnoskóra, mniej więcej dwudziestoletnia kobieta, siedząca obok opiekuna uvaków, odezwała się nagle:

- Przesłać wrażenie, kapitanie?

- Tak jest.

Edell obserwował, jak Taymor, kolejna Sithanka zdolna do przesyłania myśli poprzez Moc, koncentruje się. Próbowwała przesłać tylko wrażenie z pierwszego kontaktu - uczucie satysfakcji, osiągnięcia sukcesu. Odległość niekoniecznie stanowiła przeszkodę dla użytkowników Mocy, ale wcześniej nikt z Plemienia nie próbował przesłać wiadomości na cały świat. Na razie ograniczą się do prostych emocji. Na eksperymenty z czymś poważniejszym przyjdzie czas potem.

- Gotowe - oznajmiła Taymor z uśmiechem, jakby przypominając wszystkim, że właśnie zrobiła coś wyjątkowego dla Plemienia Kesh.

Edell podniósł oczy w niebo i wrócił na dziób. Właśnie tacy są Sithowie. Każde spotkanie, choćby najmniej ważne, stawało się pokazem umiejętności. Nagle poczuł większy respekt dla Yaru Korsina. Gwiezdne statki musiały być

koszmarem dla dowódcy. Nic dziwnego, że „Omen” miał osobną kajutę dla kapitana. Edell w czasie tej podróży często marzył o czymś podobnym.

„Candrze” brakowało także dobrego posterunku obserwacyjnego na dziobie. Zauważył to, kiedy sięgnął po jeden z mocno skręconych skórzanych przewodów, łączących gondolę z powłoką gazową. Nie był to problem dla odważnego Sitha, który chciał sobie polatać, tak jak on, ale kwestię posterunku dodał na wszelki wypadek do listy potrzebnych zmian konstrukcyjnych na przyszłość.

Rękami w rękawicach uchwycił sznur i już miał zacząć się podciągać, kiedy powstrzymało go wołanie z tyłu.

- Kapitanie!

Edell spojrział w ciemność i dostrzegł ponurą minę Taymor.

- Co teraz?

- Tam się coś dzieje - odparła telepatka, palcami masując skronie. - W tamtym miejscu wyczuwam dużo emocji. I mnóstwo energii.

Zmarszczył brwi.

- Chyba odczytujesz nas, Taymor.

- Nie, Arcylordzie... to jest tam. - Wskazała palcem przed siebie.

Edell się skrzywił.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Wspiął się na przewód i spojrział przed siebie. Plamy na wschodzie nie były wcale wyspami - to cyple długich półwyspów, poprzedzielanych przystaniami. Na niektórych wzniesieniach widoczne były konstrukcje - proste linie na czerni. Wysunął się do przodu i wyciągnął szyję - a wtedy zobaczył maleńkie, wielobarwne światełka, przebijające się przez mgłę spowijającą kontynent. Światła migotały, zmieniały się, aż wreszcie zgasły.

Gdzie są te świetliste miasta, o których pisał Yaru

Korsin?

Kołysząc się na wietrze, Edell próbował skoncentrować się w Mocy; chciał sprawdzić, czy poczuje coś z tego, co wyczuła Taymor. Dotarli do niego jedynie napięcie, lęk, oczekiwanie i podniecenie - a wszystko to mogło pochodzić zarówno od jego zachłannych sithańskich towarzyszy, jak i z innego miejsca.

Obejrzał się na swoją załogę.

- Nie musimy się niczego obawiać...

Nagle nad jego ramieniem coś błysnęło. To „Lillia”, znajdująca się o kilometr na północ, nagle eksplodowała.

Oślepiony na chwilę Edell o mało nie puścił przewodu. Opanował się zaraz i spróbował

skupić wzrok. Powłoka gazowa „Lillii” zmieniła się w huczącą kulę płomieni - a gondoli nawet nie było widać.

- Cała stop! - zarządził.

„Dann Itra”, lecąca również po lewej, ale bliżej „Candry”, zachybotła się i obróciła. Edell poczuł wstrząs. Widocznie uvaki z „Candry” uznały, że chcą być wszędzie, byle nie tu.

- Peppin, opanuj te zwierzęta! - rozkazał.

Statek zatrzęszczał. Towarzysze Edella zerwali się ze swoich stanowisk. Niektórzy próbowali pomóc nawigatorowi, inni gapili się na eksplozję, która już się zmieniła w kaskadę gorących popiołów, zasypujących ocean. Edell myślał gorączkowo.

- To tylko piorun! - zawołał w końcu. Wszyscy wiedzieli, jak lotny jest wodór. Zagrożenie ładunkiem elektrycznym zawsze stanowiło ryzyko. Pomyślał o wietrze, który poczuł niedawno. Nie było oznak zbliżającej się burzy, ale może miało to coś wspólnego z pobliskim lądem i z tutejszą pogodą. To dlatego zabrał aż trzy statki. Odetchnął głęboko i przez chwilę poczuł się lepiej...

...dopóki nie spojrział w dół i nie zauważył jaskrawego,

ognistego pocisku wznoszącego się w górę. Długi na trzy metry, z płonąca głowicą, łukiem skierował się ku „Dann Itrze”.

A po chwili rozległ się następny wybuch. Tym razem Edell zamknął oczy, ale i tak przegrzana fala uderzeniowa zrzuciła go ze stanowiska. Arcylord niezgrabnie upadł na pokład, prawym kolaniem przebijając górny poziom podłoża z hejarbo.

„Candra” obracała się, naciągając kable łączące gondolę z balonem. Edell spróbował się podnieść, bo usłyszał wycie uvaków. Na szczęście, to nie były uvaki „Candry” - stwierdził, kiedy dotarł do poręczy. Przed sobą ujrzał gondolę „Dann Itry”, szybko spadającą w dół. Obracała się i koziołkowała, a za nią łagodnie spływała oddarta część powłoki balonu. Edell wspiął się na poręcz, rozkazując poprzez Moc pasażerom „Dann Itry”, żeby skakali - ale wtedy ujrzał kolejną ognistą strzałę wystrzeloną z ziemi, która uderzyła w rozchybotany wrak i rozerwała go na strzępy.

Czując w Mocy śmierć sithańskich towarzyszy, Edell wyczuł także coś innego. To Moc została użyta przeciwko niemu! To była jedyna możliwość. Ale kto słyszał o Keshirich używających Mocy?

- Kapitanie! Teraz strzelają do nas!

Pod jego stopami powietrze zdawało się krzyczeć. Kapitan przylgnął do barierki i zaklął.

Istotnie, moment był historyczny. Podobnie jak Yaru Korsin, tak Edell Vrai i jego Sithowie nawiązali pierwszy kontakt z tubylcami na nowym kontynencie.

Ale tym razem to tubylcy byli silniejsi.

## **ROZDZIAŁ 4**

Trzask! Masywna balista na Posterunku Czujność wypaliła znowu, a stuk mechanicznego odrzutu rozległ się echem po wybrzeżu aż do stacji sygnalizacyjnej w Wyzwaniu.

- Tak! Tak! Brawo! - wrzasnął Jogan z wieży stacji, podskakując w miejscu. Jego entuzjazm zachwiał północnym balkonem bardziej niż eksplozje.

Quarra oparła się ciężko o poręcz, zaintrygowana tym, co się dzieje na północnym zachodzie. Cuchnąca mgła była jedynym śladem, jaki pozostał po pierwszym statku napowietrznym. Drugi pozostawił skłębiony słup dymu, spływający w dół w ślad za nieszczęsną gondolą Sithowie. Sithowie! Quarra przeklinała się za to, że nie wyczuła zbliżającego się zła. Jej praca, jej przydatność polegała na czujności, a ona pozwoliła się zdekoncentrować! To jej wina!

Ale prawdę mówiąc, czy ktoś wiedział, czego szukać? Nikt z żyjących w Alanciarze nigdy nie został dotknięty złem Sithów. Aż do teraz, kiedy Quarra otworzyła umysł, aby przesłać ostrzeżenie w głąb ładu. Wtedy ich poczuła: wijące się macki ciemności, sięgające głęboko, całkowicie przekonane ojej niższości - i o własnym ostatecznym sukcesie.

Sukces... prawie czuła to słowo, gorzko brzmiące w obcych ustach.

Potem strącili dwa ze statków powietrznych, ale kto wie, ile jeszcze ich mają Sithowie? Kto wie, skąd w ogóle je mają? Statki napowietrzne nie były wymienione w Kronikach Keshtah, księdze, która zawierała wszystko, co było wiadome na temat Ciemnej Strony świata. Jeśli Sithowie je mieli, dlaczego nie



używali ich wcześniej? Czy to coś nowego? Czy to jakiś test?

Jeśli tak, to siły Alanciaru go zdały. Znad wody wypaliła kolejna broń, wyrzucając w noc świszczącą strzałę.

- O, tak! Właśnie tak! - wrzeszczał Jogan. - Zabierz ją ze sobą do domu!

Quarra nagle podniosła wzrok.

- Dom! - jęknęła i rzuciła się do wnętrza latami.

Natychmiast uderzyła w coś twardego. Zgodnie z ogólnymi rozkazami zgasili wszystkie światła w pomieszczeniu, a ona zapomniała, gdzie znajduje się roboczy pulpit Jogana. Teraz leżał

na niej - a może ona na nim. Przetoczyła się, usiłując wypłatać nogę. Stylusy Jogana wysunęły się z uchwytów i z brzękiem upadły na podłogę obok niej. Zakłęła, ale jej głos utonął w huku kolejnej salwy z przeciwległego Brzegu.

Na zewnątrz Jogan wrzeszczał dalej:

- Niech ich szlag! Niech ich szlag!

Quarra pomyślała to samo. Zaciśnęła zęby i kopniakiem odrzuciła stół. Na czworakach minęła rozsypane przedmioty, potem wstała i pobiegła w stronę schodów.

- Quarra, musisz to zobaczyć! - przywołał ją Jogan.

Wsadził głowę do środka i zobaczył już tylko, jak kobieta znika w ciemnej dziurze klatki schodowej.

- Quarra?

Gondola dygotała w ciemności.

- Szybciej, dumie!

Teraz już wszyscy pasażerowie „Candry” pracowali, wyrzucając zapasy za burtę w desperackiej nadziei zwiększenia choć trochę odległości pomiędzy statkiem a balistami na dole.

Edell zauważył, że fortyfikacje otaczające wybrzeże są najeżone bronią - ale taką o ograniczonym zasięgu. Aby uniknąć ognistej klęski, Sithowie mogą pozbyć się zapasów.

Ale Plemię musiało wiedzieć, co się święci.

- Taymor! Wyślij alarm! - polecił.

Obejrzał się i kątem oka zobaczył klęczącą telepatkę. Nie mogła się skoncentrować, bo „Candra” kołysała się gwałtownie pomimo szaleńczych wysiłków uvaków. Kobieta trzymała się konstrukcji gondoli jedną ręką - i nagle wrzasnęła, kiedy spod jej stóp wytrysnął biały gejzer, rozrywając na części i ją, i podłogę z hejarbo.

Edell wytrzeszczył oczy, patrząc na śmierć Taymor. „Candra” znów się zachwiała i musiał

przeskoczyć na drugą stronę nowej dziury, aby sprawdzić, co zostało z jasnowidzącej. Stwierdził, że Taymor już nie da się uratować - została trafiona dziesiątkami lśniących, ostrych kamieni.

Otworzył ze zdumienia usta, kiedy rozpoznał, co to takiego.

Diamenty!

Koło niego z wrzaskiem przeleciał uvak, wznosząc się w nocne niebo za „Candrą”. Edell pomyślał, że to jedno z jego kwiczących stworzeń wyrwało się na wolność... dopóki uvak nie zawrócił w powietrzu, ruszając w pogoń. Nie było mowy o pomyłce: to on był źródłem śmiertelnych strzałów. Teraz się zbliżał, Edell widział w mroku jeźdźca Keshiri, przykładającego do ramienia długą tubę.

- Uwaga!

Edell rzucił się z powrotem na drugą stronę otworu, a za jego plecami rozległ się mechaniczny trzask. W górę uniosła się chmura lśniących kamieni - niektóre przebiły rufę gondoli, inne ze świstem znikły gdzieś w górze. Na dole uvak z „Candry”, który do tej pory nie przestawał

wrzeszczeć, umilkł nagle.

Kapitan obserwował, jak napastnik wznosi się w górę. Zaraz dołączyli do niego dwaj inni, podobnie uzbrojeni. Edell wytrzeszczył oczy. Keshiri mieli siły powietrzne!

Quarra zbiegała w dół, przeskakując po dwa stopnie. Wreszcie niecierpliwie przesadziła poręcz i znikła w ciemności.

Wylądowała bezpiecznie na klepisku wieży - przynajmniej w tym Moc jej pomogła - i rzuciła się do kuchni, nawet nie pamiętając, czego szuka.

Jogan szybko zbiegł za nią po schodach.

- Quarra!

- Muszę jechać! - krzyknęła, bez opamiętania miotając się od jednego pomieszczenia do drugiego. - Gdzie mój bagaż? Potrzebuję go! Zaraz!

Jogan zaintrygowany obserwował ze swojego stanowiska na schodach, jak Quarra gorączkowo biega w tę i z powrotem. Wskazał jej miejsce na podłodze przed dwiema sypialniami.

Quarra pomacała w ciemności w poszukiwaniu torby i szarpnęła za uchwyt. Materiał

rozerwał się z głośnym trzaskiem, stopa jej uwięzła i kobieta znów upadła na podłogę z łomotem. Z rozdartej torby wysypały się ubrania.

Kolejny huk dobiegł z zewnątrz. Jogan spojrzął w górę, rozdarty pomiędzy chęcią popatrzenia na zniszczenie odwiecznych najeźdźców a pomocą rozgorączkowanej kobiecie, która macała w ciemności w poszukiwaniu swoich ubrań. Nie czekał długo z decyzją. Zeskoczył ze schodów i znalazł Quarę na klęczkach, daremnie usiłującą wcisnąć cokolwiek do torby, która już torbą nie była. Ukląkł obok niej.

- Quarra, nie musisz uciekać! Wysłaliśmy wieści. Jesteśmy tu bezpieczni.

- To ty jesteś bezpieczny - syknęła, szukając po omacku ostatniej sztuki bielizny. Spojrzała w górę i zauważyła ją w ręku zaskoczonego oficera sygnalizacyjnego. - Ja nie jestem bezpieczna...

bo mnie tu oficjalnie nie ma!

Spojrzał na nią zdumiony.

- Co masz na myśli?

Wyrwała ciuszek z jego ręki.

- Mój mąż myśli, że w tej chwili zwiedzam Północne Zbocze!

- Mam niewielkie doświadczenie. Czy tak się nazywa to, co właśnie robiliśmy?

Spojrzała na niego ostro, żeby go upewnić, że wcale jej nie jest do śmiechu. Na zewnątrz kolejny głuchy trzask. Obwieścił dalsze problemy dla atakujących Sithów.

Jogan patrzył, jak kobieta zwija to, co zostało z torby.

- Przecież mówiłaś, że Brue nie jest wojskowym - wytknął jej. - Nie sądzę, aby się dowiedział.

Przyciskając torbę do piersi, odwróciła się i chwyciła Jogana za rękę.

- Joganie - mówiła szybko, niecierpliwie - spotkanie z tobą to jedna z najlepszych rzeczy, jakie mi się w życiu zdarzyły. Jesteś bardzo uczciwym i pełnym nadziei człowiekiem. - Ścisnęła jego dłonie jeszcze mocniej. - Ale to, co się dzieje tam, na zewnątrz, to największe wydarzenie w historii, a ty i ja oglądaliśmy je z balkonu! I to ja wysłałam myśłosygnal!

Puściła rękę Jogana i wyprostowała się.

- Wkrótce będzie tu całe mnóstwo ludzi! - zawołała zdenerwowana. - I wszyscy na Kesh się dowiedzą, kto tu był w chwili ataku Sithów. Nie mogę tu zostać!

- To nieważne...

- Daj spokój!

Jogan wstał.

- Quarro, jeśli władze cię tu przysłały, to i tak wiedzą już, gdzie jesteś...

- Ale właśnie o to chodzi! Nikt mnie nie wysłał! - Wyminęła go i ruszyła w stronę drzwi.

Obejrzała się i popatrzyła błagalnie, oświetlona jedynie słabym światłem z zewnątrz. - Sama napisałam sobie pismo z przeniesieniem. I pożyczylam pieczęć nadzorcy delegacji, żeby ją zatwierdzić.

- Mogłaś to zrobić?

- Nie bardzo! Pomogło mi to, że on ma siedemdziesiąt siedem lat i zbyt dobre znajomości, żeby zostać zesłany do pracy... bo ja wiem, w fabryce szkła!

- Nie było rozkazu zwolnienia dla Belmera?

Belmer! Myślała gorączkowo. Nie, nie powiedziała Belmerowi, myślowołączowi, kim jest.

A on z pewnością nie zamierza tu teraz wracać... może zatrzymały go oddziały na Przesmyku Garrowa? Pomyślała znów o kapitanie i jego strzelcach. Czy zapamiętał jej nazwisko? Oni też w każdej chwili mogą się tu pojawić. Jak ma ich wyminąć?

- Muszę uciekać! - jęknęła i pobiegła w kierunku drzwi.

- Mechanizm wznoszenia uszkodzony!

Ostrzeżenie Peppin nie było zaskoczeniem dla Edella. Wodór z sykiem uciekał przez dziury w powłoce. Niedobrze, pomyślał, choć atakujący go jeźdźcy - było ich teraz trzech - nie byli przynajmniej uzbrojeni w ogniste strzały, które zabiły jego towarzyszy. „Candra” jednak dalej opadała i wkrótce znajdzie się w zasięgu strzałów z balist. Nie miał wyboru. Muszą opróżnić balon... zanim zrobi to ktoś inny.

Przepchnął się do przodu. Gdzieś tutaj musi być zawór, który powoli opróżni powłokę.

Gdzieś musi być - ale czy starczy mu czasu? Na zewnątrz jeźdźcy uwaków zawrócili do kolejnego ataku.

- Wojownicy na sterburcie i bakburcie! Przygotujcie się do odbicia ognia! - krzyknął. - Nie mieczami! Użyjcie Mocy!

Nie było czasu sprawdzać, czy włączenie miecza świetlnego spowoduje eksplozję, czy nie.

Dwa uvaki zaatakowały z obu stron. Ich jeźdźcy wypuścili w noc kolejne chmury lśniących kamieni. Zanim jednak Sithowie zdążyli zrobić cokolwiek, aby zablokować ich grad, pojawił się trzeci jeździec - i zanurkował jak strzała w kierunku gondoli.

Przednia jej część załamała się pod impetem

samobójczego ataku, miażdżąc drewnianą figurę Candry Kitai wraz z resztą dziobu. Dwaj członkowie załogi zginęli na miejscu. Edell chwycił

się poręczy na śródkręciu w chwili, kiedy przednie rzemienie pękły. To, co zostało z gondoli, zwisało teraz, utrzymywane pod opróżniającym się balonem tylko przez tylne przewody. Kolejny wojownik i ambasador Keshiri znikli w ciemności.

To, co pozostało z „Candry”, poleciało na dół. Balon gwałtownie huśtał wiszącymi pod koszem ofiarami. Edell widział wirujące twarze, dłonie wczepione desperacko w strzepy lin. Za plecami usłyszał głośnie gwizdy, z każdą sekundą bardziej przeraźliwe. Krzyknął do załogi, aby skakali do morza - i sam także w końcu skoczył, opuszczając swoje marzenie w eksplozji żaru.

Fale rozbijały się o najbardziej wysunięty na południe półwysep, a na północy nadal szalał

chaos. Strzelcy z Sześciu Szponów strzelali w niebo bez opamiętania, szukając ostatniego statku.

Jogan stał w otwartej bramie, trzymając samopowtarzalną balistę. Taka wygodna konstrukcja z twardego drewna i mocno napiętych elastycznych pasów była standardową bronią na froncie.

Długo wyczekiwana wojna wreszcie przenosiła się z wybrzeża na północ. Quarra krążyła po dziedzińcu, rozglądając się na wszystkie strony. Podarta torba leżała porzucona na ziemi.

- Quarra, co się dzieje? - zapytał Jogan, podchodząc do niej.

- Mój muntok! - zawołała, machając kawałkiem skózanego rzemienia. - Przeklęte bydlę przegryzło uzdę i zwiąło!

Jogan przykląkł i przyjrzał się śladom na fioletowym piasku.

- Eksplozje go wystraszyły. Możesz go zawołać?  
- Mogłabym, gdybym znała jego imię. Wypożyczyłam go z korralu w Tandry!  
- Nie zapytałaś, jak się nazywa?  
- Miałam go potrzebować tylko przez chwilę. Czy muszę znać wszystkie wynajmowane muntoki po imieniu?  
Spojrzał na nią zaskoczony.  
- Twoim zadaniem jest utrzymywanie organizacji w Uhrar?

- Wybacz, to mój pierwszy romans!  
Odwrociła się, aby coś dopowiedzieć, kiedy poczuła drgnienie w Mocy. Wyczuła ciężar spadający na Jogana, zanim go jeszcze zobaczyła, więc sięgnęła w Moc, by odepchnąć go telekinezą.

Za późno! Jakieś cielsko uderzyło w piaszczystą powierzchnię, bezładnie wymachując kończynami. Quarra, którą wstrząs rzucił na ziemię, zerwała się - i spojrzała wprost w martwe oko olbrzyma.

- Uvak! - krzyknęła, po omacku szukając drogi, by ominąć stwora. - Jogan! Wszystko w porządku?

Za jej plecami, na północnym wschodzie, poniósł się nad wybrzeżem huk eksplozji ostatniego balonu. Quarra nie zwracała na to uwagi. Szukała wokół potężnego cielska, dopóki nie znalazła Jogana, przygwożdżonego do ziemi ciężkim ogonem zwierzęcia.

Jego fioletową twarz oświetliła eksplozja. Podniósł wzrok, oszołomiony. Z ust ciekła mu krew.

- Chyba znalazłem twoje zwierzątko - odezwał się, pokastując. - Ale myślałem... mówiłaś, że wynajęłaś muntoka... a nie uvaka...

## ROZDZIAŁ 5

Chmury się rozeszły i słońce znów odbiło się od szklanych iglic Tahv. Edell wstąpił na marmurowe schody wiodące do rezydencji - sam. Nie powitała go eskorta. Jego przybycia nie uczczono paradą.

Wewnątrz, w atrium, gdzie ćwierć wieku temu walczyły trzy wielkie frakcje, czekało zgodnie współdziałające Plemię. Lordowie i Miecze tłoczyli się nad kopią tajnej mapy Korsina, rozłożonej jak ogromny stół pośrodku Sali. Edell oglądał ją wiele razy, planując podróż - tę podróż, którą właśnie zakończył.

- Lordowie i Miecze, powróciłem! - oznajmił.

Nikt przy stole nie zareagował. Zawołał jeszcze raz. I jeszcze raz.

Wreszcie Lordowie wysłali jakiegoś dzieciaka. Nawet nie ucznia, zwykłego Tyro, trzy razy młodszego od Edella. Młodziak chichotał.

- Czego chcesz? - zapytał.

- Mam wieści - odparł Edell, prostując się. - Byłem na nowym kontynencie i wracam w chwale.

- A czym właściwie się chwalisz?

- Doprowadziłem nas tam. Dowiodłem, że kontynent istnieje.

- Stara historia - odparł chłopak, nie przestając się szczerzyć. - Teraz zamierzamy go podbić.

Pomiędzy Lordami, stojącymi plecami do niego, nagle zrobiła się wyrwa. Edell zauważył, że mapa jest pokryta dziesiątkami markerów, oznaczających siły Sithów i statki



powietrzne, które je przenoszą.

Zmarszczył brwi.

- Nie oczekiwałem, że napadniecie ich tak szybko.

Tyro nie odpowiedział.

- Bardzo dobrze - rzekł Edell, podchodząc bliżej. - Gotów jestem udzielić rad...

- Nie ma potrzeby - Tyro włączył miecz świetlny, blokując mu drogę. Prześwit między planującymi zamknął się i Edell nie mógł już widzieć mapy.

- Tu jest moje miejsce - zaprotestował. - Potwierdziłem, że kontynent istnieje!

- I co z tego? Ktoś i tak by to zrobił.

- Wynalazłem statki powietrzne!

- Możemy je budować bez ciebie.

- Ale ja jestem Arcylordem Plemienia Sithów...

- Prawdziwy Sith coś by z tym zrobił - odparł Tyro. - A nie tylko rozglądał się wokoło.

Jesteś majsterklepką, niczym więcej. - Dwaj potężni strażnicy, których do tej pory nie widział, chwycili Edella od tyłu.

- Wyrzucić go. To nie jego miejsce.

Edell jęknął i otworzył oczy. Była noc. Zaciskając w garści mokry piasek, wymiotował morską wodą.

Zastanawiał się, jak długo był nieprzytomny, skoro zdażył śnić? Wydawało się, że bardzo długo - a jednak nie mogło to być więcej niż kilka minut. Spoglądając na zachód wzdłuż najeżonego skałami wybrzeża, zobaczył czterech swoich towarzyszy, również leżących na piasku lub czołgających się z wody. Kilometr dalej na północny wschód na wodzie wciąż unosiły się płonące szczątki „Candry”. On i jego towarzysze spadli dokładnie na północ od stacji sygnalizacyjnej. Balon poniósł resztki gondoli dalej na wschód. Zmrużył oczy i zobaczył krążącego nad szczątkami uvaka. Na północnym

nabrzeżu poruszały się światła.

Nie wiedzą jeszcze, że tu jesteście, pomyślał Edell. Mamy szansę.

Wstał chwiejnie. Był posiniaczony i przemoczony, ale poza tym nieuszkodzony. Chwiejnie przeszedł kilka kroków w stronę pozostałych, którzy ocaleli. Była tam Peppin, opiekunka uvaków, Ulbrick i Janns, dwaj wojownicy, i jeden Keshiri, którego imię nie miało znaczenia. Wraz z Edellem było ich pięcioro. Tyle tylko pozostało z trzydziestoosobowej grupy.

- Na górę! - rozkazał, wskazując kamieniste zbocze. Nad nim, na zachodnim szczycie, stała smukła biała wieża otoczona wysokim murem. Schronienie czy kolejni wrogowie? Nie wiedział, ale ten kompleks był mniejszy niż na północnym półwyspie, a jeśli ktokolwiek strzelał stamtąd pociskami, nie robił tego teraz. - Nie używajcie mieczy świetlnych - polecił szeptem. Ciemność zawsze była przyjazna Sithom, a teraz szczególnie.

Wojownicy dotarli na szczyt jako pierwsi. Edell usłyszał głośny trzask.

- Arcylordzie!

Wspiął się na górę i zobaczył, że Ulbrick leży na ziemi i uciska krwawiącą obficie ranę na udzie. Kilkanaście metrów dalej, za zwłokami uvaka klęczała keshirska kobieta i strzelała lśniącymi kamykami z dziwacznej broni. Strzały o włos minęły Jannsa, który schronił się za zrujnowaną chatą. Edell usłyszał, jak pociski rozbijają się o nią. To jest szkło, zrozumiał. Jak te małe ostrza shikkar. A sądząc po ranie Ulbricka, jeszcze bardziej niebezpieczne.

Kobieta spostrzegła Edella i wycelowwała w niego. Arcylord odskoczył w samą porę. Ile jeszcze pocisków ma w swojej broni? Nie chciał sprawdzać. Opadł na ziemię i odpowiedział na ogień Keshiri, ciskając w nią piaskiem. Kobieta była na to przygotowana, ale jej broń chyba się zacięła. Edell sięgnął po shikkar przy pasie...

...gdy nagle odepchnęła go niewidzialna siła. Upadł, upuszczając broń. Kobieta była przy nożu w pół sekundy, chwyciła go i rzuciła się na niego. Przytrzymała ją za ramię - i wtedy zobaczył

jej oczy. Większe, szerzej rozstawione niż u Keshirich, pełne strachu i gniewu.

Czerpiąc siłę z tych uczuć, odepchnął ją mocno. Kobieta poleciała w tył, wypuszczając sztylet z ręki. Kiedy wylądowała, stwierdziła, że pochylają się nad nią Peppin i Janns. Sithańskie ręce w rękawicach złapały ją i przycisnęły do ziemi.

Edell podszedł do napastniczki. Kobieta wyglądała na mniej więcej równą mu wiekiem.

Miała na sobie kamizelkę ze skóry, jakiej nigdy wcześniej nie widział, wyglądającą prawie jak zbroja. Rozpoznał też martwego uvaka za jej plecami - była to nieszczęsna Sterburta z „Candry”.

Obok niej leżał ranny mężczyzna keshirski, ubrany podobnie jak kobieta, ale miał jeszcze płaszcz owinięty wokół ciała.

Edell spojrział na wieżę za murem. Czy ktoś widział tę potyczkę? Skinął na ocalałego ambasadora Keshiri, aby zajął się Ulbrickiem.

- A ja zajmę się tym tutaj - oznajmił, wyjmując swój shikkar i podchodząc do rannego mężczyzny.

- Nie ruszaj go, brudny Sithu!

Wytrzeszczyli oczy na uwięzioną kobietę. Edell wyjąkał:

- Co... coś ty powiedziała?

Wyrывая się z całej siły, prychnęła:

- Powiedziałam, żebyś go nie dotykał, ty...

- Słyszałem, co powiedziałaś - odparł Edell, nakazując Peppin, aby zatkała kobiecie usta. -

Jestem po prostu zaskoczony.

Nikt nie wiedział, jakiego języka oczekiwać od tubylców z ukrytego kontynentu. Edell spodziewał się, że w najlepszym

przypadku będzie to jakiś starożytny dialekt keshirski. Gdyby istniała jakakolwiek wymiana pomiędzy obiema kulturami... Jego ambasador znał wiele odmian tego języka. Ale język, którym mówiła ta kobieta, choć z wyraźnym akcentem, był tym samym, który załoga „Omenu” przyniosła na Kesh!

Srebrnowłosa kobieta, już spokojniejsza, spojrzała na Peppin i znów przemówiła w tym języku:

- Chcesz mnie uwolnić.

Peppin wytrzeszczyła oczy.

- O nie, nie powiesz mi chyba...

- Ależ tak - odparł Edell, a jego złote oczy napęłniły się zachwytem. - Miałem rację.

Myślałem o tym już nad oceanem, a potem znowu, kiedy zobaczyłem, jak walczyła. Ci Keshiri wiedzą, jak używać Mocy. A już ta tutaj... na pewno. - Spojrzał na dziwną, drewnianą broń leżącą na piasku. - Mają czym walczyć.

- Przygotowaliśmy się na was - odparła uwięziona, wciąż przyciśnięta do piasku.

- Przygotowaliście się na nas? A skąd w ogóle o nas wiecie? - Edell spojrzał na majaczącą w mroku ścianę kompleksu. - Kto jeszcze tam jest?

- Cały oddział!

Prychnął pogardliwie.

- Kłamiesz.

Wreszcie jakiś przełom. Tutejsi Keshiri może i potrafili używać Mocy, ale ta kobieta nie miała nawet porządnych osłon mentalnych. A to dobrze wróżyło.

- Nazywasz się... Quarra, jeśli się nie mylę. I jesteś tu sama.

Quarra zmroziła go wzrokiem... i zadrzała. Leżący obok jej keshirski towarzysz zakasłał i ocknął się. Powędrowała wzrokiem w jego kierunku.

- Nie chcesz, żeby umarł - oznajmił Edell. - Świetnie. Może mi się to przydać. Zabrać ich oboje do wieży. Szybko.

- Uważajcie na niego! - zawołała. - Wasz przeklęty uwak wylądował na nim i połamał mu żebra.

- Sami ściągnęliście na siebie to stworzenie. - Strzelił palcami. - Ale ściągniecie na siebie jeszcze gorsze rzeczy.

- Nie sędzę - odparła Quarra, kiedy Sithowie brutalnie postawili ją na nogi. - Widzieliście, co się tam stało. Nigdy nie przedrzecie się przez naszą obronę.

- O, myślę, że raczej się nam uda. - Edell wskazał na otwór w ścianie kompleksu. -

Zostawiłaś dla nas otwartą bramę, widzisz?

Uznał, że potrzeba aż dwóch ludzi, aby przenieść potężnego obrońcę, i nagle przypomniał

sobie o własnym rannym wojowniku. Ofiara Quarry wspierała się ciężko na ramieniu keshirskiego pomocnika Edella. Zaimprovizowany bandaż wokół prawej nogi Ulbricka był przesiąknięty krwią.

- Jaki jest jego stan... eee... jak ci na imię?

- Jestem Tellpah, o panie - odparł uczony Keshiri. - Miecz Ulbrick ma w nodze wiele odłamków.

- Będzie trzeba się teraz szybko poruszać. Da radę iść?

Ulbrick zacisnął zęby z bólu.

- Chyba nie, Arcylordzie - odpowiedział. - Nie dam rady.

Edell spojrział na wojownika, a potem na Quarę. Uśmiechnął się do niej i jednym ruchem zapalając miecz, z czerwonym błyskiem ostrza ściął Ulbrickowi głowę. Tellpah cofnął się przed ciosem, który nie był przeznaczony dla niego, ale trudno było mu uniknąć zachłapania krwią.

- Ukryj ciało - polecił mu Edell, wyłączając broń. Miejsce było osłonięte od strony nabrzeża, więc nikt zapewne nie widział tej sceny, poza zaproszonymi widzami.

Quarra patrzyła na to przejęta grozą.

- Przecież to był twój człowiek!

- Tak - odparł łagodnie i przeszedł przez bramę. - Nie zapominaj o tym.

Spojrzał przez ramię na trójkę pozostałych.

- Połóżcie go na dole w wieży. Ja pójdę na górę i się rozejrzę.

- Wkrótce będą tu inni - zauważyła Peppin.

- Więc chodźmy szybko - odparł. - Musimy się dowiedzieć, co się dzieje. Związać tę kobietę i zabrać ją na górę. Może będzie w stanie mi powiedzieć, co tu widzimy.

Miecz świetlny!

Związana, oparta o przewrócony stół roboczy Jogana, Quarra ukradkiem zerknęła na przywódcę Sithów przetrząsającego pomieszczenie - i na krótką rękojeść przypiętą do jego pasa, łagodnie odbijającą światło lampy, którą trzymał. Opis mieczy świetlnych zawierały Kroniki Keshtah; chodziły nawet słuchy, że jeden zachował się w Alanciarze, przywieziony dawno temu przez Zwiastunkę. Jeśli jednak w ogóle istniał, był zapewne ukryty w najtajniejszych archiwach, w ziemi, pogrzebany głęboko obok głównej siedziby Gabinetu Wojennego w Sus'mintri. Quarra zastanawiała się, czy tamten wciąż działa tak, jak broń tego człowieka: magiczny słup energii, który nie rozpada się w kontakcie z innym przedmiotem.

Z pewnością to Sithowie byli legendarnymi Destruktorami. Albo ich sługami. Albo ich dziełem. Kroniki opisywały także ludzi, ale nic jej nie przygotowało na różnice między nimi. Na taką różnorodność odcieni skóry i włosów w porównaniu z fioletowymi Keshiri. Trudno było uwierzyć, że Edell, o włosach barwy słońca, należał do tej samej rasy co kobieta Peppin i jej szokująco czerwona czupryna. Nie byli nieatrakcyjni, jak na potwory, ale Kroniki ostrzegały Alanciari także przed tym.

Przywódca Sithów niecierpliwie pochylił się nad swoim asystentem.

- Znalazłeś coś, Tellpah?

- Nie, Arcylordzie - odparł starszy mężczyzna,

przerzucając notatki leżące na podłodze niedaleko Quarry. Tellpah najbardziej ją irytował. Był Keshiri, a jednak nie całkiem. Miał niższe czoło i węższą twarz. Nie jak odległa gałąź drzewa genealogicznego Keshiri, ale jakby odłamana z tego drzewa. Czy ci ludzie pochodzą z różnych miejsc, że tak różnią się od siebie?

A w ogóle dlaczego Keshiri jest tutaj i pomaga Sithom, którzy go zniewolili?

- Nie musisz ich słuchać, Tellpah - szepnęła. - Tu Keshiri są wolni!

Spojrzał na nią tępo, jakby nic nie rozumiał.

- Nie zwracaj na nią uwagi - warknął Edell. - Muszę wiedzieć, jaki wysłać sygnał!

Quarra się uśmiechnęła. Odkąd weszli na latarnię, Edell chodził od balkonu do balkonu, obserwując nocny krajobraz. Wyraźnie go irytowało, że widzi tylko czerń oceanu na zachód i na południe, i uzbrojonych strażników na nabrzeżu od północy. A wzdłuż półwyspu na wschodzie, przed bramami fortecy przy Przesmyku Garrowa zbierały się wojska, szykując się do drogi, która prowadziła w ich kierunku. Z tego, co mówił Sith, wynikało, że tam i we wszystkich fortecach na północy zapalono ogniste kule, aby pomóc zbierającym się oddziałom. Pomyślała, że to dobry znak.

Alanciari nie obawiali się już, że przylecą kolejne napowietrzne statki, i szykowali atak.

Jedyne, co wydawało się cieszyć Sitha, to przybycie jeszcze dwóch ludzi, wojowników, którzy widocznie zostali, podobnie jak on, wyrzuceni ze statku. Pojawili się, cali i zdrowi, od strony nabrzeża przy zachodnim krańcu Posterunku Wyzwanie, co zwiększyło liczebność jego grupy do sześciu. Jeśli jednak Edell chciał zapobiec przybyciu oddziałów ze wschodu, miał coraz mniej czasu.

- Sygnał! Tellpah, sygnał!

- Mówiłam już, że znam kod - wtrąciła Quarra.

Edell, stojący przy aparaturze sygnalizacyjnej spojrzął na nią i zaśmiał się ironicznie.

- Chyba nie zaufałbym sygnałowi wysłanemu przez ciebie.

- Twój wybór - odparła. Sprowadził ją na górę, bo uznał, że uwięzienie Jogana zmusi ją do współpracy. Ale nawet mając zakładnika, Sithowie pozostali podejrzliwi.

Edell przeszedł z powrotem do latarni i gniewnie spojrzął na statyw z cylindrami sygnalizacyjnymi. Gwałtownym impulsem Mocy rzucił nim o kamienną ścianę.

No i bardzo dobrze, pomyślała Quarra. Już pęka.

- Nie pękam - warknął, zwracając się na południe. Przez otwarte drzwi coś tam chyba zobaczył. Wyszedł na zewnątrz. - Tellpah, spójrz tam. Widzisz to, co ja?

Keshirski niewolnik dołączył do swojego pana na balkonie.

- Statek, sir!

Quarra się skrzywiła. Po zachodnim morzu pływały jedynie statki Straży Nadbrzeżnej, ale flota poławiaczy wypuszczała się na rafy koralowe w Południowym Korytarzu. Zabierali potężne kamienne kotwice, aby walczyć z szybkim prądem, i swoimi statkami wyruszali na morze na kilka tygodni. Nie powinni zapuszczać się tak daleko na zachód, wiedziała o tym, ale kapitanowie, którzy nie wyrobili swojej normy owoców morza, często szli na skrót.

- Masz rację - odparł Edell, wskazując na południowy wschód. - Widzisz, gdzie on jest?

Jestem pewien, że nie mogą stamtąd widzieć wieży sygnalizacyjnej tej fortecy obok nas. - Klepnął

Tellpaha po ramieniu. - Szybko, chodźmy. Zabierz ją na dół.

Niewolnik zmusił Quarę do wstania, zaciskając sznur kępujący jej nadgarstki za plecami, i pchnął ją do przodu. Quarra spojrzała na ziewający otwór klatki schodowej - i



dostrzegła szansę.

Łatwo było źle postawić nogę i spaść, skręcając sobie kark. Żaden Alanciari nie powinien pomagać Sithom w ich planach inwazji. Już i tak zbyt wiele zdradziła, ledwo otworzyła usta. Zrobiła krok w powietrze, a jej stopa zawisła nad pustką. Coś trzeba zrobić...

Pomyślała jednak o dzieciach, o domu - i o Joganie, zranionym, a może nawet umierającym na dole. Nie, musiał istnieć powód, dla którego została tu sprowadzona właśnie teraz. Musi mieć nadzieję. Nadciągały posiłki. Jej małżeństwo może nie przetrwać ich przybycia, ale ci krwiożerczy ludzie też nie. Z nową determinacją ruszyła w dół po schodach, a za nią Tellpah i jego pan.

Niedawno przybyli wojownicy wynurzyli się z piwnicy, niosąc sterty ksiąg i zwojów, tak jak przedtem Jogan.

- Archiwa, Arcylordzie! - zameldowali.

- Tutaj? - Edell objął wzrokiem stos pergaminów. - Zabierzcie je, mogą się nam przydać.

Quarra z trudem powstrzymała śmiech. Wyobrażała sobie, co mieści biblioteka Jogana.

Pewnie połowa to opowieści przygodowe albo romanse. Nagle przypomniała sobie o nim i spojrzała w tamtą stronę. Jogan, leżący w swojej kwaterze, jęknął cicho.

Edell pchnął ją w tamtą stronę.

- Nie rozsiadajcie się zbyt wygodnie - ostrzegł.

Jogan z pewnością był od tego daleki. Sithowie rzucili go na podłogę, kompletnie ignorując łóżko. Ale jego twarz nabrała nieco kolorów. Kiedy uvak spadł na niego, doznał szoku; Quarra musiała użyć wszystkich swoich umiejętności w Mocy, żeby go utrzymać przy życiu. Uklękła teraz przy nim. Ręce miała związane z tyłu, więc mogła jedynie pocałować go w posiniaczony policzek.

Rozpoznał ją, choć był półprzytomny.

- Nie tak chciałem zwabić cię do swojej sypialni -

wykrztusił.

- Cicho bądź.

Jogan, słysząc obce głosy na zewnątrz, próbował wstać mimo bólu. Pchnęła go z powrotem na podłogę. Jęknął, wykończony tym wysiłkiem.

- Czy to... Sithowie?

- Tak - szepnęła, ocierając się policzkiem o jego twarz. - Ale chyba nie są specjalnie zadowoleni... Musimy czekać.

- Koniec czekania - oznajmił Edell, stając w drzwiach za nimi. - Aż szkoda przerywać parze zakochanych - prychnął. - Ale znaleźliśmy waszą łódź, więc wybierzemy się na kolejną wycieczkę, wszyscy!

## **ROZDZIAŁ 6**

Chmury się rozdarły i słońce znów rozpałiło szklane iglice Tahv.

- Nie widzę nic, niech to szlag - mruknął starzec, osłaniając oczy. - To całe przekłete szkło nie było dobrym pomysłem!

- Tak jest, Wielki Lordzie! - Poważna Keshiri klasnęła w dłonie, a druga służąca pociągnęła za jedwabny sznur. Na szczycie budynku czujni robotnicy opuścili ciemne zasłony na witrażowe okna kopuły atrium.

- Za gorąco tu - burknął ich pan i otarł nieistniejący pot z pomarszczonego czoła. - Idę do mojego gabinetu.

- Tak, Wielki Lordzie. - Służący z wachlarzami wycofali się z powrotem na swoje miejsca, robiąc mu przejście. Varner Hilts, najwyższy przywódca Zapomnianego Plemienia, skierował się do pokoiku, w którym spędził pół życia. A właściwie czemu nie? Wciąż był zarówno Opiekunem, jak Wielkim Lordem. Pokój należał do niego - tak samo jak wszystkie inne. Jeśli chciał siedzieć przy starym biurku zagrzebany w starożytnych tekstach, i popijać swoją herbatkę, wolno mu było to zrobić.

Ostatnio potrzebował już tylko trochę samotności. Swoje główne zadania, tak jak on je widział, dawno zrealizował. Przywrócił Plemieniu stabilność, a ukochany budynek do dawnej świetności. Pozostały drobiazgi. Osiemdziesięciolatek stracił zainteresowanie codziennym władaniem Plemieniem, tak samo jak wielką misją, na którą wysłał podwładnych ćwierć wieku temu. Miał od tego swoich ludzi.

Jego małżonka, Iliana, w wieku czterdziestu dziewięciu lat wciąż krzepka, miała pełne ręce roboty z politykami. Opiekun Wielki Lord wciąż był dla większości szanowaną postacią, ale wśród Sithów nawet bochenek chleba narobiłby sobie wrogów, gdyby go położyć na tronie. Nikt nie był

na tyle pozbawiony szacunku, aby zaatakować go bezpośrednio, ale Hilts nie był taki naiwny, aby sądzić, że zawsze będzie tak samo. Co prawda jeśli jeszcze trochę się zestarzeje, może nie odróżnić ukłucia przeszywającego go ostrza od innych bólów, które go od dawna nękały.

Władcy są jednak twórcami tradycji - a tu Hilts znalazł niezwykle perspektywy, dzięki którym rano chciało mu się wstawać. Minęło ćwierć wieku od ostatniego czytania Testamentu Yaru Korsina w Tahv, więc nadszedł czas, aby znów to uczynić. Skoro jednak zniszczono starożytne urządzenie rejestrujące, widmowy Korsin już nigdy nie będzie mógł przekazać swoich treści na głos. Pomimo szkód w archiwach, jakie wyrządziły zamieszki Wielkiego Kryzysu, tekst Testamentu wciąż istniał. Biblioteki w Orreg i Elvamos uniknęły całkowitego zniszczenia, a oprócz tego Hilts tak naprawdę znał Testament na pamięć. Serce jednak - wciąż po tylu latach dość silne -

podpowiadało mu, że ostatnie słowa umierającego Korsina nie były już odpowiednie ani dla tej chwili, ani dla jego ludu.

Hilts z grupą skrybów zaczęli zatem pracować nad nowym przemówieniem. Częściowo miał

to być manifest, przypominający słuchaczom, co oznacza bycie Sithem, a częściowo dokument prawny, na nowo definiujący hierarchię Arcylordów, Lordów i Mieczy i potwierdzający praktyki dotyczące sukcesji. Ale główną częścią przekazu i tym, co najbardziej ekscytowało sędziwego władcę, był rozdział wywodzący pochodzenie ludzi z Kesh od samych tapanńskich członków Rodu Nidantha. Dla Hiltsa było to

ukoronowanie dzieła jego życia, większe nawet niż tytuł Wielkiego Lorda.

Wkrótce po rozpoczęciu Odrodzenia Hiltsa Wielki Lord oraz inni badacze rozpoczęli wstawianie do tekstu uchwał wszystkiego, co niedawno odkryli, od fragmentów rozkazów Nagi Sadowa aż do przesłania Takary Korsin do jej syna. W dawnych oryginalnych zapiskach, ocalonych z „Omenu”, znajdowały się zastanawiające teksty - teraz dopiero nabrały one sensu. Ludzie z Plemienia liczyli się w galaktycznej układance - i, co dziwniejsze, byli ludem znacznie starszym niż inni Sithowie.

Dzięki stylusom pisarzy Keshiri, bardziej elokwentnych od niego, to, co początkowo było jedyne relacją z wydarzeń, stało się poezją, której celem było napełnienie Plemienia dumą.

Niedopuszczeni do panowania w sektorze tapaniskim, członkowie Rodu Nidantha ruszyli, żeby znaleźć nowe, lepsze przeznaczenie - a wtedy zostali schwytani w pułapkę i zniewoleni przez Sithów z Kotłów Stygiańskich. Przodkowie Plemienia nie chcieli jednak trwać w poniżeniu, zwłaszcza po tym, kiedy zapoznali się z filozofią Sithów i działaniem Ciemnej Strony Mocy. A więc przybycie załogi „Omenu” na Kesh było dokładnie tak samo przypadkowe, jak przybycie ich tapaniskich przodków do przestrzeni Sithów - ale w gruncie rzeczy nic nie działało się przypadkiem.

Pierwsze lata na Kesh przyniosły wielkie zmiany - ludzie stali się władcami i właścicielami niewolników, a Czerwoni Sithowie zostali zlikwidowani szybko i przykładowo. Gdyby jeszcze zbiegowie tapaniscy wiedzieli coś o Mocy, gdy przybyli do Kotłów Stygiańskich! Jakże inaczej mogłaby potoczyć się historia!

Nieważne: teraz Plemię tworzyło własną historię. Cokolwiek stało się z Nagą Sadowem i jego plemieniem w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat, ludzie, którzy kiedyś opuszczą Kesh, będą niezależni. Nowi Sithowie, zrodzeni ze

starego ludu. Hiltsa kusilo, aby użyć swojego Prawdziwego Testamentu i publicznie nazwać członków Plemienia Nidanthanami, ale zmienił zdanie. Może i zaczęli jako część międzygwiazdowego targu, ale o ich tożsamości stanowi teraz to, co zrobili od czasu przybycia.

Wiele lat temu określenie „Zapomniane Plemię” miało w sobie wydźwięk klęski. Teraz te słowa przypominały o wszystkim, co osiągnęli. Zaginione i zapomniane Plemię znalazło tak wiele.

- Dobrze - rzekł Hilts, unosząc szeleszczący pergamin bladymi dłońmi. - Całkiem dobrze.

Odłożył stronicę na jedyną poziomą powierzchnię. Szkoda, że nie ma cię tu teraz, Jaye.

Zawsze lubiłeś moje opowieści.

- Varnerze, wyglądasz jak gorszy koniec uvaka!

- Co?

- Nie rozumiem cię - narzekwała Iliana Hilts, która właśnie wpadła do pokoju. Miała na sobie satynową suknię, ciężką od klejnotów. Rudowłosa kobieta uszczypnęła męża w policzek i zmarszczyła brwi. - Sprowadzamy dla ciebie najlepszych specjalistów od skóry...

- Wygnałem ich z królestwa - odparł, pocierając szczękę. - Chcieli mi zasadzić drzewa w porach na nosie.

- To tylko organiczne sprawy, Varnerze. Oni są ekspertami. Dbają o wszystkich najważniejszych ludzi.

- Cóż, teraz dbają o lodowce.

Poklepała go po głowie i wyprostowała mu kołnierz.

- Czy poza bezlitosnego władcy bawi Keshirich? Bo na mnie nie działa.

- Na ciebie nic nie działa, moja droga - uśmiechnął się do niej garniturem ceramicznych zębów. - To jedna z prawd, które trzymają mnie przy zdrowych zmysłach.

Nigdy nie umiał zgadnąć, czy Iliana go kocha, czy nienawidzi. Ale po tych wszystkich latach nie miało to

wielkiego znaczenia. Było im dobrze ze sobą. Wątpił, czy wiele par na Kesh może powiedzieć to samo o sobie. Oczywiście, trzeba było aż śmiertelnego zagrożenia, aby uświadomić im wspólny interes. Nie mógł walczyć sam, a ona, jako małżonka, będzie mogła żyć tylko tak długo jak on. Ale może właśnie tego potrzeba było w związkach Sithów.

- Wstawaj - poleciła i pociągnęła jego rozklekotane krzesło w tył tak gwałtownie, że omal z niego nie spadł. - Jesteś potrzebny w sali tronowej.

- Znowu? Wolałbym wylizać podłogę - skrzywił się i wskazał prawie ukończony traktat na biurku. - Jestem potrzebny tutaj. I tutaj jest ze mnie pożytek.

Iliana westchnęła.

- To tylko słowa. - Wsunęła mu dłonie pod pachy i zmusiła go do wstania. - Tylko dla nich żyjesz, prawda? Zawsze byłeś kiepskim Sithem. Gdzie twoja wściekłość, twoja zazdrość?

- Wściekam się za każdym razem, kiedy spojrzę w lustro. I zazdroszczę każdemu, kto ma mniej niż siedemdziesiątkę.

Wyprostowała tunikę i przygryzła wargę.

- Musi ci to wystarczyć. Arcylord Korsin Bentado prosi o audiencję.

Hilts jęknął.

- Wiedziałem, że żyję za długo - jęknął Hilts i spojrzał z przygnębieniem na pergamin.

Nigdy tego nie skończy w tym tempie. - Odeślij go.

- Byłabym najszczęśliwsza, gdybym mogła to zrobić - odparła, wznosząc oczy ku niebu. -

Ale to ty postawiłeś go na czele sił inwazyjnych.

- Niby po co miałbym to robić?

- Bo ci kazałam. Zajęty Bentado jest lepszy, niż Bentado kręcący się bez celu i szukający nowych bogów. - Wzruszyła ramionami. - Ale głównie dlatego, że ci kazałam.

- Bentado - mruknął niechętnie. Od widoku tego człowieka bolały go zęby. - Edell Vrai to jest dopiero sprytny człowiek.

- Ale to ty wysłałeś go na ekspedycję, Varnerze - odparła, popychając go w kierunku drzwi.

- No, chodź już. Wszystko inne mogę za ciebie robić i robię, ale nie to!

- Błogosławieństwo Ciemnej Strony dla twojej rodziny, Wielki Lordzie! - rzekł Korsin Bentado.

Hilts, siedzący w fotelu kapitana z „Omenu”, wymamrotał niezrozumiałą odpowiedź. Czy Ciemna Strona cokolwiek błogosławi? Co za kretyn...

- Jak zawsze zaszczytem są dla mnie odwiedziny w tym miejscu, najświętszym ze świątyn w Tahv - mówił Bentado, gestykulując jedyną pozostałą ręką. Yaru Korsin zmarł, zanim zdążył tu urządzić chociaż jedną audiencję, i długa, wysoko sklepiona komnata była zamknięta, dopóki Hilts jej nie otworzył. Bentado paplał dalej: - Stałem na zewnątrz w zachwycie, podziwiając szklane iglice. To potwierdza wszystko, co mówiłem. Odrodzenie Hiltsa na Kesh dopiero się zaczyna, ale sięgnie do gwiazd, gdzie pewnego dnia przywrócisz nam jedyne właściwe miejsce!

- Dobra, dobra.

Arcylord Bentado powoli przedefilował przed ośmioma wojownikami Sithów, ubranymi, jak i on, w czarną skórę. Bentado zbliżał się już do pięćdziesiątki, ale wyglądał tak samo jak za czasów młodości, łysy, ale o czarnych, krzaczastych brwiach. Hilts podejrzał, że „specjaliści”

Iliany mieli z nim wiele roboty. Co za facet farbując sobie brwi?

- Wieści, na które czekaliśmy od lat, wreszcie nadeszły - stwierdził Bentado. - Klocek!

Bentado odwrócił się do drzwi, w których pojawił się garbaty Keshiri z listem w ręku.



Iliana, która stała tuż za Wielkim Lordem, wzniosła oczy ku niebu.

- No tak - szepnęła w zwiędłe ucho męża. - Teraz wiadomo, dlaczego musieliśmy czekać aż tyle lat.

- Cicho - odparł Hilts, próbując powstrzymać śmiech. Pięć lat temu był to ich prywatny żart, kiedy zaproponowali Klocka na pomocnika Bentado. Arcylord udawał zachwyconego tą rekomendacją i ochoczo przyjął zdeformowanego Keshiri do swojej świty doskonałych przedstawicieli rasy ludzkiej. Zastanawiali się, jak daleko posunie się ten żart - i wciąż nie wiedzieli, bo Bentado nigdy się nie pokazywał bez swojego felernego asystenta.

Bentado wziął list i podniósł go wysoko.

- Sukces! - zawołał. - Nasi słuchacze przechwycili wołanie w Mocy zaledwie kilka godzin temu. Edell Vrai odnalazł ukryty ład, którego istnienie ujawnił nam Yaru Korsin. On istnieje! -

Zmiał pergamin ręką obleczoną w rękawicę. - Sonda została wypuszczona. Czas uderzyć!

Hilts spojrział na żonę. Jej informatorzy przekazali tę wiadomość znacznie wcześniej, ale i tak jeszcze nie było się czym ekscytować.

- Powinniśmy zaczekać, aż Edell wróci.

- Wielki Lordzie, większość statków powietrznych jest gotowa. Moje załogi też są kompletne i czekają. Sam się zgodziłeś, że jeśli Edell cokolwiek znajdzie, warto będzie to podbić wszystkimi siłami! - Bentado spojrział na swoich żołnierzy. - Czekamy tylko na twój rozkaz, żeby uderzyć.

- Ty to powiedziałeś.

Iliana uśmiechnęła się ironicznie, masując barki męża nad oparciem fotela.

- On nie mówi ci wszystkiego, Wielki Lordzie. Moi ludzie też słuchali. Przyszła tylko jedna czysta wiadomość. Później wyczuwali różne inne emocje. Zaskoczenie. Wstrząs.

Zmieszanie. -

Przestała masować. - A potem już nic.

Bentado stanął przed Ilianą i wzniosł kikut lewej ręki. To ona zadała mu tę ranę pół wieku temu.

- Znaleźli cały nowy świat, małżonko Wielkiego Lorda. Prawdopodobnie niejedno tam ich zadziwi i zapewne też nie do końca wiedzą, co robić dalej, więc są zmieszani. Edell Vrai nie jest wojownikiem - dodał. - Jest szanowany, jak przystoi Arcylordowi, ale wciąż to tylko utalentowany majsterklepka. Czekaj, aż przybędą moje siły, żeby przeprowadzić inwazję.

Iliana się zaśmiała.

- A jeśli te szalone konstrukcje Edella spadły do oceanu?

- Edell nie umarł - odezwał się nagle Hilts w obronie inżyniera. - Wyczułbym to.

Iliana spiorunowała go wzrokiem. Wiele razy mu powtarzała, że nie wyczułby wody, nawet stojąc w jeziorze.

Bentado uśmiechnął się szeroko.

- Podzielał twoją ufność, Wielki Lordzie. Armia jest gotowa, pierwsze sześćdziesiąt statków już napompowano i wyposażono na wojnę. - Ukłąkł, a świta poszła w jego ślady. Mały Klocek zorientował się nieco za późno i o mało się nie przewrócił, usiłując ich naśladować.

- Proszę o pozwolenie odejścia - rzekł Bentado ze schyloną głową. - Musimy podążać za naszym przeznaczeniem.

Hilts zamrugał nerwowo.

- Tak, tak... oczywiście.

Wojownicy opuścili salę. Mały towarzysz Bentado przed wyjściem jeszcze raz ukląknął się tronowi - tym razem starannie. Hilts uśmiechnął się łagodnie, widząc jego starania. Bentado zaczekał, aż wszyscy wyjdą; dopiero wtedy zaszalutował Wielkiemu Lordowi i odszedł.

Hilts podniósł wzrok na Ilianę i uniósł śnieżnobiałą, nieco przeredzoną brew.

- Szkoda dla niego statku powietrznego. On sam jest

jedną wielką kulą gazu.

- Strasznie się spieszy - zauważyła Iliana, wyraźnie zaaferowana. - Powinien poczekać na powrót Edella. Zabiera tych ludzi na pewną śmierć w oceanie.

- A ciebie to martwi?

- Ani trochę. - Iliana ruszyła w stronę drugiego wyjścia, zamiatając podłogę koronką. - Sam ich wybrał. A każdy, komu ufa Bentado, zasługuje na utopienie.

## ROZDZIAŁ 7

„Pech” - tak się nazywał żaglowiec, i rzeczywiście chyba pech skierował żeglarzy Keshirich na morze tej nocy, pomyślał Edell.

Wraz ze swoją załogą wyruszył z południowego brzegu półwyspu - Posterunku Wyzwanie, jak określała go lokalna mapa - kilka minut po odkryciu statku. Zwlekali tylko tak długo, aby zdążyć przenieść Quarę i osobnika imieniem Jogan na pokład jako więźniów. Kobieta protestowała, gorączkujący mężczyzna na przemian tracił i odyskiwał przytomność. Ale Edell potrzebował przewodnika, a do tej pory jej partner, czy kim on tam był, doskonale się sprawdzał

jako środek nacisku.

Tempo też mieli dobre - posiłki z Przesmyku Garrowa przybyły w tym samym momencie, kiedy oni znikali w wodnistej ciemności. Żołnierze trafią na puste i obrabowane pomieszczenie, i na ciało Ulbricka wrzucone do cysterny. Tymczasem Edell i spółka wyruszyli w stronę tamtego statku.

Z trudem wiosłowali, walcząc z bocznym prądem, żeby do niego dotrzeć, póki jest ciemno.

Żeglarze Keshiri nic nie wiedzieli o niedawnej bitwie - zaskoczenie było zupełne. I tak walczyli jak dzikie bestie. Dopiero o świcie udało się Sithom przejąć kontrolę nad „Pechem”, ale musieli zabić wszystkich obrońców prócz jednego.

Teraz, kiedy słońce wznosiło się ku swojej jesienno-południowej pozycji, ostatni z załogi „Pecha” zmarł, krzycząc z bólu, w rękach swoich oprawców. Edell obserwował z dziobu,

jak Peppin wychodzi z komory, powoli zdejmując rękawice.

- Dowiedziałaś się czegoś?

- Niewiele - odparła. - Jak na wieśniaków znad morza, są całkiem wytrzymali.

- Zdaje się, że to lokalna cecha wspólna - odparł, patrząc na pokład, gdzie Quarra i jej partner siedzieli przywiązani do masztu.

- Statek wypłynął, żeby polować na skorupiaki. „Pech” powinien tu stać co najmniej przez tydzień, zanim wróci.

Edell spojrzał na linię brzegową. W zasięgu wzroku nie miał ani jednej stacji sygnalizacyjnej, więc nie było sposobu, aby Keshiri wezwali „Pecha” do powrotu - a jedynym sposobem, aby sprawdzić, co się dzieje na statku, było podejście z powietrza na grzbiecie uwa.

- Możemy tu jakiś czas przeczekać.

Peppin zdawała się zaskoczona.

- Sir, chyba nie będziemy musieli. Keshiri mają dobre mapy tutejszych prądów. Dotarcie do domu czasem wymaga jedynie podniesienia kotwicy.

- Dom... - Edell spojrzał na samotny, pojedynczy kwadratowy żagiel, zwinięty na rejach.

Peppin też z całą pewnością wie, jak sterować statkiem. Od lat była w jego ekipie i zdobyła niemało wiedzy technicznej. Dobrze będzie dotrzeć do domu możliwie jak najszybciej. W ten sposób zakończyliby misję, a przyprowadzenie nawet jednego nędznego statku rybackiego też stanowiłoby osiągnięcie, bo był większy niż jakikolwiek statek morski, wyprodukowany przez Keshiri.

Peppin odczytała jego myśli.

- To dobry środek transportu... mógłby przywieźć z powrotem kilkuset Sithów, albo i więcej, jak mi się zdaje. To by było łatwiej niż przewozić ich tu balonami. - Zawahała się. - A na pewno bezpieczniej.

Edell wrócił myślą do ich spektakularnego przybycia - i

przypomniawszy sobie sen, jaki miał

podczas delirium na brzegu. Spochmurniał. Czy powrót na „Pechu” wystarczy, aby odnieść osobisty sukces? Chyba nie w obecnej sytuacji. Korsin Bentado już szykuje kolejną wyprawę: Hebanową Flotę, dwadzieścia razy większą niż ta, z którą przybył. Czy Bentado poczeka na jego powrót, czy wyruszy wcześniej?

Znał odpowiedź. I wiedział, że gdyby ich role się odwróciły, Bentado też nie pożeglowałby pokornie do domu. Ale co jeszcze można zrobić?

Spojrzał znów na Quarę i Jogana. Nie wiedział nic o tym mężczyźnie, ale ona najwidoczniej była kimś ważnym wśród Keshirich. Mówiły o tym dokumenty, które miała przy sobie, ale też widział to w jej zachowaniu. Znała cały ten ład, ten „Alanciar”. Wiedziała, jak działają stacje sygnalizacyjne, jak również większość rodzajów tutejszej broni. I świetnie rozumiała powód, dla którego Keshiri walczyli tak zawzięcie.

Tak, to byłoby coś, co warto wiedzieć.

Spojrzał na Peppin.

- Mam nowe rozkazy - rzekł. - Słuchaj... i naśladuj mnie.

Quarra obserwowała uważnie rozmawiających Sithów. Nie mogła słyszeć słów, ale widziała bandyckich wspólników, którzy otoczyli teraz szefa i słuchali go uważnie. W porównaniu z młodymi maruderami, Edell był dość wątpliwy. Jakim cudem dostał się na tę misję, o dowodzeniu nie wspominając? Prawdopodobnie dzięki takim pokazom brutalności, jak ten przed stacją sygnalizacyjną.

A jednak dwa razy podsłuchiwała, jak któryś z nich nazwał go „Arcylordem” - był to termin o znacznie szerszym znaczeniu, jeśli wierzyć Kronikom. Początkowo sądziła, że chodzi o pełne pogardy traktowanie mniej znaczącego człowieka - Sithowie mieli w zwyczaju rozmawiać ze sobą tak, jakby drwili. Ale teraz, kiedy zauważyła, z jakim szacunkiem oni go traktują, nie była już taka pewna. Arcylord! Czy Sithów jest tak mało, że

tylko tylu najeźdźców mógł zebrać jeden z ich ważniejszych dostojników?

Miała nadzieję, że tak jest, ale obawiała się też, że na nabrzeżu widziała tylko część sił

Sithów. Że gdzieś dalej na północy jest więcej powietrznych statków, zagrażających żywnym farmom Zachodniej Tarczy - albo, co gorsza, przelatujących nad nimi do zaludnionych wyżyn interioru. Tam jest Uhrar. Czyjej współpracownicy i rodzina są bezpieczni?

Po raz pierwszy od wielu godzin pomyślała o Brue, swoim mężu. Tak niewiele wiedział o wojnie i przygotowaniach do niej. Co powiedziałby dzieciom, słysząc gwizdki alarmowe?

Przynajmniej jedna rzecz już jej nie martwiła - jeśli ten stary strażnik przy Przesmyku Garrowa nie zapamiętał jej imienia, to nikt już nie wiedział, że była na Posterunku Wyzwanie.

Dziwna była świadomość, że porywając ją, Sithowie być może uratowali jej małżeństwo.

Nie była jednak jedyną porwaną. Leżący obok niej, związany Jogan na przemian budził się i zasypiał. Wiedziała, że połamane żebra omal nie przebiły mu płuc, miał szczęście, że w ogóle przeżył. Zwłaszcza po brutalnym traktowaniu przez Sithów, którzy rzucali nim jak workiem.

Przywiązali go do masztu na siedząco, więc czuła poprzez Moc jego cierpienie - zwłaszcza że stykały się ich ramiona. Za każdym razem, kiedy „Pech” napinał łańcuch kotwiczny, Jogan cierpiał

okropnie.

Teraz otworzył oczy.

- Gdzie jestem? - zapytał.

- Ze mną - odparła, szukając rozpaczliwie słów, które by go pocieszyły. - Na razie mamy spokój z przenoszeniem.

- Nieprawda - odparł sithański Arcylord, podchodząc do niej. - A przynajmniej nie dla ciebie, Quarro Thayn. Idziesz ze

mną.

- Co? - Quarra napięła krepujące ją więzy i nagle przypomniała sobie, że Jogan jest z nią związany. Zwolniła nacisk.

Edell splótł dłonie na piersi.

- Nasze... pierwsze spotkanie nie wyglądało jak należy. Nie okazaliście swoim sąsiadom odpowiedniej radości.

- Wielka szkoda!

- Później zajmiemy się naprawieniem tej sytuacji. Tymczasem chciałbym dowiedzieć się więcej na wasz temat.

- Na mój temat?

- Was wszystkich. Z Alanciaru - odparł, machając ręką w stronę szczytów górskich, ledwie widocznych na północnym horyzoncie. - Chcę spotkać się z kimś, kto tu rządzi, a ty mnie tam zaprowadzisz, Quarro. Ale na moich warunkach... i zgodnie z moim harmonogramem. - Wziął od Peppin zwiniętą mapę, podszedł do relingu i skinął ręką. - Na północnym wschodzie jest mała zatoczka, osłonięta górami i poza nadzorem. Popłyniesz tam ze mną. Wasza stolica wojskowa jest o wiele dni drogi stąd, jeśli wierzyć mapie. „Pech” zostanie tutaj, aż zasygnalizuję z gór, że wróciłem - wyjaśnił.

Quarra wytrzeszczyła na niego oczy.

- Oszalałeś. Nawet nie wyglądacie tak jak my. Wszyscy wiedzą, że tu jesteście. Nasi ludzie odkryją was w mgnieniu oka.

- Coś wymyślisz - odparł spokojnie Edell, podając mapę swojej towarzyszce. - Musisz...

jeśli chcesz, żeby twój drogocenny Jogan przeżył. Jeśli nie wrócę wolny w ciągu dwóch tygodni, podąży na dno oceanu za poławiaczami, których pozabijaliśmy.

Quarra spojrzała na Jogana. Znów się ślaniał, znów tracił przytomność. Wątpiła, czy usłyszał choć słowo.

- Nie chcę go tu zostawiać!

- Nie masz wyboru.

Obejrzała się i zauważyła Tellpaha.



- Masz ze sobą własnego keshirskiego niewolnika, niech on będzie twoim tragarzem. Po co ci jestem potrzebna?

- Nie bądź głupia. Potrzebuję lokalnego przewodnika, który zna teren. Keshiri zabraliśmy po to, aby rozpowszechniał tu naszą religię... religię skoncentrowaną na Sithach. Ale przyjęliście nas, atakując. Chcę wiedzieć, co jeszcze macie w zanadrzu.

Przez długą chwilę przyglądała się Joganowi, zanim znów spojrzała na mężczyznę.

- Może i jest sposób, aby ukryć, kim jesteście - odparła. - Ale zrobię to tylko pod jednym warunkiem...

- Nie masz prawa do negocjacji!

- ...pod warunkiem że odwiążecie Jogana od tego masztu. W kabinie są prycze. Pozwólcie mu się położyć. Jeśli dalej tak nim będziecie rzucać, zabijecie go.

Edell skinął głową.

- Potrafię być rozsądny. Przenieść go. - Jego towarzysze natychmiast podeszli, żeby odwiązać oboje Keshirich od masztu.

Jogan poczuł, że poluzowano mu więzy, i spojrzał na Quarę półprzytomnym wzrokiem. Na jego twarzy pojawiła się wdzięczność... a potem troska.

- Quarro, nie jestem pewien, co się tu dzieje - wymamrotał. - Ale cokolwiek od ciebie chcą, nie musisz tego robić dla mnie. Nie jestem tego wart.

- Sama to ocenię - odparła. Znów przyjrzała się ludziom. Nie Keshiri, ale też i nie potwory.

Tak samo mogą wątpić i podejmować złe decyzje. - Chyba mam coś, co wystraszy tych Sithów i zmusi do powrotu tam, skąd przyszli. - Spojrzała na północ. - Mam Alanciar.

## ROZDZIAŁ 8

Keshtah było państwem Sithów, ale Edell dopiero teraz zrozumiał, że Alanciar jest prawdziwym imperium.

Na rodzinnym kontynencie mógł odwiedzać w sekrecie niektóre miejsca, jeśli tylko trzymał

się z dala od głównych dróg. Tu takiej możliwości nie było. Wspaniałe drzewa rosły wzdłuż kamiennych dróg, a pobocza oddzielały rowy. Wzdłuż wszystkich odcinków dróg rozstawione były stacje z obsługą, obserwującą ruch w obie strony. Edell i Quarra zdołali pod osłoną nocy niepostrzeżenie przemknąć na odległą górską drogę, ale Sith wątpił, czy dadzą radę przebyć w ten sposób większy odcinek trasy. Alanciar czuwał.

Ostre gwizdki rozbrzmiewały pośród wzgórz, zdawały się dochodzić ze wszystkich stron.

Wciąż jeszcze do nich nie przywykł. Takie odgłosy dochodziły z wszystkich zamieszkałych obszarów i były wyjątkowo głośne. Quarra wyjaśniła mu, że to syreny ostrzegawcze - efekt przepuszczania pary przez wielkie szklane rury. Każde miasteczko zdawało się mieć taką syrenę.

Był to już czwarty ranek od czasu, kiedy przybyła flotyła Sithów, a alarmy wciąż wyły.

Alanciar czuwał.

Edell zobaczył kolejną stację drogową i głębiej nasunął na twarz kaptur marynarskiego nieprzemakalnego płaszcza. Wciąż się martwił swoim wyglądem. Alanciarski mundur Jogana był

na niego za duży, więc Edell uznał, że najlepiej będzie

przebrać się za żeglarza. Quarra dała mu ten płaszcz wraz z parą ciemnych okularów, które znalazła na statku, żeby ukrył się za nimi.

Stwierdziła, że takie przebranie i lekka charakteryzacja wystarczą, aby ukryć jego tożsamość. Edell nie miał pojęcia, jak to możliwe.

A jednak do tej pory wszystko szło dobrze. Nie spotkali po drodze nikogo pierwszej nocy podróży przez zalesione zbocza Zatoki Meori. Kiedy jednak drugiego dnia wyruszyli w drogę, widzieli wielu Keshirich, głównie żołnierzy, kierujących się na zachód. Każdy ich zatrzymywał i za każdym razem rozmowa miała ten sam przebieg. Teraz, na rozstajach, odgrywali swoje role po raz kolejny.

- Kogo tu masz? - zapytał uzbrojony strażnik, mierząc wzrokiem Edella.

- To jeden z artystów, idzie do Kerebby - odpowiedziała, podając swoje papiery identyfikacyjne.

- Dzisiaj? No tak, chyba nie zechcą zmieniać tradycji. Zwłaszcza teraz. - Strażnik cofnął się do swojej budki i skinął na Edella. - Nieźle wyglądasz. Ruszajcie.

Quarra schowała dokumenty i skręciła na drogę wiodącą na północ.

- Szybko - warknęła do Edella.

Arcylord ciężko ruszył za nią.

- O czym on mówił? Czemu wszyscy mnie przepuszczają?

- Zobaczysz.

Chwycił ją za kurtkę, szarpnął i ustawił przodem do siebie.

- Nie jesteś w takiej sytuacji, żeby ze mną pogrywać, Keshiri!

- A ty nie jesteś tam, gdzie możesz mną rzucać - odparła. Za ich plecami stał strażnik i przyglądał się scenie. W budce byli także inni, a pełna ludzi wieża sygnalizacyjna także

znajdowała się w zasięgu wzroku i blisko drogi.

- Krzyknę: „Sith!”, i już jesteś martwy - dodała chłodno.  
- I pewnie w dodatku posiekany.

Ukryte za goglami zlociste oczy Edella się rozszerzyły. Niechętnie ją puścił i poszedł dalej drogą. Ta kobieta miała w sobie coś więcej, niż na to wyglądała.

Przekonał się o tym godzinę później, po długim milczeniu. Nie była wściekła tylko o to, że musi być przewodnikiem. Kiedy ją zapytał, o co chodzi, odpowiedziała: - Martwię się o moją rodzinę. - Spojrzała na niego koso. - Wiesz, co to jest, prawda?

- Rodzina to rodzina - odparł. - Masz dzieci, tak?

- To zależy. Nie jadacie ich, co?

Edell zmrużył oczy.

- Nie było ich z tobą na stacji sygnalizacyjnej. Odesłałaś je?

Zmroziła go spojrzeniem.

Edellowi nagle wszystko zaczęło się zgadzać.

- Aaa, rozumiem. Masz męża, ale nie jest nim ten krzepki fioletowy okaz - zachichotał. -

Zdaje się, że nie jestem jedyną rzeczą, którą ukrywasz.

Odwróciła twarz i szła w milczeniu.

- Nie wiem, czy powinnam być osądzana przez Sitha.

- O, ja cię nie osądzam - odparł Edell z błyskiem w złotym oku. - Chyba muszę ci tylko powiedzieć, że masz w sobie więcej z Sitha, niż sądzisz.

Kanał miał dwa pasy ruchu i pośrodku drogę do holowania.

- Wielki - zauważył Edell. - Prawie jak rzeka.

- Kiedyś to była rzeka. Zmodernizowaliśmy ją.

Edell obserwował, jak załadowane łodzie i barki spieszyły w górę i w dół kanału, zaprzężone do zwierząt, które Quarra nazywała muntokami.

- Jak łodzie mogą płynąć tak szybko? - zapytał.

Rozwahał pomysł stworzenia podobnego systemu kanałów towarowych w swoim kraju, aby zgrać go z naprawą napowietrznych akweduktów. Wreszcie się poddał. Szybki ruch powodował fale, które uszkadzały wykładzinę kanału.

- Przyjrzyj się uważniej.

Edell ukląkł i pomacał gładką ścianę kanału.

- Beton! - Keshiri w jego kraju też znali ten materiał; cementu, żwiru i wody mieli pod dostatkiem - ale rzadko go używali, woleli płyty polerowanego kamienia. Jeśli w ogóle stosowali beton, bardzo się z tym kryli. Tymczasem Keshiri z Alanciaru chyba zbudowali z niego cały system rzeczny. - To musiało zająć stulecia!

- Mieliśmy czas.

Edell przeszedł z nią przez most, ale najpierw musiał znieść kolejną dziwną rozmowę ze strażnikiem. Arcylord wciąż nie wiedział, o czym mówili, ale nie wyczuwał ze strony Quarry nieuczciwości. Edell zażądał, aby zabrała go do siedziby rządu, a ona zdawała się spełniać to życzenie. Większa część kontynentu znajdowała się na północny wschód od nich, więc już od wielu godzin poruszali się w tym kierunku, choć zygzakiem. Quarra zaczęła zdradzać więcej szczegółów dotyczących jej świata, widocznie uznała, że to robi na nim wrażenie.

Starał się nie dawać jej podstaw do takiego przekonania, w końcu jego lud pochodził z gwiazd. Lata badania „Omenu” nie zbliżyły go ani o krok do skopiowania choć jednej części starożytnego statku, teraz zaś koła wodne, ceglane fortece i uregulowane rzeki wciąż wymykały się jego rozumieniu. Zwłaszcza fakt, że jakimś cudem w ogóle istniały. Trudno było uwierzyć, że ludzie, którzy je stworzyli, to ten sam gatunek, co znani mu Keshiri. Co sprawiło, że się tacy stali?

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Quarra. - Kerebba. Tylko tu dzisiaj dojdziemy.

Kerebba była największym miastem, jakie kiedykolwiek

widział - ale nieprzyjaznym i bezbarwnym. Beton Wykorzystywano nie tylko w kanałach, Alanciari mieszkali w nieciekawych blokach z tego materiału. Kiedy słońce zapadło za szary horyzont, ulice pograżyły się w nieprzyjemnym mroku. I jak wszędzie, słyszał ten przekłety gwizd - tu jeszcze głośniejszy niż gdzie indziej.

- Nie chcę zostać na noc w zaludnionym terenie - zaprotestował, podnosząc głos, bo właśnie zbliżali się do rynku.

- Nie możemy iść dalej. Drogi będą zamknięte.

- Wczoraj nie były zamknięte! O czym ty mówisz...?

Urwał zdumiony i spojrzał na rury na najbliższym dachu. Wycie ucichło. Zaniepokojony, spróbował przyciągnąć Quarę bliżej, ale nagle na ulicę wylegli Keshiri w różnym wieku, starzy i młodzi. Większość była w mundurach, tak jak ci, których spotykał do tej pory, ale nie wszyscy.

Niektórzy byli ubrani dość odświętnie, w jaskrawe stroje. Pojawiali się kolejni Keshiri, roztrajkotani, roześmiani. Przez chwilę wydawało mu się, że widział człowieka...

- Tu macie jednego! - krzyknęła Quarra, zdzierając Edellowi kaptur z głowy. Arcylord stanął jak wryty i zaraz otoczył go krąg keshirskich gapiów. Zaczął macać dłonią pod płaszczem, gdzie miał przypięty do tuniki miecz świetlny, ale jak tylko chwycił za broń, tłum ryknął śmiechem.

Śmiali się z niego! Otoczyli go kręgiem, pohukując i wyjąc; wskazywali palcami na odsłoniętą twarz obcego, bledszą i bardziej różową niż u Keshirich. Pod goglami miał nałożony przez Quarę zaimprovizowany makijaż w postaci grubych czarnych krech, co miało mu nadać groźny wygląd. Teraz szarpnęła i ściągnęła z niego, odsłaniając, cały strój, z niezapaloną bronią włącznie.

- Jest świetny! - zawołał jeden z widzów. - Patrzcie na ten kolor!

- I nawet ma miecz świetlny!

Z tłumy rozległy się okrzyki zachwyty i wiwaty, które

chwilę później zmieniły się w drwiące wycie. Bawili się jego kosztem. I - jak się okazało - nie tylko jego. Edell rozejrzał się i stwierdził, że na ulicach pojawili się roztańczeni Keshiri, czarno ubrani, z twarzami pomalowanymi na wszelkie możliwe kolory z wyjątkiem fioletu.

Tłum oszalał.

- Sithowie! Sithowie!

Przebierańcy ruszyli w kierunku pogrążonego w półmroku placu, gdzie ustawiono wielką scenę. Popychany przez tłum Edell nie miał wyjścia, musiał podążyć za nimi. Został na chwilę oślepiiony, kiedy w górze zabłysło jaskrawe światło. Na potężnych trójnogach stały kolosalne kule i świeciły ostro, napełnione dziwną, lustrzaną substancją, która odbijała wielokrotnie i wzmacniała światło. Nagle w całej Kerebbie zrobiło się jasno jak w dzień. I wydawało się, że wszyscy zdążają w tę stronę.

Światła, pomyślał Edell. Korsin widział kontynent ze światłami...

Rozglądał się na boki, bo nagle zdał sobie sprawę, że rozdzielili się z Quarą. Na szczęście była niedaleko i przedzierała się ku niemu z radosnym uśmiechem. Przed nimi aktorzy wskakiwali na scenę, przygotowując widocznie jakieś przedstawienie.

- Więc dlatego tamci nazywali mnie aktorem! - Spojrzał na nią gniewnie. - Ja tam nie wejść.

- Nie musisz - machnęła ręką. Na widowni też byli „Sithowie”, którzy wykrzykiwali się do aktorów na scenie, co było witane radosnym buczeniem ubranych w mundury dzieci. - Bądź tylko wredny jak zwykle.

Edell obserwował, jak Keshiri ustawiają na scenie dekoracje. Sztuczne skały. Malowane fale. Wielki żaglowiec. Dwaj Keshiri połączeni kostiumem uvaka.

- Myśleliście przecież, że jesteście otoczeni - odezwał się do niej. - I co, zamierzacie się bawić?

- Tu i w każdym mieście Alanciaru. To Dzień Obserwacji. Nie mieli zamiaru go odwoływać tylko z powodu waszej inwazji. - Quarra wydawała się pęcznić z dumy. - Zwłaszcza nie z tego powodu.

- Nie podoba mi się to - rzekł. Keshiri w jego rodzinnym kraju też odgrywali w marmurowych salach wystawne pantomimy, ubrani w bogate stroje. Prawie nigdy nie brakowało widzów, bo teatr zawsze był dobrym narzędziem propagandy dla każdego Sitha. Stołeczne zespoły trzymały wysokie standardy, chociaż cywilizacja wokół popadała w ruinę. Przerwano występy dopiero w czasie zamieszek ćwierć wieku temu. Stanowiły one także potem ważny element odbudowania ładu społecznego, bo rozgłaszały, co Hilts odkrył w górskiej Świątyni. Ale ten tutejszy teatr wydawał się bardzo amatorski, a kostiumy wcale nie nadawały się do Tahv.

Właśnie miał to powiedzieć, kiedy nagle na scenie sztuczny statek zakołysał się w udawanym sztormie. Fałszywy głąz wznosił się, aby zagrozić mu drogę, a zza niego wyszła keshirska kobieta. Widownia powitała ją oklaskami. Ubrana w skórzaną zbroję, trzymała wysoką laskę z błyszczącego szkła z żarzącą się kulą na szczycie - miniaturowa wersja latami oświetlających plac. Kołyszący się statek zatrzymał się nagle i płasko upadł na scenę, odsłaniając aktorów w strojach żeglarzy, których widział Edell. Na widok laski kobiety pokłonili się nisko. W

tłumie zapadła cisza.

- Jestem Adari Vaal! To ja jestem Opoką Kesh!

- Adari! - wyrwało się Edellowi, ale zdał sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy zwróciło się ku niemu kilka twarzy. Quarra spojrzała na niego z naganą. Edell skulił się i już po chwili uwaga wszystkich przeniosła się na scenę. Sam zaczął się zastanawiać, czy dobrze usłyszał.

Odpowiedź dostał ze sceny.

- Jestem Adari, Opoka i Zwiastunka, Zbawczyni i



Zagubiona Córa, Sojuzniczka Jasnego Tuasha, legendarnego skrzydlatego zwiastuna litości - mówiła Adari aktorka. - Przybyłam z daleka, wstałam z oceanu, aby przynieść wam wieści pełne grozy i zadziwienia. Jestem Opoką, która wstała z morza, i opowiem wam o potopie, jaki nadejdzie!

Edell aż otworzył usta. Adari Vaal, powiernica Yaru Korsina, a może jego zabawka, zależnie od tego, w czyje relacje wierzyć. Kobieta, która odważyła się zorganizować powstanie Keshirich - i uciekła, by ponieść śmierć w oceanie. Rozejrzął się wokół.

Wydawało się, że Keshiri słyszeli już wcześniej tę przemowę. Niektórzy nawet powtarzali ją bezgłośnie.

- Istnieją wrogowie poza granicami, wrogowie ludu Alanciaru. Nie możecie ich zobaczyć, bo mieszkają poza zasięgiem żagli najmocniejszego statku. Nie możecie ich usłyszeć, choć potrafią sączyć swój jad niebezpiecznym szeptem, który niesie wiatr.

Edell nachylił się do ucha Quarry.

- To bez sensu. Powinna wyraźniej wyartykułować, o co jej chodzi.

- To tylko taka ceremonia - odparła szeptem. - Organizujemy ją co dziesięć lat, bo tyle lat trwał tajny ruch oporu Adari przeciwko Plemieniu. - Tymczasem na scenie mówczyni opowiadała o Plemieniu i jego podłości. Aktorzy „Sithowie” weszli na scenę z za tego samego głazu. Widzowie reagowali żywo.

Adari uniosła łaskę ku niebu.

- Tak, Sithowie to zapowiadani przez proroków Destruktorzy, ale nie obawiajcie się!

Widziałam wasz Alanciar, a jest on potężniejszy niż Keshtah i bogaty w dary natury! - Podeszła do skraju sceny i wskazała przed siebie. - Potężniejszy, bo bogaty w lasy i w dobre, mocne drewno na żaglowce. Dżungle Keshtah nie dają takiego drewna. Potężniejszy, bo posiada wspaniałe stworzenia:

potężne shumshury, szybkie muntoki. Keshtah poza uvakami nie ma stworzeń, które mogłyby nieść jarzmo.

- Wszystkie zjedliśmy - wtrącił błazeński Sith na scenie, wywołując wybuch śmiechu.

Otoczył się rękami, udając, że podtrzymuje ogromny brzuch, i kołyszącym krokiem spacerował

dookoła, budząc pogardliwe okrzyki i pohukiwania: - Głupcy! Głupcy!

Adari na scenie uśmiechnęła się.

- Tak, i to też. Alanciar przewyższa wszystkich inteligencją swego ludu. Ze specjalnego wywaru i zwierciadeł stworzyliśmy ogniste kule, aby oświetlały nasze domy i ulice. Kanały ułatwiają nam transport. Przemysł w Alanciarze jest wszędzie!

Edell rozejrzał się po słuchaczach, gdy trwała ta wyliczanka sukcesów. Aż do tej pory opierał się zaletom Alanciaru, choć od dawna podejrzewano, że ten kraj jest znacznie lepiej rozwinięty. Teraz, otoczony przez nieprzyjaciół, czuł się bardzo niepewnie. Wyrósł w Plemieniu, które straciło swoją historię. Nic już nie było pewne. Może właśnie dlatego już jako młody chłopiec czuł pociąg do architektury i do techniki: te nauki miały zasady, niezmiennie i niekwestionowane.

Odrodzenie naprawiło wiele szkód, dając Sithom coś, w co znów mogli wierzyć - ale Keshiri z Alanciaru nigdy wierzyć nie przestali, odkąd dwa tysiące lat temu odwiedziła ich Adari Vaal. Obserwując otaczające go twarze, Edell widział w nich pewność.

Dlaczego nie urodziłem się tutaj? - pomyślał.

- Nauczę was języka tych złych istot. Będziecie mówić nim jak własnym, żeby ich poznać, kiedy przybędą. I dam wam jeszcze jeden dar - mówiła aktorka, kierując świecą laskę w stronę keshirskich żeglarzy. - Sithowie czerpią z potęgi zwanej Mocą. Jest to siła, którą wielu z was ma już w sobie! - Kiedy

ognista kula dotknęła pierwszego z żeglarzy, ten zerwał z siebie płaszcz i odsłonił

satynowy, biały, kapiący od złota strój. - Ja nie mam tej siły, ale wy macie, i teraz wiecie już, gdzie jej szukać. Jesteście obrońcami Kesh!

Uśmiechnęła się życzliwie i spojrzała na widownię.

- I wy także. Już wygraliście pierwszą bitwę - powiedziała, wzbudzając jeszcze większy zachwyty widzów. - Zwyciężyliście.

I zwycięzycie znowu. Ogłaszam ten dzień Dniem Obserwacji! Zawsze bądźcie czujni, a pewnego dnia zatriumfujecie na zawsze!

Widzowie ryknęli z radości, gratulując sobie wzajemnie. Oszupiały Edell patrzył w milczeniu na Quarre, która klaskała i głośno wiwatowała.

Na scenę wszedł starszy mężczyzna, przedstawił się jako burmistrz Kerebby i poparł

wezwanie do czujności.

- Wszyscy już widzieliśmy tę sztukę. Ale dzisiaj jest dzień szczególnie, jedyny w historii: nieprzyjaciel nadszedł. Nasze wojska przeczesują półwyspy w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów napastników. Gabinet Wojenny wystawił siły obrony powietrznej na zachodzie. Nieważne, czy wrócą w tej samej, czy większej liczbie, i tak zginą. Zginą tak, jak powinni ginać Sithowie!

Tłum zaczął wznosić okrzyki, ale w sposób bardziej zorganizowany niż przedtem.

Wszystkie pięści jednocześnie wznosiły się w powietrze.

- Giń jak Sith! Giń jak Sith! - wołali.

Tego było za wiele. Edell chwycił Quarre za ramię i zaczął przepychać się przez tłum. Ze strachu znów włożył płaszcz i kaptur. Miał ochotę wskoczyć na scenę i zatłuc tych rozkrzyczanych błaznów.

Powinien to zrobić. Inni by się tak zachowali. Czemu nie

on?

Z trudem kontrolował gniew. To nie jest odpowiedni czas na działanie, a jedno zapyziałe miasto nie jest odpowiednim miejscem. Gdyby widział takie same sceny rozgrywające się w całym kraju, wówczas oddziały najeźdźców Bentado byłyby w niebezpieczeństwie.

A może nawet całe Plemię.

- Wyruszamy jutro, gdy tylko otworzą drogi - powiedział do Quarry. - Chcę zobaczyć ten „Gabinet Wojenny” i dowiedzieć się dokładnie, co ta keshirska zdrajczyni wam o nas naopowiadała.

## ROZDZIAŁ 9

Quarra obudziła się, bo deszcz zaczął chłostać jej twarz. Otworzyła oczy i ujrzała słońce Kesh, prześwitujące przez zieloną zasłonę bujnych liści, wysoko nad jej głową. Ciepłe krople spadały jej na twarz.

- Pora deszczowa w dżungli - odezwał się niski kobiecy głos za jej plecami. - Nawet kiedy przestanie padać, deszcz pozostaje na drzewach. Nie powinnaś tak tu leżeć, nie bez kapelusza.

Quarra przetarła powieki i zamrugała. Alanciar od stuleci nie miał dżungli. Widocznie to nie tam zasnęła. Ale gdzie jest teraz?

Usiadła w błocie. Za jej plecami kobieta w słomianym kapeluszu kopała ziemię i przenosiła do niej kwiaty z glinianych donic. Była bardziej smagła i młodsza niż Edell, miała krótkie rudawe włosy.

- Muszę przesadzić te dalsy, dopóki ziemia jest jeszcze mokra - mówiła, nie podnosząc wzroku. - Jesteś Quarra, tak? Naprawdę powinnaś pomyśleć o kapeluszu. No i tutaj lepiej jest mieć krótkie włosy. Arachnoidy są okropne.

Quarra zadrżała, słysząc swoje imię.

- Sith... mnie tu zabrał? Jesteś jedną z nich?

Kobieta zachichotała.

- Nigdy się nie przyzwyczaję do pyskowania Keshirich - odparła. - Masz szczęście. Odkąd się tu przeprowadziłyśmy, bardzo złagodniałam.

Obok, na polance pośród drzew, Quarra zobaczyła drugą osobę, która motyką przekopywała małą działkę. W tym słabym

świetle wydawało jej się wręcz, że widzi Jogana: muskularny, poważny mężczyzna. Ale i tak obcy.

- Oboje jesteście Sithami - stwierdziła.

- Jesteśmy nikim - odparła kobieta, wstając znad klombu, aby przyjrzeć się Keshiri. -

Jesteśmy nikim za naszych czasów... i za twoich. Jestem Orielle, mów do mnie Ori. A to Jelph.

Pizy jej słowach promienie słońca przebiły się przez mgłę. Świat przez chwilę rozbłysnął.

- To nie może być rzeczywistość - jęknęła Quarra. - Mam wizję w Mocy. Albo sen.

- Nie wydaje mi się, żeby to była aż tak wielka różnica - zauważyła Ori.

- Mieszkasz w dżungli?

- Tak. Albo mieszałam. Czas we śnie i w dżungli płynie inaczej.

Quarra rozejrzała się i zobaczyła dziecko taplające się w kałuży. Zanim chłopczyk zdążył

dojść do klombu, Ori złapała go i posadziła sobie na biodrze. Zza chaty Quarra słyszała dziecięce głosy.

- Macie dzieci?

- Troje. Jak ty.

- No właśnie. - To musi być sen, Quarra była tego pewna. Nikt z Sithów nie znał

szczegółów o jej rodzinie. Obserwowała, jak Ori oddaje dziecko starszemu rodzeństwu -

zabłoconym, ale szczęśliwym dzieciakom. Na tej polance w głębi dżungli pulsowało życie -

skromne, ale zdumiewająco pełne.

- Kiedyś tak jak ty miałam pozycję i odpowiedzialność - odezwała się nagle Ori. -

Zamieniłam je na miłość.

- Miłość? Sith i miłość? - Quarra ugryzła się w język. - Przepraszam, powiedziałaś, że nie jesteś...

- Powiedziałam, że teraz nie jestem. Ale wcześniej też chyba nie byłam dobrą Sithanką.

- Istnieje coś takiego jak dobry Sith?

- Niektórzy są łatwiejsi we współzyciu niż inni... ale z tego wynika, że oni też nie są za dobrymi Sithami - zaśmiała się Ori, - No i... miłość nie była jedynym powodem, dla którego tu przybyłam. Jak ty, miałam kiedyś stanowisko i odpowiedzialność. Zobaczyłam, dokąd to prowadzi.

Nie spodobało mi się.

Quarra rozejrzała się po nędznej chatce.

- I to wybrałaś w zamian.

- Tak wygląda kryjówka - odparła Ori. Spojrzała na bawiące się dzieci i odetchnęła głęboko.

- Problem polega na tym, że już w moich czasach na świecie zaczynało brakować kryjówek. Nie wiem, czy ta ma przed sobą wielką przyszłość.

Quarra zgarbiła się, słuchając jej słów. Głosy dzieci, dźwięki dżungli - to miejsce było dość hałaśliwe, ale jednocześnie wyczuwała tu spokój, coś, za czym tak często tęskniła w Uhrarze.

- Chciałabym żyć na uboczu - powiedziała nagle, właściwie do siebie. - Jestem taka zmęczona. Rozejrzałam się tu i zobaczyłam tylko to, co już znam. Nawet moje dzieci... dokładnie wiedziałam, jak potoczy się ich życie, zanim jeszcze się urodziły. - Quarra się zawahała. - Chyba dlatego stworzyłam sobie coś...

innego. Żeby mieć marzenie, za którym mogę podążać. Wiem, że to fatalnie brzmi...

- Och, można podążać za marzeniem - odparła Ori, zerkając na męża. Farmer na chwilę podniósł wzrok i uśmiechnął się do nich, po czym wrócił do pracy. - Możesz nawet wokół niego zbudować cały świat. - Spojrzała znów na Keshiri. - Możesz żyć marzeniami bardzo długo. Ale w końcu...

- ...w końcu świat cię odnajdzie - szepnęła Quarra i

otworzyła oczy.

Spali w suchym przepuście, tuż przy stacji na kanale w Kerebbie. Nie było sensu przekonywać Edella, aby spędzili noc w jednym z baraków, do czego upoważniał ją jej oficjalny status. Od przedstawienia w Dniu Obserwacji był napięty niczym ręczna balista gotowa do strzału.

Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. W końcu widziała, do czego jest zdolny. Ale fakt, że teraz był taki spięty, miał jakieś znaczenie. Miała rację: Alanciar był ich największą bronią przeciwko Sithom. Im dalej na północ prowadziła swojego towarzysza, tym bardziej stawała się pewna siebie. Coraz mocniej była przekonana, że jego grupa była jedyną, która wylądowała - a kiedy mijali kolejne ośrodki przemysłowe, wiedziała, że Edell wyobraża sobie, jak produkuje się w nich broń.

To mu jednak nie przeszkadzało udawać obojętności.

- Kolejne paskudne miasto - mruknął, kiedy opuścili Minrath.

- Nie nabierzesz mnie, wiem to doskonale - odparła. - Jesteś pod wrażeniem.

Spojrzał na nią.

- Muszę przyznać, że tutejsi Keshiri lepiej się nadają do tworzenia praktycznych urządzeń niż nasi.

- Wasi Keshiri?

- Oczywiście. A kto jest ich właścicielem?

Westchnęła z niesmakiem.

- Keshtah jest pięknym kontynentem - ciągnął. - Może dlatego tubylcy zajęli się sztuką. Nie tylko wybudowali akwedukty, ale też sprawili, że są piękne - wskazał na kanał, który przecinał im drogę w oddali. - Może gdyby nasi myśleli tylko o funkcjonalności, nasze akwedukty przetrwałyby dłużej.

- Nie macie ich?

- Mamy, bo je naprawiliśmy. Ale gdyby to wasi ludzie je projektowali, problem by pewnie nie zaistniał - Zawahał się i



odwrócił wzrok, jakby się zastanawiał. - Myślę - rzekł w końcu - że „Omen” wylądował w niewłaściwym miejscu.

Quarra pokręciła głową.

- Nie słuchałeś uważnie tego, co mówili w Kerebbie, prawda? To wy jesteście powodem, dla którego Alanciar wygląda tak, jak wygląda. Wy, Sithowie, i zagrożenie z waszej strony. Przez dwa tysiące lat przygotowywaliśmy się na wasze przybycie. - Znów spojrzała na szarą sylwetkę miasta i westchnęła. - Nie rozumiesz tego, co się tu dzieje. To wy nas takimi uczyniliście.

Edell uśmiechnął się ironicznie.

- A jeśli ty sądzisz, że będziemy tego żałować, nie rozumiesz nas.

Koło południa dotarli do ładniejszej okolicy Zachodniej Tarczy. Na tym zgrubieniu Goleni, gdzie państwowe farmy otaczały ciekły wodne, a ciągnięte przez muntoki wozy z sianem turkotały po drogach, panował znacznie większy spokój. Ziemię, która niegdyś wznosiła się łagodnie ku płaskowyżowi, zajmującemu większość kontynentu, dawno już przekształcono w uporządkowane tarasy. Zbliżały się żniwa. Obfitość zielonych i złocistych roślin sprawiała, że nawet masywne fortece ulokowane pośród pól ginęły w kolorach.

Quarra śledziła migające stacje sygnalizacyjne, dostarczające wieści z wybrzeża do centrum wojskowego w Sus'mintri, rozpościerającego się na zachodniej krawędzi płaskowyżu. Wzniesienie było ledwie widoczne w chmurach na wschodzie - potężna, naturalna twierdza, chroniąca spokój Alanciaru. Quarra posmutniała, myśląc o tutejszych sygnalistach i myślowołączach. Życie Jogana może i nie było fascynujące, uznała, ale przynajmniej miał na co patrzeć, nie tylko na pola zbóż.

Od czasu snu myślała o Joganiu z niepokojem. Jego wieża nie była chatą w dżungli, co to, to nie. Zaczęła się zastanawiać nad ich związkim. To Jogan żył w izolacji i przez

większość czasu nie miał nic do roboty, ale to zawsze ona pierwsza do niego pisała, chociaż była bardziej zajęta. Za każdym razem, kiedy musieli przerwać rozmowę, zawsze ona rozpoczynała kolejną.

Wydawało jej się, że skoro to ona ma ciągle tyle roboty, Jogan po prostu dostosowuje się do jej planu dnia. Ale może po prostu mu nie zależało.

Czy w ogóle na czymś mu zależało? I czym kobieta na stanowisku miałyby stać się w życiu takiego zaprzysięgłego kawalera z wieży sygnalizacyjnej? Zaczęła się nad tym zastanawiać.

- Znowu myślisz o strażniku - zauważył Edell. - Nie potrafisz tego ukryć. - Pociągnął nosem, jakby węszył. - Ja się też oczywiście nigdy nie ożeniłem.

- Nic dziwnego - warknęła. - Kto mógłby żyć z Sithejn? Dziwię się, że w ogóle na Kesh zostali jacyś ludzie.

Edell zaśmiał się niewesołym, ale szczerym śmiechem, czym ją zaskoczył.

- Też się nad tym zastanawiam! Wolę budować niż znosić czyjeś towarzystwo.

Może dlatego został Arcylordem, pomyślała. Jest samotnikiem. Może nikt, kto opuszcza własny dom, nie dożywa pięćdziesiątki.

Pomijając wszystko inne, upór Edella imponował jej - nawet jeśli odrzucić jego motywy. Po tym przedstawieniu zastanawiała się, dlaczego Sith po prostu nie wrócił na „Pecha” i nie odjechał

do domu z tym, czego się dowiedział. Widocznie uznał, że to nie wystarczy, że musiałyby stracić twarz po nieudanym ataku. To oczywiste, że miał rywali: Kroniki opisywały siedmiu Arcylordów.

Czy jego pozycja byłaby zagrożona, gdyby nie przywiózł nic poza informacjami?

- Muszę coś zrobić - powtarzał co chwila. Ale co? - zastanawiała się.

Może i mógłby, doszła do wniosku. Wokół Edella i jego towarzyszy Moc unosiła się tak gęsto, jak u nikogo innego, kogo знаła w Alanciarze. Alanciari mieli trenerów do używania Mocy, tak samo jak do innych umiejętności, ale zrozumienie tego było co najmniej niewystarczające - ot, tyle, ile Adari Vaal zdołała zaobserwować u Sithów i to opisać. Edell jednak miał za sobą długą tradycję używania Mocy. Jakich sekretnych umiejętności używał?

Na pewno coś takiego było, uznała. Sithowie potrafili blefować. Edell dyskretnie otumaniał

swoich ziomków. Quarra widziała go takim, jakim był naprawdę. Wszystkim innym Edell wydawał się niewart uwagi.

Tego mógłby się nauczyć, pomyślała. Ale cokolwiek teraz zrobi, powinien zmienić wygląd.

Dzień Obserwacji minął i wędrowny aktor w kostiumie Sitha może budzić wątpliwości.

- Kiedy dotrzemy do skrzyżowania - powiedziała - znajdziemy statek towarowy i popłyniemy w górę kanału. Ciesz się świeżym powietrzem, póki możesz, bo będziemy żeglować razem ze skrzyniami.

- Jak to długo potrwa?

- To najprostsza droga do Sus'mintri. Wystarczy dzień lub dwa - odparła.

- Cały dzień!

- Masz szczęście, że to tak blisko. Gabinet Wojenny zwykle zbierał się w interiorze, dopóki nie zbudowano Sali Vaal. Kiedy jeździłam na spotkania, dotarcie tam zabierało całą wieczność. A teraz z Uhraru to ledwie parę dni. Ale nie martw się, będziemy mieli mnóstwo czasu, aby dotrzeć z powrotem na „Pecha”... żebyś mógł się wywiązać z umowy.

Spojrzął na załadowany statek, mknący zgrabnie w dół

kanału przy użyciu muntoków.

- Nie wydają się przesadnie wygodne - mruknął. - Może masz lepszy pomysł?

Wzniosła oczy do góry.

- A co, mam ci poszukać luksusowej kabiny? Skoro wolisz podróżować po swojemu, trzeba było lecieć swoim statkiem napowietrznym wysoko i nie dać się zestrzelić...

Przeraźliwy pisk wrócił i otaczał ich ze wszystkich stron. Gwizdy alarmów rozległy się ze szczytów wież ciągnących się wzdłuż zbocza. Quarra pokazała mu stacje sygnalizacyjne, na których ogniste kule migotały bez ustanku. W ciągu dnia paleta barw była ograniczona, ale najbliższa wieża nadawała ten sam komunikat, który Jogan niedawno wysłał na kontynent: „Sithowie wrócili!”

Edell jedną ręką chwycił ją za ramię, a drugą zdał gogle. Niecierpliwie rozejrzał się po horyzoncie na północnym zachodzie.

- Są tam - rzekł.

- Wiem - odparła. Nieprzyjemne uczucie, jakiego doznała w latarni na stacji, teraz wróciło z dziesięć razy większą siłą. Myślowołacze też wysyłali ostrzeżenia. Przybycie Edella kilka dni temu to był drobiazg. Teraz sprawa była poważna.

Ku jej wielkiemu zdumieniu Arcylord wcale nie wydawał się z tego powodu szczęśliwy.

- To za wcześnie! Za wcześnie! - Wyciągnął ręce do nieba. - Za wcześnieeee!

## **ROZDZIAŁ 10**

Pojawiły się jak paskudne plamy na pastelowym niebie: bąble zła wiszące tysiąc metrów nad ziemią. Złowróżbny klin statków, rozciągający się na cały horyzont, i inne, lecące jeszcze wyżej. Statki były nawet większe niż zwinne balony zwiadowcze Edella i kierowało nimi dwa razy tyle uwięzionych uvaków. Malowane na czaszach wzory wyglądały jak potwory, szczerzące się nad wodami. Potwory miały zęby - każda z potężnych gondoli z drewna vosso miała na dziobie spiczaste ostrza.

Hebanowa Flota Bentado.

- Przybyli za wcześnie! - powtarzał wściekły Edell. Główne siły były prawie gotowe, kiedy wyruszał na swoją wyprawę, ale spodziewał się, że zaczekają na jego powrót. Napowietrzna podróż Edella trwała trzy dni; a więc żeby dotrzeć tu już teraz, Bentado musiał wyruszyć prawie natychmiast po otrzymaniu od Taymor wieści o sukcesie.

Narwany głupiec! Dlaczego Wielki Lord Hilts pozwolił na to? Edell znał odpowiedź: jego małżonka, Ilianą, chciała się pozbyć Bentado. Tyle że polityka nie miała znaczenia, nie w tej chwili, kiedy statki przekroczyły linię brzegu i zaczynały schodzić w dół. Spokojnie przeleciały nad bateriami balist na nabrzeżu. Edell desperacko szukał czegoś, na co mógłby się wspiąć. Czy fortece na polach były już ostatnią linią obrony?

Odpowiedź dostał, kiedy rozkwitła jaskrawo jedna z kropek, potem druga. Nie wiedział, kto i czym strzela do Statków, ale kule ognia wyglądały znajomo. Przez pola przetoczył się huk i cała zachodnia część horyzontu zasnuła się

mgłą.

- Niech to! - zaklął Edell.

- Ilu ich jest? - zapytała Quarra.

Uniósł brew.

- Jesteś wrogiem, więc nie mam zamiaru ci nic mówić...

- Nie chodzi mi o wojnę! - zawołała, chwytając go za rękaw płaszcza. - Chodzi o moją rodzinę! Uhrar jest tylko o kilka dni drogi w głąb łądu. Te potwory mogą tam być już za kilka godzin!

Zanim zdążył odpowiedzieć, obok nich z turkotem przetoczył się wóz na siano zaprzężony w muntoki. Zatrzymał się tuż przed mostem nad kanałem i wyskoczyło z niego kilkunastu żołnierzy Keshirich. Jeden wypręgał zwierzęta z wozu, a dwaj inni zrywali pokrycie ze słomy, odkrywając wielkogabarytową wersję broni, której Quarra używała wcześniej przeciwko Sithom.

Edell zamarł. Wydawało mu się tylko, że widzi mgłę na zachodzie. Kiedy przyjrzał się bliżej, stwierdził, że to coś jak deszcz padający do góry. Płonące włócznie i odłamki szkła leciały w niebo z zakamuflowanych ruchomych wyrzutni, ukrytych na polach. Stojący w pobliżu muntok zaskrzeczał zaskoczony, kiedy obsługa balisty odpaliła broń z głuchym trzaskiem.

- Szybko! - krzyknęła Quarra, biegnąc w kierunku budynku stacji. Wznosząca się nad nim wieża sygnalizacyjna mieniła się kolorami i światłami, przekazując informacje od obserwatorów we wszystkie strony kraju. Edell zmusił nogi do ruchu i pobiegł za nią. Kolejne eksplozje rozbłyskiwały za północnym i południowym horyzontem.

- Przekleństwo! - Edell splunął na ziemię. - To wszystko za wcześnie!

- Co masz na myśli?

- Pomysły Bentado, kolejnego Arcylorda - wyjaśnił. - Nie powinien ruszać przed moim powrotem! Wtedy

dowiedziałby się o ognistej broni... i o wszystkim innym!

Siebie też przeklinał. Obawiał się, że Bentado spróbuje ataku w najbliższych tygodniach. To dlatego Edell został - chciał po prostu dowiedzieć się dość, aby zapobiec kolejnej klęsce. Bentado jednak ruszył natychmiast i, co gorsza, zabrał większość gotowych statków. Katastrofa była już nie do naprawienia. Zza budynku stacji obserwował trzy potężne statki powietrzne w odległości kilku kilometrów. Dwa z przebitymi powłokami szybko traciły wysokość. Jeden najpierw eksplodował w płomieniach, drugi runął w dół, wysyłając wrzeszczącą załogę na pola.

Forteca po drugiej stronie, na północnym zachodzie, wysyłała lśniąca chmurę w oklapłe resztki trzeciego statku. Znów diamenty! Wrak runął na pole, gdzie pociski zmiażdżyły go bez litości. Edell gapił się wstrząśnięty - roztaczała się przed nim katastrofa niemająca równych sobie w przeszłości. Choć to nie jego wina, mimo wszystko był jej świadkiem. Przynajmniej nic nie uderzyło zbyt blisko...

- Uwaga! - usłyszał.

Chmura pocisków z balisty na wozie obok o mało nie uderzyła w stację sygnalizacyjną.

Chwilę później stacja i tak padła ofiarą przelatującego statku powietrznego, który ściał jej wieżę.

Wyrwana gondola statku spadła do kanału. Uwolniony od ciężaru, podarty balon odleciał, objijając się o pola na wschodzie.

Quarra zostawiła go bez ostrzeżenia i rzuciła się na północ, w stronę mostu nad kanałem.

Wołając ją po imieniu, pognął za nią wprost w spanikowane stado zwierząt. Muntoki, uwolnione od swoich jarzm, ruszyły galopem wzdłuż drogi, popychając Arcylorda, który przekoziółkował wprost do kanału i teraz miotał się w mętnej wodzie.

- Quarra! - zawołał znowu.

Wspiął się na śliskie zbocza i pobiegł po schodach do bocznej platformy załadunkowej nad kanałem. Nieba nie było widać, przesłaniał je czarny dym. Wszędzie na tarasowatych polach, ciągnących się aż do oceanu, leżały w dymiących stertach szczątki statków powietrznych, a kolejne mroczne słupy wznosiły się zza horyzontu. Wokół strąconych statków widać było mnóstwo postaci - jedne nieruchome, inne wywijające mieczami świetlnymi.

Czy to oni atakują, czy są atakowani? Nie wiedział, ale przez Moc wyczuwał te same emocje po obu stronach. Czyste pandemonium. Walka się zaczęła!

- Giń, Sicie!

Edell odwrócił głowę w stronę znajomego głosu - ale to nie mówiono do niego. Jakiś metr od betonowej ławy na północnym brzegu wojownik, Sith w czarnym stroju, walczył z niewidzialnym wrogiem. Edell nie rozpoznał mężczyzny, więc zeskoczył z platformy. Wylądował

za jego plecami i dopiero zobaczył przeciwnika: Quarra! Stała nad ciałem zabitego Keshiri i seria za serią strzelała z samopowtarzalnej balisty zabitego do najeźdźcy. Wojownik łatwo odbijał

pociski mieczem świetlnym.

- Tyro! - wrzasnął Edell, zrywając kaptur. - Tutaj!

Quarra przestała strzelać i spojrzała na niego, zaskoczona - ale jeszcze bardziej zaskoczony był wojownik.

- Arcylord Vrai!

- Zgadza się - odparł Edell, przekrzykując otaczający ich hałas. Podszedł bliżej. - Co tu robicie? Mielicie czekać na mój powrót, aż reszta floty będzie ukończona!

- Arcylord Bentado rozkazał...

Zanim skończył zdanie, młody wojownik zauważył, że Quarra unosi broń, więc rzucił się na nią i przeciął balistę na pół. Przymierzył się do drugiego ciosu - ale Edell i Quarra jednocześnie użyli Mocy, odrzucając osobno zdumionego



wojownika i jego miecz na pobliskie pole.

Edell spojrział na kobietę, trzymającą resztki broni w ręku.

- Dlaczego do niego strzelałaś?

- To moje zadanie - odparła, klękając, żeby podnieść Keshiri, którego broni użyła. Edell zauważył, że wojownik o lawendowej skórze był bardzo młody. - Zawarłam układ tylko z tobą, Arcylordzie Sithów. Z nikim innym!

Zrobił krok w jej stronę, ale zachwiał się na nogach od kolejnej eksplozji, która rozległa się o wiele bliżej. Podniósł wzrok i ujrzał przelatujący nad ich głowami ogromny statek, największy w całej Hebanowej Flocie. Ozdobiony wyszczerzonym symbolem Korsina Bentado, statek flagowy „Yaru”, zataczając się, leciał w kierunku wschodnich wzgórz, wlokąc za sobą dymiącą gondolę, w której utkwilo kilka płonących włóczni.

Edell aż zamrugał. Tak, to naprawdę był „Yaru” - i zniknął właśnie za wschodnim horyzontem. Kilka sekund później rozbłysk światła i głuchy huk oznajmiły jego lądowanie - lub rozbicie - na szczycie płaskowyżu.

Chwycił Quarę za ramię.

- Szybko, za nim!

Wyrwała mu się.

- Nigdzie nie idę!

- Polecieli na wschód, i tak się tam wybieraliśmy.

- Plany się zmieniły - odparła, wstając. Skrzywiła się z żalu, widząc chaos panujący na polach. - Jest wojna! Muszę sprawdzić, czy moja rodzina... czy moje dzieci są bezpieczne! -

Pobiegła przez dym do mostu, kierując się w stronę, z której właśnie przybyli.

Edell nasunął kaptur na głowę i mszył za nią.

- Widziałem to miejsce na mapie statku! Leży na południowy wschód od stolicy... mówiłaś, że to dwa dni drogi. Ale stąd musi być co najmniej trzy dni! I nie jest nam po

drodze!

- Nie obchodzi mnie to - warknęła. - Muszę wracać do domu!

- A co z twoim drogocennym Joganem?

Słyszając to imię, zatrzymała się pod stacją sygnałową i podniosła wzrok.

- Nie wiem, co zrobić - szepnęła, a głos jej się załamał na widok eksplozji. - Nie mogę być wszędzie. Ale to jedno muszę zrobić.

Edell przełknął ślinę. Na wszystkich tarasach Sithów zabijali artylerzyści Keshirich.

Alanciar nigdy nie był dobrym miejscem dla samotnego człowieka, a teraz z pewnością będzie jeszcze gorzej. Zasłonił twarz kapturem i podszedł do Quarry.

- I tak musimy się stąd wynosić - rzekł i położył jej dłoń na ramieniu. - Jeśli chcesz, zrobimy to po twojemu. Ale potem będzie tak, jak ja chcę!

## **ROZDZIAŁ 11**

Alarmy nie ustawały przez trzy i pół doby; wydawało się, że wyją głośniejsze niż kiedykolwiek. Quarra przyzwyczała się do bólu głowy. Połowa populacji szykuje wodę dla syren alarmowych, pomyślała, a druga będzie produkować trąbki dla głuchych!

Ale to były jej syreny, syreny Uhraru. Stojąc o północy na ciemnych ulicach przemysłowego miasta, czuła dumę, że działają dokładnie tak, jak powinny. Przez lata to ćwiczyli, ale zawsze pozostawało pytanie, czy wielkie szklane rury przetrzymają prawdziwą inwazję. Teraz знаła odpowiedź.

Cały Alanciar dawał sobie świetnie radę, przynajmniej tak to wyglądało. Razem z Edellem uciekli przed bitwą, ale jej skutki były doskonale widoczne. Statków powietrznych Sithów było rzeczywiście mnóstwo; sześćdziesiąt balonów objęło bardzo duży teren. Oszczędzono tylko dwa najbardziej wysunięte na północ z Sześciu Szponów, co ograniczyło walki do Zachodniej Tarczy -

co okazało się bardzo trafną nazwą. Fortece i strzelcy pośród pól zniszczyli większość balonów jeszcze w powietrzu. Załogi zrzucone na ziemię musiały stawić czoło przeważającej sile.

Myślowołacze zgłaszali, że wielu Sithów jest jeszcze na wolności, wieże sygnalizacyjne nadal migają światłami jak szalone. Quarra nie zastanawiała się, czy uciekinierzy sithańscy są prawdziwi, czy to tylko duchy; to nie był jej problem. Musiała dotrzeć do domu. Pomachała swoimi papierami, żeby zarekwirować zaprzęg muntoków i wóz. Nikt nie chciałby się

narażać dowódcy okręgu, który jedzie do macierzystego dystryktu. Edell jechał z tyłu, dobrze ukryty. Po trzech dniach i trzech nocach jazdy dotarli do miasta tuż po zachodzie słońca.

Jazda przez Uhrar sprawiła, że Quarra poczuła się o wiele lepiej. Znalazła swoje śpiące dzieci w miejskim schronie - w pierwszym miejscu, do którego zajrzała, i dokładnie tam, gdzie powinny być. Jej ludzie świetnie sobie poradzili, zagarniając wszystkich do bunkra - cała rodzina była tam już od dnia, kiedy ponad tydzień temu zaatakowała flota Edella.

Zastępca dowódcy okręgu wydał się wręcz zawiedziony jej widokiem. Pod jej nieobecność mógł zabłysnąć. Nie zamierzała się tym teraz martwić. Nie musiała też spotkać Brue - dzieci były bezpieczne, a przy takim zużyciu szklanej amunicji mąż pewnie dostał rozkaz, aby udać się do fabryki na nocną zmianę.

Wychodząc z biura, spojrzała na migające światła stacji sygnalizacyjnej i odetchnęła głęboko. Wóz z Edellem w środku stał niedaleko w ciemności. Znalazła go siedzącego z tyłu i pożywającego się przemycnym przez nią jedzeniem.

- Twoja rodzina jest bezpieczna - rzekł. - Jesteś zadowolona?

- Tak - odparła.

- Kłamiesz. - Wyrzucił obgryzioną kość. - A teraz jedziemy. Ten objazd może być dobry dla ciebie, ale mnie wiele kosztował. Do Sus'mintri.

Wdrapała się na kozioł i chwyciła wodze. Edell wsunął się z powrotem w ciemną czeluść wozu, odwrócony do niej tyłem, z twarzą pogrążoną w cieniu.

Wóz turkotał na kamiennej drodze, a ona patrzyła w ciemność. Dopóki ataki z powietrza stanowią zagrożenie, zaciemnienie - całkowite, poza stacjami sygnalizacyjnymi - będzie trwało.

Wreszcie przemówiła.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że mam więcej

wspólnego z Sithami, niż sądzę?

Odpowiedział po krótkim namyśle.

- Chodziło mi o to, że dążysz do doskonalenia się i do rozpaczki doprowadza cię słabość innych. Nie żartowałem. Nigdy nie jesteś zadowolona. Myślę, że to dzięki temu jesteś tak dobrym dowódcą armii...

- Okręgu.

- ...bo potrafisz zorganizować innych. Wiesz, co należy zrobić, i oczekujesz, że to zostanie zrobione. Uważasz brak ambicji za brak szacunku nie tylko dla siebie, ale i innych. I dla ciebie.

Nie odpowiedziała.

- Ten twój mąż... prawie widzę jego twarz, kiedy o nim myślisz. Jest nikim. Nigdy nie chciał

być czym innym, niż jest. Spowalnia cię. Myślę, że to cię pociągnęło do tego strażnika, Jogana.

Może on ma ci odrobinę więcej do zaoferowania niż twój mąż, ale jego też wzięłaś tylko na przejażdżkę. - Arcylord pociągnął łyk z butelki. - Przyglądałem mu się, wiesz, kiedy był moim więźniem. Owszem, nosi mundur, ale jest obserwatorem, a nie aktorem. Możesz go zdobyć, ale szybko się nim znudzisz.

Quarra zapatrzyła się w ciemność.

- Jest w nim coś więcej.

- Może, ale tobie to nie wystarczy. Przerośniesz go... a on będzie cię ściągał w dół, jak uvaki moje statki. Będziesz musiała go odciąć.

- Właśnie... widziałam, co zrobiłeś ze swoimi - odparła, przypominając sobie masywne cielsko, które z nieba spadło na Jogana. - Zapomnij. Nie zamierzam dokonywać takich wyborów.

- Dobra nowina - odparł Edell. - Z tobą jest jak ze statkiem powietrznym: im jesteś większa, tym więcej możesz unieść. Władza to nie tylko możliwość wyboru. Władza to decyzja, czy masz w ogóle wybierać. Możesz mieć swojego

męża i małą rodzinę, i kochasia w wieży. Ale możesz też wykorzystać swój autorytet i zmusić ludzi do posłuchu.

Quarra zamrugła nerwowo.

- Może w twojej służbie, co?

- Czemu nie? - odparł. - Ale także we własnej. Mogłabyś być Sithanką, Quarro. To tylko kwestia wiary. Ale nie zostaniesz Sithanką tak długo, jak długo nosisz czyjeś łańcuchy. Musiałabyś najpierw zrzucić krępujące cię więzy.

- Byłabym ostrożna na twoim miejscu - odparła. - Wy, Sithowie... tak jak wasze statki, macie tendencję do nadymania się i pęknięcia.

Ziewnął i wyciągnął się na wozie. Quarra spojrzała znów w stronę Uhraru i pomyślała o tej drugiej rzeczy, o której mu nie powiedziała.

Wysłała wiadomość. Było to pytanie, całkiem zrozumiałe, jeśli brało się pod uwagę niedawny atak. Co zrobić, jeśli wpadł ci w ręce sithański Arcylord? - zapytała.

Sygnał odpowiedzi z Sus'mintri przyszedł niemal natychmiast: „Sprowadź go do nas.

Będziemy wiedzieli, co robić”.

Nie można było odpowiedzieć jaśniej i bardziej autorytatywnie. Załączono też oficjalny kod identyfikacyjny Gabinetu Wojennego. Wyobrażała sobie, że okólnik trafi teraz do wszystkich dowódców okręgów. Zastanawiała się, co to może znaczyć. Z pewnością chcieli zgromadzić razem ocalałych Sithów. Ale sprowadzać ich do stolicy? Może tajne załączniki do często wznawianych Kronik zawierają jakieś sposoby, aby skutecznie i na zawsze okiełznać Sitha.

A może chciano ich po prostu zlikwidować.

Spojrzała na śpiącego Edella. Miała ledwie tyle czasu, aby zawieźć go do Sali Vaal, cokolwiek zamierzał tam robić, a potem wrócić z nim do Zatoki Meori, aby uratować Jogana. Jeśli nawet wprowadzi go w pułapkę, wciąż może uratować Jogana - mając za sobą całe wojska Alanciaru na zawołanie.

Tak, może uratować Jogana - i stać się bohaterką, bo zrobiła swoje i jeszcze więcej.

Masz rację, sithański Arcylordzie. Mogę mieć wszystko.

## **ROZDZIAŁ 12**

Wiele stuleci temu Sus'mintri był kolejnym posterunkiem wojskowym na skraju płaskowyżu, wychodzącym na dolne tereny Zachodniej Tarczy, ciągnące się aż do oceanu. Jego lokalizacja pomiędzy umocnieniami na brzegu a przemysłowym łądem sprawiła jednak, że znalazł

się w samym centrum komunikacji sygnalizacyjnej Alanciaru - dokładnie tam, gdzie chciałby się znaleźć Gabinet Wojenny.

Do niedawna, jeszcze przed dziesięciu laty, przywódcy różnych dyrektoriatów wojskowych, przemysłowych i edukacyjnych spotykali się osobno. Sala Vaal w Sus'mintri skoncentrowała działania w jednym nudnym, jednopiętrowym budynku - który niczym by się nie wyróżniał, gdyby nie kolosalny biały silos, wynoszący się obok na potężnym, ogrodzonym murami dziedzińcu. W

przeciwieństwie do wieży Jogana na Posterunku Wyzwanie, wieża Sali Vaal miała kilka poziomów świateł sygnalizacyjnych, skierowanych we wszystkich kierunkach. Rezydenci Sali Vaal mogli komunikować się ze wszystkimi, od stoczniovców na najdalszym północnym wschodzie po strażników przy własnych bramach, oddalonych o szerokość zakurzonego chodnika.

Brązowo ubrany Keshiri spojrzał na wieżę sygnalizacyjną i znów na Quarę. Odezwał się głośno, żeby przekrzyczeć wycie alarmów:

- Kazali mi cię wpuścić, dowódco okręgu.

Postukał w wóz swoją bronią.



- Oboje - dodał z pogardą.

Brama otworzyła się i zaprzęg muntoków Quarry podreptał do środka. Ledwie wrota się zamknęły, kiedy Edell wystawił głowę spod plandeki na tyle wozu.

- Oboje? Co to ma znaczyć?

- N... nie wiem - wyjąkała, zsiadając z wozu. Edell trzymał miecz świetlny w dłoni. Długa droga z Uhraru wymęczyła Quarę okropnie, a Sitha coraz bardziej irytowała. Miała nadzieję, że będzie dość otepiały, gdyby czekała na nich zasadzka.

Prawie się spodziewała, że przywita ją oddział strzelców, zaczajonych na jej towarzysza.

Ale na dziedzińcu znajdowała się tylko ona i jej wóz. W powietrzu wisiał nieprzyjemny zapach.

Nad ich głowami światła wieży mrugały łagodnie.

A drzwi Sali Vaal były szeroko otwarte. .

- Nie podoba mi się to - mruknęła pod nosem.

- No to jest już nas dwoje - odparł Edell. Zsunął się z wozu i zeskoczył na ziemię. Chwycił ją za ramię i odwrócił do siebie.

- Nie oczekiwali tylko ciebie, prawda? Spodziewali się także mnie.

Nie patrząc na niego, szukała odpowiednich słów.

- Nigdy mi nie powiedziałeś, co chcesz tu zrobić. Obejrzeć kraj, zwiedzić stolicę, spotkać się z Gabinetem Wojennym? - Wzruszyła ramionami. - Jestem urzędnikiem, Edellu. Nie mogę tak po prostu przeprowadzić cię przez frontowe drzwi.

Edell przyglądał jej się gniewnie jeszcze przez chwilę, po czym uśmiechnął się.

- Więc to ja ciebie przeprowadzę przez frontowe drzwi - Zrzucił płaszcz przeciwdeszczowy na ziemię i zapalił miecz świetlny. - Jak zawsze, panie przodem.

Keshiri w holu byli martwi co najmniej od wczoraj,

może dłużej. Quarra rozpoznała ich mundury - najpierw kilku strażników, potem obok siebie administratorzy i asystenci. Budynek nie został naruszony, nie było widać śladów zaciętej obrony. Tylko leżący, okaleczeni Keshiri.

Niektóre rany wyglądały jak ślady mieczy świetlnych. Ale nie wszystkie.

Zakryła usta dłonią.

- Pracowałam z tymi ludźmi.

- Już nie pracujesz - odparł, przekraczając kolejne ciała.

Czujnie rozglądał się po korytarzu.

- To piętro jest nieważne, prawda? Wszystko, co się liczy, jest pod ziemią.

- Tak - przyznała, żałując, że podczas wizyty w swoim biurze nie zabrała z sobą broni. Do złośliwości Edella już się przyzwyczaiła. Tu jednak panowała atmosfera przenikającego wszystko zła. I rozprzestrzeniała się coraz szerzej.

Lampy żarowe u stóp schodów były zapalone. W bocznym skrzydle głównego holu trafili na salon, ładnie urządzone; byłoby tu miło, gdyby nie zabity keshirski strażnik, leżący u stóp wielkiego gobelinu. Edell spojrział na obraz. Przedstawiał starszą keshirską kobietę. Rzadkie włosy okalały twarz o zmęczonym, niemal wynędzniałym wyglądzie.

- Co za brzydka kobieta - zauważył.

- Mówisz tak, bo wiesz, kto to jest - odparła. - To Adari Vaal.

Często stała w tym pokoju, czekając na spotkanie z Gabinetem Wojennym i podziwiając gobelin, którego zawsze strzegł strażnik. Wyobrażał on wielką Keshiri tak, jak wyglądała pod koniec życia, nie zaś młodzieńczą postać z historycznych relacji. Dawniej krzepiło Quarre samo wrażenie trwałości, jakie sugerował obraz.

Teraz honorowy strażnik gobelinu nie żył - podobnie jak wszyscy inni. Sala spotkań Gabinetu Wojennego była jak kostnica - wszyscy znacniejsi politycy Alanciaru leżeli pod

stołem albo na nim. I znów ani śladu obrony. Ktokolwiek tu wszedł, zrobił to nocą i ku całkowitemu zaskoczeniu wszystkich.

- Nie - odezwał się Edell, otwierając szeroko złote oczy.  
- Tutaj go nie będzie. Chodź za mną.

- Kogo?

- Idź za mną... i trzymaj się blisko!

Korsin Bentado siedział w fotelu o wysokim oparciu; wyglądał jak arachnoid w swojej sieci w dżungli. I była to rzeczywiście sieć. Quarra kilka minut temu nazwała ten pokój „wartownią świata” i tak też było. Edell był pewien, że takie miejsce gdzieś istnieje. Wszyscy sygnalizatorzy musieli jakoś przekierowywać swoje wiadomości. Przyjmował, że gdzieś są pomniejsze centra informacji - rozsądne posunięcie z racji tempa komunikacji. Widząc jednak, jak bardzo zmilitaryzowane jest życie Alanciaru, zrozumiał, że wszystko jest gdzieś scentralizowane.

Wiadomość z Posterunku Wyzwanie do Przesmyku Garrowa mogła dojść bezpośrednim połączeniem, ale wszystko inne najpierw musiało przejść przez centralę.

A centrala była tutaj i Bentado w niej siedział. Wydawał się bardzo odmieniony. Jego głowa nosiła ślady niedawnych oparzeń, niegłębokich, lecz wyraźnie bolesnych. Krzaczaste brwi uległy całkowitemu spaleni. Czerwień i fiolet plamiły jego mundur.

- Przeżyłeś - odezwał się Bentado głosem bardziej chrapliwym, niż Edell pamiętał. - Tak myślałem, że to ciebie wyczułem. Podejdz bliżej, Vrai. Zobacz, co zrobiliśmy z tym miejscem.

Edell wszedł do pomieszczenia, z obu stron pilnowany przez sithańskich obwiesiów Bentado. Quarra nerwowo czekała z tyłu.

- Przyprowadź swoją przewodniczkę - polecił Bentado i wstał, krzywiąc się lekko. - To ona jest powodem, dla którego tu

jesteś.

Edell wyłączył miecz świetlny i wziął Quarę za rękę, żeby wprowadzić ją do środka. Uznał, że właśnie to pomieszczenie miał na myśli. Masywna, okrągła konstrukcja zakopana pod wieżą, gdzie personel biega po schodach, roznosząc wiadomości. Kraty metr na metr w suficie oświetlały wzniesiony pośrodku pomost. Leżała na nim wielka mapa Alanciaru, zdumiewająco podobna do tej, którą przechowywano w pałacu w Tahv. Różniła się od niej głównie skomplikowaną siecią stacji sygnalizacyjnych i umocnień.

Edell spojrzął na posłańców. Niektórych rozpoznał z licznej załogi „Yaru”, ale byli też ludzie z innych statków. Głównie wojownicy rasy ludzkiej, ale w całej tej mieszance było też kilku ambasadorów Keshiri, w tym Klocek, który właśnie przyniósł swojemu kulejącemu panu stos pergaminów.

- To było twarde lądowanie - wyjaśnił Bentado. - Odcieśliśmy gondolę, jak tylko opuściliśmy szczyt grani. - Zaśmiał się, szczerząc połamane zęby. - Twój wodór nie był dobrym pomysłem.

- Dowiózł nas tutaj - odparł Edell, z każdą chwilą bardziej czujny. Niby tutaj było jego miejsce, wśród innych Sithów - ale coś wydawało się nie w porządku. Podeszedł do mapy i znów rozejrzył się po sali. - Mają tu świetnych budowniczych. Ale to nie może być centrum całej ich łączności:

- Jasne, że nie. W całym mieście jest co najmniej trzynaście budynków, przetwarzających komunikaty. Jeden znaleźliśmy zaraz po wylądowaniu, to on nas tu doprowadził. Nie wiem, czy dasz wiarę, ale jedna z instalacji przekazuje nawet wiadomości od użytkowników Mocy. Wszystkie ważne informacje tu właśnie są kopiowane albo stąd wychodzą. Kiedy już znaleźliśmy to miejsce, wystarczyło wejść do środka, nie zwracając na siebie uwagi - zaśmiał się. - Zwykle pozostawiam innym subtelne metody. Jeśli się rozejrzysz po budynku, zobaczysz moje dzieło.

Edell spojrział w górę schodów wiodących na wieżę.

- A więc zebrałeś tu wszystkich ocalałych ze swojej floty.

- No i ciebie także - rzekł Bentado, kiwając głową w stronę Quarry. - Używamy stacji sygnalizacyjnych, żeby sprowadzić tu co się da, nawet bramy każemy otwierać w ten sposób. Na początku skłoniliśmy Keshirich tylko do tego, aby dostarczali żywność za bramę. Ale ci głupcy zaczęli sprowadzać tu także swoich więźniów!

Edell spojrział na Quarę. Stała jak skamieniała, z dłonią przy ustach. Zauważył, że w jej ogromnych oczach pojawia się nagle zrozumienie. Organizacja, która dała Alanciarowi siłę, okazała się także jego słabością. Edell to podejrzewał, między innymi dlatego tak uporczywie dążył do Sus'mintri. Bentado jednak przybył pierwszy i z tym samym pomysłem. Cała chwała będzie należeć do niego.

- Wyłączyć alarmy, wszędzie - polecił Bentado. Klocek podreptał do schodów z rozkazem.

W niecałą minutę później przeraźliwe syreny nad Sus'mintri ucichły, wkrótce tak samo będzie na całym kontynencie. - Postawcie wszystkich w stan gotowości, zanim przybędzie kolejna fala.

- Kolejna fala? - zdziwił się Edell.

- Kolejna fala Sithów. W Keshtah zostało jeszcze trochę napowietrznych statków.

Podejrzewam, że wkrótce je tu zobaczymy.

Edell uniósł brwi.

- Powinniśmy przekazać wiadomość do Tahv, zanim wyruszą. Może będziesz potrafił

kierować stąd Keshiri, ale podejrzewam, że tak czy owak Alanciari będą strzelać do naszych statków!

- Masz rację - odparł Bentado z ponurym uśmiechem. - I dokładnie tego od nich oczekuję!

## ROZDZIAŁ 13

Edell zachwiał się z wrażenia.

- Chcesz, żeby Keshiri zniszczyli nasze statki?

- Nie nasze statki - odparł Bentado, pochylając się nad wielką mapą. Na jej zachodniej krawędzi stało kilkanaście miniaturowych modeli statków powietrznych. - Zniszczą statki Plemienia.

- Przecież my jesteśmy częścią Plemienia.

- Doprawdy? - Spalona brew nad okiem Bentado uniosła się lekko.

- Tyle czasu spędziliśmy na odbudowie - wybuchnął Edell, nie wiedząc, że Quarra uważnie obserwuje go z boku. - Nie wiem, jaki w tym sens, żeby znowu nas rozbijać.

- Nie zgrywaj niewiniątka. Ty i twoi ludzie ze Złotego Przeznaczenia rozwaliliście Plemię na kawałki od lat, tak samo zresztą jak moi ludzie - wskazał na Sithów w pomieszczeniu. - Daj spokój, Edell! Przecież byłeś z nami w czasie kryzysu i pokazywałeś, jak zniszczyć Świątynię!

- To nie był mój najlepszy moment.

- Oczywiście, że nie - odparł Bentado. - Ale na razie nie proponuję zniszczenia tego, co odbudowaliśmy. Mówię o stworzeniu Drugiego Plemienia, tu, w Alanciarze.

- Drugiego...? - Edell osłupiał. Nigdy by nie wpadł na taki pomysł.

- To proste - wyjaśnił łysy Sith. - Nie da się dojść do stanowiska Wielkiego Lorda, dopóki żyje Hilt. A Iliana - jego usta skrzywiły się złośliwie, jakby imię królewskiej małżonki było brzydkim słowem - już ona dopilnuje, żeby Hilt żył jak

najdłużej, aż my obaj będziemy zbyt starzy, żeby nas to obeszło.

Bentado obszedł wokół mapę.

- Sam powiedziałeś, że tutejsi Keshiri są lepsi niż nasi... a ja nie wspomnę nawet o marnowaniu mięsa armatniego, w co wrobił mnie Hiltz - zawołał, klepiąc ciężką ręką sękatę ramię Klocka. - Yaru Korsin znalazł rzeźbiarzy i malarzy. My znaleźliśmy rasę wojowników.

Budowniczych i zbrojmistrzów!

- Alanciari są rzeczywiście świetni - zgodził się Edell, wskazując brodą na Quarre. -

Naprawdę zdumiewający. Ale to sami Keshiri. Taki sam potencjał istnieje w ludzkie z naszego dawnego kontynentu.

- Masz dwa tysiące lat, żeby ich przeszkolić?

Edell spojrział na Sithów strzegących wejścia do sali. Słyszeli każde ich słowo i nic nie zrobili. Jego ludzie, powiedział Bentado. Jego starannie dobrana załoga, zrozumiał Edell. Jak wielu z nich pochodziło z dawnej Ligi Korsynitów Bentado? Czemu nie zwrócił na to wcześniej uwagi?

Bentado przesunął dłonią w rękawicy po powierzchni mapy.

- Doskonałe, wiesz? Doskonałe rozwiązanie. Problem z Sithami istnieje od zawsze.

Nauczyliśmy się gloryfikować siebie, podporządkowywać sobie innych. Człowiek jest wolny jedynie wówczas, jeśli zerwie wszystkie łańcuchy i jeśli nikt nie może ograniczać jego działań, opierając się jego woli. Doskonały Sith musi kontrolować wszystko i wszystkich. - Uniósł Mocą miniaturowe okręciaki, które zaczęły podskakiwać w powietrzu jak prawdziwe. - Ale realizacja takiej kontroli... zawsze jest porażką. Istnieje tu zbyt wiele czynników. Zbyt wielu niewolników, pożądanego czegoś innego niż twoja chwała. Zbyt wielu niedoszłych Sithów działających w przeciwną stronę. - Ruchem ręki rzucił miniaturowe stateczki na stół. - I to jest okropne!

Edell milczał. Bentado zawsze tak mówił. Ten człowiek powinien znaleźć się na scenie z innymi aktorami.

- Kiedy byłem młody - ciągnął Sith - myślałem, że Yaru Korsin znalazł rozwiązanie.

Pamiętasz? Przebiegłością skłonił Keshirich, żeby w niego uwierzyli. A potem wszedł i przekreślił

klucz. Pierwszą część załatwił prawidłowo, ale drugiej już nie. Skutkiem była jego śmierć i zmarnowane tysiąclecie. Ale tu... - Bentado urwał, żeby podnieść model stacji sygnalizacyjnej. - Tu można zrobić wszystko od początku i tak jak należy. Jak Korsin, zostałem zrzucony z nieba na tę ziemię. Działa tu system rządzenia, który nagnę do swojej woli. No i nie ma tu Sithów.

Edell zastanowił się nad tymi słowami. Cokolwiek sądził o Bentado, sam pomysł był

interesujący. Samotny sithański Lord może nigdy nie zmusić tubylców, żeby pracowali dla niego -

chyba że już pracują. Alanciar jest jak bijące serce, jego armie są w gotowości od zawsze.

Potrzebny jest tylko sithański Lord, który stanie na czele, nie zakłócając działania całej maszyny.

- Dobry pomysł, Arcylordzie - rzekł wreszcie Edell. - Bardzo dobry. Ktoś będzie musiał o tym pamiętać, kiedy napadniemy na Republikę Galaktyczną.

Bentado uśmiechnął się.

- W Alanciarze jest tylko jeden problem z przeprowadzeniem tego planu - zauważył Edell. -

Nie jesteś tu jedynym Sithem.

- Ludzie w tym budynku są lojalni - odparł Bentado. - Pracują dla mnie.

- Jak długo będą to robić, zamknęci tutaj? Są ludźmi. Nie mogą wyjść na zewnątrz, bo Keshiri natychmiast rozpoznają ich jako obcych.

- Ciebie nie rozpoznali!



- Bo miał pomocnika - odezwała się po raz pierwszy Quarra. - Zmotywowanego pomocnika.

Ale gwarantuję, że nikt więcej wam nie pomoże, kiedy się dowiedzą, że tu jesteście. - Wskazała kciukiem na wyjście. - I że zabiście naszych przywódców. Moi ludzie i tak przyjdą ich tu poszukać.

Edell zauważył obawę na twarzy rywala. Bentado nie przemyślał sobie tego aż do końca. A poza tym Edell wiedział jeszcze coś, czego nie powiedział nawet Quarze.

- Kolejne statki mogą nadlecieć szybciej, niż się spodziewasz. Musimy pomyśleć, jak je tu bezpiecznie sprowadzić. Twój plan... jest interesujący, ale więcej osiągniemy jako jedno Plemię.

- Więc niech zwycięży lepsze Plemię!

- Nie ma sensu robić wszystkiego od nowa. - Edell zerknął na Quarre, nakazując jej wzrokiem, żeby przesuwała się w stronę wyjścia. Kiedy zauważył, że ruszyła, podszedł do strażników. - Arcylord Bentado przejął kontrolę nad Keshiri tego kontynentu. Pomóżecie mu, dopóki nie przybędą posiłki. Wtedy zaczniemy pracować razem nad skonsolidowaniem władzy w imieniu Plemienia i Wielkiego Lorda Hiltsa.

Bentado westchnął ciężko.

- Zawsze byłeś takim nudziarzem - ocenił i zwrócił się do strażników. - Brać go!

Zbiry Bentado przy drzwiach zrobiły jeden krok, ale więcej nie zdążyły - Edell ruszył na nich z włączonym mieczem świetlnym. Jeden szeroki zamach na wysokości talii oczyścił drogę.

- Quarra, wynosimy się stąd! - nakazał.

Quarra rzuciła się do wyjścia, mijając Edella i jego świetlisty miecz. Odwrócił się w drzwiach, żeby za nią pójść, ale krzyknął głośno. Quarra obejrzała się z przerażeniem. Ciemny korytarz rozświetliły błyskawice. Korsin Bentado powoli schodził z „wartowni świata”, a jego jedyna dłoń ciskała

snopy dziwnych, błękitnych iskier energii. Edell zadygotał pod wpływem tego ataku i upuścił miecz świetlny.

Quarra przebiegła wzrokiem po podłodze przy wejściu. Sithowie nie zatroszczyli się o to, by odebrać martwym keshirskim strażnikom ich broń. Kobieta chwyciła samopowtarzalną ręczną balistę, przetoczyła się i wypaliła. Odłamki szkła świsnęły obok Edella, a Bentado łyknął z bólu, gdy jeden z nich wbił się w kikut jego lewego ramienia, kończąc elektryczny spektakl.

Wciąż naładowany energią Edell upadł, trącąc Quarre w wolne ramię. Wystrzeliła znowu, zmuszając Bentado i jego adiutanta Klocka do szukania schronienia. Kiedy już opróżniła broń, przyciągnęła do siebie Mocą porzucony miecz świetlny Edella.

Teraz to ona prowadziła, pomagając oszołomionemu Sithowi przejść labirynt korytarzy. Po drodze rozbijała kule ogniste oświetlające pomieszczenia; ciemność będzie teraz jej sprzymierzeńcem. Słyszała ludzi Bentado, poruszających się w korytarzach za jej plecami, ale to ona wiedziała, gdzie się znajduje. Nie rozumiała wszystkiego, co mówił Sith, ale musiała przekazać tę wieść światu - ich system sygnalizacyjny został przechwycony!

Dysząc, dotarła do holu przed salą Gabinetu Wojennego. Po drugiej stronie sali znajdowały się strome schody. Skierowała się ku nim, gdy nagle Edell upadł na podłogę, zwijając się z bólu po ataku Sitha. Nie wiedziała, co mu zrobił Bentado, ale Edell najwyraźniej nigdy wcześniej tego nie doświadczył.

Próbowała go posadzić - i w błysku przypomnienia zobaczyła, jak dokładnie tak samo próbowała pomóc usiąść Joganowi na Posterunku Wyzwanie, kilka dni wcześniej. Za wiele dni wcześniej. Quarra podniosła się, zdruzgotana.

- Czas mi się kończy, Edell! Muszę iść!

Edell zakasłał głośno.

- O czym... o czym ty mówisz?

- Muszę ostrzec ludzi... nie próbuj mnie powstrzymać. A potem wyjadę. Minęło dziesięć dni, odkąd opuściliśmy statek. Nawet na uvaku będę potrzebowała dwóch dni, aby dotrzeć do Zatoki Meori i do „Pecha”. - Spróbowała pomóc mu wstać. - Proszę, chodź ze mną! Jeśli nie wrócimy, twoja załoga go zabije!

Arcylord zgiął się z bólu. Quarra próbowała utrzymać go na nogach, ale nie dała rady.

- Pójdę sama, jeśli będę musiała...

- Nie, zostań, Quarro. To... jest ważne. Zostań i pomóż mi!

- Nie mogę! - Quarra wstała i spojrzała w kierunku schodów. - Muszę iść!

Była już przy pierwszym schodku, kiedy usłyszała jego wołanie.

- Quarro...! Ich tam już nie ma!

- Co?

- Powiedziałem ci, że „Pech” zostanie tylko po to, żebyś mnie tu przyprowadziła - jęknął

Edell, usiłując wstać. - Wysłałem ich do domu.

- Do domu? - Podbiegła znów do jego boku. - Do jakiego domu?

- Do Keshtah. Na nasz kontynent.

- Razem z Joganem?

- Jeśli przeżył - jęknął Edell. - Sam z pewnością daleko by nie zaszedł. Odjechali, jak tylko dotarliśmy na brzeg.

- Niech cię szlag!

Quarra zawróciła do schodów - i nagle zamarła. Usłyszała kroki. Czy to możliwe, aby Bentado miał tam ukrytych ludzi? Po chwili w ciemnym korytarzu rozległy się głosy.

Edell usiłował uklęknąć obok niej. Wciąż miała jego miecz świetlny.

- Quarro, zabijają nas oboje, a wtedy wszyscy przegramy!

Zesztywniała na sekundę, nie wiedząc, co robić. Podeszła znów bliżej, a on ciężko się na niej oparł. Uginając się pod ciężarem Sitha, niespokojnie spojrzała na drzwi - a potem na gobelin na ścianie. Adari Vaal spoglądała na nią, milcząca jak zwykle. Hałas za drzwiami wzrastał się. Quarra zawołała:

- Opoko Kesh, ocal swoją córkę!

Poczuła drzenie w Mocy - lekkie, niczym powiew wiatru - dochodzące od strony gobelinu.

Oczy Quarry się rozszerzyły. Tak! Nie miała czasu się zastanawiać, czy bezcześci historyczne dzieło. Odsunęła tkaninę - i zajrzała w ciemność ukrytego za nią pokoju. Zarzuciła sobie ramię Edella na barki i bez namysłu pogрузyła się wraz z nim w ciemności.

## **ROZDZIAŁ 14**

Już po raz drugi w ciągu dwóch tygodni Quarra opiekowała się rannym człowiekiem, podczas gdy wokół krążyli Sithowie. Tyle że okoliczności nie mogłyby być bardziej odmienne. Nie znajdowała się na stacji sygnalizacyjnej Jogana ani na pokładzie statku. Była w największym sanktuarium Alanciaru - w bibliotece Adari Vaal.

Sithowie hałasowali na zewnątrz, za zasłoną. Nigdy nie słyszała mniej niż trzy głosy naraz, choć spędziła tu już wiele godzin. Nie mogła wyjść, ale wciąż miała możliwość ostrzeżenia swojego ludu. Przez dwie godziny sięgała poprzez Moc do innych myślowołączy. Nie obchodziło ją, czy Sithowie wyczują jej obecność. Moc była jedynym sposobem komunikacji, którego Sithowie nie mogli przejąć... a przynajmniej miała taką nadzieję. W otoczeniu emanującego z Sithów gniewu i prawie toksycznego poziomu strachu, jaki wytworzył się ostatnio u Alanciari, wzywanie poprzez Moc było niczym śmierć przez utopienie. Nie było sposobu, aby ktokolwiek mógł odgadnąć, co próbuje powiedzieć. Sama była na to zbyt zmęczona... i zbyt przerażona.

I wściekła. Przez długie godziny patrzyła ponuro na Edella, który odpoczywał po swojej przygodzie. A więc okłamywał ją przez cały czas. Znała poszarpane południowe wybrzeże; nie było tam wielu fortec ani osad - góry w śnieżnych czapach służyły za obronę. „Pech” mógł

niepostrzeżenie dotrzeć do otwartego morza. Na południu panowała jesień, a marynarze z Alanciaru unikali Południowego Przejścia z powodu szybkich polarnych prądów i

warstwy lodu. Czy niedoświadczona załoga miała szansę dotarcia na południowy ocean? I czy Jogan ich ostrzeże, czy też zachowa milczenie, gotów utonąć wraz z nimi, jeśli będzie trzeba? A jeżeli ich nawet ostrzeże, czy będą go słuchać?

Quarra ze zdumieniem stwierdziła, że nie wie, co zrobiłby Jogan. Wyobrażała sobie, że zna jego prywatne myśli, ale właściwie chodziło jedynie o stosik wiadomości i kilka godzin przy jego boku. A ona omal nie wywróciła dla niego całego swojego życia.

A co z Edellem? To on i jego ludzie wywrócili do góry nogami cały jej świat. A jednak uratowała go, choć wiedziała, że skłamał. Czemu? W myślach analizowała scenę w wartowni. Edell wydawał się inny niż Bentado. Oczywiście, to taki sam morderca, ale Edell był budowniczym, a nie wojownikiem. Wydawał się zainteresowany czymś... czymś więcej. Ale czy Sithowie w ogóle interesowali się czymkolwiek prócz siebie? Czy coś takiego nie niweczyłoby sensu bycia Sithem?

Nie ufała mu, ale nie mogła go opuścić. Co się z nią działo?

Spała niespokojnie, budząc się często, aby nasłuchiwać głosów na zewnątrz. Jakoś się nie zbliżały - a rano pokój zalało światło z ukośnego szybu nad ich głowami. Betonowy tunel za bardzo się zwężył, żeby mógł posłużyć jako wyjście, ale oświetlenie pozwoliło jej przynajmniej czymś się zająć, póki Arcylord spał. Sięgnęła po książkę. Czytała te same Kroniki Keshtah co wszyscy.

Zapisać rozmowy z walczącą o wolność Adari Vall o jej dawnym życiu były lekturą obowiązkową, gdy tylko dziecko nauczyło się czytać. Były podstawą - oczywiście z grubsza - tego, o czym opowiadały przedstawienia. Wiadomo było jednak, że w czasie swojego wygnania w Alanciarze Adari Vaal stworzyła też inne zapiski. Niektóre były monografiami Sithów, inne dostarczały szczegółowych opisów jej kontynentu. Sporą część tych prac stanowiły porównania i zestawienia minerałów z

obu kontynentów - nawet najbardziej zaangażowani naukowcy mieli problemy z przeanalizowaniem całego materiału. Poparcie teorii Pradawnego Katakliizmu, który przeciał połączenie pomiędzy Keshtah a Alanciarem, było tu jedyną interesującą informacją.

Książka, którą teraz czytała Quarra, była jednak czymś całkiem innym. Jej stronic nie wypełniała kaligrafia skrybów, lecz - chyba - własne pismo Adari? Wydawało jej się to mało prawdopodobne, ale uważniej przewracała stronic. Nie wiedziała, czy ten dokument jest oryginałem, czy ręcznie wykonaną kopią, młodszą o kilka wieków - był to jednak tekst, którego nigdy nie widziała: osobiste pamiętniki Adari.

Niecierpliwie przerzucała stronic, czując identyczne podniecenie, jak kiedy odczytywała wiadomości od Jogana. Znalazła pełne smutku zwierzenia na temat synów Adari, zwłaszcza Tony, który został na kontynencie. Było też kilka gorzkich akapitów matki Adari, Eulyn - i bardzo niewiele na temat jej pierwszego małżeństwa z Zharim. Ale odwracając kolejne strony, zauważyła, że pisarka zaczyna się spieszyć, litery się pochylają. Pisała teraz o Yaru Korsinie, kapitanie „Omenu” i pierwszym Wielkim Lordzie Plemienia.

Korsin dotknął umysłu Adari na długo przed ich pierwszym spotkaniem; potem jeszcze kilka razy wspominała o tym uczuciu. Wówczas wydało się jej irytujące i później także, za każdym razem, kiedy to robił. Quarra rozumiała niechęć Adari; sama też to czuła, kiedy próbowała się komunikować mentalnie z innymi Keshiri, niedostrojonymi do Mocy.

Nie robiła tego często, ponieważ to nie zawsze działało, a i tak nie było żadnej praktycznej potrzeby. Jako myślowołącz porozumiewała się tylko z innymi użytkownikami Mocy. A kiedy próbowała dosięgnąć swojego męża, jego jedyną reakcją był grymas obrzydzenia. Czy to właśnie czuła Adari, kiedy Korsin po raz pierwszy skontaktował się z nią poprzez Moc? Quarra mogła sobie wyobrazić jej niechęć.

Ta niechęć pojawiała się później na każdej stronie, kiedy Adari opisywała zazdrość, jaką czuła do niej Seelah, żona Yaru wśród ludzi. I jej złośliwe zachowanie, zawsze kiedy Yaru nie było w pobliżu. On zresztą nie powstrzymywał Seelah, nawet jak widział, co się dzieje. Adari napisała, że lubił konflikt między nimi. Ale nie było to typowe zachowanie Sitha, pisała Adari, lecz mężczyzny. Najbardziej jednak irytowało ją to, że sama i dobrowolnie postawiła się w tej sytuacji, i to nie tylko po to, żeby uzyskiwać informacje dla swojego ruchu oporu.

„Yaru ma bystrzejszy umysł niż ktokolwiek, kogo poznałam - pisała Adari. - Pojedynek z nim na słowa był taki sam, jak jego pojedynki na miecze świetlne; czułam się rozbudzona i ożywiona. Nawet teraz, dziesiątki lat później, przypominam sobie, jak się budziłam rano, chcąc znowu z nim porozmawiać. Spacer u jego boku, kiedy inni Keshiri i Sithowie klęczeli przed nami, był jak panowanie nad światem.

Nie zapomnę jednak tego innego uczucia: jak się czułam pierwszego dnia na górze, kiedy Seelah i jej towarzysze wdarli się do mojego umysłu. Yaru jest sprytny, inteligentny i czarujący, i wykorzystuje te cechy, aby władać innymi - i mną. Jest jednak także przywódcą Sithów - a to oznacza, że jest próżny, bezlitosny i sadystyczny. To człowiek, który zabił swojego brata, bo tak mu było wygodniej. Gdyby żył dłużej, pewnie robiłby jeszcze gorsze rzeczy. To zwierzę.

Jako bardzo młoda kobieta zawarłam związek dla korzyści. Problem polega na tym, że taki związek definiuje cię jako istotę niższą, zanim jeszcze się zaczniesz. Niech każda kobieta, która rozważa związek z Sithem, pamięta: silne kobiety nie zadają się ze zwierzętami. A już na pewno nie bez smyczy..

Quarra, nagle zmrożona, zatrzasnęła książkę.

Teraz rozumiała, dlaczego nikt nigdy nie widział tych pamiętników; bądź co bądź było mnóstwo innych materiałów o Adari Vaal, które należało przeczytać. Przywódca Sithów ją kusił, a ona, Opoka Kesh, poddała się.



Quarra spojrzała na Edella, który poruszył się we śnie. Wciąż miała jego miecz świetlny.

Mogła gładko usunąć jedno zagrożenie. Zagrożenie dla jej ludu, i być może dla niej. Nie kochała go, ale też nie potrafiła nienawidzić... jeszcze nie. A on zawsze będzie to wykorzystywał. Robił to przez całą drogę. Miała szansę to teraz zakończyć.

Ale miała też pytanie.

- Zbudź się - powiedziała cicho, trącając go.

Edell jęknął głucho.

- Wciąż tam są?

- Tak. Trzech albo czterech. Dasz im radę?

Oparł się na łokciu i skrzywił.

- Nie. Ale razem może sobie poradzimy. - Zobaczył w jej dłoni swój miecz świetlny. -

Uczysz się, jak się tym posługiwać?

- Mam pytanie - zaczęła z poważną miną. - Powiedziałeś, że przybędą kolejni ludzie. I że ty i oni służyście komu innemu. Czy ta osoba jest równie zła, jak Bentado?

Zaskoczony pytaniem, Edell przyjrzał jej się uważnie.

- Nie. Nie, nie jest. Wielki Lord jest stary... ale mądry.

- Lubisz go - zauważyła, zaskoczona tym, co wyczuła. - Jest twoim przyjacielem.

Prawie wbrew sobie Edell uśmiechnął się blade.

- Tak, chyba tak. Jeśli już musisz służyć Sithowi, raczej wolałabyś służyć jemu, lub mnie, niż Bentado. Uwierz, mieliśmy znacznie gorszych władców.

- A te akwedukty... Mówiłeś, że się rozpadły. Popadły w ruinę z winy niektórych waszych przywódców?

- I takich, którzy chcieli nimi zostać. To było tysiąc lat chaosu, Quarro. Jeśli Alanciar wierzy w budowanie, tak jak ty, nie można dopuścić, aby to się znów zaczęło - wyjaśnił. - Musisz mi pomóc.

Przyjrzała mu się uważnie... i podjęła decyzję. Adari

miała rację, ale ja też ją mam, pomyślała. Niektóre zwierzęta są lepsze od innych.

- Dobrze, zrobię to - odrzekła, wstając. - Ale wyjaśnijmy sobie jedno. Nie pomagam ci dla ciebie samego ani też dla mnie. Powstrzymam Bentado, i to naprawę wszystko. Robię to dla mojego ludu.

- To tak samo, jakbyś robiła to dla siebie - odparł z lekkim uśmiechem. - Może jednak filozofię Sithów przedyskutujemy później. Mamy na razie robotę do wykonania. Musimy odciąć Bentado komunikację, ale jeśli spróbujemy z tym iść do twoich ludzi, posiekają mnie na kawałki.

To samo zresztą robią, jeśli pójdziesz tam sama, a oni mnie tu znajdą. Gdybyśmy mieli twoją balistę, moglibyśmy zestrzelić ogniste kule z wieży sygnalizacyjnej...

- ...to by zabrało mnóstwo czasu!

- ...ale wtedy obie strony posiekają nas na kawałki. - Westchnął. - Próbowalaś już zwracać się o pomoc przez Moc, prawda?

Skinęła głową.

- W takim razie jest tylko jeden sposób, aby powstrzymać Bentado... - Edell splótł dłonie i się zamyślił.

To jego normalne zachowanie, zrozumiała Quarra. Kalkulacja, nie walka.

Złociste oczy otworzyły się sekundę później i zwróciły się w górę.

- W porządku, już wiem. Ale i tak musimy walczyć. Szkoda, że mamy tylko jedną broń.

Quarra wstała.

- Nie ma problemu. Jeśli przenieśli tu archiwa Adari Vaal, powinien być gdzieś jeszcze jeden miecz świetlny.

- Jeśli jest miecz, to znaczy, że go ukradła.

- Tym lepiej dla niej - mrugnęła Quarra. - I tym lepiej dla nas. Zawsze chciałam go wypróbować.

## **ROZDZIAŁ 15**

- Pojawił się statek napowietrzny - zameldował Klocek. - Nadleciał znad zachodniego wybrzeża, w pobliżu Portu Melephos.

- Pierwszy z wielu - ucieszył się jego pan. Białe zęby zazgrzytały, kiedy Bentado zaczął

wyciągać kawałki szkła z ramienia. - Czy Keshiri już do niego strzelali?

- Nie, sir - zaskrzeczał adiutant. - Statek jest jeszcze wiele kilometrów od brzegu. Grupy strzelców diamentów na uvakach lecą mu na spotkanie.

- Powiedz im, żeby dali znać, kiedy ich zestrzelą. Wszystkie stanowiska na całej linii mają strzelać bez rozkazu. Hiltowski zostało szesnaście statków. Możemy tylko mieć nadzieję, że wysłał

je wszystkie!

Edell skrzywił się, obserwując, jak Sith wyciąga kolejny zakrwawiony szklany odłamek.

Prawie wyczuwał ból Bentado, siedząc ukryty w szybie, który wychodził na wartownię. Sądząc po ukośnym tunelu, wiodącym w górę z tajnych archiwów, Edell doszedł do wniosku, że bunkier betonowy, w którym miało przez długi czas mieszkać i pracować tak wielu Keshirich, musi posiadać system wentylacyjny. Większość instalacji znajdowała się albo pod ceglanym budynkiem, albo pod wieżą sygnalizacyjną na powierzchni, z konieczności więc część kanałów wentylacyjnych biegła ukośnie, przecinając się z innymi. Widział także rozwiązanie w niektórych starych budynkach w

Tahv. Alanciari w swojej nowoczesnej konstrukcji użyli betonu, ale ich rozumowanie nie różniło się wiele od architektów Keshiri, których Edell znał od zawsze.

Nie istniała możliwość ucieczki przez zbyt wąski wylot kanału w tajnej komnacie, ale kiedy Edell podniósł Quarę wyżej, ujrzała drugi wylot o powierzchni metra kwadratowego, prowadzący w innym kierunku. Chyba dałoby się tam wpełznąć. A więc poszli. Tunel szedł w różnych kierunkach i łączył się z innymi nad barakami i magazynami. Ciężki smród dowiódł niebawem, że znaleźli się nad pełnym trupów pomieszczeniem Gabinetu Wojennego. A teraz znajdowali się nad sanktuarium Bentado i patrzyli w dół z równoległych szybów.

- Gdzie wiadomość z Portu Melephos? Czemu to trwa tak długo?

Edell widział pokrytą bliznami czaszkę tuż pod sobą. Bentado pochylał się nad mapą.

Oto leci wielkie nic!

Edell zapał się stopami i sięgnął w dół poprzez Moc, zrzucając kilka miniatur. Zaskoczony Bentado pochylił się, aby je podnieść - a wtedy Edell złączył nogi i uderzył butami w drewnianą kratę. Spadł ciężko na Arcylorda, wbijając głowę Bentado w mapę. Przetoczył się i włączył miecz.

Z drugiego kanału wyskoczyła Quarra i z hałasem wylądowała na podłodze, zaskakując Klocka.

Edell obejrzał się i dostrzegł, że czarno ubrana kobieta z załogi rzuca się na pomoc Bentado.

Odepchnął ją przez Moc, ale ta chwila dała Bentado czas na dojście do siebie. Potężny Sith złapał

Edella za kostkę i przewrócił go na plecy.

Quarra skoczyła ku niemu, niosąc przed sobą starożytny, wypożyczony miecz świetlny jak bagnet, z którym trenowała. Bentado zapalił własny miecz i odepchnął jej ostrze młynkiem, dość niezręcznym, ponieważ jedną nogą stał na łańcuchu górskim. Edell stoczył się z mapy, trafiając na atak kolejnego

obrońcy Bentado. Pchnął mieczem, nadziewając na niego napastnika.

- Edell! Wieża!

Obejrzał się i zobaczył Quarę, przedzierającą się w stronę schodów na wieżę. Klocek był już wyżej i znikł na górze.

- Nie! - wrzasnął Bentado, rzucając się za nią najszybciej jak mógł, pomimo kalekiej nogi. -

Przekleństwo na ciebie, kobieto!

Edell próbował go gonić, po drodze ścinając kolejny czarny mundur, ale zrezygnował!

Quarra może z wieży zlikwidować wpływ Bentado na Alanciar, ale sprowadzi mu również na głowę bandę Keshirich!

- Quarra, nie!

Znalazł ją w końcu, zadyszana, w jednym z niższych pomieszczeń wieży. Bentado właśnie rzucił nią o ścianę i wytrącił jej miecz.

- Odsuń się, Edell! - Złany potem Bentado przysunął czubek miecza do szyi Quarry. - Jeśli ta fioletowa baba coś dla ciebie znaczy... cofnij się!

Edell spojrział w bok. Obok niego kulił się Klocek, wciśnięty pod drewniane spiralne schody wiodące na górę.

- Myślę, że we dwóch tego nie rozegramy - zauważył Edell, zamierzając się na garbusa.

- Klocek? - zaśmiał się Bentado. - A rób z nim, co chcesz. Znajdę sobie więcej Keshirich.

Tu jest ich cały kontynent. - Wyszczrzył zęby do Quarry - A ta tutaj jest kimś ważnym?

- Zostaw mnie, Edell! - krzyknęła Quarra. - Zabij to brudne zwierzę!

- Rusz się, a ona umrze!

Edell odetchnął głęboko - i odstąpił. Opuścił miecz, ale go nie wyłączył.

- Ona nam bardzo pomogła, Bentado. Nieładnie, kiedy

goście zabijają gospodarzy.

- Głupiec - mruknął Bentado, sięgając w Moc. Edell poleciał w bok i uderzył głową o betonową ścianę po przeciwnej stronie. Miecz wypadł mu z dłoni. Bentado odrzucił go kopniakiem i cisnął Edella obok Quarry. Klocek, który jakoś doszedł do siebie, wyłazł z ukrycia. Bentado kazał

mu podnieść starożytny miecz świetlny Quarry. - Zabierz to i trzymaj. Ja się zajmę tą dwójką.

Z mieczem świetlnym w dłoni szedł do poobijanych przeciwników, kiedy nagle obok klatki schodowej zadrgał jakiś kabel i rozległ się dźwięk szklanego dzwonka. Klocek, z mieczem w dłoni, spojrzał na mistrza.

- Przyszła wiadomość - zameldował.

- No to ją przynieś.

Klocek pokuśtykał na górę, gdzie jeszcze jeden z Keshirich Bentado podał mu kawałek pergaminu.

- Sygnalizatorzy z Portu Melephos meldują, że statek wylądował - powiedział garbus, kiedy wrócił.

- Chciałeś powiedzieć, że został zestrzelony.

- Nie, wylądował.

Bentado wpadł w furję.

- O czym ty mówisz? Kazałem uderzyć!

Z góry przekazano kolejną wiadomość. Klocek spojrzał na nią raz... a potem drugi.

- Wiadomość pochodzi od Wielkiego Lorda Hiltsa, sir. Píše, że właśnie tu przybył.

Edell, wciąż nieco oszołomiony, ze zdumieniem spojrzał na Quarę. Bentado opadła szczęka. Krzyknął do tych na górze:

- Powiedźcie, że Korsin Bentado i Keshiri z Alanciaru witają Wielkiego Lorda. A żołnierzom każ zabić jego i wszystkich, którzy z nim przyjechali, natychmiast!

Mijały sekundy. Ciszę wypełniającą pomieszczenie przerywały jedynie dźwięki aparatury sygnalizacyjnej na górze. Wreszcie jeden z keshirskich zbirów Bentado zszedł na dół z

zafrasowaną miną.

- No? Co jest?

- Wielki Lord Hilts przesyła tylko jedno słowo, mój panie - rzekł kurier, prostując się i podchodząc bliżej. - „Pozdrowienia”.

Bentado wytrzeszczył oczy.

- Pozdrowienia?

Edell rozejrzał się, zakłopotany. Stojący u boku Bentado Klocek zmrużył czarne oczy, kiedy usłyszał to słowo.

Na szyi jego mistrza nabrzmiały żyły. Dłoń z mieczem zadrżała z gniewu.

- Czy oni się ze mną bawią? - warknął, odwrócił się i spojrzał z góry na więźniów. - Czy to jakaś...

W tej samej chwili oczy Bentado o mało nie wyszły z orbit, kiedy miecz świetlny, wbity w plecy, odnalazł jego czarne serce. Upadł najpierw na kolana, a potem na twarz.

Mały Klocek patrzył z góry na nieruchome ciało swojego pana. Pokręcony Keshiri ukląkł i wyłączył skradziony miecz świetlny Adari Vaal. A potem rozbroił nieboszczyka.

Edella zatkało...

- Klocek...? - wykrztusił w końcu.

- Jestem pewien, że rodzina Hiltsów zorganizuje dla pana lepsze powitanie, Arcylordzie Vrai - garbus skłonił się i podał Edellowi oba miecze. - Jestem też pewien, że zechcą je przekazać osobiście.

## ROZDZIAŁ 16

Ogromny statek napowietrzny spoczywał dostojnie na placu parad Sus'mintri. Tej samej wielkości co „Yaru”, „Dobry Omen” różnił się jednak od niego niemal pod każdym względem.

Zamiast mrocznego, przerażającego rysunku, złota farba na powłoce kreśliła obraz potężnego latającego stworzenia, którego dziób układał się w radosny uśmiech. Z powłoki zwisały ozdobne frędzle i klejnoty. Zabudowaną gondolę osłaniał jedwabny namiot, sprawiając wrażenie, jakby z nieba spłynęła puszysta chmura, zawisając kilka metrów nad stojącą na baczność armią Keshirich.

Quarra stała na podeście obok Edella, który czekał niecierpliwie - i jawnie - wśród ocalałych przywódców miasta. Wydawało się, że jest zachwycony widokiem statku.

- Czy to ten królewski pojazd, nad którym pracowałeś? - zapytała.

- Tak. Ale wprowadzili trochę zmian z zewnątrz - odparł.  
- Szybko pracowali.

Zatrzymał się już raz w Porcie Melephos, gdzie najpierw wszedł nad morze tuż poza zasięgiem balist Keshirich. Wtedy na dziobowy balkon wyszedł pasażer, który pozdrowił

dosiadających uwaków obrońców - ten sam pasażer, który teraz pojawił się tutaj. Quarra już wiedziała, kim on jest.

Jogan Haider stał przy relingu, ubrany w mundur wojskowy Alanciaru i najwyraźniej całkiem wyleczony z ran.

- Keshiri z Alanciaru! - zawołał. - Byłem za oceanem! Pozwólcie mi opowiedzieć, co widziałem!



Nad regimentami zapadła cisza.

- Zostałem zabrany z naszego brzegu przez te istoty... ludzi, którzy zostali nam opisani jako Sithowie. Nie poszedłem z nimi z własnej woli i cokolwiek się miało zdarzyć, byłem gotów bronić Alanciaru.

Zaraz po pojawieniu się lądu przed dziobem „Pecha” zawiązano mi oczy, ale zdążyłem zobaczyć rozpościerającą się przede mną zieloną krainę, taką jak ta, którą opisywała Adari Vaal.

Przewieziono mnie w wozie na kołach w głąb kraju, a część z moich strażników wyruszyła przodem i spotkała się z innymi. - Oparł dłonie na relingu. - Nadal nie zamierzałem nic powiedzieć, nawet gdyby użyli tortur.

Wyraz jego twarzy złagodniał.

- A potem dojechaliśmy do gładkich, kamiennych ulic miasta i zostałem uwolniony. Tak, uwolniony. Całkowicie. Mogłem swobodnie przechadzać się po ulicach. Ale jakie to były ulice!

Przepiękne, lśniące miasto ze strzelającymi w niebo szklanymi iglicami, najwspanialsze, jakie zdarzyło mi się widzieć. I miasto to tętniło życiem... byli tam wyłącznie Keshiri!

W tłumie rozległ się szmer.

- Wiem, co sobie myślicie, ponieważ wtedy też tak pomyślałem. Zwiastunka wiele lat temu powiedziała nam, że ta ziemia tak naprawdę nie należała do nich, a Keshiri tak naprawdę nie byli wolni. Ale nigdzie nie widziałem ludzi. Nawet ci, którzy mnie pojмали, wkrótce po moim uwolnieniu gdzieś zniknęli.

Nie chciałem rozmawiać z tymi Keshiri - ciągnął. - Wyglądali jak my, ale wiedziałem, że żyją w niewoli. Jak bardzo mogą być do nas podobni? - teatralnym gestem rozłożył ręce. - Ale nie widziałem żadnego ucisku. Widziałem za to rzemieślników, spędzających dni nie na ciężkiej pracy, ale na tworzeniu dzieł sztuki na ulicach. Poświęcali się malowaniu.

Rzeźbie. Muzyce i śpiewom takim, jak my w wolne dni, po prostu na świeżym powietrzu. Myślałem, że to jakiś festiwal i że ludzie zorganizowali to, aby mnie oszukać. Ale w miarę jak mijał czas, zacząłem rozumieć, że oni tak żyją. Powitali mnie keshirscy rzemieślnicy. Po mundurze poznali, że jestem obcy, i pytali mnie o moją ziemię. Nic nie powiedziałem. Ale oni radośnie opowiedzieli mi o swojej ziemi, potwierdzając, że to, co widziałem, było normalne. Zapytałem, gdzie są ludzie. Pokazali mi miejsce, które nazywali stolicą lub rezydencją, stary marmurowy budynek podwyższony szklanymi wieżami. Powiedzieli, że to kryjówka Obrońców!

Tym razem z tłumu podniósł się głośny pomruk. Jogan wyciągnął przed siebie otwarte dłonie.

- Tak, wiem, wiem. Zwiastunka ostrzegła nas, że Sithowie oszukali lud Keshtah, twierdząc, że są Obrońcami z legend. Sprzeciwiłem się temu określeniu, próbowałem powiedzieć im, że zostali oszukani. Ale oni nie sprzeczały się ze mną. Pozwolili mi za to dalej krążyć po mieście zwanym Tahv, tak jak to opisała Adari, i rozmawiać z kim chciałem.

Przekonany, że rzeczywiście czuli to, co mówili, próbowałem zmienić ich opinię. Opisałem Alanciar, mówiłem, jak jesteśmy przygotowani na przyjęcie Sithów. Opowiedziałem, jak żyjemy i co robimy. A ich reakcją - mówił dalej Jogan - była litość.

Znów podniósł głos.

- Litość, że tak wiele lat straciliśmy na zamartwianie się, na lęk przed egzystencjalnym zagrożeniem. Żal, że tak wiele istot spędziło życie na ciężkiej pracy, zamiast na uprawianiu sztuki. I przykro im było, że nie poznaliśmy ludzi z ich mądrością wziętą z gwiazd. Ludzi, którzy, jak mi powiedziano, nie panują nad Keshiri, lecz po prostu zawsze przebywają w swojej stolicy, oddając się kontemplacji. Poprosiłem, aby mnie tam zabrali, żebym sam to zobaczył. Zrobili to chętnie i ujrzałem to na własne oczy. Istotnie, byli tam ludzie, których

nazywamy Sithami, nieuzbrojeni, pogrążeni w medytacji. Zostałem zaprowadzony do komnaty, gdzie siedział krąg ich władców, a żaden mężczyzna czy kobieta nie wywyższał się ponad innych.

W tej opowieści jest poezja, pomyślała Quarra. Tak samo jak w tych niezliczonych wiadomościach, które wysyłał jej od wielu miesięcy. Właśnie to od samego początku ją w nim pociągało. Teraz zaś ściągnął na siebie uwagę wszystkich.

- Nie chciałem nic powiedzieć - ciągnął Jogan. - A więc to oni zaczęli, witając mnie w Keshtah i przepraszając za sposób, w jaki tu przybyłem. Opowiedziano mi tę samą historię o ich lądowaniu na Kesh, którą opowiadała Adari, przynajmniej z grubsza. Wiedzieli o Adari Vaal i stwierdzili, że nie pomyliła się w swoich ostrzeżeniach. Były wśród nich w tamtym okresie złe istoty: ukryci słudzy Destruktorów.

Tłum zabuczał niespokojnie.

- Byli świadomi zagrożenia, którego obawiała się Adari, więc zabili te mroczne istoty w dniu, kiedy ona opuściła ich kontynent, przenosząc się do nas. Gdyby Adari odczekała jeszcze jeden dzień... tylko jeden dzień! - Jogan urwał, bo zaschło mu w gardle. - Jeszcze jeden dzień i wszyscy ci, których obawiała się Adari, już by nie istnieli, a jej ostrzeżenie byłoby pozbawione znaczenia!

W tłumie rozległ się gromki okrzyk: „Nie! Nie!”

- Oni też tak powiedzieli. Wszystko, co zrobiliśmy, było niepotrzebne. Nie wierzyłem im.

Nie chciałem w to wierzyć. Mieli jednak inne nowiny. Powiedziano mi, że teraz, dwa tysiące lat później, w ich szeregach znowu się pojawił zły sługa Destruktorów, zagrażając wszelkiemu życiu.

Wyrzucony z Keshtah, zbudował statki powietrzne i wyruszył na poszukiwanie miejsca dla podboju!

- Wojownicy w czerni! - rozległ się krzyk z tłumu.

- Tak - odparł Jogan. - Teraz wiem, że zaatakowali nas w

czasie, kiedy ja tam byłem! -

Słyszając coraz głośniejsze szmery, kontynuował: - Zapytałem o te pierwsze statki, które zobaczyłem: statki Edella Vrai, którego wojownicy otoczyli mnie i porwali. Doradcy ludzi powiedzieli mi, że Vrai to godny zaufania przyjaciel, który przybył tu w poszukiwaniu zbrodniarzy.

Zaskoczony szybkością i siłą naszej obrony, Vrai obawiał się, że my także służymy Destruktorom. I dlatego właśnie, przyjaciele, sprowadzili mnie do Keshtah. Musieli dowiedzieć się, czy nie jesteśmy tymi złymi istotami z legend!

Dlatego wreszcie przemówiłem. Powiedziałem im, że jesteśmy po stronie dobra, że stawimy opór każdej złej istocie, która na nas napadnie. Nie zasługujemy na ich gniew. Nie my, nie Alanciar!

- Jogan nas uratował! - rozległ się krzyk z tłumu.

- A ludzie... Sithowie... cieszyli się z tego. I zaoferowali pomoc!

Rozległy się wiwaty, a oczy Quarry rozszerzyły się nagłym zrozumieniem. To on jest nowym Zwiastunem! Jogan był niczym Adari, tylko tym razem opowiadał historie, które chwałą Sithów!

Quarra spojrzała na tłum słuchaczy, nerwowo obserwując ich twarze. Naprawdę brali Jogana poważnie. Była to niewiarygodna opowieść... ale on był jednym z nich!

Cóż, ja też, pomyślała. I ja mam coś do opowiedzenia.

Zerknęła dyskretnie na Edella, po czym skierowała się ku barierce. Czuła się jak sparaliżowana, i to już od chwili, kiedy na wieży nad Salą Vaal Edell przejął kontrolę nad załogą Bentado i nad urządzeniami sygnalizacyjnymi. Nie było możliwości nikogo ostrzec. Ale teraz miała przed sobą większą część jej wojska z Alanciaru, tylko kilka kroków od platformy. Może nie wszystko jeszcze stracone. Edell będzie próbował ją uciszyć, ale ona zakończy przedstawienie teraz, kiedy jeszcze są wątpliwości.

- Ale nie musicie wysłuchiwać tego ode mnie! - zawołał Jogan, odstepując na bok, aby wpuścić na balkon nową postać. - To ktoś, kogo wszyscy powinniście poznać.

Przy barierce pojawił się błysk bieli. Sędziwy mężczyzna, ubrany w płaszcz z przetykanych klejnotami piór, z ostrym dziobem na czole, rozpostarł ramiona-skrzydła i spojrział w niebo. Tłum jęknął, rozpoznając Jasnego Tuasha, legendarną latającą istotę z ich mitów.

Tylko Edell się roześmiał. Z niedowierzaniem spojrział na Quarre.

- Wielki Lord Hilts! - szepnął.

- Ludu Alanciaru, przybyłem tu jako zrodzony na Kesh poddany Jasnego Tuasha - rzekł

starzec. - Mam więcej niż dwa tysiące lat. Ludzie są moimi dziećmi, tak samo jak wy. Wasza Zwiastunka, Adari Vaal, była moją keshirską córką. Miała dobre intencje... ale nie wszystko rozumiała. - Objął pierzastym ramieniem plecy Jogana. - Ten syn Alanciaru mówi prawdę. Znaleźli się wśród mojego ludu słudzy Destruktorów... ale nie wszyscy nimi byli. Wygnaliśmy ich!

Kiedy tak uprzejmie mnie powitaliście w Porcie Melephos, serce mi rosło, ale potem poznałem smutną prawdę: że renegaci już tu dotarli i uderzyli, zabijając waszych wielkich przywódców. - Ze smutkiem opuścił głowę.

Te fakty znane już były słuchaczom, ale tak ostentacyjne wyrzuty sumienia przykuły uwagę wszystkich. Hilts spojrział w kierunku platformy.

- Na szczęście dzięki wysiłkom jednego z moich agentów, pracującego wspólnie z waszą świetnie wyszkoloną Alanciarci, źli ludzie i ich przywódca zostali pokonani!

Tysiące oczu zwróciły się w stronę Edella i Quarry. Klęska Bentado też była już powszechnie wiadoma - ale wielu zachwycało się widokiem tych dwojga obok siebie. Człowiek, działający w Alanciarze w tajemnicy, aby pokonać

Destruktorów!

- Mój lud czuje się odpowiedzialny za to, co się stało. W niedługim czasie zjawią się tu robotnicy, ludzie i Keshiri, ubrani na biało, i będą pomagać w naprawieniu szkód. A potem zbudują mosty pomiędzy naszymi światami.

Rozległy się brawa. Ptak-Hilts uniósł skrzydła.

- Razem zrozumiemy się wzajemnie i stworzymy lepszy Kesh dla nas wszystkich!

Tłum ryknął z zachwytu. Quarra rozejrzała się. Byli tu też użytkownicy Mocy i uważnie badali starca, ale żaden nie podniósł alarmu.

- Nie wyczuwają w nim zła - wyjaśnił Edell. - On też nie czuł go w stosunku do was.

- Ale to i tak oszustwo - fuknęła.

- Może ci ludzie są na to gotowi... może chcą być oszukani. Są jak jedna z waszych balist: napięci i wycelowani przez lata, czekając na odpalenie. Teraz, kiedy już zostali wystrzeleni, są gotowi na coś więcej... nawet na piękną opowieść.

Spojrzała w górę. No właśnie, a Jogan dał im tę opowieść. Cóż jeszcze mogła powiedzieć?

Statek opadł, pozwalając jej dawnemu korespondentowi otworzyć bramkę i wysiąść.

- Moja historia jest długa, ale muszę wrócić na moją stację sygnalizacyjną. Tę opowieść muszą poznać wszyscy. A jeśli wam to nie przeszkadza - rzekł Jogan z szerokim uśmiechem -

chciałbym być tym, który ją opowie!

Wysiadł z gondoli i zagłębił się w tłum. Quarra także zeszła z platformy, ale nie mogła się do niego docisnąć, tak gęsto był otoczony zaciekawionymi Keshiri. Pobiegła za nim, z trudem nadszając za tłumem, aż wreszcie udało jej się wskoczyć na kamienny mur.

- Jogan! - krzyknęła.

Rozejrzał się na prawo i lewo, zanim ją spostrzegł. Ze śmiechem wskazał na nią jedną ręką, a na siebie drugą. „Porozmawiamy” - wyszeptał samymi wargami i dał się ponieść w stronę stacji sygnalizacyjnej na placu parad.

Edell się uśmiechnął.

- Witam, Wielki Lordzie.

Słuchacze z Alanciaru już się cofnęli i teraz tłoczyli się wokół keshirskich ambasadorów z „Dobrego Omenu”. Hilts nie przywiózł więcej ludzi, ale mieli oni przybyć w kolejnych statkach.

Sędziwy Wielki Lord przyciągnął do siebie Edella, żeby go uściskać, a potem przysunął do jego ucha spękane wargi i powiedział:

- To była najgorsza z tych przeklętych rzeczy, jakie musiałam zrobić!

- Chodzi o kostium czy przejażdżkę balonem?

- Jedno i drugie.

Edell spojrzał na potężny statek. Nikt nigdy nie widział Wielkiego Lorda nawet na grzbiecie uwaka.

- Dzięki statkowi z lotu będą mogli skorzystać nawet ci, którzy nie mogą dosiąść uwaka.

Możemy wykorzystać je do różnych celów... - przypomniał Edell.

- Lud Kesh jest już wystarczająco nadęty, mój chłopcze - mruknął Hilts, strosząc piórka na płaszczu. - To nie jest sposób na połączenie imperium. Czy oni mają więcej okrętów morskich?

- W portach. Nie wiemy, ile z nich da radę przepłynąć całe morze, ale to dlatego, że nigdy tego nie próbowali - odparł.

- Widać, że Peppin i „Pech” sobie poradzili.

- No właśnie. Miałem nadzieję, że i ciebie z nimi zobaczę, ale powiedzieli, że wyruszyłeś na zwiady. No i dobrze zrobiłeś - rzekł. - Dobrze też, że wysłałeś nam tego gadułę i jego kolekcję książek. Mnóstwo romantycznego bełkotu, ale miał

także egzemplarz tego - wyciągnął spod płaszcza gruby tom. - Kopię Kronik Keshtah. Ta książka powiedziała nam, że musimy się liczyć z całą wiedzą, jaką mają o nas Alanciari.

- To testament Adari Vaal - odparł Edell, kręcąc głową. - Ta keshirska uciekinierka narobiła mnóstwo szkód.

- Nie aż tyle, jak ci się wydaje - odparł Hilts z uśmiechem. - Twój ludzie śmieją się ze mnie i moich opowieści, ale historia jest ważna. Może być bronią dla obu stron. Wasza porucznik przeczytała to i wyprzedzając nas, poleciała do Tahv, jak tylko dotarła do brzegu. Jasne było, że Keshiri w Alanciarze kiedyś, na początku, byli tacy jak nasi... włącznie z mitem o Obrońcach i Destruktorach. A teraz, tak samo, jak w tym przypadku - poklepał się po dziobie - pozostało tylko ich przekonać, jaką rolę odgrywamy w tej historii. A to oznaczało również wybór roli dla Bentado.

- Ale przecież flota Bentado musiała już wtedy wyruszyć!

- Cóż, nie dało się odwołać tego upartego durnia. Wiedzieliśmy, że najeźdźcy dadzą Alanciari okazję do walki, na którą czekali, walki, w której przypuszczalnie zwyciężą.

Wykorzystaliśmy to więc. On i jego statki wyglądali jak sama istota zła. My musieliśmy wyglądać trochę inaczej - skromnie dodał Hilts. - Na szczęście przesłaliście nam próbny egzemplarz.

Zanim wóz z Joganem dotarł do Tahv, wyjaśniał Hilts, Plemię wycofało się z widoku publicznego, wypuszczając na ulicę najbardziej lojalnych Keshirich. Kiedy nowy ambasador został

wreszcie przekonany, łatwo było przyjąć postać, która spodoba się wszystkim Alanciari.

- Grupa Bentado wyglądała dokładnie jak ci, których się obawiali. Ale ja jestem tylko łagodnym staruszkiem.

- W dodatku ubranym w płaszcz z białych piór!

- Czego ja bym nie zrobił dla Plemienia - odparł Hilts,



mrużąc oczy. - Odczytałem twoje sygnały o zdradzie Bentado. Cóż, to była tylko kwestia czasu. Cieszę się, że tam byłeś, żeby się nim zająć.

- Zacząłem... ale dokończył Klocek.

Starzec odsunął piórko z czoła i się uśmiechnął.

- Lojalny Klocek... jeszcze jeden pomysł Iliany. Mam dla ciebie radę, mój chłopcze. Kiedy Wielki Lord Sithów przesyła ci pozdrowienia... uciekaj!

Edell roześmiał się, po chwili jednak spochmurniał i zmarszczył brwi.

- Wszystko mogło się zacząć od nowa, Wielki Lordzie. Te walki wewnętrzne między Sithami... Nasza misja została spełniona.

- Czyżby? - Hilts pokręcił głową. - Zdobycie nowych niewolników to nie zwycięstwo. Byle łobuz z mieczem może to zrobić, tak jak oryginalni Sithowie uczynili to z naszymi tapanińskimi przodkami. Ale sprawić, aby służyli ci z własnej woli? To dopiero coś! Będziemy musieli naprawdę wszyscy się bardzo postarać. Tak uważał Yaru Korsin, a mnie to wystarcza.

- Masz rację.

- Oczywiście, że mam. Jestem już stary. - Hilts przyciągnął swojego protegowanego bliżej i wziął go pod ramię.  
- A teraz opowiem ci historię, nad którą pracuję...

## **ROZDZIAŁ 17**

Wielu chciało poznać przywódcę niesłusznie oskarżonego ludu, ale Quarra nie została, aby spotkać się z Wielkim Lordem. Edell domyślił się, że poszła szukać Jogana, ale nikt na placu parad jej nie widział.

Później dowiedział się, że poszła pomagać przy sprzątaniu Sali Vaal. Klocek oraz ocaleni Keshiri Bentado, teraz pod kierunkiem Edella, zajmowali wieżę sygnalizacyjną do czasu, aż pojawią się na biało ubrani doradcy ludzcy. Zaledwie kilka dni po Świadectwie Jogana na ulicach Sus'mintri pojawiło się ich wielu. Wydawali się mili i uczynni. Edell swobodnie spacerował po ulicach, już w swojej własnej białej todze; żaden tam najeżdźca czy władca, po prostu dobroduszny gość. Sithowie byli dobrzy i hojni, przywieźli wiele upominków zza oceanu, Alanciari zaś robili to, co umieli najlepiej - głosili wieści wszem wobec.

Edell właściwie był teraz gubernatorem Alanciaru, reprezentującym Hiltsa, ale będzie trzeba wielu lat współpracy w uśmiechach, aby ta władza została do końca zaakceptowana i otwarcie zatwierdzona. Wielki Lord stanął teraz przed podobnymi wyzwaniem jak załoga „Omenu”, ale pod pewnymi względami jego zadanie było bardziej skomplikowane. Każde miasto, każda farma kryła w sobie jakieś keshirskie innowacje, które na drugiej stronie globu nie były znane. Wszystko trzeba było oszacować. Niektóre nowości zostaną przeniesione do Keshtah; na przykład zagłowce stanowiły oczywistą alternatywę dla niebezpiecznych statków powietrznych. Mówiło się nawet o wzniesieniu na oceanie kilku sztucznych wysp, aby uvaki miały

gdzie odpoczywać w czasie transoceanicznych wypraw. Kontynenty były niegdyś połączone, dziś także się je powiąże.

Inne technologie Alanciari trzeba będzie usunąć. Będą powoli, ale stanowczo namawiać tubylców, aby w dowód zaufania spalili swoje balisty, duże i małe. Nie chodziło jedynie o pragnienie rozbrojenia samych Alanciari. Miliony Keshiri pod bronią byłyby zbyt wielką pokusą dla ambitnego Sitha.

Czekała ich więc ogromna praca. Edell wiedział, kogo potrzebuje. Kogoś, kogo nauczył się już szanować i podziwiać, jak nikogo we własnym kraju.

Znalazł ją w Sali Vaal. Grupy sprzątaczy wciąż doprowadzały budynek do właściwego stanu, ale Quarra była na zewnątrz, pod murem okalającym dziedziniec, gdzie pozostawiła zaprzęg muntoków. Podniosła wzrok znad wiadra z obrokiem.

- Robi się tu tłoczno - zauważyła.

- A będzie jeszcze tłoczniej. I bardziej ruchliwie. Widziałas się ze swoim przyjacielem strażnikiem?

- Krótko. - Odstawiła wiadro. - Chyba też jest bardzo zajęty.

- Będzie zajmował honorowe miejsce w naszym społeczeństwie jako pierwszy gość z Alanciaru. - Edell spojrział na alabastrową wieżę, wznoszącą się ponad murem dziedzińca. -

Joganowi nie muszą wierzyć na ślepo jak Adari Vaal. W pewnym sensie można powiedzieć, że zamieniliśmy ją na niego.

Quarra nie odpowiedziała. Zarzuciła juki na jednego z muntoków i wyprzęgła go z wozu.

Edell podszedł do niej.

- Możesz oczywiście do niego dołączyć... albo robić coś innego. Wielki Lord Hilts jest pod wrażeniem tradycji Mocy wśród tutejszych ludzi. A przecież są samoukami i tak dalej. Zawsze właściwie chciał przyjąć Keshiri do naszego Plemienia, z takimi samymi tytułami jak nasze. - Ujął

kobietę za rękę i spojrział na nią z naciskiem. - Otwiera

się przed tobą wiele dróg, Quarro.

- Nie - odparła z bladym uśmiechem i zabrała dłoń. - Tylko jedna.

Pod koniec okresu wypełnionego trudnymi, niemal niewykonalnymi decyzjami, podjęta została ta ostateczna i najłatwiejsza.

Obserwując słońce, podczas gdy jej muntok wkraczał do miasta, Quarra rozumiała już, dlaczego tamtego wieczoru pojechała do Posterunku Wyzwanie. Stała się łodzią na kanale własnej kariery, pchana w jednym kierunku. Jakkolwiek daleko doszła, wiedziała dokładnie, jak będzie wyglądało jej życie, i to ją niepokoiło. Inni wojskowi żyli w takim stanie przez wiele lat.

Od przybycia Sithów społeczeństwo zdawało się wracać do życia. Przed wszystkimi otwierały się tajemnicze, nowe perspektywy. A wśród nich tylko Quarra zdawała się wiedzieć, jak będzie wyglądała przyszłość. Ona jedna postrzegała Sithów takimi, jakimi byli naprawdę.

Jogan nie wiedział. Jej korespondent z końca linii był teraz pępkiem tego świata.

Twierdził, że wkrótce porozmawiają, ale nie skontaktował się z nią, a i ona nie próbowała go odnaleźć. Był teraz bardzo zajęty. Dawny pustelnik odwiedzał teraz jedno miasto Alanciaru po drugim na pokładzie „Dobrego Omenu”

i rozgłaszał wszystkim swoją przygodę. Już zresztą napisano na jej podstawie sztukę, wystawioną z pomocą aktorów i pieśniarzy przybyłych z Kehstah. Miała ona zastąpić historię Adari Vaal. Adari w końcu została tylko znaleziona na skale. On zaś żył na skale, póki nie odnalazł

prawdy. Jogan Haider stał się prawdziwą Opoką Kesh.

Quarra zrozumiała, że nigdy nie był prawdziwym strażnikiem, skoro aspirował do miejsca, które w Alanciarze nie było zajęte od czasów przybycia Adari Vaal. Teraz powróci. Nadęte patriotyczne sztuki, odgrywane każdego Dnia Obserwacji, zostaną zastąpione nowymi, które będzie się

oglądać codziennie. Znów pojawią się gawędziarze i rzeźbiarze, tancerze i aktorzy. Wszystko, co zostało zapomniane w czasie wielkiej mobilizacji, powracało teraz z zaskakującą szybkością, ale też z pomocą i wielką zachętą ze strony Sithów. To oni po cichu i systematycznie wsączali w umysły przekonanie, że ostatnie dwa tysiące lat w Alanciarze zmarnowano na coś w rodzaju zbiorowego szaleństwa.

Jej przyjaciele, sąsiedzi i koledzy szybko i chętnie przejęli to przekonanie. Quarra obawiała się, że w końcu tylko ona będzie z miłością wspominać Adari. Oznaki zła Sithów widoczne były wprawdzie w czynach Bentado, ale siły pod wodzą Varnera Hiltsa od samego początku zachowywały się nienagannie. Zjednoczenie posunęło się już bardzo daleko. Spisek zmierzający do przejęcia władzy nad Joganem i Alanciarzem był diaboliczny, ale subtelny i trudno było kogokolwiek przekonać o jego istnieniu. Quarra próbowała wiele razy, rozmawiając dyskretnie z innymi osobami u władzy. W zamian spotykała się jedynie ze sceptycyzmem, który powinien być raczej skierowany w stronę Sithów - i tak działo się ze wszystkimi, nawet z tymi, których osądowi wcześniej ufała. Nikt nie chciał słuchać nowej Adari. Wreszcie się poddała.

Otrzymała jednak od Adari ostatnie ostrzeżenie, być może ostatnią wieść od Zwiastunki w niełasce, jakiej ktoś kiedykolwiek posłucha. Pamiętniki Adari opisywały, jak silną miała nadzieję, że pozostając blisko Yaru Korsina, może dowie się pewnego dnia dość, aby oswobodzić swój lud.

Częściowo jej się to udało, bo nauczała ludzi z Alanciaru tego, co sama wiedziała. Adari zwierzyła się jednak także z osobistych porażek. Spacerując z Korsinem, przez jakiś czas była Zbawczynią -

szanowaną znacznie bardziej niż Keshiri, którzy dręczyli ją wcześniej. Zastąpiła nudnego, znieawidzonego męża towarzyszem, który - choć groźniejszy - był znacznie bardziej

inteligentny.

Edell Vrai zaofiarował Quarze tę samą możliwość. Było tak wiele do zrobienia, a Edell jej potrzebował. Alanciar też jej potrzebował... w pewnym sensie. Mogła naprawić wiele spraw, złagodzić trudne przejście - a może nawet sprowadzić wiedzę medyczną jego ludu do Alanciaru.

Edell był niezwykły. Co lepsze: zostać towarzyszką sithańskiego Arcylorda czy ludową bohaterką Keshiri?

Kobieta ze snu, Orielle, powiedziała jej, że nie da się uciec przed nieuniknionym - i jej lud też nie ucieknie. Ona także będzie musiała zaakceptować zmianę. Ale to nie znaczyło, że musi biec w jej stronę. Adari zdecydowała za nią. Quarra poklepała tom pamiętnika, bezpiecznie ukryty w jukach od czasu, gdy uratowała go z archiwum. Tak, niektóre zwierzęta są lepsze od innych, ale i tak pozostają zwierzętami. Trzymaj się swoich, pomyślała.

Znalazła Brue o zmroku przed ich domem w Uhrarze, polerującego ogniste kule, które wytoczył na dwór.

- Zdaje się, że miałaś bardzo aktywne wakacje - zauważył, wyłączając urządzenia.

- Można to i tak ująć - odparła, zsiadając. - Jak praca?

- Całkiem nieźle. - Postarzały Keshiri poklepał szklane kule i uśmiechnął się. Miał teraz na nie spory popyt, jak wszyscy rzemieślnicy, bo Sithowie interesowali się tymi urządzeniami. -

Dzieciaki cieszą się, że są w domu. Nie mogą się doczekać, żeby cię zobaczyć.

- Zrobię im niespodziankę - odparła, klękając, aby uwiązać zwierzę. Brue, pogwizdując, wszedł po kilku stopniach do domu.

Quarra spojrzała na dom, a potem w głąb ulicy. Wiedziała dobrze, jak będzie wyglądać reszta jej życia i jak będą wyglądały dalsze lata jej dzieci. Pozostanie tutaj i poprowadzi je - a także swoich obywateli, tak długo, jak długo

będzie istniał jej urząd. Naprawdę nie mogła zrobić nic więcej.

Spojrzała na niebo i pojawiające się na nim gwiazdy.  
Sithowie nadadzą im nowe imiona.

Miała nadzieję, że gdzieś wśród nich żyją prawdziwi  
Obrońcy, gotowi ocalić ich lud.

Ale była przygotowana na to, że się myli.

## ***PODZIĘKOWANIA***

Dziewięć powieści Przeznaczenie Jedi autorstwa Aarona Allstona, Christie Golden i Troya Denninga wprowadza na scenę Zaginione Plemię Sithów, rozbitków na planecie Kesh, odkrytych w czasach Luke'a Skywalker. Zaginione Plemię Sithów ukazuje historię tej sithańskiej społeczności w kilku opowiadaniach w formie e-booków. Zebraliśmy je tutaj wraz z nową opowieścią, która pojawia się po raz pierwszy. Dziękuję redaktorce wydawnictwa Del Rey Shelly Shapiro, byłej redaktorce w Lucasfilm Sue Rostoni za włączenie mnie do projektu oraz Aaronowi, Christie i Troyowi za opracowanie materiałów źródłowych, które stworzyły podstawę tych opowieści.

Dziękuję także Davidowi Pomerico, Frankowi Parisiemu, Erichowi Schoeneweissowi i wszystkim w wydawnictwie Random House, którzy pomogli powołać do życia Zaginione Plemię zarówno w formie elektronicznej, jak i pisanej. Aby poznać kolejne przygody Zaginionego Plemienia, szukajcie powieści Przeznaczenie Jedi. Nowe historie Zaginionego Plemienia dostępne są także w formie komiksów Dark Horse Comics.